



# Patricia Cornwell

## Cause of Death

**'A one-sitting read'**  
*Cosmopolitan*

# Spis treści

Cóż złego uczynił

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

PATRICIA CORNWELL

# CÓŻ ZŁEGO UCZYNIŁ



Prószyński i S-ka

**PATRICIA CORNWELL**

**CÓŻ ZŁEGO  
UCZYNIŁ**

(Cause of Death)

Przełożył: Jacek Spólny



Prószyński i S-ka

1999

*Susanne Kirk, wizjonerce, redaktorce  
i przyjaciółce, poświęcam*

*Zapytał ich po raz trzeci: „Cóż On złego uczynił?  
Nie znalazłem w Nim nic zasługującego na śmierć”.*

*(Łuk. 23, 22)*

# Rozdział pierwszy

Nad ranem ostatniego dnia roku, który w Wirginii był najbardziej krwawy od czasów wojny secesyjnej, napaliłam w kominku i usiadłam naprzeciw ciemnego okna, za którym z nadejściem świtu miało ukazać się morze. Zaświeciłam lampę i siedziałam w szlafroku, przeglądając roczną statystykę wypadków samochodowych, powieszzeń, pobić, zabójstw bronią palną i ostrymi narzędziami, gdy piętnaście po piątej brutalnie przerwał mi pracę telefon.

– Jasna cholera – wymamrotałam, bo miałam coraz mniejszą ochotę na podnoszenie słuchawki telefonu doktora Philipa Manta. – Dobrze, niech będzie.

Jego zniszczony przez czas domek stał na pustkowiu za wydumą w dzikim, nadmorskim okręgu, zwanym Sandbridge, pomiędzy Ziemnowodną Bazą Marynarki Wojennej a rezerwatem przyrody Back Bay. Mant pełnił na komendzie rejonowej w Tidewater funkcję zastępcy głównego biegłego medycznego; niestety, przed tygodniem, w Wigilię, zmarła mu matka. W normalnych okolicznościach jego powrót do Londynu w ważnej sprawie rodzinnej nie wprowadziłby żadnego szczególnego zamieszania w systemie medycyny sądowej stanu Wirginia. Ale asystentka Manta od patologii sądowej była na urlopie macierzyńskim, z posady zrezygnował też ostatnio kierownik kostnicy.

– Dom doktora Manta – odezwałam się.

Wiatr za oknami gwałcił korony sosen.

– Tu Young z komendy policji w Chesapeake – usłyszałam męski głos, charakterystyczny dla białych, którzy urodzili się i wychowywali na Południu Stanów. – Chciałbym porozmawiać z doktorem Mantem.

- Jest za granicą. A o co chodzi?
- Czy jest pani jego żoną?
- Nazywam się Kay Scarpetta, jestem szefem zespołu biegłych medycznych i zastępuję doktora.

Mężczyzna zawahał się, po czym kontynuował:

- Jakiś anonimowy rozmówca zawiadomił nas telefonicznie o pewnym zgonie.

– Gdzie to się stało? – Notowałam.

- Prawdopodobnie przy Basenie Nieczynnych Okrętów Marynarki Wojennej.

– Co takiego? – Uniosłam głowę.

Powtórzył.

- Czyli ofiarą padł nurek marynarki? – Nie wiedziałam, co o tym myśleć, bo nurkowie marynarki podczas manewrów byli jedynymi ludźmi, którzy mieli prawo zbliżać się do starych okrętów, zakotwiczonych w basenie.

– Tego nie wiemy, ale istnieje możliwość, że szukał pozostałości po wojnie secesyjnej.

– Po ciemku?

– Proszę pani, wstęp na ten teren bez specjalnego zezwolenia jest surowo wzbroniony. Nie wyleczyło to jednak niektórych z niezdrowej ciekawości. Ludzie przemykają się tam w swoich łodziach i zawsze robią to po nocy.

– Tak przedstawiał przebieg wypadków anonimowy informator?

– Mniej więcej.

– Szalenie ciekawa historia.

– Zgadzam się. I jeszcze nie zlokalizowano ciała.

Zachodziłam w głowę, dlaczego ten młody funkcjonariusz postanowił dzwonić do biegłego o tak wczesnej porze, zwłaszcza że nie było pewne,



czy w ogóle mamy do czynienia z jakimś zgonem.

– Prowadzimy poszukiwania, marynarka przyśle paru własnych nurków, więc powinniśmy sobie poradzić. Po prostu chciałem panią uprzedzić. Proszę koniecznie przekazać moje kondolencje doktorowi Mantowi.

– Kondolencje? – Moje zdziwienie narastało, bo jeżeli wiedział o sytuacji życiowej Manta, to po co do niego dzwonił?

– Słyszałem, że odeszła jego matka.

– Czy mógłby mi pan podać swoje dane i jakieś namiary na siebie?

Dotknęłam czubkiem pióra kartki.

– S. T. Young. – Podał mi też swój numer telefonu i skończyliśmy rozmowę.

Wpatrywałam się w dogasający ogień, potem wstałam, żeby dorzucić trochę drewna, cały czas do szpiku kości czując niepokój i ogarniające mnie poczucie samotności. Żałowałam, że nie siedzę we własnym domu w Richmond, przy postawionych w oknach świecach i jodle Frasera, ubranej w pamiątki ze wszystkich dawnych świąt Bożego Narodzenia. Od odgłosu wiatru, świszczącego przenikliwie pod dachem, wołałabym Mozarta i Haendla, żałowałam, że przyjął uprzejmą propozycję Manta, bym zamiast w hotelu zatrzymała się u niego. Wróciłam do korekty statystyk, ale nie mogłam się za nic skupić. Wyobraziłam sobie toczące się leniwie wody rzeki Elizabeth, w których o tej porze roku panowałyby temperatura minus piętnaście stopni, a wzrok w najlepszym wypadku sięgałby na głębokość pół metra.

Zimą nurkowanie po ostrygi w zatoce Chesapeake lub pięćdziesięciokilometrowa wyprawa w celu zbadania zatopionego na Atlantyku lotniskowca, niemieckiej łodzi podwodnej czy innych cudów, dla których warto byłoby włożyć strój nurka – to zupełnie inna para kaloszy. Bo przecież na Elizabeth, gdzie marynarka odstawiała wysłużone okręty, o

żadnej porze roku nie mogło zdarzyć się nic nadzwyczajnego. Nie miałam pojęcia, po co ktoś miałby tam schodzić po zmroku pod wodę w poszukiwaniu jakichś ciekawostek; dlatego uznałam, że takie kłamstwo będzie miało bardzo krótkie nogi.

Wstałam z fotela i przeszłam do głównej sypialni, w której mój dobytek rozrzucony był po całym wyziębionym pomieszczeniu. Szybko się rozebrałam i wzięłam błyskawiczny prysznic, odkrywszy już pierwszego dnia, że terma ma ograniczone możliwości. Prawdę mówiąc, nie podobał mi się dom doktora Manta, pełen przeciągów, wyłożony bursztynową boazerią z sękatą sosny, z ciemnobrązowymi podłogami, na których znać było każdy najmniejszy pyłek. Miałam wrażenie, że mój angielski zastępca wpadł w szpony wichury, a niespodziewane dźwięki, które często budziły mnie tak nagle, że zrywałam się i sięgałam po broń, burzyły każdą chwilę spokoju w tym zimnym i bardzo skromnie umeblowanym domu.

Włożyłam szlafrok, głowę okręciłam ręcznikiem i udałam się na inspekcję sypialni dla gości, chcąc się upewnić, czy wszystko jest gotowe na jutrzejszy przyjazd mojej siostrzenicy Lucy. Potem rzuciłam okiem na kuchnię, która w porównaniu z moją była obrazem nędzy i rozpacz. Zdawało mi się, że nie zapomniałam niczego, gdy byłam wczoraj na zakupach w Virginia Beach, lecz stwierdziłam, iż będę musiała poradzić sobie bez praski do czosnku, maszynki do makaronu, miksera i kuchenki mikrofalowej. Zaczynałam się poważnie zastanawiać, czy Mant w ogóle coś gotował i czy zdarzało mu się zostawać na dłużej w domu. Dobrze przynajmniej, że pomyślałam o sztuccach i naczyniach; mając noże i garnki powinnam dać sobie ze wszystkim radę.

Jeszcze trochę poczytałam przy lampce, aż w końcu zasnęłam. Ze snu ponownie wyrwał mnie telefon i gdy podnosiłam słuchawkę, wzrok zaczął przyzwyczajać się do świecącego w oczy słońca.

– Detektyw C. T. Roche z komendy w Chesapeake – usłyszałam kolejny nieznanym męski głos. – Podobno zastępuje pani doktora Manta, a my potrzebujemy bardzo szybkiej odpowiedzi. Wszystko wskazuje na to, że jakiś nurek zginął w Basenie Nieczynnych Okrętów, dlatego musimy bezzwłocznie odnaleźć ciało.

– Jakiś pański kolega dzwonił już do mnie w tej sprawie.

Po dłuższej chwili ciszy padła pełna wahania odpowiedź:

– O ile mi wiadomo, zgłaszam się do pani pierwszy.

– O piątej piętnaście zadzwonił do mnie funkcjonariusz nazwiskiem Young. Chwileczkę – rzuciłam okiem na notatki – miał inicjały S jak Sam i T jak Tom.

Raz jeszcze nastąpiło milczenie, które mój rozmówca przerwał słowami:

– Wie pani co, nie bardzo wiem, o co chodzi, bo nikt o takim nazwisku u nas nie pracuje.

Krew zaczęła mi coraz szybciej krążyć w żyłach, zawzięcie wszystko notowałam. Było trzynaście po dziewiątej. Czułam się kompletnie zdezorientowana. Jeżeli mój pierwszy rozmówca rzeczywiście nie pracował w policji, to właściwie kim był, po co dzwonił i skąd znał doktora Manta?

– Kiedy odnaleziono ciało? – zapytałam.

– Koło szóstej strażnik zauważył stojącą przy jednym z okrętów łódkę, z której do wody biegł długi wąż, jakby ktoś tam jeszcze nurkował. Kiedy wąż przez całą godzinę ani drgnął, wezwano nas na miejsce. Przesłano nurka, który dostrzegł zwłoki na dnie.

– Wiadomo czyje?

– W łódce znaleźliśmy portfel. W prawie jazdy figurują dane białego nazwiskiem Theodore Andrew Eddings.

– Tego dziennikarza? – zawołałam z niedowierzaniem. – Teda Eddingsa?

– Sądząc ze zdjęcia, miał jakieś trzydzieści lat, brązowe włosy i niebieskie oczy. Mieszkał w Richmond przy ulicy West Grace.

Znany mi Ted Eddings był wybitnym dziennikarzem, specjalistą od tropienia różnego rodzaju afer, pracował w Associated Press. Dzwonił do mnie regularnie niemal co tydzień, zawsze w jakiejś nowej sprawie. Zupełnie mnie zatkało.

– W łódce natrafiliśmy także na pistolet, kaliber dziewięć milimetrów.

– Pod żadnym pozorem nie wolno udzielać tych informacji prasie ani w ogóle nikomu, dopóki nie zostaną ponad wszelką wątpliwość potwierdzone – odezwałam się wreszcie z całą stanowczością.

– Już wydałem odpowiednie polecenia. Nie ma powodów do zmartwienia.

– Dobrze. Czy są jakieś hipotezy wyjaśniające, dlaczego akurat on wybrał się do Basenu Nieczynnych Okrętów?

– Możliwe, iż szukał pamiątek z wojny secesyjnej.

– Z czego pan to wnosi?

– Mnóstwo ludzi z upodobaniem poszukuje w okolicznych rzekach kul armatnich i tym podobnych rzeczy – odparł. – No dobrze. Teraz musimy go wyciągnąć, żeby nie leżał tam niepotrzebnie.

– Wolalabym, żebyście go nie dotykali, a jeżeli zostanie trochę dłużej pod wodą, to w niczym nie zaszkodzi śledztwu.

– A co pani zamierza? – Znowu się wycofywał.

– Jeszcze nie wiem, muszę najpierw jechać na miejsce.

– Nie, chyba nie ma potrzeby, żeby pani...

– Detektywie Roche – przerwałam. – Nie do pana należą decyzje, czy mam tam przyjechać i co powinnam robić.

– Wie pani, trzymam tu tylu ludzi, a na popołudnie zapowiadają śnieg. Nie ma nic przyjemnego w wystawianiu na falochronie.

– W świetle przepisów kodeksu karnego stanu Wirginia los ciała zależy teraz wyłącznie ode mnie, a nie od pana, policji, straży pożarnej czy nawet przedsiębiorcy pogrzebowego. Nikt nie waży się ruszać zwłok, dopóki nie postanowię inaczej.

Te słowa wypowiedziałam na tyle groźnie, żeby domyślił się, iż ze mną nie ma żartów.

– Jak już mówiłem, będę musiał kazać ratownikom i obsłudze Basenu, żeby poczekali, co ich z pewnością nie ucieszy. Ludzie z marynarki bardzo nalegają, żebym usunął ciało, zanim media wszystko wywęszą i zaczną się tu kręcić.

– Sprawa nie leży w gestii Marynarki Wojennej.

– Proszę im to powiedzieć. Okręty są ich własnością.

– Z przyjemnością ich o tym przekonam. A na razie proszę powiedzieć wszystkim, że już jadę – rzuciłam stanowczo i odłożyłam słuchawkę.

Świadoma, że do domu mogę wrócić po upływie wielu godzin, przykleiłam do drzwi kartkę, na której w możliwie ogólnikowy sposób pouczałam Lucy, jak ma się dostać do środka na wypadek, gdyby mnie nie było. Klucz schowałam tak, że tylko ona mogłaby go znaleźć, po czym do bagażnika czarnego mercedesa załadowałam swoją torbę z przyborami i sprzęt do nurkowania. Za piętnaście dziesiąta temperatura wzrosła do trzech stopni powyżej zera i wciąż nie mogłam się dodzwonić do kapitana Pete’a Marino w Richmond.

– Dzięki Bogu – mruknęłam, usłyszawszy nareszcie dźwięk telefonu w wozie. – Scarpetta.

– Tu Yo.

– Masz włączony pager. Ale się zdziwiłam. – Jak ci się nie podoba, to po jaką cholere w ogóle dzwoniłaś? – Wyglądało na to, że cieszy się na tę rozmowę. – Jak leci?

– Pamiętasz dziennikarza, którego tak strasznie nie znosisz? – Nie chciałam zdradzać szczegółów, bo ktoś mógł nas podsłuchać przez skaner.

– To znaczy?

– Tego, co pracuje w AP i ciągle wpada do mnie do biura.

Zastanowił się chwilę, po czym spytał:

– A bo co? Jakieś kłopoty?

– Niestety, chyba tak. Jadę właśnie nad Elizabeth, bo dzwonili z komendy w Chesapeake.

– Moment. Nie chodzi chyba o takie kłopoty.

Wyczułam złowróżbny ton głosu.

– Niestety.

– Jasny szlag.

– Mamy tylko prawo jazdy, więc jeszcze nic nie wiemy na pewno. Najpierw muszę się rozejrzeć na miejscu i zobaczyć ciało, zanim go ruszą.

– Chwila, chwila. A po co ty to robisz? Nie ma od tego innych?

– Muszę go najpierw zobaczyć, zanim ruszą ciało – powtórzyłam.

Nie poszło mu to w smak, bo z natury był nadopiekuńczy. Łatwo się tego zresztą domyślić.

– Przyszło mi do głowy, że może będziesz miał ochotę przeszukać jego dom w Richmond – powiedziałam.

– Pewnie, co za sprawa.

– Nie mam pojęcia, czego należy się tam spodziewać.

– A ja mam złe przeczucia.

W Chesapeake zjechałam z autostrady w stronę rzeki Elizabeth, skręciłam w lewo w ulicę High, po drodze mijając kościoły z cegły, parkingi używanych samochodów i przyczepy. Za więzieniem i główną komendą policji koszary Marynarki Wojennej przechodziły w przygnębiający, rozległy teren złomowiska, otoczonego zardzewiałą siatką

z drutem kolczastym. W samym środku zarzuconego metalem i porosłego chwastami obszaru stała elektrownia, która podobno spalała śmieci i węgiel, dostarczając tym samym prądu potrzebnego składowi okrętów do kontynuowania swojej nieruchawej, odrażającej działalności. Dzisiaj jednak z kominów nie leciał dym, na torach panowała cisza i nie działały portowe dźwigi. Koniec końców był sylwester.

Skierowałam się do zbudowanego z rudych, monotonnych bloków żużłowca biura głównego, za którym ciągnęło się wykładane chodnikami nabrzeże. Z budki strażniczej wyszedł mi na spotkanie młody człowiek w cywilnym ubraniu i kapeluszu. Opuściłam szybę. Po niebie pędziły gnane wiatrem chmury.

– Wstęp wzbroniony. – Jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu.

– Nazywam się Kay Scarpetta i pełnię funkcję głównego biegłego sądowego – tłumaczyłam, pokazując jednocześnie mosiężną tarczę, która symbolizowała mój nadzór nad każdym przypadkiem nagłej, samotnej, niewyjaśnionej i gwałtownej śmierci w stanie Wirginia. Pochylił się i uważnie przyjrzał się tarczy. Kilkakrotnie rzucał okiem na moją twarz i gapił się na samochód.

– Jest pani głównym biegłym sądowym? – powtórzył. – A dlaczego nie przyjechała tu pani karawanem? – Słyszałam już kiedyś ten dowcip, więc nie straciłam panowania nad sobą.

– Karawanami jeżdżą ludzie z zakładów pogrzebowych, a ja tam nie pracuję. Jestem głównym biegłym sądowym.

– Najpierw proszę okazać jakieś inne dokumenty.

Podalam mu prawo jazdy, przekonana, że muszę być przygotowana na kolejne tego rodzaju interwencje służbistów. Odszedł od samochodu i uniósł do ust radiostację.

– Jednostka jedenasta do jednostki drugiej.

– Odwrócił się plecami, jakby nie chcąc zdradzać najwyższej wagi tajemnic.

– Dwójka – dobiegła odpowiedź.

– Jest tu przy mnie niejaka doktor Scaylatta.

– Przekręcił moje nazwisko szkaradniej niż większość nieznajomych osób.

– Dziesięć-cztery. Wpuszczamy.

– Proszę pani – zwrócił się do mnie strażnik – tu zaraz na prawo jest parking. – Wskazał ręką kierunek. – Proszę postawić samochód i udać się na falochron dwa, gdzie znajdzie pani kapitana Greena. On na panią czeka.

– A gdzie jest detektyw Roche?

– Czeka na panią kapitan Green.

Zamknęłam okno, a on otwierał bramę, na której widniały napisy z przestrogi, że wkraczam właśnie na teren obiektu przemysłowego, gdzie malowanie sprayem stanowi ogromne zagrożenie, należy się zabezpieczyć, a parkuje się na własne ryzyko. W oddali na tle szarego horyzontu widać było groźne towarowce i tankowce, wykrywacze min i fregaty. Na drugim falochronie zebrały się karetki pogotowia, radiowozy i jakaś grupka ludzi.

Zaparkowałam samochód zgodnie z instrukcją i skierowałam się w ich stronę; wpatrywali się w moją zbliżającą się postać. Torbę z przyborami i sprzęt nurkujący zostawiłam w bagażniku, więc wyglądałam na panią w średnim wieku, ubraną w traperki, wełniane legginsy i płaszcz wojskowy w kolorze blado-khaki. Z chwilą gdy moja noga stanęła na pomoście, ruszył ku mnie dystyngowany, siwiejący starszy pan. Zachowywał się tak, jakby dopiero co przyłapał mnie na bezprawnym wkroczeniu na teren zakazany. Z ponurym wyrazem twarzy zagroził mi drogę.

– O co chodzi? – zapytał tonem żołnierza krzyczącego: „Stać!”; wiatr rozwiewał mu włosy i sprawiał, że policzki miał zaczerwienione.



Raz jeszcze musiałam tłumaczyć wszystko od początku.

– A, to dobrze. – Ton głosu wcale nie wskazywał na szczerść tych słów.  
– Nazywam się Green i jestem kapitanem służby śledczej Marynarki Wojennej. Musimy coś z tym szybko zrobić. Proszę posłuchać. – Odwrócił się i rzucił do kogoś: – Musimy usunąć ...

– Chwileczkę. Jest pan z marynarki? – wciąłem się, bo chciałam wszystko natychmiast wyjaśnić. – Sądziłam, że ten obiekt nie należy do marynarki. Gdyby tak było, w ogóle by mnie tu nie wzywano. Sprawą zajęłoby się wojsko, oględziny zwłok prowadziliby patologowie z marynarki.

– Proszę pani – odpalił, jakby jego cierpliwość miała się za chwilę wyczerpać – skład ten znajduje się pod zarządem cywilnym, dlatego też nie stanowi własności Marynarki Wojennej. Ale nie możemy stać z założonymi rękami, gdyż wygląda na to, że ktoś myszkował koło naszych okrętów.

– Jak pan sądzi, dlaczego to robił?

Rozejrzałam się.

– Niektórzy poszukiwacze skarbów uważają, iż w wodach tych można odkryć kule armatnie, stare dzwony okrętowe i wiele jeszcze innych rupieci.

Staliśmy pomiędzy towarowcem „El Paso” i łodzią podwodną „Exploiter”; obydwie okręty pozbawione były wszelkiej elegancji i wdzięku. Woda przypominała do złudzenia capuccino i pomyślałam, że będzie w niej widać jeszcze mniej, niż się obawiałam. Koło łodzi podwodnej wznosiła się platforma do nurkowania. Nigdzie nie było widać ani śladu samej ofiary, ekipy ratowniczej czy policji, która zajmowałaby się przypadkiem. Zapytałam o to Greena, który ograniczył się do pokazania mi pleców; wiatr od rzeki mroził twarz.

– Nie mogę tu przecież tkwić cały dzień w oczekiwaniu na Stu – zwrócił się do mężczyzny w kombinezonie i usmolonej bluzie narciarskiej.

– Moglibyśmy ściągnąć tu za frak Butta, kapitanie – padła odpowiedź.

– Nic z tego, Jose. – Zdawało się, że Green jest z tymi ludźmi w całkiem zażyłych stosunkach. – Nie będzie tu z niego żadnego pożytku.

– Niech to szlag – odezwał się drugi, z długą, splątaną brodą. – Wiadomo, o tej porze trudno się spodziewać, że będzie trzeźwy.

– Przyganiał kocioł garnkowi – skwitował Green i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Brodacz miał cerę delikatną jak surowy hamburger. Spoglądał na mnie podejrzliwie, jednocześnie zapalając papierosa i osłaniając go szorstkimi dłońmi przed porywami wiatru.

– Od wczoraj nic nie piłem. Nawet kropli wody – zarzekał się przy wtórze śmiechu koleżków.

– Cholera, zimno tu jak w piecu Eskimosa. – Skulił się. – Trzeba było włożyć grubszy płaszcz.

– Człowieku, naprawdę zimno to jest temu tam – cmoknąwszy, włączył się następny rozmówca, najwyraźniej mając na myśli nurka. – Zamarzę normalnie na śmierć.

– Ale nic już nie czuje.

– Wiem, że się pan niecierpliwi, i zgadzam się z panem – odezwałam się, usiłując stłumić rosnące rozdrażnienie. – Ale nie widzę ani śladu ekipy ratunkowej czy policji. Nie pokazano mi też łódki i miejsca, w którym odkryto ciało.

Poczułam na sobie spojrzenia kilku par oczu i przebiegłam wzrokiem pobrużdżone twarze mężczyzn, którzy do złudzenia przypominali bandę piratów, przebraną w nowoczesne stroje. Nie należałam do ich tajnego

klubu; przypomniały mi się raptem młodsze lata, kiedy płakałam, gdy odnoszono się do mnie ordynarnie i wrogo.

– Policjanci są w środku, przy telefonach – zabrał głos Green. – Tam, w największym budynku, z wielką kotwicą na przedniej fasadzie. Nurkowie też, chyba chcą się rozgrzać. Ekipa ratownicza czeka na panią na drugim brzegu rzeki. Być może zainteresuje panią wiadomość, że w punkcie, w którym się teraz znajduje, policja znalazła ciężarówkę i przyczepę, które najprawdopodobniej należały do denata. Proszę ze mną – ruszył z miejsca – to pokażę pani miejsce wypadku. Widzę, że ma pani zamiar zejść pod wodę z resztą nurków.

– Zgadza się.

Szłam obok niego nabrzeżem.

– Za cholere nie wiem, czego się pani tam spodziewa.

– Kapitanie, już bardzo dawno temu nauczyłam się nie spodziewać niczego.

W miarę jak mijaliśmy wysłużone okręty, dostrzegłam błyszczące, metalowe pasy, które biegły od statków do wody.

– Co to?

– Urządzenia do ochrony katod – tłumaczył.

– Pracują na prąd i mają chronić przed korozją.

– Mam niejaką nadzieję, że ktoś je wyłączył.

– Jedzie tu już elektryk, który odłączy całe nabrzeże.

– A zatem ten nurek mógł zawadzić o któreś z tych urządzeń. Po ciemku są chyba ledwie widoczne.

– Nic by mu się nie stało. Ładunki są niewielkie – mówił takim tonem, jakby wszyscy powinni o tym wiedzieć. – Równie mocno kopnęłyby panią dziewięciowoltowa baterijka. To nie mogła być przyczyna śmierci. Może pani skreślić ten punkt ze swojej listy.

Przystaliśmy na końcu nabrzeża, przed sobą jak na dłoni mieliśmy tył częściowo zanurzonej łodzi podwodnej. Parę metrów od niej stała zakotwiczona zielona łódka z aluminium; długi czarny wąż prowadził od sprężarki zamontowanej wewnątrz rury, która biegła wzdłuż burty od strony pasażera. Na dnie łodzi leżały w nieładzie narzędzia, sprzęt do nurkowania i inne przedmioty, które ktoś musiał już dość pobieżnie obejrzeć. Aż mnie zatkało, bo zła byłam bardziej, niż było to po mnie widać.

– Najwyraźniej po prostu utonął – tłumaczył Green. – Prawie każdy wypadek przy nurkowaniu spowodowany bywa utonięciem. Można utopić się nawet w takiej płytkiej wodzie.

– Za to na pewno nietypowy jest ten osprzęt.

– Nie zwracałam uwagi na jego wymądrzanie się.

Zapatrzył się na łódkę, która pod wpływem prądu lekko drżała.

– Sprężarka na wodę. Faktycznie, takie urządzenia spotyka się w tych stronach rzadko.

– Czy działała, gdy natrafiono na łódkę?

– Skończyła się jej benzyna.

– Co pan na to? Domowej roboty?

– Nie, fabryczna. Sprężarka na benzynę o mocy pięciu koni mechanicznych; zasysa powietrze przez wąż niskociśnieniowy, połączony z regulatorem. Mógł przetrzymać pod wodą ze cztery, pięć godzin. Póki nie zabrakło paliwa. – Cały czas unikał mego wzroku.

– Cztery, pięć godzin? Po co? – Popatrzyłam na niego. – Rozumiem, że ktoś zbiera homary albo małże. – Milczał. – Co jest tam na dole? I proszę nie wciskać mi, że to przedmioty z czasów wojny secesyjnej, bo oboje dobrze wiemy, że to nieprawda.

– Szczerze mówiąc, nie ma tam nic.

– A przecież on wierzył, że coś jest.

– Na swoje nieszczęście się mylił. Proszę spojrzeć tylko na te chmury. Zaraz nieźle nas tu zleje. – Postawił kołnierz płaszcza. – Rozumiem, że ma pani uprawnienia nurka.

– Od lat.

– Chciałbym zobaczyć kartę.

Patrząc na aluminiową łódkę i łódź podwodną, zachodziłam w głowę, ile jeszcze przeszkód zamierzają postawić mi na drodze ci ludzie.

– Trzeba ją okazać, jeśli chce się zejść pod wodę – wyjaśniał. – Myślałem, że pani o tym wie.

– A ja myślałam, że wojskowi nie zarządzają tym obiektem.

– Umiem się tu ze wszystkimi dogadać. Zarząd nie ma znaczenia. – Wbił we mnie wzrok.

– Aha. I pewnie jeśli będę chciała zaparkować samochód na wybrzeżu, żeby nie nieść przez kilometr sprzętu, będę musiała otrzymać zezwolenie na piśmie.

– Rzeczywiście.

– Nie mam przy sobie nic takiego. Nie mam karty zaawansowanego nurka i ratownika ani dziennika wszystkich wypraw pod wodę. Nie wzięłam też licencji na prowadzenie działalności lekarskiej na terenie Wirginii, Florydy i Marylandu. – Mówiłam cicho i zdecydowanie i ten mój spokój musiał utwierdzać go w jakimś postanowieniu. Zamrugał kilka razy, aż poczułam bijącą od jego osoby niechęć. – Po raz ostatni proszę pana o nieutrudnianie mi wykonywania zawodu – ciągnęłam. – Mamy tu do czynienia ze zgonem z przyczyn nienaturalnych, a coś takiego leży właśnie w mojej gestii. Jeżeli nie zechce pan mi pomóc, z przyjemnością wezwę policję stanową, szeryfa i FBI. Do wyboru, do koloru. Z pewnością jestem w stanie ściągnąć tu kogoś w przeciągu dwudziestu minut. Mam nawet w kieszeni telefon bezprzewodowy. – Poklepałam aparat.

– Chce pani zejść pod wodę – wzruszył ramionami – to proszę bardzo. Ale musi pani podpisać oświadczenie stwierdzające, że w razie jakiegoś nieszczęśliwego wypadku stocznia nie ponosi za to najmniejszej odpowiedzialności. A naprawdę mocno wątpię, czy mają tu tego rodzaju formularze.

– Rozumiem. Muszę więc podpisać dokument, którego pan nie posiada.

– Właśnie.

– Nie ma sprawy. W takim razie sporządzą odręczne oświadczenie.

– To musiałyby zrobić prawnik, a dzisiaj mamy dzień wolny od pracy.

– Ja jestem prawnikiem, który pracuje również w dni świąteczne.

Zacisnął zęby i domyślałam się, że skoro już wie, iż można zdobyć dokument, przestanie się go domagać. Zawróciliśmy; ze strachu przeszły mi ciarki po grzbiecie. Nie miałam ochoty na tę wyprawę pod wodę, nie przypadli mi do gustu napotkani w tym miejscu ludzie. Rzecz jasna, miałam już przyjemność pobłądzić w biurokratycznej dżungli, ale wtedy wchodziłam w kontakty z rządem lub wielkimi firmami. To zupełnie inna historia.

– Proszę mi powiedzieć – odezwał się Green tym swoim nasączonym pogardą głosem – czy główni biegli sądowi zawsze muszą na miejscu badać zwłoki?

– Rzadko.

– To dlaczego jest to konieczne w tym przypadku?

– Z chwilą usunięcia ciała miejsce zbrodni rozplynie się w wodzie. Uważam, że ze względu na niezwykle okoliczności zajścia mam obowiązek zająć się tym na miejscu. Tak się przy okazji składa, że zastępuję lekarza, któremu podlega okręg Tidewater, i odebrałam wezwanie w tej sprawie.

– To bardzo smutne, ta śmierć matki doktora Manta. – Tym zdenerwował mnie jeszcze bardziej. – Kiedy doktor wraca do pracy?

Usiłowałam przypomnieć sobie poranną rozmowę przez telefon i afektowany południowy akcent młodego mężczyzny, który przedstawił się jako Young. Green nie wyglądał na urodzonego w tamtej części Stanów, ale to samo odnosiło się do mnie – a przecież każde z nas byłoby w stanie przeciągać zgłoski.

– Nie wiem na pewno – zaczęłam ostrożnie – ale nie mam pojęcia, skąd pan go zna.

– Nasze drogi schodzą się czasami na polu zawodowym, czy chcemy, czy nie. – Nie bardzo orientowałam się, co sugeruje. – Doktor Mant rozumie, że nie należy wtrącać się w nie swoje sprawy – ciągnął. – Z ludźmi tego pokroju dobrze się pracuje.

– Wtrącać się do czego, kapitanie Green?

– Do tego, czy sprawa należy do marynarki, czy do kogokolwiek innego. Wtrącać się można na setki sposobów. Tylko się wtedy szkodzi, sobie i innym. Weźmy na przykład tego nurka. Wtykał nos w nie swoje rewiry i oto co go spotkało.

Stałam jak wryta i wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem.

– Mam nadzieję, że puszczam wodze wyobraźni – powiedziałam – ale odnoszę wrażenie, że pan mi grozi.

– Niech pani idzie po ekwipunek. Może pani zaparkować bliżej, przy ogrodzeniu – pokazał ręką i odszedł.

## Rozdział drugi

Dłuższy czas po tym, jak Green zniknął w budynku z kotwicą, siedziałam na nabrzeżu i usilnie próbowałam włożyć gruby kombinezon płetwonurka. Nieopodal kilku członków ekipy ratowniczej ładowało płaskodenną łódź, przywiązaną do jednego z pali. W pobliżu wałęsali się zaciekawieni stoczniovcy, a na platformie do nurkowania dwóch mężczyzn w błękitnych kostiumach z neoprenu testowało telefony i bardzo skrupulatnie badało butle tlenowe, z moją włącznie. Obserwowałam płetwonurków, ale nie mogłam zrozumieć ani słowa z ich rozmowy; odkręcali węże i przymocowywali do pasków ciężarki. Od czasu do czasu rzucali okiem ku mnie i bardzo się zdziwiłam, gdy jeden z nich wszedł na drabinkę prowadzącą na mój poziom nabrzeża. Podszedł bliżej i usiadł na zimnym chodniku.

– Wolne?

Był to młody i przystojny Murzyn o posturze olimpijskiego atlety.

– Biję się o to miejsce dużo ludzi, ale nie wiem, gdzie się w tej chwili podziewają. – Szarpałam się z kombinezonem. – Jasna cholera, jak ja tego nie znoszę.

– Proszę sobie wyobrazić, że wkłada pani na siebie jakąś rurę.

– Wielkie dzięki za pomoc.

– Musimy pogadać o urządzeniach do porozumiewania się pod wodą. Posługiwała się pani kiedyś czymś takim?

– Jest pan z policji? – Omiotłam wzrokiem jego pełną powagi twarz.

– Nie, jestem sobie prostym marynarzem. Nie wiem też nic o pani, ale mogę zapewnić, że nie tak wyobrażałem sobie sylwestra. W głowie mi się nie mieści, jak ktoś mógł wpaść na pomysł, żeby tu nurkować, chyba że



przedstawiło mu się, że jest ślepą kijanką w mulistej kałuży. Albo miał za mało żelaza we krwi i uwierzył, że pomoże mu cała ta zatopiona pod wodą rdza.

– Od tej rdzy można tylko nabawić się tęcza. – Rozejrzałam się. – Kto jeszcze jest z marynarki?

– Dwóch przy łodzi jest z policji. Ki Soo, który stoi tam na platformie, to jedyny marynarz, rzecz jasna, z wyjątkiem naszego nieustraszonego śledczego. Ki jest niezły. Jesteśmy kumplami.

Pokazał Ki Soo uniesiony kciuk, tamten odwzajemnił się tym samym gestem zadowolenia; cała sytuacja zaczęła mnie zaciekawiać, bo nigdy się z niczym takim nie spotkałam.

– No dobra – zaczął mój nowy znajomy i przeszedł na „ty”, jakbyśmy pracowali ze sobą od niepamiętnych czasów. – Urządzenia do porozumiewania się mogą ci spłatać parę figli, jeśli nie jesteś z nimi jeszcze obznajomiona. Grozi nawet niebezpieczeństwo. – Na jego twarzy nie było widać ani śladu żartobliwego uśmiechu.

– Jestem z tym obyta – zapewniłam z trochę nieszczerym spokojem.

– To nie wystarczy. Musisz znać je jak własną kieszeń, bo mogą ocalić życie, zresztą przy pomocy płynącego z tobą w parze płetwonurka. – Urwał. – Mogą cię też zabić.

Z aparatury do komunikacji podwodnej korzystałam jak dotąd tylko raz i cały czas drażniło mnie, że zamiast stabilizatora zakładają mi na twarz szczelną maskę, wyposażoną w ustnik, lecz pozbawioną zaworu oczyszczającego. Obawiałam się, że maskę zaleje, że będę musiała gorączkowo ją z siebie zdzierać, szukając innego źródła powietrza, bałam się też ośmiornic. Ale to nie było dobre miejsce na rozmowy o takich sprawach.

– Dam sobie radę – powtórzyłam.

– Super. Podobno jesteś z sądu. Aha, nawiasem mówiąc, mam na imię Jerod i już trochę o tobie słyszałem. – Siedział po turecku, rzucał do wody bryłki żwiru i z fascynacją śledził wzrokiem powoli rozchodzące się na jej powierzchni kręgi. – Słyszałem o tobie dużo dobrego. Miedzy Bogiem a prawdą, to nawet żona, jak się dowie, że się z tobą widziałem, pozielenieje z zazdrości.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób nurek Marynarki Wojennej mógł słyszeć o mnie coś więcej, niż mówiono i pisano w mediach, a były to niekoniecznie pochlebne wzmianki. Ale słowa te przeleciały jak świeża bryza po zachmurzonym niebie mojego kiepskiego nastroju i już miałam mu o tym powiedzieć, gdy rzucił okiem na zegarek, popatrzył na platformę i wymienił spojrzenia z Ki Soo.

– Pani doktor – zaczął znowu z szacunkiem, jednocześnie wstając. – My jesteśmy gotowi. A pani?

– Wszystko dopięte na ostatni guzik. – Także wstałam. – Z której strony podpłyniemy?

– Najlepiej – zresztą to jedyna droga – kierować się węzłem zmarłego.

Podeszliśmy do brzegu, a Jerod wskazał ręką w stronę łódki.

– Ja już tam byłem i wiem, że jak człowiek oddali się od węzła, to nigdy nie odnajdzie trupa. Miała pani kiedyś okazję brodzić w kanale bez oświetlenia?

– Tej przyjemności jeszcze nie zaznałam.

– Krótko mówiąc, gównu widać. Tutaj jest to samo.

– Czy wie pan coś o tym, żeby ktoś ruszał ciało?

– Tylko ja się do niego zbliżałem.

Wzięłam kamizelkę antywyporową i włożyłam do kieszeni latarkę.

– Nie warto. W takich warunkach latarka będzie tylko przeszkadzać.

Ale i tak ją ze sobą wzięłam, chcąc wykorzystać wszystkie możliwe sposoby ułatwienia przeprawy. Zeszliśmy po drabince na platformę, gdzie mieliśmy dokończyć przygotowania; starałam się nie zauważać wgapionych we mnie oczu stoczniovców, gdy wcierałam we włosy krem i naciągałam hełm z neoprenu. Od wewnętrznej strony prawej łydki przywiązałam sobie nóż, złapałam z dwóch końców siedmiokilogramowy pas z ciężarkami i zapięłam go. Sprawdziłam klamry bezpieczeństwa i włożyłam rękawice.

– Gotowa – rzuciłam w stronę Ki Soo.

Przyniósł mi aparat do porozumiewania się i stabilizator.

– Podłączę wąż z powietrzem do pani maski – oznajmił pozbawionym jakiegokolwiek akcentu głosem. – Słyszałem, że używała pani już kiedyś takiego sprzętu.

– To prawda.

Przykucnął koło mnie i zniżył głos, jakbyśmy mieli zamiar spiskować:

– Pani, Jerod i ja będziemy w stałym kontakcie.

Aparaty przypominały jasnoczerwone maski przeciwgazowe z pięcioma paskami uprząży do zapinania na głowie. Jerod stanął za mną, i pomógł mi włożyć kamizelkę antywyporową i butlę tlenową, podczas gdy jego kolega nie przestawał mówić.

– Jak pani już wie – ciągnął Ki Soo – kiedy zajdzie potrzeba porozumienia się, należy wcisnąć guzik na ustniku. – Pokazał. – Musimy to teraz pani założyć i zabezpieczyć. Proszę wsunąć włosy pod hełm i powiedzieć, czy maska uciska w tył głowy.

Nie znosiłam stać w tych aparatach na powietrzu, gdyż trudno w nich było oddychać. Wzięłam możliwie najgłębszy oddech i otaksowałam spojrzeniem dwóch płetwonurków, którym dopiero co powierzyłam swój los.

– W łodzi będzie siedziało dwóch ratowników, którzy będą nas oglądać za pomocą zanurzonego w wodę przetwornika. Każde nasze słowo będzie słyszalne dla wszystkich na powierzchni. Jasne?

Spojrzał na mnie tak, że pojęłam sens przestrogi.

Skinęłam głową; słyszałam swój ciężki, wysilony oddech.

– Chce pani teraz założyć płetwy?

Pokręciłam przecząco głową i wskazałam ręką wodę.

– Proszę się więc zanurzyć, a ja je pani rzucę.

Niemal czterdzieści kilogramów cięższa, posuwałam się krok za krokiem do krawędzi platformy, gdzie raz jeszcze sprawdziłam, czy maska jest dobrze wsadzona za kaptur. Pasy antykorozyjne wyglądały jak wąsy suma, ciągnące się od ogromnych, uspionych okrętów. Przygotowywałam się na najbardziej niepewny, siedmiomilowy krok w życiu.

W pierwszej chwili pod wpływem zimna doznałam wstrząsu termicznego i upłynęła dobra chwila, zanim ciało ogrzało wodę, która sączyła się do skafandra, w czasie gdy ja zakładałam płetwy. Co gorsza, nie widziałam konsoli komputera i kompasu. Nie byłam w stanie dostrzec wyciągniętej przed oczyma ręki i zrozumiałam, że latarka istotnie nic tu nie pomoże. Zawieszona w wodzie osady wchłaniały światło niczym bibuła, co zmuszało mnie do częstego wynurzania się na powierzchnię, gdzie mogłam zorientować się w położeniu i skierować ku wężowi, który zaczynał się w łódce i znikał w wodach rzeki.

– Wszyscy dziesięć-cztery? – Głos Ki Soo rozległ się w przyciśniętej do mojej czaszki słuchawce.

– Dziesięć-cztery – odparłam, próbując się rozluźnić.

Machałam nogami tuż pod powierzchnią.

– Jesteś przy wężu? – Tym razem odezwał się Jerod.

– Trzymam go w rękach. – Wąż wydawał się nienaturalnie napięty, starałam się więc zbytnio go nie szarpać.

– Płyn jego szlakiem. To około dziesięciu metrów. Mężczyzna powinien unosić się tuż ponad dnem.

Zaczęłam się zanurzać, często zatrzymując się, by wyrównać ciśnienie w uszach i nie wpadać w popłoch. Nie było nic widać. Serce waliło mi jak młotem, próbowałam siłą woli narzucić sobie spokój i brać głębokie oddechy. Przez moment unosiłam się swobodnie, zwalniając oddech. Podjęłam wędrówkę wzdłuż węża i panika ogarnęła mnie powtórnie, gdy z ciemności wyłonił się znieczeka zardzewiały kabel. Chciałam przemknąć się pod spodem, ale nie widziałam, skąd się bierze i dokąd biegnie; poza tym siła wyporu wody przerosła moje oczekiwania, wobec czego żałowałam, że nie zabrałam więcej ciężarków. Kabel zaczepił mnie z tyłu. Poczułam, że stabilizator zachowuje się tak, jakby ktoś schwycił go i ciągnął mnie do tyłu; odpięta butla zsuwała mi się po plecach, pociągając za sobą. Odpięłam paski kamizelki i błyskawicznie się z niej wyswobodziłam, próbując myśleć wyłącznie o procedurze, której mnie wyuczono.

– Wszystko dziesięć-cztery? – rozległ się wewnątrz maski głos Ki Soo.

– Kłopoty techniczne.

Włożyłam sobie butlę między nogi, żeby móc unosić się na niej przez mroczny i szary kosmos jak na rakiemie. Poprawiłam zapinki; nie poddawałam się przerażeniu.

– Może pomóc?

– Nie. Uwaga na kable.

– I w ogóle na wszystko – odparł.

Przemknęło mi przez myśl, że można tu zginać na wiele sposobów. Obróciłam się i wsunęłam nareszcie w kamizelkę.

– Wszystko dziesięć-cztery? – ponowił pytanie Ki Soo.

– Dziesięć-cztery. Niewyraźnie słychać.

– Interferencja. Za dużo wielkich zbiorników. Idziemy z tyłu. Mamy się przybliżyć?

– Jeszcze nie.

Zachowywali rozsądną odległość, wiedząc, że będę chciała sama i w spokoju przyjrzeć się zwłokom. Nie można było wchodzić sobie w drogę. Powoli zanurzałam się coraz niżej i bliżej dna. Uświadomiłam sobie, że wąż musiał o coś zaczepić i dlatego jest taki napięty. Nie wiedziałam, którędy się posuwać, spróbowałam więc najpierw trochę w lewo, gdzie coś się o mnie otarło. Odwróciłam się i spotkałam oko w oko z trupem; ciało poruszyło się gwałtownie, gdy odruchowo odskoczyłam. Wiło się i unosiło bezwładnie, przymocowane do łańcucha, z wyciągniętymi ramionami przypominając lunatyka, gdy tak ciągnęłam je za sobą.

Pozwoliłam zwłokom podплыnąć bliżej, jeszcze się trochę o mnie poobijały, ale nie byłam już zaskoczona i nie bałam się. Wyglądało to tak, jakby trup chciał przyciągnąć moją uwagę albo zatańczyć ze mną w piekielnych ciemnościach rzeki, która wzięła go we władanie. Unikałam gwałtownych ruchów, z rzadka przebierając płetwami, nie chciałam bowiem zamącić wody czy zahaczyć o zardzewiałe szczątki jakiegoś statku.

– Natrafiłam na niego. A raczej on na mnie. – Puściłam przycisk. – Słyszycie?

– Z trudem. Jesteśmy trzy metry powyżej. Odbiór.

– Zaczekajcie jeszcze chwilę, potem go stąd wydobędziemy.

Raz jeszcze próbowałam użyć latarki, ale oczywiście okazała się bezużyteczna. Doszłam więc do wniosku, że będę musiała obejrzeć wszystko rękami. Wsadziłam latarkę do kamizelki, maksymalnie przysunęłam konsolę komputera. Z wielkim trudem odcyfrowałam, że znajduję się na głębokości dziesięciu metrów, a w butli została jeszcze

więcej niż połowa powietrza. Zaczęłam unosić się wokół zwłok, przebijałam się wzrokiem przez półmrok, rozróżniając ledwie zarysy twarzy i włosów, które wydostały się z kaptura.

Schwytałam trupa za bary i zaczęłam macać po piersiach w poszukiwaniu węża. Był przypięty do pasa z ciężarkami, jęłam więc kierować się wzdłuż niego do punktu, w którym o coś zahaczył. Po kilku metrach oczom moim ukazała się olbrzymia zardzewiała śruba. Dotknęłam okrytego skorupiakami kadłuba i zatrzymałam się w miejscu, nie chcąc już podpływać bliżej. Nie miałam zamiaru wpływać pod okręt wielkości boiska sportowego, by potem szukać po omacku wyjścia, aż skończy mi się zapas powietrza.

Wąż był splątany; wodziłam po nim rękami, chcąc sprawdzić, czy nie jest gdzieś złożony lub ściśnięty tak, że skręcenie odcina dopływ tlenu. Nie stwierdziłam niczego takiego. Co więcej, odzepienie go ze śruby przyszło mi z łatwością. Nie miałam pojęcia, dlaczego nurek nie był w stanie się wyswobodzić, i rosło we mnie podejrzenie, że ktoś okręcił wąż wokół liny już po jego śmierci.

– Zaczepił się wąż z powietrzem – odezwałam się przez radiostację. – O jeden z okrętów, nie wiem który.

– Potrzebujesz pomocy? – Tym razem przemówił Jerod.

– Nie. Namierzyłam go. Możecie ciągnąć. Poczulałam, jak wąż się przesuwa.

– W porządku, będę go nakierowywać, a wy ciągnijcie, tylko bardzo powoli.

Wzięłam go od tyłu pod pachy i zaczęłam wymachiwać nogami, gdyż miałam ograniczone możliwości ruchu.

– Spokojnie – powtórzyłam do mikrofonu, jako że nie mogłam wypływać szybciej niż jedną stopę na sekundę. – Wolno.

Od czasu do czasu unosiłam głowę, ale nie widziałam nic do chwili, gdy wychynęliśmy na powierzchnię. Niebo pokryte było szarymi jak gonty chmurami, nieopodal kołysała się łódź ekipy ratunkowej. Nadmuchałam kamizelkę swoją i zmarłego, po czym odwróciłam go na brzuch i odpięłam mu pas z ciężarkami, który był tak ciężki, że omal go nie upuściłam. Mimo wszystko udało mi się go utrzymać i podać ratownikom, którzy z minami fachowców czekali w płaskodennej łodzi.

Ja, Jerod i Ki Soo nie mogliśmy zdjąć masek, gdyż trzeba było jeszcze dopłynąć do platformy. Wpychając ciało do drucianego kosza, porozumiewaliśmy się przez swoje aparaty i zużywaliśmy tlen z butli. Kosz dopchnęliśmy do samej łodzi, po czym, zalewani strugami wody, pomogliśmy ratownikom zabrać zwłoki.

– Trzeba mu zdjąć maskę – powiedziałam.

Ratownicy wpadli w konsternację, najwyraźniej zaginął im gdzieś przetwornik. Nie słyszeli ani jednego naszego słowa.

– Pomóc ściągnąć maskę? – zapytał jeden z nich, wyciągając rękę w moją stronę.

Machnęłam przecząco ręką i pokręciłam głową. Chwyciłam za burtę łodzi i uniosłam się na tyle, że mogłam dosięgnąć kosza. Zdjęłam z trupa maskę, wylałam z niej wodę i położyłam obok głowy, z której wyrastały długie, przemokłe włosy. W tym momencie go rozpoznałam, pomimo owalnego rowka, jaki maska odcisnęła wokół oczu. Znałam ten prosty nos i ciemne wąsy nad pełnymi ustami. Poznałam dziennikarza, który zawsze grał ze mną w otwarte karty.

– Już? – zdziwił się jeden z ratowników.

Skinęłam głową, chociaż pewnie żaden z nich nie doceniał wagi tego, co przed chwilą zrobiłam. Chodziło mi o kosmetykę twarzy, bo im dłużej maska uciska tracącą elastyczność skórę, tym pewniej odcisk się zachowa.



Śledczym i biegłym sądowym niespecjalnie na tym zależy, lecz dbają o to bliscy. Także rodzina Teda Eddingsa zechce jeszcze ten jeden raz ujrzeć jego twarz.

– Słyszycie mnie? – zapytałam podskakujących na wodzie Ki i Jeroda.

– Bez zakłóceń. Co zrobimy z tym węzem? – odparł Jerod.

– Utnijcie jakieś trzy metry od ciała, odepnijcie od kombinezonu, potem razem ze stabilizatorem zapakujcie do szczelnego worka foliowego.

– Mam taki w kamizelce – obwieścił Ki Soo.

– Akurat się przyda.

Zrobiwszy wszystko, co w naszej mocy, chwilę odetchnęliśmy, unosząc się na powierzchni i spoglądając w stronę aluminiowej łódki i sprężarki. Rozglądając się, doszłam do wniosku, że węz Eddingsa zaczepił się o śrubę „Exploitera”. Wyglądało na to, że łódź podwodna została skonstruowana po drugiej wojnie, mniej więcej w czasach Korei; ciekawiło mnie, czy zdążono już ogołocić ją z co lepszych części i zamierzano sprzedać na złom. Zastanawiałam się, czy Eddings nurkował wokół niej z jakiegoś określonego powodu, czy najzwyczajniej w świecie zniosło go tam po śmierci.

Łódź ratownicza przebyła już połowę dystansu przez rzekę, dzielącego ją od miejsca, gdzie czekała karetka, by zawieźć zwłoki do kostnicy. Jerod uniósł do góry kciuk, ja odwzajemniłam znak zadowolenia, chociaż wcale nie miałam do niego powodów. Powietrze z sykiem uszło z kamizelek antywyporowych, po czym znów zanurzyliśmy się w wodę o barwie pokrytych patyną miedziaków.

Z wody na platformę, a stamtąd na falochron, prowadziły drabinki. Nogi się pode mną uginały, gdyż nie byłam tak sprawna jak Jerod i Ki Soo, dla których cały ekwipunek był niczym druga skóra. Mimo wszystko nie prosiłam o pomoc i sama zdjęłam sprzęt do komunikacji oraz butlę. Przy

moim samochodzie z rykiem silnika stanęła policyjna motorówka, ktoś zaczął holować łódkę Teda Eddingsa. Trzeba będzie jeszcze potwierdzić jego tożsamość, ale ja nie miałam już cienia wątpliwości.

– I co pani o tym sądzi? – znieczeka rozległ się nade mną czyjś głos.

Uniosłam głowę i mój wzrok spoczął na kapitanie Greenie, stojącym na nabrzeżu w towarzystwie jakiegoś wysokiego i szczupłego mężczyzny. W przychylnym życzliwości wyciągnął rękę w moją stronę.

– Proszę dać mi butlę.

– Z definitywnymi rozstrzygnięciami trzeba poczekać do chwili, gdy go sobie obejrzę – oświadczyłam, podając mu butlę i resztę ekwipunku. – Dzięki. Łódka wraz z węzłem i całą resztą powinna zostać przewieziona od razu do kostnicy – dorzuciłam.

– Tak? A co zamierza pani z nimi robić?

– Motor też należy poddać autopsji.

– Będzie pani musiała solidnie opłukać swój sprzęt – odezwał się szczupły mężczyzna, jakby był specjalistą formatu Jacques’a Cousteau. Skądś znałam ten głos. – Nazbierała się w nim kupa rdzy i oliwy.

– Racja – zgodziłam się.

– Detektyw Roche. – Miał na sobie niepasujące do niego stare dżinsy i kurtkę z jakimiś napisami. – Słyszałem, że mówiła pani, że wąż podobno o coś zaczepił?

– To prawda, tylko nie wiem, gdzie pan mógł to usłyszeć. – Wspięłam się na nabrzeże i nie miałam najmniejszej ochoty na taskanie zabrudzonego i mokrego ekwipunku z powrotem do samochodu.

– Ma się rozumieć, że nadzorowaliśmy wydobycie ciała – zabrał tym razem głos Green. – Słuchaliśmy, siedząc w budynku.

Przypomniało mi się ostrzeżenie Ki Soo i rzuciłam okiem na platformę do nurkowania, gdzie, Ki razem z Jerodem zdejmował własny sprzęt.

– Wąż o coś zahaczył – powtórzyłam – ale trudno powiedzieć kiedy, przed zgonem Eddingsa czy też po.

Roche nie sprawiał wrażenia zainteresowanego i wpatrywał się we mnie, aż poczułam się nieswojo. Był młodziutki, niemal ładny, miał delikatne rysy twarzy, pełne usta i krótkie, ciemne, kręcone włosy. Nie spodobały mi się jego oczy, były pełne agresji i aroganckiej pewności siebie. Zdjęłam kaptur i przeczesalam śliskie włosy; Roche patrzył, jak rozsuwam do pasa swój kombinezon nurka. Ostatnią warstwę stanowił skafander, a woda, która przezeń przeciekła, bardzo szybko się oziębiała. Zaraz zaczęłam marznąć, miałam już sine palce.

– Jeden z ratowników mówi, że tamten ma strasznie czerwoną twarz – mówił kapitan, gdy ja obwiązywałam w talii rękawy skafandra. – Ciekawe dlaczego.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Ciało narażone na działanie zimna staje się jasnoróżowe. – Zaczynałam cała drżeć.

– Aha. A więc nie musi ...

– Nie – ucięłam, bo czułam się w ich obecności bardzo niezręcznie. – To nie musi nic znaczyć: Jest tu gdzieś przypadkiem toaleta, gdzie mogłabym zdjąć te wszystkie mokre rzeczy? – Rozglądałam się, ale nie zauważyłam niczego, co przypominałoby pożądany budynek.

– Tam. – Kapitan Green wskazał małą przyczepę mieszkalną przy administracji. – Czy detektyw Roche ma iść z panią i wszystko pokazać?

– Nie trzeba.

– Miejmy nadzieję, że nie jest zamknięta – dodał.

Tylko tego brakowało, myślałam. Ale nie była, budziła za to obrzydzenie, składała się z muszli i umywalki, których najwyraźniej nie myto już od niepamiętnych czasów. Drzwi do ubikacji męskiej naprzeciwko

zabezpieczono kłódką i łańcuchem, jakby wszystkim strasznie zależało na intymności.

Nie było ogrzewania. Gdy się rozebrałam, stwierdziłam, że nie ma ciepłej wody. Umyłam się możliwie najstaranniej w tych warunkach, wskoczyłam w dresy, traperki i czapkę. Dochodziło wpół do drugiej i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Lucy dotarła już do domostwa Manta. A ja nie zdążyłam nawet przygotować sosu pomidorowego. Byłam wyczerpana, marzyłam o gorącej kąpieli lub prysznicu.

Nie mogłam pozbyć się Greena, który odprowadził mnie do samochodu i pomógł władować sprzęt nurkujący do bagażnika. Łódkę zdążono już załadować na przyczepę, powinna być w drodze do mojego biura w Norfolk. Nigdzie ani śladu Ki Soo i Jeroda, a tak bardzo chciałam się z nimi pożegnać.

– Kiedy przeprowadzi pani oględziny zwłok? – zapytał Green.

Popatrzyłam na niego, typowego słabego człowieka, którego obdarzono władzą lub wysoką pozycją w hierarchii. Ze wszystkich sił próbował mnie odstraszyć, a gdy zorientował się, że nic z tego nie wyjdzie, uznał, że winniśmy zostać przyjaciółmi.

– Zaraz.

– Pani biuro jest dziś czynne?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Przed chwilą je otworzyłam.

Nie zamknęłam jeszcze drzwi; oparł się o górną framugę i wpił się we mnie wzrokiem. Znajdował się tak blisko, że widziałam jego popękane naczynka krwionośne na policzkach i nozdrzach i odbarwienia skóry od słońca.

– Przedstawi mi pani swój raport?

– Po określeniu przyczyny i rodzaju zgonu z pewnością będę to chciała z panem omówić.

– Rodzaju? – Zmarszczył brwi. – Czy chce pani przez to powiedzieć, że istnieją wątpliwości, czy rzeczywiście zdarzył się wypadek?

– Wątpliwości istnieją zawsze, kapitanie. Moim zadaniem jest je rozstrzygać.

– A więc jeżeli znajdzie pani u niego w plecach kulę lub nóż, liczę, że najpierw porozumie się pani ze mną – wycedził z cichą ironią, wręczając mi wizytówkę.

W czasie jazdy wyszukałam numer asystenta Manta, w nadziei, że zastanę go w domu. Był.

– Danny, mówi doktor Scarpetta – zaczęłam.

– Ach, to pani – odparł zaskoczony.

Gdzieś w pokoju płynęła bożonarodzeniowa muzyka, słychać było głosy spierających się o coś ludzi. Danny Webster miał dwadzieścia parę lat i mieszkał wciąż u rodziców.

– Przepraszam, że zakłócam świąteczny spokój, ale musimy natychmiast przeprowadzić oględziny pewnych zwłok.

– Jestem pani potrzebny? – Wyglądało na to, że nie ma nic przeciwko.

– Byłabym strasznie wdzięczna za wszelką pomoc. W tej chwili do mojego biura zmierzają łódka i zwłoki.

– Nie ma sprawy, pani doktor! – wykrzyknął z radością – Już jadę.

Próbowałam zadzwonić do domu, lecz Lucy nie odbierała, więc sprawdziłam, czy jest coś na sekretarce. Były dwie wiadomości, obydwie od znajomych Manta z kondolencjami. Z ołowianoszarego nieba zaczął sypać śnieg, a kierowcy jechali po autostradzie międzystanowej z niezbyt bezpieczną szybkością. Zastanawiałam się nad przyczyną spóźnienia siostrzenicy, nie rozumiejąc, czemu nie zadzwoniła. Lucy ma dwadzieścia

trzy lata i niedawno skończyła Akademię FBI, a ja stale zamartwiam się o nią, jakby potrzebowała mojej opieki.

Moje biuro w Tidewater mieściło się w skromnej przybudówce na terenie szpitala Sentara Norfolk. W tym samym budynku znalazł swą siedzibę Wydział Zdrowia; mieliśmy nieszczęście sąsiadować z Nadzorem Sanitarnym Rybołówstwa. Tonący w smrodzie rozkładających się ciał i gnijących ryb parking nie był miejscem najprzyjemniejszym, i to zarówno latem, jak i zimą. Wiekowa toyota Danny'ego już czekała; po otwarciu garażu z przyjemnością zobaczyłam łódkę.

Zamknęłam za sobą drzwi i rozejrzałam się. Długi wąż leżał starannie złożony; zgodnie z moją prośbą, jeden jego kawałek i stabilizator, do którego był przymocowany, zapakowano w foliowy worek. Drugi koniec węża był cały czas podłączony do sprężarki, przypiętej do wewnętrznej ścianki. Obok stało kilka litrów benzyny i typowa zbieranina ekwipunku do pływania i nurkowania, między innymi dodatkowy balast, zbiornik tlenu, wiosło, kamizelka ratunkowa, latarka, koc i pistolet na race.

Eddings zamontował też w łódce dodatkowy silnik rybacki o mocy pięciu koni mechanicznych, który wykorzystał zapewne do przeniknięcia na teren zamknięty, gdzie zginął. Główny silnik o mocy trzydziestu pięciu koni został wciągnięty do łodzi i unieruchomiony. Wciąż znajdował się w pozycji, w jakiej zobaczyłam go po raz pierwszy. Ale najbardziej zaintrygowała mnie duża torba z grubej folii, która leżała otwarta na podłodze. Umieszczono w niej różnego rodzaju akcesoria fotograficzne i rolki kliszy Kodaka 100 ASA. Nie było jednak ani śladu aparatu czy stojaka, doszłam więc do wniosku, że zostały na wieczne czasy pogrzebane na dnie Elizabeth.

Przeszłam kawałek dalej po rampie, otworzyłam kolejne drzwi; na wyłożonym białymi płytkami korytarzu, koło kabiny do zdjęć

rentgenowskich, stał stół na kółkach, na którym ułożono Teda Eddingsa. Sztywne ramiona napierały na czarny winyl, jakby zmarły usiłował wydostać się na zewnątrz, na podłogę kropla po kropli kapła woda. Miałam już zamiar zacząć poszukiwania Danny'ego, gdy pojawił się we własnej osobie, kulejąc i niosąc stertę ręczników; prawe kolano miał usztywnione jasnoczerwoną klamrą – ślad kontuzji wiązadła, odniesionej podczas meczu piłkarskiego, po którym musiał poddać się zabiegowi chirurgicznemu.

– Musimy go szybko przewieźć do pokoju autopsyjnego – zaczęłam. – Wiesz, że nie lubię zostawiać ciał bez opieki w przedsionku.

– Bałam się, że ktoś się pośliznie – tłumaczył, wycierając ręcznikami wodę.

– Dzisiaj oprócz ciebie i mnie nie ma tu nikogo. – Uśmiechnęłam się. – Ale dzięki, że o tym pomyślałeś; na pewno wołałabym, żebyś się tu nie pośliznął. Jak tam kolano?

– Coś mi się zdaje, że nigdy się nie wygoi. Mijają już trzy miesiące, a ja cały czas z trudem schodzę po schodach.

– Cierpliwości, poza tym dbaj o organizm, to wszystko na pewno się zrośnie – pocieszyłam go.

– Zrobiłeś mu prześwietlenie?

Zgony nurków nie były dla niego pierwszozną. Wiedział, że trudno spodziewać się pocisków albo połamanych kości, ale promienie rentgenowskie mogły wykryć urazy klatki piersiowej, spowodowane wydostaniem się powietrza z płuc. To z kolei mogło być skutkiem wstrząsu w wyniku gwałtownych zmian ciśnienia atmosferycznego.

– Tak jest. Zdjęcie jest już wywoływane. – Urwał i zrobił niechętną minę. – Aha, jedzie do nas detektyw Roche z Chesapeake. Chce asystować przy oględzinach.

Mimo że sama namawiałam policjantów, żeby byli obecni przy sekcji, akurat Roche nie był w kostnicy gościem mile widzianym.

– Znasz go?

– Już tu kiedyś był. Zresztą sama pani oceni. Wyprostował się i spiął włosy w koński ogon, bo ich kosmyki zaczęły spadać mu na oczy. Był zwinny i pełen wdzięku, przypominał młodego Indianina, obdarzonego olśniewającym uśmiechem. Często dziwiłam się, dlaczego chce pracować w takim miejscu. Pomogłam mu przenieść ciało, potem – gdy je ważył i mierzył – poszłam do szatni i wzięłam prysznic. Gdy się ubierałam, na numer pagera zadzwonił Marino.

– Co jest? – spytałam po przełączeniu na telefon.

– Tak jak myśleliśmy, no nie?

– Przypuszczalnie.

– Robisz teraz oględziny?

– Zabieram się.

– Wstrzymaj się piętnaście minut. Już tam jadę.

– Jedziesz? – zapytałam skonsternowana.

– Dzwonię z samochodu. Pogadamy, gdy dotrę na miejsce.

Nie wiedziałam, o co chodzi, choć domyślałam się, że musiał odkryć coś w Richmond. W przeciwnym razie nie miałby bowiem po co przyjeżdżać. Śmierć Eddingsa nie leżała w jego gestii, chyba że sprawą zajęło się już FBI, co też nie trzymało się kupy.

Byliśmy obydwój konsultantami w prowadzonym przez Biuro programie Analiza Śledcza, znanym szerzej pod nazwą działu przestępczego, którego specjalnością było udzielanie pomocy policji w przypadkach najbardziej brutalnych morderstw i skomplikowanych zgonów. Zajmowanie się sprawami należącymi do innych organów było dla nas chlebem powszednim, lecz zwykle zabieraliśmy się do tego poproszeni,



a było trochę za wcześnie, by komenda w Chesapeake wzywała po cokolwiek FBI.

Detektyw Roche uprzedził Pete'a Marino; miał ze sobą papierową torbę i nalegał, żeby dać mu fartuch, rękawice, maskę, czapkę i osłony na buty. Gdy zniknął w szatni, gdzie grzebał się z przebieraniem, zaczęliśmy z Dannym robić Eddingsowi zdjęcia w stanie takim, w jakim go do nas przywieziono, czyli w kompletnym stroju nurka, z którego cały czas kapała woda.

– Śmierć nastąpiła dość dawno – orzekłam. – Coś mi się zdaje, że zginął zaraz po zanurzeniu się pod powierzchnię.

– Czyli kiedy? – spytał Danny, zakładając na skalpel nowe ostrza.

– Przyjmujemy, że po zapadnięciu zmroku.

– Nie mógł być zbyt stary.

– Trzydzieści dziewięć lat.

– Taki młody – mówił, pochmurniejac i patrząc na twarz denata. – Albo ten koszykarz, który parę tygodni temu zmarł na sali treningowej. Nachodzi panią kiedyś takie uczucie, jak mnie teraz?

– Nie mogę sobie na to pozwolić, bo przydaje im się moja sprawność. – Notowałam.

– A po wszystkim? – zerknął w moją stronę.

– Nic się nie kończy, Danny. Mamy na zawsze złamane serca i nigdy nie zapomnimy ludzi, którzy przewijają się przez ten stół.

– To w istocie niemożliwe. – Postawił obok mnie na podłodze kubek z workiem na wnętrzności. – Przynajmniej dla mnie.

– Jeżeli o nich zapomnimy, będzie to oznaczać, że coś z nami nie tak.

Roche wynurzył się z szatni, przypominając w papierowym fartuchu i masce gotowego do akcji kosmonautę. Trzymał się z daleka od stołu, za to zbliżał się w moją stronę.

– Zaglądałam do łódki – zaczęłam. – Co pan z niej wyjął?

– Jego pistolet i portfel. Mam je przy sobie, w tamtej torbie. Ile par rękawic pani włożyła?

– Był jakiś aparat fotograficzny, klisze, coś w tym rodzaju?

– Wszystko zostało w łodzi. Wygląda na to, że nosi pani więcej niż jedną parę rękawic. – Pochylił się ku mnie, przyciskając się ramieniem do mojego barku.

– Podwójne.

Odsunęłam się.

– Mnie też przydałyby się drugie.

– Są w szafce. – Rozpięłam przemoczone buty Teda Eddingsa.

Skalpelem rozciąłam skafander na szwach, gdyż trudno byłoby ściągnąć go z zeszywniałego ciała. Pod neoprenem ukazała się różowa od zimna skóra. Zdjęłam Tedowi niebieski strój kąpielowy i położyliśmy go na stole sekcyjnym, na którym przełamaliśmy zeszywniałe ręce i zaczęliśmy robić kolejne zdjęcia.

Nie doznał żadnych urazów, widać było tylko parę starych szram, zwłaszcza na kolanach. Lecz natura już wcześniej zdążyła zadać mu dotkliwe cierpienia, gdyż jego moczowód kończył się nie na środku penisa, lecz od spodu; z tego powodu pewnie strasznie się dręczył, zwłaszcza za młodu. Później wstyd przynosiła mu zapewne niechęć do stosunków seksualnych. W życiu zawodowym nie był z pewnością ani nieśmiały, ani bierny. W moich oczach był zawsze uroczym i pewnym siebie człowiekiem, mimo że ja sama łatwo nie dawałam się zauroczyć, a już najmniej dziennikarzom. Wiedziałam jednak, że pierwsze wrażenie nie ma wiele wspólnego z zachowaniem w sytuacjach intymnych między dwojgiem ludzi, choć nie miałam ochoty tego sprawdzać.

Chciałam zapomnieć o tym, jaki był za życia, notując pomiary i fachowe uwagi. Ale coś sprzeciwiało się temu postanowieniu i bezwiednie powróciłam myślą do naszego ostatniego spotkania. Było to w tygodniu przedświątecznym, siedziałam w biurze w Richmond odwrócona tyłem do wejścia i układałam slajdy. Jego obecność zauważyłam dopiero w chwili, gdy przemówił; odwróciłam się i zobaczyłam, że stoi w progu i trzyma drzewko pieprzowe w doniczce, obsypane jasnoczerwonymi owocami.

– Mogę wejść? – zapytał. – Czy też mam to zabierać i wracać do samochodu?

Przywitałam się, myśląc z wściekłością o dyscyplinie pracowników mego biura. Wiedzieli, że dziennikarze mają wstęp wzbroniony i że ich noga nie może postać poza zamkniętymi na klucz, kuloodpornymi drzwiami, ale urzędnicy, a zwłaszcza urzędniczki, nieco za bardzo polubiły Eddingsa. Ruszył w moją stronę, postawił drzewko przy biurku i uśmiechnął się, a uśmiech rozjaśnił mu całą twarz.

– Przyszło mi właśnie do głowy, że w tym pomieszczeniu powinno znaleźć się coś żywego i szczęśliwego. – Wbił we mnie swoje niebieskie oczy.

– Mam nadzieję, że to nie jest żadna aluzja. – Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

– Możemy go odwrócić?

Znowu zobaczyłam wyraźnie tabelkę z informacjami dotyczącymi ciała, zdając sobie jednocześnie sprawę, że słyszę słowa Danny'ego.

– Przepraszam – wymamrotałam.

Przypatrywał mi się z troską w oczach, Roche zaś plątał się koło nas, jakby pierwszy raz wpuszczono go do kostnicy, zaglądał do szklanych szafek i zerkał w moją stronę.

– Nic pani nie jest? – spytał Danny swoim zatroskanym głosem.

– Możemy go już odwrócić.

Dusza tliła się we mnie, zduszona jak malutki płomyk. Tamtego dnia Eddings miał na sobie spodnie w kolorze khaki i czarny sweter komandosa; próbowałam przypomnieć sobie wyraz jego oczu – czy mogła kryć się w nich jakaś zapowiedź wypadków ostatnich godzin?

Zakonserwowane w rzece ciało było lodowato zimne w dotyku; zaczęłam też odkrywać pewne szczegóły, które jeszcze bardziej zmieniały wizerunek dobrze znanego człowieka i wprawiały mnie w coraz większy niepokój. Brak pierwszych zębów trzonowych oznaczał, iż cierpiał na ortodontozę. Miał spore i drogie porcelanowe koronki, a szkła kontaktowe pogłębiały i tak już intensywny błękit oczu. Co ciekawe, gdy spadła mu maska, woda nie porwała prawej soczewki i martwe spojrzenie było dziwnie asymetryczne, jakby patrzyły na człowieka dwa trupy.

Oględziny zewnętrzne dobiegały już końca, pozostała jednak do wykonania najbrutalniejsza ich część, gdyż w przypadkach nagłych zgonów trzeba było przeanalizować zwyczajne seksualne denata. Z rzadka zdarzało się spotkać na przykład tatuaż, który wskazywałby na którąś z orientacji seksualnych, a żaden ze znajomych jakoś nie chciał zgłaszać się na ochotnika z informacjami na ten temat. Zresztą niezależnie od tego i tak zawsze musiałam sprawdzić, czy nie ma śladów stosunku analnego.

– Czego pani szuka? – Roche wrócił do stołu i stanął przy mnie.

– Śladów penetracji odbytu, małych pęknięć, zgrubień nabłonka, które byłyby wynikiem jakiś wstrząsających przeżyć – odparłam, nie przerywając pracy.

– A więc zakłada pani, że był pedałem. – Zaglądał mi przez ramię.

Danny zaczerwienił się, w oczach rozbłysły mu iskierki wściekłości.

– Na wlocie do odbytu i na nabłonku nic szczególnego – mówiłam i jednocześnie notowałam. – Innymi słowy, nie wykryłam żadnego urazu,

który sugerowałby, iż był aktywnym homoseksualistą. A pan, detektywie Roche, będzie się musiał trochę odsunąć. – Czułam na karku jego oddech.

– Wie pani, przeprowadzał w tych stronach sporo wywiadów.

– Jakich to? – spytałam; coraz bardziej działał mi na nerwy.

– Nie mam pojęcia.

– Z kim?

– Jesienią zeszłego roku interesował się Basenem Nieczynnych Okrętów. Przypuszczam, że kapitan Green miałby więcej na ten temat do powiedzenia.

– Przed chwilą się z nim pożegnałam, a nawet słowem się o tym nie zająknął.

– Artykuł ukazał się w „The Virginian Pilot”, zdaje się, w październiku. Nic poważnego. Typowy reportaż. – Dodał: – Osobiście uważam, że wrócił, węsząc za jakąś większą sensacją.

– Jaką?

– Pytanie skierowane pod niewłaściwym adresem. Nie jestem dziennikarzem. – Rzucił okiem na Danny’ego. – Ja sam nie cierpię mass mediów. Zmyślają niestworzone historie, a potem starają się je za wszelką cenę udowodnić. Ten gość stał się miejscową sławą, pisał dla Associated Press i w ogóle. Wieść niesie, że przed dziewczynami odstawiał twardego, ale była to tylko efektowna poza, kryjąca pustkę i niemoc. – Na twarzy pojawił mu się okrutny uśmieszek; w głowie mi się nie mieściło, jak po jednym dniu znajomości można kogoś tak bardzo znienawidzić.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Słyszałem.

– Danny, trzeba wziąć próbki włosów i paznokci.

– Wie pani, lubię pogadać z ludźmi na ulicy – dodał Roche, ocierając się o moje biodra.

– Z wąsów też mu wyskubać? – Danny wyjął z apteczki pincetę i koperty.

– Chyba tak.

– Zrobicie mu też pewnie test na AIDS? – spytał Roche, znowu się o mnie ocierając.

– Zgadza się.

– A więc istotnie dopuszcza pani możliwość, że był pedałem.

Zastygłam w bezruchu, bo miałam już tego serdecznie dość.

– Detektywie Roche. – Odwróciłam się w jego stronę, mój głos brzmiał stanowczo: – Jeżeli chce pan zostać w kostnicy, musi mi pan pozwolić pracować. Proszę przestać się o mnie ocierać i okazać moim pacjentom trochę szacunku. Ten mężczyzna nie leży tutaj nago na własne życzenie. Nie podoba mi się też słowo „pedał”.

– Tak czy owak, określenia nie grają większej roli, a orientacja może okazać się istotna dla toku śledztwa. – Wcale się nie zmieszał, moje rozdrażnienie tylko go podjudziło.

– Nie mam pewności, czy ten człowiek nie był homoseksualistą – zaczęłam – ale bez cienia wątpliwości wiem, że nie zmarł na AIDS.

Chwyciłam skalpel, na co Roche zareagował gwałtownie. Cofnął się, skonfundowany, widząc, że teraz najwyraźniej mam zamiar przystąpić do cięcia.

– Czy był pan kiedyś świadkiem oględzin?

– Kilka razy. – Wyglądał jak człowiek, który za chwilę zwymiotuje.

– Proszę może usiąść – zaproponowałam niezbyt zachęcającym tonem, zachodząc w głowę, dlaczego komenda w Chesapeake przydzieliła go do tej sprawy i w ogóle zatrudniała. – Albo wyjść do poczekalni.

– Trochę tu gorąco.

– Jeśli zbierze się panu na mdłości, proszę szukać najbliższego kosza.. –  
Danny z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Usiądę na chwilę. – Roche podszedł do biurka przy drzwiach.

Zrobiłam nacięcie w kształcie litery Y, prowadząc ostrze od barku przez mostek po miednicę. Gdy krew zetknęła się z powietrzem, wyczułam woń, która kazała mi zatrzymać skalpel.

– Wie pani, Lipshaw wypuścił właśnie na rynek nową szlifierkę, która bardzo by się nam przydała – mówił Danny. – Ostrzy wszystko wodą, wystarczy więc wsadzić do niej noże i na chwilę je zostawić. – Nie mogłam się mylić, lecz nie wierzyłam własnym zmysłom. – Przeglądałem ich nowy katalog – ciągnął Danny. – Można zwariować na myśl, na ile fajnych urządzeń nie możemy sobie pozwolić.

To niemożliwe.

– Otwórz drzwi, Danny – poleciłam ze spokojną stanowczością, która zbiła go z tropu.

– O co chodzi? – spytał w popłochu.

– Musimy wpuścić dużo świeżego powietrza. Szybko – ponaglałam go.

Pomimo kontuzji kolana poruszał się zwinnie; otworzył dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące na korytarz.

– Co się dzieje? – Roche się wyprostował.

– On ma dość specyficzny zapach. – Nie chciałam wyrażać swoich przeczuc głośno, zwłaszcza przy nim.

– Nic nie czuję. – Staął i omiół wzrokiem pomieszczenie, jakby można było dojrzeć źródło zapachu.

Krew Eddingsa wydzielala cierpki zapach migdałów i wcale się nie dziwiłam, że nie wyczuli go ani Danny, ani Roche. Zdolność do wyczuwania cyjanku to związana z płcią danego osobnika cecha

recesywna, którą obdarzone jest mniej więcej trzydzieści procent populacji. Należałam do szczęśliwej mniejszości.

– Poczekajcie. – Usuwałam skórę znad żeber, uważając, by nie przebić mięśni. – Bardzo dziwnie pachnie.

– To znaczy? – dopytywał się Roche.

– Odpowiedzi będę w stanie udzielić dopiero po przeprowadzeniu testów. Tymczasem musimy starannie sprawdzić cały ekwipunek, stwierdzić, czy wszystko działało i czy na przykład spaliny nie dostały się z powrotem do węża.

– Zna się pani na sprężarkach? – pytał Danny, który wrócił już do stołu.

– Z praktyki nie.

Podważyłam z boku nacięcie, które biegło przez środek klatki piersiowej. W ten sposób ze skóry utworzyła się przegródka, do której Danny nalał wody. Zanurzyłam w niej rękę i wsunęłam ostrze skalpela pomiędzy dwa żebra. Patrzyłam, czy na powierzchni nie pojawiają się bańki, co mogłoby oznaczać, że Eddings doznał w trakcie nurkowania jakiegoś urazu, w związku z czym powietrze przedostało się do jamy piersiowej. Ani śladu bąbelków.

– Przynieśmy tu sprężarkę i wąż z łódki – postanowiłam. – Warto byłoby skonsultować się ze specjalistą od nurkowania. Znasz tu kogoś, do kogo można by się dodzwonić przy święcie?

– Przy Hampton jest sklep z ekwipunkiem, zachodzi tam czasami doktor Mant.

Odszukał numer i zadzwonił, ale w tego śnieżnego sylwestra sklep był zamknięty, a właściciela w ogóle chyba nie było w domu. Potem Danny wyszedł do przedsionka, a gdy po chwili wracał, usłyszałam, jak przy akompaniamencie ciężkich kroków rozmawia z kimś obdarzonym znajomym mi, donośnym głosem.



– Nie pozwoliliby, nawet gdybyś był gliną. – Do pomieszczenia sekcyjnego dotarł głos Pete’a Marino.

– Wiem, ale nie pojmuję dlaczego.

– Jest jeden cholernie prosty powód. Takie długie włosy aż kuszą tych tam dupków, żeby za nie ciągnąć. Ja bym ci je obciął. Poza tym lepiej zajmij się dziewczuszkami.

Pete pomagał wnieść sprężarkę i zwój węża, udzielając przy tym Danny’emu ojcowskich pouczeń. Nietrudno było się domyślić, czemu Marino ma straszliwe kłopoty z własnym dorosłym synem.

– Znasz się na sprężarkach? – rzuciłam w kierunku Pete’a.

Wpatrywał się pustym wzrokiem w trupa.

– Co jest? Zaraził się jakimś świństwem?

– To, co masz w ręku, nazywa się sprężarką – poinformowałam go.

Ułożyli niesiony sprzęt na żelaznym stole obok.

– Coś mi się zdaje, że sklepy z ekwipunkiem do nurkowania będą przez parę dni nieczynne – dodałam. – Ale sam kompresor nie robi wrażenia skomplikowanego: pompa, napędzana silnikiem o mocy pięciu koni mechanicznych, zasysa powietrze przez specjalny zawór wlotowy z filtrem, następnie przez znajdujący się pod niskim ciśnieniem wąż, który jest podłączony do drugorzędowego stabilizatora nurka. Filtr wygląda na nienaruszony. Dopływ paliwa w dobrym stanie. Dalej moja wiedza nie sięga.

– Zbiornik jest pusty – oznajmił Marino. – Benzyna skończyła mu się chyba już po śmierci.

– Dlaczego? – Roche podszedł do nas, stanął przede mną i wbił wzrok w mój fartuch, jakbyśmy byli w tym pomieszczeniu sami. – A może stracił pod wodą rachubę czasu i zabrakło mu benzyny?

– Nawet jeśli wyczerpał zapas powietrza, miał jeszcze sporo czasu na wydostanie się na powierzchnię. Znajdował się zaledwie dziesięć metrów pod wodą – odpaliłam.

– To kawał drogi, szczególnie jeśli wąż się o coś zahaczy.

– Możliwe. Ale w takim wypadku zdjąłby pas z balastem.

– Czy zapach już się ulotnił? – spytał.

– Nie, ale nie jest aż tak duszący.

– Co za zapach? – dopytywał się Marino.

– Krew jakoś dziwnie śmierdzi.

– Alkoholem?

– Raczej nie.

Pociągnął parę razy nosem i wzruszył ramionami, Roche zaś przeszedł koło mnie, starannie unikając wzrokiem leżących na stole zwłok. Niezmiernie się zdziwiłam, gdy mimo sporej ilości miejsca w pomieszczeniu i wcześniejszych ostrzeżeń znów się o mnie otarł. Masywny i łysiejący Marino, ubrany tego dnia w lamowany futrem płaszcz, przeprowadzał go wzrokiem.

– A to kto? – zapytał.

– Aha, wy się pewnie nie znacie. Detektyw Roche z Chesapeake, kapitan Marino z Richmond.

Roche wpatrywał się w sprężarkę i z trudem wytrzymywał odgłosy przecinanych przez Danny’ego nożycami żeber. Znowu pobladł jak prześcieradło, zrzędała mu mina. Marino zapalił papierosa i z wyrazu jego twarzy łatwo było się domyślić, że otaksował już Roche’a, który za chwilę pozna wyniki tej oceny.

– Nie wiem, jak pan się czuje – zagadnął Pete – ale wiem jedno, że jak człowiek raz się tu zjawi, to do końca życia ma wstręt do wątróbki. – Schował zapalniczkę do kieszonki koszuli. – Ja przepadałem za wątróbką

duszoną z cebulką – wydmuchnął dym – a teraz nie tknąłbym jej za żadne skarby świata.

Roche jeszcze mocniej nachylił się nad sprężarką, niemal dotykał jej twarzą, jakby dla odreagowania konieczny mu był zapach gumy i benzyny. Wróciłam do przerwane go zajęcia.

– A ty, Danny – ciągnął Marino – lubisz teraz padlinę, na przykład nerek i żołądki?

– Nigdy czegoś takiego nie jadłem – odparł mój asystent, otwierając klatkę piersiową – ale wiem, o co panu chodzi. Kiedy widzę, jak ludzie zamawiają w restauracji wielkie porcje wątróbki, zaraz chce mi się czmychnąć, gdzie pieprz rośnie. Szczególnie jeśli jest w środku różowa.

W miarę odsłaniania kolejnych narządów smród był coraz bardziej nieznośny i musiałam się odsunąć.

– Czuje pani? – zapytał Danny.

– Jasne.

Roche odsunął się w najdalszy kąt, a Marino, który ubawił się już jego kosztem, podszedł do mnie.

– A więc myślisz, że utonął? – spytał pośpiesznie.

– Teraz to już sama nie wiem. Ale z pewnością będę brała pod uwagę i taką możliwość.

– A jak się przekonać, że nie utonął?

Marino nie widział za wiele utonięć, gdyż mało kto popełniał morderstwo, topiąc ofiarę, więc bardzo go to interesowało. Chciał pojąć sens wszystkich moich czynności.

– Zrobiłam już wiele w tym celu. Wycięłam w skórze z boku piersi kieszonkę, napełniłam ją wodą i wsunęłam ostrze skalpela, chcąc sprawdzić, czy pojawią się bąbelki. Należę też wody do osierdzia i wbiję w serce igłę, zobaczymy, czy pokażą się jakieś bańki. Obejrzę mózg, czy nie

nastąpiły żadne krwotoki, oraz tkankę miękką opłucnej, czy nie pojawiło się tam powietrze, które powinno znajdować się w płucach.

– A wszystko to po co? – zapytał.

– Żeby wykryć ewentualny zator powietrzny, który może przydarzyć się nawet siedem metrów pod wodą, jeżeli płetwonurek nie oddycha właściwie. Sęk w tym, że nadmierne ciśnienie w płucach może wywołać powstanie w ich ścianach niewielkich pęknięć, co z kolei powoduje krwotoki lub wycieki powietrza do jednej lub obydwu jam płucnych.

– Czyli że to może być przyczyną śmierci?

– Tak, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa.

– A co się dzieje, jeśli schodzi się pod wodę lub wydobywa na powierzchnię za szybko? – Przeszedł na drugą stronę stołu, skąd miał lepszy widok.

– Gwałtowne zmiany ciśnienia i związane z nimi wstrząs rzadko występują na głębokości, na której on się znajdował. Jak zresztą widać, tkanka nie jest gąbczasta, a taki właśnie wygląd przybrałaby skutek wstrząsu ciśnieniowego. Chcesz włożyć jakąś odzież ochronną?

– Żebym wyglądał jak pracownik trupiarni?

– Marino rzucił okiem w stronę Roche'a.

– Niech pan się modli, żeby nie dostać AIDS – wydusił omdlewającym głosem Roche.

Marino wkładał fartuch i rękawice, ja natomiast tłumaczyłam, co trzeba sprawdzić, by wyeliminować możliwość zgonu wskutek dekompresji, choroby kesonowej lub utonięcia. Właśnie nakłuwałam krtań osiemnastką w celu uzyskania próbek powietrza do testów na obecność cyjanku, gdy Roche postanowił wyjść. Przeszedł szybkim krokiem przez pokój, zabierając po drodze torbę z aktami, w której zaszeleściły papiery.

– A więc czegoś pewnego dowiemy się dopiero po przeprowadzeniu testów? – rzucił od progu.

– Zgadza się. Jak na razie, przyczyna i rodzaj jego śmierci pozostają w sferze domysłów. – Urwałam i spojrzałam na niego. – Otrzyma pan egzemplarz ostatecznej wersji raportu. Przed pana wyjściem chciałabym także obejrzeć jego rzeczy osobiste.

Ani mu w głowie było, żeby się do mnie zbliżyć, a ja miałam zakrwawioną rękę.

– Mógłbyś? – Popatrzyłam na Pete'a.

– Z przyjemnością. – Podeszedł do tamtego, wziął torbę i powiedział posępnie: – Wyjdźmy z tym na korytarz, żeby mógł pan nieco odsapnąć.

Nie oddalali się zbyt od drzwi i cały czas słyszałam szelest papierów. Słyszałam, jak Marino wyjmując z pistoletu magazynek, otwiera suwadło i narzeka, że nie zabezpieczono odpowiednio broni.

– Jak pan może nosić to przy sobie naładowane? – krzyczał donośnie. – Matko Boska! Przecież to nie żadne kanapki w papierze śniadaniowym!

– Nie zdjęto z niego jeszcze odcisków.

– To proszę włożyć rękawice i wyrzucić tę amunicję. Potem tak jak należy wyczyścić komorę. Gdzie pan chodził? Do akademii policyjnej w Keystone? Tam nauczyli też pana pewnie dobrych manier?

Marino nie ustawał i zaczynało mi świtać, w jakim celu wyprowadził Roche'a na korytarz – nie chodziło bynajmniej o świeże powietrze. Danny popatrzył na mnie i uśmiechnął się od ucha do ucha. Po chwili w drzwiach zjawił się, potrząsając głową, Marino. Ani śladu Roche'a.

Westchnęłam w widoczną ulgą.

– O mój Boże, po co on tu przylazł?

– Myśli głową, którą Bozia mu dała – odparł Marino. – Tą między nogami.

– Mówiłem już – dorzucił Danny – że zjawił się tu parę razy i zawracał głowę doktorowi Mantowi. Nie wspomniałem tylko, że zawsze rozmawiali na piętrze i Roche nigdy nie schodził do kostnicy.

– Wstrząsające – skwitował z błazeńską miną Marino.

– Słyszałem, że kiedy był w akademii i mieli przyjechać tu na próbne oględziny, poszedł na zwolnienie lekarskie. Poza tym został niedawno przeniesiony z wydziału dla nieletnich, więc zabójstwami zajmuje się dopiero od dwóch miesięcy.

– Super – skomentował Marino. – To właściwa osoba na właściwym miejscu, idealnie nadająca się do współpracy w tej sprawie.

– Czujesz cyjanek? – zapytałam.

– Nie. W tej chwili czuję tylko swojego papierosa, który pachnie dokładnie tak, jak powinien.

– A ty, Danny?

– Niestety. – W głosie Danny’ego brzmiało rozczarowanie.

– Jak do tej pory, nie odkryłam żadnych dowodów, które wskazywałyby na zgon przez utonięcie. Żadnych bąbelków w sercu i jamach ciała. Ani kropli wody w żołądku lub w płucach.

Trudno powiedzieć, czy występują jakieś zatory.

– Rozciąłam kolejną przegrodę sercową. – A, jest zator w sercu, ale czy to wynik przerwania współpracy lewej komory z prawą, czyli procesu umierania? Ściana żołądka jest lekko zaczerwieniona; tak zwykle bywa przy zatruciu cyjankiem.

– Dobrze go znałaś? – spytał Marino.

– Nie na stopie intymnej.

– To powiem ci, co było w torbie, bo Roche nie wiedział, co ogląda, a ja nie miałem zamiaru go oświecać.

Zdjął wreszcie płaszcz i szukał miejsca, w którym mógłby go bezpiecznie powiesić; w końcu przerzucił go przez oparcie krzesła. Zapalił następnego papierosa.

– Te cholerne podłogi wyłazą mi już bokiem – rzucił, podchodząc do stołu ze sprężarką i węzem i opierając się o krawędź. – Nie mogą chyba wychodzić na dobre twojemu kolanu – zwrócił się do Danny’ego.

– Są wprost zabójcze.

– Eddings miał dziewięćmilimetrowy browning z rudą końcówką Birdsonga – zakomunikował Marino.

– Kto to jest Birdsong? – spytał Danny, kładąc wątrobę na wadze.

– Rembrandt broni palnej. Birdsong to ktoś, do kogo posyła się pistolety, kiedy chce się, żeby były wodoodporne albo pomalowane na jakiś maskujący kolor. Rozbiera broń na czynniki pierwsze, piaskuje, pokrywa teflonowym sprayem, który następnie przypieka. Pistolety z końcówkami Birdsonga nosi cała Brygada Antyterrorystyczna.

Chodziło mu o brygadę FBI. Byłam pewna, że pisząc tyle artykułów na temat prawa i porządku, Eddings musiał mieć styczność z Akademią FBI w Quantico i jej najlepszymi wychowankami.

– Pewnie takie mają też brygady marynarki – podsunął Danny.

– Oni też, jeszcze grupy SWAT, tacy jak ja. – Marino ciągle przyglądał się dopływowi paliwa i zaworowi wlotowemu sprężarki. – W większości wypadków jesteśmy wyposażeni w celowniki Novaka. Nie dali nam, niestety, przebijających metal kul KTW, czyli tak zwanych glinobójców.

– Są tam pociski kryte teflonem? – Uniosłam głowę.

– Siedemnaście sztuk, w tym jeden już w komorze. Spłonki pomalowane czerwonym lakierem wodoodpornym.

– Trudno przypuszczać, że kupił taką amunicję, zwłaszcza w Wirginii, gdzie jest już od wielu lat zakazana. A czy końcówka na lufie jest

Birdsonga, taka sama jak w pistoletach FBI?

– Znać na niej dotknięcie czarodziejskiej różdżki Birdsonga – odparł Marino. – Ma się rozumieć, inne fabryki też robią coś takiego.

Rozciąłam żołądek, gdy tymczasem mój własny kurczył się w pięść. Eddings wydawał się zwolennikiem prawa i porządku. Słyszałam, że jeździł z policjantami na patrole, wycieczki i bale. Nie wyglądał na faceta, który ma hopla na punkcie broni, i nie mieściło mi się w głowie, że załadował własny pistolet pociskami, które złą sławę zyskały głównie z powodu uśmiercania i okaleczania tych właśnie ludzi, którzy stanowili dla Eddingsa pierwszorzędne źródło informacji, a – kto wie? – może i byli jego przyjaciółmi.

– W żołądku znajduje się niewielka ilość jakiegoś brązowego płynu – podjęłam. – Nie jadł tuż przed śmiercią, co nie jest dziwne, gdyż miał chyba zamiar zejść pod wodę.

– Czy mógł nałykać się spalin, które przyniosłby wiejący z określonego kierunku wiatr? – Marino nie odrywał wzroku od sprężarki. – Czy mógł się zaróżowić również od tego?

– Możliwe, zresztą przeprowadzimy testy na obecność tlenku węgla. Dalej nie wiemy jednak, dlaczego czuję ten smród.

– A jesteś pewna? – Wiem, co czuje mój nos.

– Uważa pani, że padł ofiarą morderstwa? – wtrącił Danny.

– Na razie ani słowa o tym. – Pociągnęłam za wiszący na korbie pod sufitem sznur i podłączyłam do sieci piłę. – Ani mru-mru policjantom w Chesapeake. Nikomu. Do zakończenia wszystkich badań laboratoryjnych i ukazania się mojego oficjalnego oświadczenia. Nie wiem, co się dzieje. Nie mam pojęcia, co wydarzyło się na miejscu zbrodni. Musimy więc zachować niezwykłą ostrożność.

– Jak długo pracujesz w tej norze? – spytał Marino Danny’ego.



– Osiem miesięcy.

– Słyszałeś, co mówiła pani doktor, no nie?

Danny uniósł wzrok, zdziwiła go raptowna zmiana tonu Pete'a.

– Wiesz chyba, jak trzymać język za zębami – ciągnął Marino. – Innymi słowy, masz nie chwalić się przed kumplami, nie próbować zrobić wrażenia na rodzinie i narzeczonej. Kapujesz?

Danny tłumził złość, wykonując nisko na tyle głowy nacięcie, biegnące od ucha do ucha.

– Bo widzisz, jak ktoś coś wyśpiewa, to będziemy wiedzieli, do kogo się udać z zażaleniem – kontynuował Marino nie wiadomo czym sprowokowany atak.

Na twarzy Danny'ego malowało się napięcie; chwycił skórę i pociągnął ją nad oczami, chcąc w ten sposób obnażyć czaszkę. Smutna i nieruchoma twarz Eddingsa rozpadła się, jakby zmarły cały czas wiedział, co się dzieje, i był pogrążony w żałobie. Włączyłam piłę i pomieszczenie wypełniło się hałasem metalu tnącego kość.

## Rozdział trzeci

O wpół do czwartej słońce skryło się za szarą zasłoną, a śnieg leżał parocentymetrową warstwą na ziemi i snuł się w powietrzu jak dym. Wraz z Pete'em Marino szłam śladem Danny'ego po parkingu, bo chłopak nas wyprzedził. Było mi go żal.

– Marino – przekonywałam – nie można w ten sposób traktować ludzi. Moi pracownicy przestrzegają zasad dyskrecji. Danny nie zasłużył sobie na takie grubiaństwo, zresztą mnie samej też się to nie podoba.

– To dzieciak – rzekł Pete. – Jak go sobie wychowasz, to będzie się tobą potem opiekował. Trzeba tylko wierzyć w dyscyplinę.

– Trzymanie mojego personelu w karchach nie należy do ciebie. Nie miałam z nim nigdy żadnych problemów.

– Może. Ale trzeba zrobić wszystko, żeby nie było ich i tym razem.

– Zechciej z łaski swojej zrezygnować z roli szefa mojego biura.

Czułam się nie w sosie, na dodatek Lucy ciągle nie odbierała telefonów kierowanych do domu doktora Manta. Samochód Marino stał obok mojego; otworzyłam drzwi od strony kierowcy.

– A co tam porabia Lucy? – spytał, jakby czytał w moich myślach.

– Mam nadzieję, że święta spędzi ze mną, chociaż jak dotąd, jeszcze się nie odezwała. – Wsiadłam do wozu.

– Śnieżyce zaczęły się na północy, a więc najpierw rozpętały się w okolicach Quantico. Może gdzieś utknęła. Wiesz, co może się zdarzyć na dziewięćdziesiątce piątce.

– Ma w samochodzie telefon, a poza tym jedzie z Charlottesville – wyjaśniłam.

– A to dlaczego?

– Akademia skierowała ją na kolejny kurs przeddyplomowy.  
– Czego? Konstrukcji rakiet dla zaawansowanych?  
– Wygląda na to, że zajmuje się rzeczywistością wirtualną.  
– To może zasypało ją gdzieś po drodze z Charlottesville. – Nie dawał za wygraną.

– Mogła zostawić wiadomość na sekretarce. Omiótł spojrzeniem parking. Stała na nim tylko niebieska furgonetka kostnicy, przysypana warstwą śniegu. Płatki kleiły się do strąków włosów Pete'a, musiało mu też być dość zimno w łysiejacą czaszkę, ale chyba nie bardzo się tym przejmował.

– Jakie masz plany na sylwestrowy wieczór? – Zapuściłam silnik i włączyłam wycieraczki, żeby usunąć z przedniej szyby śnieg.

– Zbieramy się całą paczką, mamy zamiar pograć w pokera i nawsuwać się chili.

– Niezły pomysł. – Podniosłam wzrok na jego wielką, zaczerwienioną twarz, spoglądał jednak gdzieś w bok.

– Przetrzęsnałem mieszkanie Eddingsa w Richmond, ale nie chciałem wywlekać tego tematu przy Dannym. Przydałaby się tam chyba również twoja inspekcja.

Chciał pogadać. Nie miał ochoty na towarzystwo kumpli ani na samotność. Chciał być przy mnie, choć nigdy w życiu by się do tego nie przyznał. Znaliśmy się już kopę lat, a jego uczucia dla mnie były swego rodzaju spowiedzią, do której nigdy nie przystępował, mimo że grzeszki były czasami oczywiste.

– Nie mam szans w porównaniu z partyjką pokera – oświadczyłam, zapinając pasy – ale miałam zamiar zrobić na dziś wieczór lasagnę. A teraz zanoszą się na to, że Lucy jednak nie dotrze na czas. Więc może ...

– Cóż, jazda po północy to nie najlepszy pomysł przy takiej pogodzie – przerwał mi; śnieg wirował w małych kręgach na czarnym asfalcie.

– Mam pokój gościnny – brnęłam.

Rzucił okiem na zegarek i uznał, że najwyższy czas zapalić.

– Szczerze mówiąc, jazda samochodem nawet teraz nie należałaby do przyjemności – ciągnęłam. – Poza tym musimy porozmawiać.

– No tak, chyba masz rację.

W Sandbridge, do którego powoli zmierzaliśmy, czekała nas niespodzianka, z jaką się nie liczyliśmy. Zielony suburban Lucy stał okryty śniegiem na podjeździe, widać więc było, że przyjechała dobry kawałek czasu temu.

– Nic z tego nie rozumiem – rzuciłam do Pete’a, gdy zatrzaszaliśmy drzwi wozów. – Dzwoniłam aż trzy razy.

– To może ja lepiej pojedę. – Stał przy swoim fordzie i nie wiedział, co z sobą począć.

– Nie bądź dzieckiem. Chodź, coś razem wykombinujemy. Mamy wolną kanapę, a Lucy na pewno strasznie się ucieszy.

– Masz to wszystko do nurkowania?

– W bagażniku.

Wytaszczyliśmy ekwipunek i zanieśliśmy go do domu, który przy tej pogodzie wydawał się jeszcze mniejszy i bardziej osamotniony. Z tyłu znajdował się obudowany ganek, zaszliśmy więc z tamtej strony i złożyliśmy sprzęt na drewnianej podłodze. Lucy otworzyła drzwi od kuchni – otoczyła nas woń pomidorów i czosnku. Patrzyła zdezorientowana to na Pete’a Marino, to na ekwipunek.

– Co wy tu, kurde, wyprawiacie?

Widać było, że jest wzburzona. Tę noc miałyśmy spędzić sam na sam, co zdarzało się raczej rzadko w naszym skomplikowanym życiu.

– To długa historia. – Wymieniłam spojrzenie z Lucy.

Weszliśmy za nią do środka, gdzie na kuchence stał garnek, w którym coś się dusiło. Na blacie obok leżała deska do krojenia i można się było zorientować, że przed naszym przybyciem Lucy kroїła pepperoni i cebule. Miała na sobie bluzę FBI i grube skarpety, wręcz tryskała zdrowiem, ale na pierwszy rzut oka poznałam, że ostatnio mało sypiała.

– W spizarce jest wąż, a koło ganku, przy hydrancie, stoi plastikowe wiadro na śmieci – zwróciłam się do Pete’a. – Nalej do niego wody, to namoczymy mój skafander.

– Pomogę – zaofiarowała się Lucy.

– Ani mi się waź. – Mocno ją uściskałam. – Dopiero jak się tu trochę zadomowimy.

Odczekałam, aż Marino wyjdzie, po czym pociągnęłam ją w stronę kuchenki i uniosłam pokrywkę garnka.

– Niemożliwe! – zawołałam. – Dzięki Bogu.

– Gdy już się zorientowałam, że nie wrócisz przed czwartą, pomyślałam, że jeśli nie zrobię sosu, to nie doczekamy się dzisiaj lasagni.

– Warto by dodać kapkę czerwonego wina. Trochę bazylii i szczyptę soli. Zamierzałam wrzucić karczochy zamiast mięsa, mimo że nie pójdzie to w smak Marino, ale on może sobie zjeść prosciutto. Może być? – Odłożyłam pokrywkę.

– Ciociu, po co on się tu przyplątał?

– Znalazłaś moją kartkę?

– Jasne. Inaczej bym nie weszła. Ale było w niej tylko napisane, że zostałaś gdzieś wezwana.

– Przepraszam, ale dzwoniłam parę razy.

– Nie chciałam odbierać telefonów w cudzym domu. I nie zostawiłaś żadnej wiadomości na sekretarce.

– Sęk w tym, że myślałam, że cię tu nie ma, i zaprosiłam Marino. Nie chciałam wysłać go w taką śnieżycę do Richmond.

– To nic. – W jej intensywnie zielonych oczach pojawił się wyraz rozczarowania. – Bylebyśmy tylko nie musieli spać w tym samym pokoju – dodała sucho. – Ale skąd on w ogóle wziął się w Tidewater?

– Mówiłam już, że to długa historia. Poza tym korzenie sprawy, jaką się zajmuję, też sięgają do Richmond.

Wyszliśmy na lodowato zimny ganek i błyskawicznie wypłukałyśmy płetwy i skafander w zamarzającej wodzie. Potem zaniósłszy wszystko na strych, gdzie nie groziło rzeczom zamarznięcie, i ułożyłyśmy je na wielu warstwach ręczników. Pod prysznicem spędziłam tyle czasu, na ile pozwoliła terma, myśląc, jakim to dziwnym zbiegiem okoliczności znaleźliśmy się wszyscy troje w sylwestra w tym małym domku nad morzem, gdy na zewnątrz szaleje śnieżycą. Gdy przyszedłam do kuchni, zastałam Lucy i Pete'a przy włoskim piwie, czytających przepisy na wypiek chleba.

– W porządku – obwieściłam. – Już jestem gotowa i mogę się czymś zająć.

– Tylko nie przesadzaj – przestrzegła Lucy. Kazałam im się odsunąć, po czym do sporej miski wsypałam wysokoglutenową mąkę, drożdże i trochę cukru i wlałam oliwę z oliwek. Nastawiłam piekarnik na niską temperaturę i otworzyłam butelkę Côte Rôtie, którego powinna skosztować kucharka przed rozpoczęciem swej odpowiedzialnej pracy. Chianti chciałam podać do posiłku.

– Sprawdź, co jest w portfelu Eddingsa? – zapytałam Pete'a, siekając jednocześnie grzybki porcini.

– Kto to taki ten Eddings? – wtrąciła Lucy.

Siedziała na blacie i sączyła piwo Peroni.

Przez okno za jej plecami widać było w gęstniejących ciemnościach smugi śniegu. Streściłam jej przebieg wypadków dzisiejszego dnia; nie zadawała żadnych pytań.

Zaczął mówić Marino.

– Żadnych rewelacji – opowiadał. – MasterCard, jedna Visa, AmEx, ulotka ubezpieczeniowa. Takie duperele, jeszcze parę paragonów. Wyglądają na wzięte w restauracji, ale będziemy się musieli upewnić. Mogę się jeszcze poczęstować? – Wyrzucił pustą butelkę do kosza i otworzył lodówkę. – Aha, zaraz! – Rozległ się brzęk szkła. – Nie miał przy sobie dużo kasy. Dwadzieścia siedem dolarów.

– Jakies zdjęcia? – zapytałam, ugniatając ciasto na posypanej mąką stolnicy.

– Żadnych. – Zamknął lodówkę. – Jak ci wiadomo, nie był żonaty.

– Może wszedł w jakiś ważny dla siebie związek.

– Możliwe, bo faktycznie wielu rzeczy jeszcze nie wiemy. – Zerknął na Lucy. – Wiesz, co to jest Birdsong?

– Mam na sigu końcówkę od Birdsonga. – Rzuciła okiem w moją stronę. – Ciocia też ma, w browningu.

– Ten Eddings też miał taki browning, dziewięćmilimetrówkę. Poza tym pokryte teflonem naboje i czerwony lakier na spłonce. A to znaczy, że mógłby z palcem w dupie przestrzelić dwanaście książek telefonicznych naraz przy największej ulewie.

– Po co coś takiego dziennikarzowi? – zdumiała się Lucy.

– Niektórzy są sfiksowani na punkcie broni i amunicji – wyjaśniłam. – Nie sądziłam, że Eddings jest właśnie taki. Nigdy mi o tym nie wspominał... rzecz jasna, nie było po temu powodu.

– Pierwszy raz widzę w Richmond KTW – powiedział Marino, używając firmowej nazwy krytych teflonem pocisków.

– Mógłby je zdobyć na jakimś pokazie broni? – spytałam.

– Możliwe. Jedno jest pewne: na pewno był ich stałym bywalcem. Nie mówiłem ci jeszcze, co znalazłem w mieszkaniu.

Przykryłam ciasto wilgotną ściereczką, przykręciłam maksymalnie temperaturę kuchenki i wstawiłam do niej miskę.

– Nie będę się wdawał w szczegóły – ciągnął – wystarczą najważniejsze punkty, poczynając od pokoju, w którym najwyraźniej ładował broń. Bóg jeden wie, gdzie zdążył wystrzelać tyle magazynków. Pistoletów do wyboru, do koloru, broni ręcznej, AK47, MP5, M16. Z takim sprzętem raczej nie jeździ się na polowania na szkodniki. Prenumerował też trochę czasopism uczących, jak przeżyć w ciężkich warunkach, na przykład „Żołnierza Fortuny”, „Magazyn Kawalerii” i „Kwatermistrza”. Na koniec – Marino łyknął piwa – odkryliśmy wideokasety z instrukcjami, jak zostać dobrym snajperem. Wiecie, trening niczym w służbach specjalnych i inne tego typu bzdury.

Jajka i parmezan zawinęłam w ricottę.

– Wiadomo, w co się wplątał? – Tajemnica zmarłego była coraz mroczniejsza i coraz bardziej mnie niepokoiła.

– Nie wiadomo, ale na mur-beton do czegoś się przygotowywał.

– Albo coś gotowało się na niego – dorzuciłam.

– Bał się – odezwała się Lucy, jakby znała sprawę. – Jak człowiek się nie boi, to nie schodzi po ciemku pod wodę z wodoodporną dziewiątką, załadowaną amunicją, która przebija metal. Tak postępuje człowiek, który wie, że ktoś zagiął na niego parol.

Wtedy właśnie opowiedziałam im o dziwnym porannym telefonie od policjanta nazwiskiem Young, który tak naprawdę chyba nie istniał. Scharakteryzowałam postępowanie kapitana Greena.



– Po co miałyby dzwonić, jeśli to on jest winowajcą? – Marino zmarszczył czoło.

– Najzwyczajniej w świecie chciał się mnie pozbyć. I może gdyby policja podała pełne informacje, jak zwykle poczekałabym, aż dostarczą mi na miejsce zwłoki.

– Prawdę mówiąc, wygląda na to, że cię ignorowali – wtrąciła Lucy.

– Chyba taki mieli zamiar – potwierdziłam.

– Próbowalaś dodzwonić się na numer podany przez tego fikcyjnego funkcjonariusza?

– Nie – odparłam.

– Gdzie go masz?

Wyjęłam kartkę. Lucy wykręciła numer.

– To numer telefonu pogodynki – powiadomiła nas po odłożeniu słuchawki.

Marino wyciągnął spod pokrytego kraciatym obrusem stołu krzesło i usiadł na nim okrakiem, zakładając ręce na oparciu. Zapadło krótkotrwałe milczenie. Wszyscy analizowaliśmy informacje, które nabierały z każdą chwilą coraz dziwniejszego znaczenia.

– Pani doktor – odezwał się Marino, wyłamując palce w kostkach – strasznie chce mi się palić. Mogę tutaj czy mam wyjść?

– Wyjdź. – Lucy pokazała palcem na drzwi z trochę przesadnie złośliwą miną.

– A jak zakopię się w zaspie, malutka?

– Śniegu nasypało jakieś dziesięć centymetrów. Zaspasy tarasują drogę tylko w twojej głowie.

– Jutro pójdziemy na plażę i będziemy się pojedynkować – skwitował jej złośliwość Marino. – A tak swoją drogą, to ktoś powinien nauczyć cię odrobiny pokory, agentko specjalna Lucy.

– Nie będzie żadnej wymiany zdań na plaży – osadziłam ich.

– Moglibyśmy ostatecznie otworzyć okno, żeby mógł dmuchać na zewnątrz – zaproponowała Lucy. – Może wreszcie zdasz sobie sprawę ze stopnia własnego uzależnienia – zwróciła się do Pete’a.

– Byle szybko – zgodziłam się. – I tak jest tu dość chłodno.

Okno długo opierało się wysiłkom równie upartego Marino, któremu udało się je w końcu otworzyć. Przysunął sobie bliżej krzesło, zapalił papierosa i wydmuchnął dym na zewnątrz. Ja zaś razem z Lucy rozłożyłam sztucce i serwetki w saloniku, uznając, że milej będzie zjeść kolację przy kominku niż w kuchni czy w ciasnej i pełnej przeciągów jadalni doktora Manta.

– Nie zdążyłaś mi nawet opowiedzieć, co u ciebie słyhać – zagadnęłam siostrzenicę, która zaczynała rozpalać ogień.

– Jest super.

Gdy podkładała drewno, w głąb pełnej sadzy gardzieli komina poleciały snopy iskier; na rękach Lucy wystąpiły żyły, na plecach grały mięśnie. Szczególne uzdolnienia wykazywała w informatyce i robotyce, którą studiowała niedawno na MIT. Dzięki temu stała się cennym kandydatem do grupy uwalniania zakładników FBI, ale sprawność fizyczna nie była jej wielkim atutem. Jak dotąd, żadna kobieta nie przeszła zwycięsko przez mordercze testy kwalifikujące do grupy, i niepokoiłam się, że Lucy nie będzie chciała pogodzić się z losem.

– Dużo ćwiczysz? – zapytałam.

– Mnóstwo. – Zasunęła przegrodę kominka i usiadła na dywaniku.

– Jeżeli znacznie stracisz na wadze, przypłacisz to zdrowiem.

– Czuję się świetnie, a tłuszczu i tak mam za dużo.

– Jeśli nabawiłaś się anoreksji, to muszę ci powiedzieć prosto z mostu, że tego rodzaju zaburzenia mogą człowieka doprowadzić do grobu.

Widziałam ich ofiary.

– Moje życie nie komplikuje się z powodu jedzenia.

– Powiedzmy, że wierzę ci na słowo. – Usiadłam koło niej, w plecy grzał nas ogień.

– Fajnie.

– Posłuchaj – poklepałam ją po nodze – powierzono ci funkcję konsultanta technicznego grupy. Nikt się nie spodziewa, że będziesz spuszczać się po linach ze śmigłowców i przebiegać milę w cztery minuty jak mężczyźni.

– I kto to mówi? – W oczach rozbłysły jej płomyki. – Przecież sama wiesz, że nie pozwalałaś, żeby płęć stanęła ci w jakikolwiek sposób na przeszkodzie.

– Znam próg swoich możliwości – zaproponowałam – i staram się go nie przekraczać. Dzięki takiej strategii jeszcze jakoś żyję.

– Słuchaj – powiedziała wzburzona. – Mam dość programowania komputerów i robotów, bo kiedy dzieje się coś doniosłego – przypomnij sobie bomby w Oklahoma City – wysyłają tam facetów, a ja zostaję na tyłach. A nawet jak mnie ze sobą zabierają, to zamkną gdzieś w jakiejś klitce, jakbym była jakimś zwykłym jajogłowym. Nie jestem tylko od teorii, nie chcę siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. – W oczach rozbłysły jej nagle łzy, odwróciła wzrok. – Pokonuję tor przeszkód, umiem się wspinać po linie, jestem niezłym snajperem, potrafię nurkować. Co więcej, znoszę ich upierdliwość. Wiesz, jak to jest, nie wszystkim się podoba, że płacę się im pod nogami.

Nie miałam co do tego ani cienia wątpliwości. Lucy albo bardzo przyciągała, albo niezmiernie odpychała ludzi, taka bystra, a zarazem trudna w codziennych kontaktach. Była też piękna, miała wyraziste rysy i silną osobowość, i czasami zachodziłam w głowę, jak przetrwała w zespole

sił specjalnych, złożonym z pięćdziesięciu facetów, z którymi nie mogła się umówić.

– Co u Janet? – spytałam.

– Przenieśli ją do Waszyngtonu, do działu przestępstw gospodarczych. Przynajmniej blisko.

– To chyba coś nowego. – Naprawdę się zdziwiłam.

– I to bardzo. – Lucy oparła ręce o kolana.

– A gdzie jest dzisiaj?

– Mają własnościowe mieszkanie w Aspen. – Moje milczenie było równoznaczne z pytaniem, na które odpowiedziała z rozdrażnieniem w głosie: – Nie, nie zaprosiła mnie. Nie dlatego, że nam się nie układa, tylko dlatego, że to nie byłby najlepszy pomysł.

– No tak. – Zawahałam się, po czym dodałam: – To jej rodzice ciągle nie wiedzą.

– A kto wie? Myślisz, że nie kryjemy się z tym w pracy? To naprawdę okropne – wyznała z goryczą.

– Wiem, jak to jest w pracy. Zresztą ostrzegałam, że właśnie tak to będzie wyglądało. Jednak ważniejsza jest rodzina Janet.

– Chodzi głównie o matkę. – Lucy wbiła wzrok we własne dłonie. – Prawdę mówiąc, ojcu byłoby chyba wszystko jedno. Nie pomyśli sobie, że wszystko to przez jakieś zaniedbanie z jego strony, tak jak moja matka. Chociaż ona właściwie zakłada, że to jakieś zaniedbanie z twojej strony, bo to przecież ty mnie wychowałeś i byłeś dla mnie matką. – Nie było sensu bronić się przed ignorancją mojej jedynej siostry, Dorothy, która – tak się niestety złożyło – urodziła Lucy. – Matka wymyśliła zresztą coś nowego. Utrzymuje, że jesteś pierwszą kobietą, w której się zakochałam, i że to właściwie wszystko tłumaczy. – W głosie dziewczyny pojawiła się nutka ironii. – Nieważne, że to tak zwane kazirodztwo i że jesteś hetero. Nie

wolno zapominać, że ona pisuje te niezwykle głębokie książeczki dla dzieci, a ponadto uprawia terapię seksualną.

– Przepraszam, że musisz tego wysłuchiwać, jakby mało było wszystkiego innego – powiedziałam przejęta. Sama nigdy nie byłam stuprocentowo pewna, jak mam się zachować podczas rozmów na te tematy. To była dla mnie nowość, co więcej, trochę przerażająca.

– Wiesz, jak jest. – Lucy wstała, w chwili gdy Marino wchodził do pokoju. – Do pewnych rzeczy trzeba się po prostu przyzwyczaić.

– Mam dla was wspaniałą nowinę – obwieścił Pete. – Ta breja ma się zmienić w deszcz. Zatem jutro rano drogi powinny być już przejezdne.

– Jutro jest Nowy Rok – przypomniała Lucy. – Więc logicznie rzecz biorąc, w jakim celu mielibyśmy korzystać z tych przejezdnych dróg?

– Bo będę musiał zabrać twoją ciotkę do nory Eddingsa. – Po chwili dorzucił: – Trzeba tam też ściągnąć Bentona.

Nic po sobie nie pokazałam. Benton Wesley nadzorował program FBI Analiza Śledcza i miałam cichą nadzieję, że w święta moje oczy od niego odpoczną.

– Co powiedziałaś? – wycedziłam.

Usiadł na wersalce i przez chwilę przypatrywał mi się w zamyśleniu. Po czym odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Coś mnie nurtuje. Gdybyście chcieli otruć kogoś pod wodą, jak trzeba by się do tego zabrać?

– A może nie stało się to pod wodą – podsunęła Lucy. – Możliwe, że połknął cyjanek przed wyprawą do stoczni.

– Nie, to niemożliwe – orzekłam autorytatywnie. – Cyjanek jest żrący i gdyby zażył go doustnie, byłyby widoczne ślady w żołądku, przełyku i jamie ustnej.

– No to jak do tego doszło? – zapytał Marino.

– Sądzę, że nawdychał się cyjanowodoru.

– Jak? Przez sprężarkę? – Wyglądał na zdezorientowanego.

– Ona pobiera powietrze przez zawór wlotowy wyposażony w filtr – przypomniałam. – Starczy, że ktoś wymieszałby odrobinę kwasu chlorowodorowego z pigułką cyjankali, po czym przytrzymał fiolkę z mieszaniną na tyle blisko zaworu, żeby gaz dostał się do sprężarki.

– Jeżeli Eddings rzeczywiście wchłonął pod wodą ten gaz – dopytywała się Lucy – to co powinno się zdarzyć?

– Atak serca, potem zgon. Kwestia kilku sekund.

Przypomniałam sobie zaczepiony wąż i zastanowiłam się, czy w chwili, gdy raptem przez stabilizator dostała się do płuc Eddingsa trucizna, znajdował się on w pobliżu śruby „Exploitera”. Jeśli tak, wiedziałabym już, dlaczego znalazł się w tak osobliwej pozycji.

– Czy w sprężarce można wykryć ten gaz? – zapytała Lucy.

– Można spróbować, ale wykryjemy coś tylko pod warunkiem, że pigułka z cyjankiem została umieszczona na samym filtrze. Poza tym zanim dotarłam na miejsce, ktoś mógł wszystko poprzestawiać. Być może więcej dowiemy się, badając odcinek węża znajdujący się najbliżej zwłok. Jeśli uda mi się ściągnąć kogoś w święto do laboratorium, rozpocznę jutro testy toksyczne.

– Ciągłe pada, gęsty. – Moja siostrzenica wyjrzała przez okno. – Śnieg przedziwnie rozjaśnia noc. Widać stąd nawet morze. To tamta czarna ściana – powiedziała zamyślona.

– To prawdziwa ściana – sprostował Marino. – Ta po drugiej stronie podwórka.

Nie odezwała się, a ja uprzytomniłam sobie, jak strasznie za nią tęskniłam. W czasie jej studiów widywałyśmy się bardzo rzadko, teraz było jeszcze gorzej, bo nawet gdy sprawy zawodowe sprowadzały mnie do

Quantico, nigdy nie było gwarancji, że znajdzie się czas na spotkanie. Melancholia ogarniała mnie na myśl, że jej dzieciństwo minęło bezpowrotnie, poza tym żał mi było, że nie wybrała jakiegoś mniej absorbującego zawodu.

– A więc mamy do czynienia z dziennikarzem, który jest amatorem broni – myślała głośno Lucy, wyglądając przez szybę. – Zostaje otruty cyjanowodorem, gdy nurkuje nocą wokół wysłużonych okrętów na terenie, na który wstęp jest wzbroniony.

– To zaledwie hipoteza – wtrąciłam. – Śledztwo trwa i nie wolno nam o tym zapominać.

– Skąd można wziąć cyjanek, żeby otruć człowieka? – Lucy odwróciła się w naszą stronę. – Są z tym jakieś problemy?

– Można znaleźć go w różnych fabrykach – odparłam.

– Na przykład?

– Używa się go chociażby do wytrącania złota z rud. Wykorzystuje się go również w galwanizacji jako środek do odymiania oraz do otrzymywania z kości kwasu fosforowego. Krótko mówiąc, każdy, od jubilera przez robotnika przemysłowego po zawodowego mordercę, może go zdobyć. Ponadto zarówno cyjanek, jak i kwas hydrochlorowy znajdzie się w każdym laboratorium chemicznym.

– Przecież – odezwał się Marino – jeśli ktoś chciał go otruć, to musiał się dowiedzieć, że Eddings wybiera się do stoczni.

– Musiał wiedzieć wiele innych rzeczy – potwierdziłam. – Musiał na przykład wiedzieć, jaki aparat tlenowy zabiera ze sobą Eddings, bo gdyby miał zamiar użyć akwalungu, trzeba byłoby podjąć zupełnie inne działania.

– Przede wszystkim warto by się dowiedzieć, po co on tam, do jasnej cholery, polazł. – Marino odsunął przegrodę, żeby dołożyć do ognia.

– Z pewnością miało to jakiś związek z fotografią – powiedziałam. – Sądząc z zabranego sprzętu, przygotował się bardzo starannie.

– Nie znaleziono jednak żadnego aparatu do robienia zdjęć pod wodą – rzuciła Lucy.

– Nie, ale mógł zostać zniesiony przez prąd, mógł ugrzęznąć w mule. Nie da się ukryć, że sprzęt, jakiego być może Eddings używał, nie utrzymuje się na powierzchni wody.

– Miałabym ogromną ochotę obejrzeć kliszę. – Cały czas wpatrywała się w śnieżną noc za oknami; ciekawe, czy myślami była w Aspen.

– Jedno wiemy na pewno: nie robił zdjęć rybom. – Marino wetknął do ognia grube i nieco zbyt świeże polano. – Zostają więc tylko okręty. Zapewne zajmował się sprawą, którą ktoś chciał ukryć przed oczyma opinii publicznej.

– Możliwe, że przygotowywał jakiś artykuł – zgodziłam się – ale to może nie mieć żadnego związku z jego śmiercią. Niewykluczone, że ktoś skorzystał z okazji, że nasz dziennikarz nurkuje, i wykończył go z jakiegoś innego powodu.

– Gdzie macie drewno? – Marino zaprzestał podsycania ognia.

– W szopie – poinformowałam go. – Doktor Mant nie wniósłby go do środka z obawy przed termitami.

– Na takim zadupiu powinien bardziej bać się pożarów i wichury.

– Za domem, tuż koło ganku – powiedziałam. – Dzięki, Marino.

Włożył rękawice i wyszedł bez płaszcza na dwór, ogień natomiast nie przestawał dymić, a wiatr jęczał w długim, pochyłym kominie. Popatrzyłam na siostrzenicę, która wciąż nie odchodziła od okna.

– Powinnyśmy już chyba przygotować kolację – przerwałam milczenie.

– Co on wyprawia? – spytała, nie odwracając się.

– Marino?



– Ten głupol doszedł już do tamtej ściany. Chwila, teraz go nie widać.  
Zgasił latarkę. Dziwne.

Na te słowa włosy stanęły mi dęba i błyskawicznie zerwałam się na równe nogi. Rzuciłam się do sypialni i porwałam z nocnego stolika pistolet. Lucy deptała mi po piętach.

– O co chodzi? – wykrzyknęła.

– On nie brał żadnej latarki.

## Rozdział czwarty

Otwarłam z impetem drzwi na ganek i niemal zderzyłam się z Pete'em.

– Co, do ... – ryknął, ukryty za naręczem szczap.

– Ktoś się tu kręci – poinformowałam go, starając się zachować spokój.

Drewno upadło z łoskotem na podłogę, Marino wyskoczył na podwórze z pistoletem w ręce. Lucy też zdążyła już przynieść swoją broń i czaiła się przed domem; przygotowaliśmy się do odparcia ataku.

– Obejdz dom dookoła – rozkazał Marino. – Ja pójdę tędy.

Wróciłam po latarki i wraz z Lucy okrążyliśmy dom, nastawiając uszu i wytyżając wzrok, lecz słyszałyśmy tylko chrzęst śniegu pod stopami, które zostawiały ślady. Usłyszałam, jak Marino odwodzi kurek swojego pistoletu, gdy nasze drogi znów zeszyły się w mroku koło ganku.

– Są ślady stóp pod murem. – Wydyszał kłęby białej pary. – Strasznie dziwne. Prowadzą na plażę i znikają nad wodą. – Rozejrzył się. – Są tu jacyś sąsiedzi, którzy mogliby się wybrać na przechadzkę po nocy?

– Nie znam sąsiadów doktora Manta – odparłam – ale z pewnością nie mieli prawa wchodzić na to podwórze. Poza tym kto przy zdrowych zmysłach łąziłby po okolicy w taką pogodę?

– Dokąd wiodą ślady w obrębie tej działki? – spytała Lucy.

– Zdaje się, że przelazł przez mur, przeszedł parę metrów, a potem zawrócił.

Przypomniała mi się Lucy stojąca w oknie, jej sylwetka oświetlona blaskiem ognia i lamp. Możliwe, że intruz ją wypatrył i przestraszył się.

– Skąd pewność, że to mężczyzna? – podsunęłam.

– Jeśli kobieta, to współczuję – rzekł Marino. – Ma rozmiar obuwia mniej więcej taki jak ja.

– Z cholewami? – dorzuciłam, kierując się w stronę muru.

– Nie wiem. Na podeszwie jest jakiś dziwny wzór w kratkę. – Szedł za moimi plecami.

Odciski butów napędziły mi jeszcze większego strachu. Nie mieliśmy do czynienia z żadnymi typowymi kozakami ani butami sportowymi.

– O Boże, ten ktoś miał chyba na nogach płetwy albo coś w tym guście. Spójrzcie tylko.

Pokazałam im wzór. Przykucnęli obok, wpatrując się w oświetlone nikłym światłem mojej latarki ślady.

– Bez obcasa – zauważyła Lucy. – Jestem więcej niż pewna, że to płetwy lub buty do nurkowania. Nic z tego nie rozumiem.

Podniosłam się i spojrzałam ponad murem w stronę ciemnej, wzburzonej wody. Nie mieściło się w głowie, żeby jakiś człowiek mógł nadejść właśnie stamtąd.

– Możesz je sfotografować? – spytałam Pete’a.

– Nie ma sprawy. Za to nie ma z czego zrobić odlewów.

Wróciliśmy do domu. Pozbierał drewno i zaniósł je do stołowego, my zaś zajęłyśmy się kolacją, na którą przez to wszystko miałam nieco mniejszą ochotę. Nalałam sobie wina i usiłowałam zbagatelizować intruza jako przypadkowego i nieszkodliwego osobnika, który lubi chodzić po śniegu lub nurkować w nocy. Wiedziałam jednak swoje i na wszelki wypadek trzymałam w pogotowiu broń i raz po raz zerkałam przez okno. Było mi ciężko na duszy, więc na pociechę wsunęłam lasagnę do piekarnika. Z lodówki wyjęłam parmezan i zaczęłam trzeć go na tarce, poukładałam na talerzach figi i melony, a do porcji Pete’a dodałam całe mnóstwo prosciutto. Lucy robiła sałatkę; pracowałyśmy w milczeniu.

– Naprawdę wplątałaś się w jakąś kabałę, ciociu. Dlaczego zawsze przytrafia się to akurat tobie? – niezadowolona przerwała milczenie.

Siedzisz tu, w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, w domu bez alarmu i z zamkami z blachy cienkiej jak na puszki do piwa...

– Schłodziłaś już szampana? – przerwałam. – Dochodzi dwunasta. Lasagna będzie gotowa za jakieś dziesięć minut, chyba że piecyk doktora Manta działa w takim samym tempie jak inne tutejsze urządzenia, bo wtedy możemy poczekać do świętego Dygdy. Zawsze się zastanawiałam, po co ludzie najpierw zapiekają lasagnę godzinami, a potem dziwią się, że jest twarda jak skóra.

Lucy wpatrywała się we mnie, oparłszy nóż do obierania warzyw o miskę. Nakroiła tyle selera i marchewki, że można by nakarmić pułk żołnierzy.

– Zrobię ci kiedyś prawdziwą lasagnę *coi carciofi*, z karczochami i sosem beszamelowym zamiast marynary...

– Ciociu – przerwała mi zniecierpliwiona – nie zostawaj tu. Nie wolno ci. Akurat teraz lasagnę to mam w dupie. Za to obchodzi mnie, że rano odebrałaś dziwny telefon, potem zajmowałaś się zgonem w nie wyjaśnionych okolicznościach, a współpracownicy odnosili się do ciebie podejrzliwie. Na dodatek teraz pojawia się tu jakiś człowiek, ubrany chyba w strój pletwonurka.

– Nie ma co liczyć na jego powrót. Wszystko jedno, kto to był. Chyba że miałby zamiar zmierzyć się z naszą trójką.

– Ciociu, nie wolno ci tu zostać.

– Moje kompetencje obejmują obecnie okręg doktora Manta i nie mogłabym spełniać nowych obowiązków, siedząc w Richmond – mówiłam, patrząc cały czas przez okno. – A gdzie Marino? Ciągłe robi zdjęcia?

– Przed chwilą wrócił. – Jej bezsilną wściekłość wyczuwało się jak nadchodzącą burzę.

Weszłam do pokoju i zastałam Pete'a śpiącego na kanapie przy płonącym w kominku ogniu. Powędrowałam wzrokiem w stronę okna, przy którym stała Lucy, podeszłam bliżej. Zasypane śniegiem podwórko lśniło mdłą poświatą niczym księżyc, poznaczone naszymi śladami jak plamami. Ceglany mur niknął w mroku i wzrok nie mógł przebić rozciągających się dalej ciemności, w których szorstki piach plaży łączył się z morzem.

– Lucy ma rację – usłyszałam senny głos Pete'a Marino.

– Myślałam, że błędzisz gdzieś daleko stąd.

Odwróciłam się.

– Czuwam nawet wtedy, gdy błędzę daleko.

Nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu.

– Muszę się wynosić. Podpowiada mi to intuicja. – Dźwignął się z kanapy. – Nie będę przecież siedział w takiej dziurze. Gdyby coś się stało, nikt nie usłyszy waszych wrzasków. – Wbił we mnie wzrok. – Zanim ktoś was znajdzie, zdążycie zamarznąć na kość. Chyba że wcześniej wichura rzuci was w morze.

– Dosyć tego.

– Jakiś inny lekarz mógł tu przyjechać i przejąć nadzór nad Tidewater. – Wziął leżący na stoliku pistolet, wstał i wsunął go sobie z tyłu za pasek.

– Tylko ja nie mam rodziny, w związku z czym łatwiej mi się gdzieś przenieść, zwłaszcza o tej porze roku.

– Gówno prawda. Nie musisz chyba płacić za to, że się rozwiodłaś i nie masz dzieci.

– Nie płacę.

– Jakoś nie wygląda mi na to, żebyś prosiła o jakieś półroczne przeniesienie. Poza tym jesteś tu, do cholery, szefową. Mogłabyś kazać się przenosić innym, choćby mieli największe rodziny. Powinnaś zostać u siebie.

– Nie sądziłam, że pobyt tutaj będzie aż tak niemiły. Są ludzie, którzy słono płacą za urlop w chatkach nad morzem.

– Masz coś amerykańskiego do picia?

Marino przeciągnął się.

– Mleko.

– Chodziło mi o coś ciut mocniejszego.

– Po co dzwonicz do Bentona? Chyba jeszcze nie czas na angażowanie w to FBI.

– Ja z kolei uważam, że chyba nie stać cię na wydanie o nim obiektywnego sądu.

– Nie prowokuj mnie – przestrzegłam. – Jest już późno, a ja jestem zmęczona.

– Walę wszystko prosto z mostu. – Wyjął z paczki marlboro i włożył go do ust. – A on i tak wcześniej czy później zjawi się w Richmond. Nie pojechał z żoną nigdzie na urlop, więc pewnie jest gotów do małej eskapady w teren. Czeka go tu sporo niespodzianek. – Nie mogłam wytrzymać spojrzenia Pete’a, a on, niestety, wiedział dlaczego. – Ponadto – ciągnął – z prośbą do FBI nie zwraca się policja w Chesapeake, lecz ja sam. Mam do tego pełne prawo. W razie gdybyś zapomniała, to informuję, że podlega mi obszar, na którym znajduje się mieszkanie Eddingsa. Zrobiło się z tego śledztwo obejmujące wiele okręgów.

– Należy jednak do Chesapeake, a nie do Richmond. Tutaj znaleziono zwłoki. Nie możesz wepchnąć się na ich teren i dobrze o tym wiesz. Nie wolno ci też zaprosić tu w ich imieniu FBI.

– Ale – przekonywał – po rewizji w jego mieszkaniu i znalezieniu takich rzeczy...

– Takich rzeczy? – ucięłam. – Ciągłe o tym mówisz. Czy chodzi ci tylko o ten jego arsenał?

– O coś więcej. O coś poważniejszego. Jeszcze do tego nie doszliśmy. – Marino obrzucił mnie spojrzeniem i wyjął z ust papierosa. – Krótko mówiąc, Richmond ma powody, żeby przyjrzeć się tej sprawie bliżej. Zapraszamy do zabawy.

– Zostałam do niej zaproszona, z chwilą gdy Eddings zginął na terytorium Wirginii.

– Tylko mi nie mów, że tak samo myślałaś dziś rano w Basenie.

Zamilkłam, bo miał rację.

– Możliwe, że niedawno miałaś tu gościa, co oznacza, że nie jesteś mile widziana. Wolałbym wezwać FBI, bo nie chodzi jedynie o jakiegoś tam faceta w łódce, którego dziś wyłowiłaś.

– Co jeszcze odkryłeś w mieszkaniu Eddingsa? – spytałam. Widziałam jego opór, unikał mojego wzroku. Nie wiedziałam, o co mu chodzi. – No dobrze, najpierw zjemy kolację, a potem pogadamy.

– Lepiej zaczekajmy do jutra. – Rzucił okiem w stronę kuchni, jakby bał się, że Lucy może nas usłyszeć.

– Marino, odkąd to masz opory przed powiedzeniem mi czegoś?

– To zupełnie inna para kaloszy. – Tarł rękami twarz. – Wszystko wskazuje na to, że Eddings stanął oko w oko z Nowymi Syjonistami – wykrztusił wreszcie.

Lasagna była przepyszna, bo uprzednio odsączyłam mozzarellę w ściereczkach do naczyń, żeby podczas pieczenia nie wyciekło z niej za dużo płynu, poza tym miałam oczywiście świeży makaron. Podałam potrawę, gdy była miękka, nie czekając chwili, aż się zarumieni i zaczną pojawiać się pęcherzyki, a szczypta parmezanu dopełniła dzieła.

Marino pochłonał cały niemal chleb, który smarował obficie masłem, na to prosciutto, i nie żałował na wierzch sosu pomidorowego; Lucy dziobała maleńką porcję, którą miała przed sobą na talerzu. Śnieg padał coraz

gęstszy, w Sandbridge zaczęły rozbrzmiewać fajerwerki, gdy Marino opowiadał nam o nowosyjonistycznej biblii.

– Północ. – Odsunęłam krzesło. – Trzeba otworzyć szampana.

Nawet nie podejrzewałam, jak bardzo jestem wzburzona, bo rewelacje Pete'a przekraczały najśmielsze oczekiwania. Sporo słyszałam o Joelu Handzie i jego faszystowskich akolitach, którzy ochrzcili się mianem Nowych Syjonistów. Mieli zamiar ustanowić nowy porządek, stworzyć raj na ziemi. Zawsze bałam się, że siedząc cicho, coś knują.

– Trzeba zrobić kocioł na farmie tego wypierdka – oznajmił Marino, wstając od stołu. – Już dawno się o to prosi.

– Czym sobie zasłużył na taki zaszczyt? – spytała Lucy ironicznie.

– Takie gnidy jak on nie potrzebują nic robić, żeby sobie zasłużyć.

– Rewelacyjny pogląd. Powinieneś przekonać do niego Gradecki – zadrwiła. Gradecki była prokuratorem generalnym USA.

– Mam trochę znajomych w Suffolk, gdzie mieszka Hand, i mówią, że dzieją się tam strasznie dziwne rzeczy.

– O sąsiadach zawsze się tak mówi – wtrąciłam.

Marino wyjął z lodówki szampana, ja przyniosłam kieliszki.

– Co to za rzeczy? – zapytałam.

– Rzeką Nansmond przyplływają barki, z których skrzynie muszą zdejmować dźwigi. Nikt nie ma pojęcia, co się dzieje, tylko jacyś piloci zauważyli nocą ogniska, co mogłoby oznaczać, że tamci odbywają jakieś tajemne obrzędy. Miejscowi przysięgają, że po nocach bez przerwy słyszą strzały i że z pewnością dochodziło na farmie do zabójstw.

Przeszliśmy do stołowego. Sprzątanie i zmywanie zostawiłam na potem.

– Znam wszystkie przypadki morderstw w tym stanie, ale przy żadnej okazji nie wymieniano tu ugrupowania Nowych Syjonistów; nie maczali rąk w ogóle w żadnych przestępstwach. Nigdy też nie słyszałam, żeby



oddawali się jakimkolwiek tajemnym praktykom. Owszem, jakieś działania parapolityczne, czasem ekstremistyczne wybryki. Z tego, co wiem, nie przepadają za Ameryką i woleliby stworzyć sobie małe państewko z Handem w roli króla. Albo Boga. Zresztą nie mam pojęcia, kim on tam dla nich jest.

– Mam otworzyć? – Marino uniósł szampana.

– Nowy Rok poczeka. Opowiedz mi wszystko od początku. – Usiadłam na wersalce. – Eddings miał jakieś powiązania z Nowymi Syjonistami?

– Wiem tylko, że trzymał w domu jedną z ich biblii. Jak już mówiłem, znaleźliśmy ją podczas rewizji w jego mieszkaniu.

– I nie życzyłeś sobie, żebym to widziała?

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Dzisiaj tak, bo właściwie to nie chciałem, żeby zobaczyła to ona. – Popatrzył na Lucy.

– Pete – stwierdziła rezolutnie moja siostrzenica – nie musisz mnie już ochraniać, dzięki za dobre chęci.

– Co to za biblia? – spytałam.

– Nie taka, której używa się do mszy.

– Satanistyczna?

– Nie, raczej nie, przynajmniej nie taka jak te, które w życiu widziałem. Nie ma w niej nic o kulcie Szatana, brak symboliki, która zazwyczaj się z tym kojarzy. Za to na pewno nie nadaje się na lekturę do poduszki. – Rzucił okiem na Lucy.

– Gdzie ją masz? – dopytywałam się. Oderwał z szyjki butelki złotko i odkręcił drut. Korek wyskoczył z głośnym cmoknięciem, po czym Pete rozlał trunek, tak jak nalewał piwo, przechylając kieliszki, żeby nie utworzyła się piana.

– Lucy, przynieś mi z kuchni teczkę. – Gdy wyszła, spojrzął na mnie i zniżył głos. – Gdybym wiedział, że ona tu będzie, nigdy w życiu nie przywiózłbym ze sobą takiej książki.

– To dorosła kobieta, na dodatek agentka FBI, daj spokój.

– Tak, a od czasu do czasu ma ataki depresji, o czym oboje dobrze wiemy. Nie powinna mieć do czynienia z takimi dziwnymi rzeczami. Mówię ci, przeczytałem to z musu, aż ciarki stadami przebiegały mi po grzbiecie. Naszła mnie ochota na pójście do kościoła, a coś takiego nie zdarza mi się często.

O ile wiedziałam, nie zdarzyło mu się to nigdy, zaczęłam się więc niepokoić. Lucy przeżywała ogromnie niepokojące kryzysy. Zdarzały jej się już zapędy samobójcze, psychikę miała rozchwianą.

– Nie mam prawa jej chronić – oznajmiłam, gdy pojawiła się w drzwiach.

– Mam nadzieję, że to nie o mnie rozmawiacie. – Podała Pete’owi teczkę.

– O tobie, o tobie – odpowiedział – bo moim zdaniem, nie powinnaś tego czytać.

Szczęknęły zatrzaski.

– To ty prowadzisz tę sprawę – mówiła Lucy spokojnie, jednocześnie kierując wzrok na mnie. – Ciekawi mnie to i chciałabym ci jakoś pomóc. Ale jeśli taka twoja wola, wyjdę.

To dziwne, ale strasznie trudno było mi podjąć decyzję, pozwolenie bowiem na to, żeby przyjrzała się materiałom, które uważałam za groźne, równałoby się docenieniu jej osiągnięć zawodowych. Gdy robiłam Lucy miejsce na wersalce, od uderzenia wałęsającego się wokół domu wiatru zadrżały szyby.

– Siadaj koło mnie – powiedziałam. – Zobaczmy, co tu mamy.

Syjonistyczna biblia nosiła tytuł „Księga Handa”, gdyż jej autor pisał w natchnieniu bożym i zapewne w przyпыłwie skromności pozwolił sobie na umieszczenie własnego nazwiska w tytule. Wydrukowany renesansową czcionką i na indyjskim papierze utwór, oprawny w czarne, skórzane okładki z tłoczonym tytułem, nosił ślady wielokrotnego używania i nazwisko nie znanego mi człowieka. Przez ponad godzinę siedziałyśmy obok siebie, Lucy oparta o mnie, i czytałyśmy, Marino natomiast chodził po domu, przynosząc opał i paląc papierosy, a jego niepokój był równie wyczuwalny jak migotliwy odbłask ognia.

Największą część tekstu stanowiły wzorowane na Piśmie Świętym parable, prorocstwa i przysłowia, które czyniły utwór bardziej wyrazistym i ludzkim. Nie była to jednak łatwa lektura. Stronice wypełniali ludzie i obrazy, które przenikały do głębi mózgu. Księga, jak zaczęłyśmy ją nazywać, zawierała niezwykle precyzyjne instrukcje na temat, jak należy zabijać, okaleczać, straszyć, prać mózg i torturować. Podczas lektury rozdziału poświęconego uzasadnieniu konieczności pogromów, opatrzonego ilustracjami, cała się trzęsłam. Postulowana w dziele przemoc przywodziła na myśl poczynania inkwizycji, a autor nawet tłumaczył, iż Nowi Syjoniści zostali zesłani na ziemię, by ustanowić swego rodzaju Nową Inkwizycję.

„Żyjemy w czasach, w których powierzchnia naszej planety winna być oczyszczona ze wszystkich czyniących zło – pisał Hand – a dokonywać dzieła odnowy musimy gromko i dźwięcznie niczym cymbały. Musimy czuć, jak rozrzedzona krew wrogów stygnie na naszych obnażonych ciałach, gdy będziemy tarzać się pośród ich zagłady. Musimy iść śladem Jedyne go po ścieżce do chwały, a nawet śmierci”.

Naczytałam się o innych jeszcze dziełach zniszczenia, przebrnęłam przez strony poświęcone osobliwej predylekcji autora do reakcji

termojądrowej i rodzajów paliw, które można byłoby wykorzystać do zmiany istniejącego porządku. Pod koniec „Księgi” miałam wrażenie, że cały domek, a razem z nim mnie, ogarnia nieprzenikniona ciemność. Nie mogłam znieść upokarzającej myśli, że pośród nas mogą przebywać myślący w ten sposób ludzie. Po godzinie nieprzerwanej niczym ciszy odezwała się wreszcie Lucy.

– Mowa tu o Jedynym i ich wobec niego lojalności – zaczęła. – Czy chodzi im o jakąś konkretną osobę, czy o bóstwo?

– Chodzi o Handa, który zapewne uważa się za absolutnego Jezusa Chrystusa – wyjaśnił Marino, dolewając szampana. – Pamiętasz go wtedy w sądzie?

Zerknął w moją stronę.

– Tego się tak łatwo nie zapomina. – Wkroczył z całą świtą, do której należał między innymi pewien nowojorski adwokat z wielkim złotym zegarkiem kieszonkowym i okutą srebrem laską – opowiadał Lucy. – Hand miał na sobie luksusowy garnitur, szyty na miarę, długie blond włosy spiął w koński ogon, a przed gmachem czekały kobiety, spragnione jego widoku, jakby był nie wiem kim, jakimś Michaeliem Boltonem.

– Za co ściągnęli go do sądu?

Lucy spojrzała pytająco w moją stronę.

– Złożył prośbę o ujawnienie pewnych dokumentów, prokurator generalny oddalił ją, więc sprawa znalazła się w sądzie.

– Czego chciał?

– Krótko mówiąc, chciał mnie zmusić do ujawnienia aktu zgonu senatora Lena Coopera.

– Po co?

– Utrzymał, że zmarły senator został otruty przez swoich wrogów politycznych. Tak naprawdę Cooper zmarł w wyniku rozległego wylewu

krwi do mózgu. Sąd nie przychylił się do prośby Handa.

– I pewnie od tego czasu niezbyt za sobą przepadacie – domyśliła się Lucy.

– Raczej nie. – Rzuciłam okiem na leżącą na stoliku „Księgę”, po czym zwróciłam się do Pete’a: – Co to za nazwisko wewnątrz okładki? Znasz jakiegoś Dwaina Shapiro?

– Miałem zamiar o tym wspomnieć. Z archiwów komputerowych dowiedzieliśmy się, że był zwolennikiem Nowego Syjonizmu aż do jesieni zeszłego roku, kiedy to zdezerterował z szeregów współwyznawców. Miesiąc później w Marylandzie ktoś porwał mu samochód.

Zapadła cisza. Czułam na sobie spojrzenie ciemnych kwadratowych oczu domu – okien.

– Ktoś to widział, są jacyś podejrzani?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Jak biblia tego faceta wpadła w ręce Eddingsowi? – rzuciła Lucy.

– Pytanie za sto punktów – odparł Marino. – Może Eddings kontaktował się z samym Dwainem Shapiro, może z jego rodziną. Nie jest to kserokopia, zresztą na samym początku napisano, że właścicielowi nie wolno przekazywać „Księgi” nikomu innemu. A jeżeli ktoś zostanie przyłapany z cudzą „Księgą” w rękach, może już zacząć żegnać się z tym padole.

– No i coś takiego właśnie spotkało Eddingsa – zauważyła Lucy.

– To mi się nie podoba, ani trochę. – Nie miałam ochoty zbliżyć się do „Księgi”, wolałabym wrzucić ją do ognia.

– Nie masz chyba ataku zabobonnego lęku? – Lucy otaksowała mnie zdumionym spojrzeniem.

– Ci ludzie wchodzą w konszachty ze złem – odcięłam się – a ja wiem, że na tym świecie istnieje zło, którego nie wolno nikomu lekceważyć. Gdzie dokładnie znalazłeś tę okropną książkę? – zapytałam Pete’a.

- Pod łóżkiem.
- Serio?
- Na sto procent.
- I wiadomo na pewno, że Eddings mieszkał sam?
- Tak się zdaje.
- Ma jakichś krewnych?
- Ojciec nie żyje, brat mieszka w Maine, a matka w Richmond, zresztą całkiem blisko ciebie.
- Rozmawiałeś z nią? – nie przerywałam indagacji.
- Wpadłem tam i przekazałem jej smutną wiadomość o synu, poprosiłem o pozwolenie na dokładniejsze przeszukanie jego domu, które zamierzamy urządzić jutro.

Spojrzał na zegarek.

- A raczej dziś.

Lucy wstała z wersalki i podeszła do kominka. Za nią pośród popiołu pełgało jeszcze trochę żaru.

- Skąd pewność, że ta biblia jest naprawdę wytworem Nowych Syjonistów? – odezwała się.

– W końcu wiemy tylko tyle, iż była własnością Dwaina Shapiro, ale nie mamy pojęcia, skąd ją wziął.

- Jeszcze trzy miesiące temu Shapiro był Nowym Syjonistą – rzekł Marino. – Podobno Hand nie traktuje zbyt wyrozumiale ludzi, którzy chcą od niego odejść. Jedno małe pytanko: ilu znasz byłych Nowych Syjonistów?

Lucy nie wiedziała o nikim takim; ja też nie.

- Grupa jego zwolenników istnieje od co najmniej dziesięciu lat, a jak dotąd, nie było słyhać, żeby ktoś ją opuścił – ciągnął Marino. – Nie mamy

zielonego pojęcia, czy na przykład nie grzebie takich ludzi na swoim terenie.

– To dlaczego nigdy o nim nie słyszałam? – nie ustępowała Lucy.

Pete rozlał resztę szampana do kieliszków. – Bo o takich jak on nie uczą na UVA i w MIT.

## Rozdział piąty

Zaczynało świtać, a ja leżałam w łóżku i patrzyłam na podwórko za domem doktora Manta. Przy murze utworzyła się głęboka zasma, dalej słońce rozjaśniało powierzchnię morza. Zamknęłam na chwilę oczy i moje myśli pobiegły do Bentona Wesleya. Zastanawiałam się, co powiedziałby na widok takiego domostwa i co powiemy sobie na powitanie, które czekało nas za kilka godzin. Nie widzieliśmy się od początku grudnia, gdy zgodnie doszliśmy do wniosku, że nasz związek nie ma już racji bytu. Słyszając czyjeś ciche kroki, przekręciłam się na bok i naciągnęłam na uszy kołdrę. Po chwili na brzegu łóżka usiadła Lucy.

– Dzień dobry, najlepsza siostrzenico świata – wymamrotałam.

– Jestem twoją jedyną siostrzenicą – odpowiedziała jak zawsze. – A skąd wiedziałaś, że to ja?

– Bo ktoś inny srodze by tego pożałował.

– Przyniosłam ci kawę.

– Mój ty aniołku.

– Taa, jak powiedziała by Marino. Wszyscy tak o mnie mówią.

– Chciałam być miła. – Ziewnęłam. Przytuliła się do mnie, zapachniało mydłem, które zostawiłam jej w łazience. W całej pełni odczułam młodość i siłę Lucy, a swoje lata.

– Świetnie się przy tobie czuję, nie ma co. – Przekręciłam się na wznak i założyłam ręce za głowę.

– Bo co? – Miała na sobie moją luźną, flanelową pidżamę; na twarzy Lucy malowało się zdziwienie.

– Bo chyba nie udałoby mi się już pokonać nawet Żółtej Drogi – wyjaśniłam, mając na myśli tor przeszkód w Akademii FBI.



- A kto powiedział, że to łatwe zadanie?
- Tobie idzie jak po maśle.
- Teraz już tak. – Zawahała się. – Ale nie masz chyba zamiaru zapisać się do grupy uwalniania zakładników?
- Dziękuję, może innym razem. Zamilkła, po czym dorzuciła z westchnieniem:
  - Wiesz co, z początku, gdy Akademia odesłała mnie na miesiąc do UVA, byłam strasznie wkurzona, ale wygląda na to, że dzięki temu trochę sobie odpocznę. Mogę teraz popracować w laboratorium, pojeździć na rowerze i pobiegać jak inni śmiertelnicy.
- Lucy nie była takim sobie zwykłym śmiertelnikiem, w ogóle nie miała na to szans. Swego czasu uznałam, że ludzi o tak wysokich ilorazach inteligencji od reszty ludzkości oddziela taka sama przepaść jak osobników umysłowo chorych. Wyglądała za okno, gdzie śnieg nabierał coraz jaśniejszych barw. W pierwszych, nieśmiałych promieniach słońca jej włosy lśniły złotoróżowym blaskiem i nie mogłam pojąć, jak taka piękna istota może być moją krewną.
  - Dobrze mi robi, gdy odetchnę trochę od Quantico. – Urwała, po czym odwróciła się w moją stronę z bardzo poważną miną. – Ciociu, muszę ci coś powiedzieć, chociaż nie jest to chyba zbyt radosna nowina. Powiedziałabym już wczoraj, gdyby nie było przy tym Pete’a Marino.
    - Słucham cię. – Czekałam, cała w pogotowiu.
    - Pewnie spotkasz się dziś z Wesleyem, więc powinnaś o tym wiedzieć. Po Biurze krążą plotki, że on i Connie się rozchodzą. – Nie wiedziałam, jak na to zareagować, a ona ciągnęła: – Rzecz jasna, nie mogę powiedzieć tego ze stuprocentową pewnością. Ale obilo mi się o uszy kilka innych plotek, które dotyczą również twojej osoby.
      - A to niby dlaczego? – zapytałam nieco za szybko.

– Daj spokój. – Nasze spojrzenia spotkały się. – Od czasu, gdy tak często współpracowaliście, ludzie wzięli was na języki. Zdaniem niektórych agentów, jedynie z tego względu przyjął funkcję konsultanta. Wiesz, żeby przy nim być, wszędzie jeździć.

– Kłamię w żywe oczy – odparowałam, siadając. – Przystałam na rolę doradcy patologa sądowego, bo dyrektor Biura poprosił o to Bentona, który przekazał tę prośbę mnie. Uczestniczę w śledztwach, żeby pomóc FBI i...

– Ciociu – przerwała – nie musisz się usprawiedliwiać.

– Że też komuś coś takiego może przyjść do głowy. – Nie dawałam tak łatwo za wygraną. – Nigdy w życiu nie pozwoliłabym na to, żeby sprawy osobiste przeszkodziły mi w zachowaniu uczciwości zawodowej.

– Nie chodzi tu przecież o zwyczajną przyjaźń.

– Jesteśmy bardzo bliskimi przyjaciółmi.

– Więcej niż przyjaciółmi.

– W tej chwili nikim więcej. Zresztą to nie twoja sprawa.

– Nie masz prawa się na mnie złościć. – Zniecierpliwiona zerwała się z łóżka. Wbiła we mnie wzrok, ale nie mogłam wykrztusić ani słowa, bo zbierało mi się na płacz.

– Chciałam tylko powtórzyć, co słyszałam, żeby nie doszło to do ciebie z innych ust – oznajmiła. – Nadal milczałam, więc zbierała się do odejścia.

– Nie gniewam się. – Wyciągnęłam do niej rękę. – Postaraj wczuć się w moje położenie. Nie mogę nie wybuchnąć, słysząc takie wieści. Ty też byś tak zareagowała.

– Skąd wiesz, co zrobiłam, gdy sama to usłyszałam? – Wyrwała mi się.

Patrzyłam bezsilna, jak wychodzi z pokoju, myśląc, że nie znam nikogo, z kim tak trudno byłoby się porozumieć. Zawsze się o coś żarłyśmy. Ustępowała dopiero, gdy uznała, że odcierpiałam swoje, gdy się

zorientowała, jak bardzo mi na niej zależy. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, myślałam, stawiając nogi na podłodze.

Przezesywałam włosy, zbierając siły do wstania i zmierzenia się z rozpoczynającym się dniem. Nie było mi lekko, czułam jeszcze brzemię zatartych już nocnych snów, które musiały być dziwaczne. Przypominały mi się jakieś obrazy wody i okrutnych ludzi, ja sama natomiast czułam się we śnie bezsilna i tchórzliwa. Wzięłam prysznic, włożyłam szlafrok i wsunęłam nogi w kapcie. W kuchni zastałam moją siostrzenicę i Pete'a, już ubranych.

– Dzień dobry – powitałam ich, jakbyśmy się z Lucy nie widziały.

– Taa, świetny. – Marino wyglądał jak z krzyża zdjęty, po nieprzespanej nocy i przed nieznośnym dniem.

Przysunęłam sobie krzeselko i usiadłam przy niewielkim stoliku. Słońce stało już wysoko na niebie, śnieg tonął w ognistej poświacie.

– Co jest? – spytałam, sztywniejąc.

– Pamiętasz wczorajsze ślady stóp przy murze? – Twarz miał czerwoną jak burak.

– Pewnie.

– No, to trochę ich od wczoraj przybyło. – Odstawił kubek z kawą. – Tyle że tym razem pojawiły się przy naszych samochodach, są to zwykłe traperki. Aha, jeszcze jedno – ciągnął, a mnie już dreszcz przechodził na myśl o tym, co ma zamiar oznajmić. – Wydostaniemy się stąd dopiero, gdy przyjedzie po nas jakaś ciężarówka do holowania. – Nie odzywałam się.

– Ktoś przebił nam opony. – Lucy zachowywała kamienną twarz. – Co do jednej. Jakimś szerokim ostrzem, może tasakiem lub maczetą.

– Z czego wynika, że z całą pewnością nie zjawił się tu u nas zbłąkany sąsiad ani kierowca – kontynuował Marino. – Mamy, zdaje się, do

czynienia z człowiekiem, który miał do wykonania określone zadanie. Gdy go wystraszyliśmy, jeszcze wrócił albo wysłał kogoś innego.

– Ile czasu zajęłoby nam naprawienie samochodów? – Wstałam, żeby nalać sobie kawy.

– Dzisiaj? Nie, dzisiaj nie macie się czego spodziewać, nie da rady.

– Ale musi – oświadczyłam beznamiętnie. – Trzeba się stąd wydostać, obejrzeć dom Eddingsa. Poza tym tutaj nie jesteśmy chyba szczególnie bezpieczni.

– Coś mi się zdaje, że masz rację – wtrąciła Lucy.

Przysunęłam się do okna nad zlewem, skąd jak na dłoni widać było nasze wozy, których opony przypominały gumowe kałuże na śniegu.

– Przebili z boków, w poprzek – oznajmił Marino – tak że nie można załatać.

– To co począć?

– Komenda w Richmond podpisała umowy o wzajemnej pomocy z innymi posterunkami. Dzwoniłem do Virginia Beach, już do nas jadą.

Do jego samochodu potrzeba było policyjnych opon i felg, nam przydałyby się goodyeary i micheliny, bo przyjechałyśmy tu prywatnymi samochodami. Zwróciłam mu na to uwagę.

– Jedzie tu większa ciężarówka – odparł, gdy już usiadłam. – Za parę godzin załadują twojego benza i złoma Lucy, by odwieźć je do Bell Tire Service na bulwarze Virginia Beach.

– To nie jest żaden złom – zaprotestowała Lucy.

– A po co kupiłaś sobie wózek w kolorze papuziego gówna? Tak cię nauczyle w Miami, czy co?

– Nie, to konieczność oszczędzania. Kosztował mnie dziewięćset dolarów.

– A co my zrobimy w tym czasie? – dopytywałam się. – Dobrze wiesz, że za szybko to się nimi nie zajmą. Koniec końców, jest Nowy Rok.

– Święta prawda. Rozwiązanie jest proste: jeśli chcesz się dostać do Richmond, musisz przejechać się tam ze mną.

– Ekstra. – Staralam zachowywać się ugodowo. – To przygotujmy się teraz do jak najszybszego odjazdu.

– Poczynając od spakowania twoich maneli – zwrócił się do mnie. – Według mnie, powinnaś stąd jak najprędzej zmiatać.

– Nie mogę. Muszę tu tkwić do chwili powrotu doktora Manta z Londynu.

Mimo to spakowałam się, jakbym nigdy więcej nie zamierzała wrócić do tego domku. Następnie zrobiliśmy możliwie najdokładniejsze oględziny miejsca popełnienia przestępstwa, bo pocięcie komuś opon kwalifikowało się jako wykroczenie, a zdawaliśmy sobie sprawę, że miejscowa policja nie podejdzie do naszego przypadku ze spontanicznym entuzjazmem. Nie byliśmy w stanie zrobić odlewów śladów, więc ograniczyliśmy się do wykonania zdjęć, chociaż liczyłam się z tym, że na ich podstawie będzie można stwierdzić jedynie, iż podejrzany miał na nogach standardowe buty ze znakiem firmowym Vibram na obcasie mocno startej podeszwy.

Gdy już niemal przed południem zjawili się młody funkcjonariusz nazwiskiem Sanders i czerwona ciężarówka holownicza, włożyłam do bagażnika samochodu Pete'a dwa zniszczone radiale. Przez chwilę patrzyłam, jak mężczyźni w wojskowych kombinezonach i pikowanych kurtkach z niewiarygodną szybkością kręcą korbami, podczas gdy wciągarka winduje w górę przód forda Pete'a, jakby pojazd miał zaraz ulecieć w powietrze. Sanders zapytał, czy istnieje możliwość, że ten incydent ma jakiś związek z piastowaną przeze mnie funkcją. Powiedziałam, że raczej nie.

– Pod tym adresem mieszka w zasadzie mój zastępca – tłumaczyłam. – Doktor Philip Mant. Wyjechał na jakiś miesiąc do Londynu, a teraz ja go z kolei najzwyczajniej w świecie zastępuję.

– I nikt nie wie, że pani tu przebywa? – dopytywał się Sanders, którego najwidoczniej nie doceniłam.

– Z pewnością niektórzy wiedzą. Odbierałam telefony do niego.

– A zatem sądzi pani, że nie ma to żadnego związku z pani zawodem i funkcją.

Zapisywał.

– Na razie nie mam żadnych dowodów na potwierdzenie takiej tezy – odparłam. – Nie można nawet wykluczyć możliwości, że to jakiś dzieciak chciał się zabawić w sylwestrową noc.

Sanders nie spuszczał z oczu Lucy, która stała przy naszych wozach i rozmawiała z Pete'em Marino.

– A to kto? – zapytał.

– Siostrzenica. Pracuje w FBI. – Podałam mu nazwisko Lucy.

Poszedł zamienić z nią parę słów, a ja po raz ostatni udałam się do domku, wchodząc przez drzwi od tyłu. Powietrze wewnątrz było cieplejsze dzięki wpadającemu przez szyby blaskowi słonecznemu, który odbarwiał wszystkie meble; czułam pozostałą po wczorajszej kolacji woń czosnku. Raz jeszcze rozejrzałam się po swojej sypialni, otwierając szuflady i grzebiąc w wiszących w szafach ubraniach. Ogarniało mnie przygnębiające poczucie zawodu. Liczyłam, że mi się tu spodoba. Zajrzałam też do pomieszczenia, w którym spała Lucy, potem do stołowego, gdzie do późna w nocy czytałyśmy „Księgę Handa”. To wspomnienie niepokoiło mnie na równi z mgliście zapamiętanymi snami, aż poczułam na ramionach gęsią skórę. Zdało mi się, że krew ścina mi się w żyłach z przerażenia i raptem pomyślałam, że nie zniosę ani chwili dłużej w tym domu. Wybiegłam na

zabudowany ganek, stamtąd na podwórze za domem. Światło słoneczne dodało mi otuchy; gdy spojrzałam w stronę morza, uwagę moją ponownie przykuł mur.

Gdy brnęłam w jego kierunku, śnieg sięgał mi po czubki cholew kozaków; nocne ślady gdzieś zniknęły. Intruz, którego latarkę spostrzegła Lucy, przeszedł przez mur i jakby zapadł się pod ziemię. Ale na pewno jeszcze wrócił, albo on, albo ktoś inny, bo ślady koło samochodów zrobiono już po ustaniu śniegu, przy czym nie pochodziły one ani z butów do nurkowania, ani do surfingu. Zerknęłam za mur na białą plażę za wydumą. Śnieg leżał na niej w zaspach niczym cukier puder, od czasu do czasu wdzierały się weń morskie fale, przypominające postrzępione pióra. Woda miała niespokojny, ciemnoniebieski odcień; jak okiem sięgnąć, na brzegu ani żywej duszy. Patrzyłam tak dłuższą chwilę, zajęta rozważaniami i snuciem domysłów. Gdy się odwróciłam, ku swojemu zaskoczeniu stanęłam oko w oko z detektywem Roche'em, który stał ode mnie na wyciągnięcie ręki.

– O Boże! – jęknęłam. – Proszę nigdy się tak do mnie nie podkradać.

– Szedłem po pani śladach i pewnie dlatego nic pani nie słyszała. – Żuł gumę, a ręce trzymał w kieszeniach skórzanego płaszcza. – Jeśli zechcę, potrafię całkiem niezłe gdzieś się bezszelestnie podkraść.

Gapiałam się na niego w bezruchu, moja niechęć do tej postaci nie miała chyba granic. Włożył ciemne spodnie i buty z cholewami, za okularami pilota nie można było dojrzeć oczu. Ale nie miało to szczególnego znaczenia. Zdążyłam go już rozgryźć. Aż za dobrze znałam ten typ ludzi.

– Słyszałem o waszym wypadku i przyjechałem służyć ewentualną pomocą.

– Nie wiedziałam, że zawiadamialiśmy policję w Chesapeake – odparowałam.

– Komendy w Virginia Beach i Chesapeake mają wspólny kanał, na którym słyszałem wasze wezwanie. Przyznam się pani, że od razu przyszło mi do głowy, że istnieje tu jakiś związek.

– Z czym?

– Z naszym śledztwem. – Przysunął się. – Wygląda na to, że ktoś faktycznie splątał wam nielicznego figła. To może być przestroga. Że niby pchacie nos w nie swoje sprawy.

Mój wzrok spoczął tymczasem na jego nogach, na sznurowanych cholewach goretexów ze skóry o barwie wątroby, rzucił mi się też w oczy wzór na podeszwach, widoczny w pozostawionych przez niego śladach. Miał ogromne dłonie i stopy, buty były z podeszwami z wibramu. Uniosłam wzrok na twarz, która mogłaby być uznana za przystojną, gdyby nie zdradzała małego i podlejszego rodzaju ducha. Gdy się po dłuższej chwili odezwałam, starałam się nie owijać niczego w bawełnę:

– Rzuca pan aluzje tak jak kapitan Green. Proszę mi wobec tego powiedzieć, czy to są pogrożki?

– Tak mi się po prostu nasunęło.

Postąpił jeszcze krok w moją stronę, plecami opierałam się już o mur. Topniejący na nim śnieg spłynął mi za kołnierz, za to krew, coraz mocniej rozgrzana, szybko krążyła w żyłach.

– A tak *à propos* – ciągnął, z każdą chwilą się do mnie przybliżając – co nowego słyhać w naszej sprawie?

– Proszę się odsunąć – zażądałam.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć, że rozmawia pani ze mną szczerze. Jestem przekonany, że ma pani wyrobione zdanie na temat przyczyn śmierci Teda Eddingsa, a wcale nie ma pani ochoty podzielić się informacjami.

– To nie jest odpowiednia chwila do rozmów na ten temat.



– Czyżby? To bardzo źle się składa, bo ja jednak odpowiadam przed pewnymi ludźmi. – Nie wierzyłam własnym oczom, gdy położył mi rękę na ramieniu i bez mrugnięcia okiem ciągnął: – Nie życzy mi pani chyba źle.

– Proszę mnie nie dotykać – ostrzegłam. – Proszę nie przeciągać struny.

– Przydałoby się niejaki zblizenie, dzięki któremu moglibyśmy się lepiej porozumieć. – Ręka mu nawet nie drgnęła. – Moglibyśmy na przykład wpaść na kolację do jakiegoś milutkiego, zacisznego lokalu. Lubi pani owoce morza?

Znam takie jedno ustronne miejsce nad cieśniną. – Zastanawiałam się, czy dźgnąć go palcem w tchawicę. – Proszę się nie boczyć. Zaufać mi. Nic się pani nie stanie. To niewielkie miasto, pełne zadzierających nosa bywalców, jak Richmond. Tutaj każdy żyje, jak się da. Chyba się rozumiemy? – Usiłowałam go wyminąć, ale złapał mnie za ramię. – Przecież do pani mówię. – Zaczynał opuszczać go spokój. – Proszę stać w miejscu, kiedy do pani mówię.

– Proszę mnie puścić – zażądałam.

Próbowałam wyrwać ramię, lecz Roche odznaczał się zadziwiającą siłą.

– Choćbyś miała kupę stopni naukowych, i tak do pięt mi nie dorastasz – wydyszał, a z ust jechało mu czymś w rodzaju miętowej gumy do żucia.

– Puszczaj natychmiast – powiedziałam głośno i stanowczo. – Już! – wrzasnęłam, jakbym chciała go tym krzykiem na miejscu uśmiercić.

Ni stąd, ni zowąd mnie puścił, więc zaczęłam zdecydowanie brnąć przez śnieg. Przystanąłam dopiero przed domem, brakowało mi tchu i byłam oszołomiona.

– Trzeba sfotografować ślady stóp za domem – zwróciłam się do wszystkich naraz. – Należą do detektywa Roche’a, który był tam przed chwilą. Proszę też wynieść z domu wszystkie moje rzeczy.

– Co to znaczy, że on tam przed chwilą był? – dopadł mnie Marino.

- Trochę sobie pogadaliśmy.
- Jak udało mu się tam dostać, gdy my nie widzieliśmy go na oczy?  
Omiotłam wzrokiem ulicę, nie dostrzegając żadnego pojazdu, który mógłby należeć do policjanta.
- Nie wiem, jak tam dotarł. Pewnie przez czyjeś podwórko. Albo prosto z plaży.
- Nie masz zamiaru tu wracać? – dopytywała się Lucy, która wyglądała na zdezorientowaną.
- Wynosisz się na zawsze?
- Dołożę wszelkich starań, żeby moja noga więcej tu nie powstała – potwierdziłam.



Pomogła mi spakować resztę rzeczy; zajście z Roche'em opowiedziałam im dopiero, gdy znaleźliśmy się już w wozie Pete'a, pędzącym sześćdziesiątą czwartą zachodnią w stronę Richmond.

- Cholera jasna by to wzięła! – wykrzyknął Marino. – Ten sukinsyn się do ciebie dowalał. Czemu nie krzyczałaś?
- Sądzę, że miał za zadanie napastować mnie w czyimś imieniu.
- Wszystko jedno, ważne, że chciał cię poderwać. Powinni ci wystawić nakaz zatrzymania.
- Za takie rzeczy nikogo się jeszcze nie wsadza do aresztu.
- Łapał cię.
- Mam go zatrzymać za to, że złapał mnie za ramię?
- Powinien trzymać ręce przy sobie. – Marino kipiał gniewem. – Kazałaś mu puścić i nie posłuchał. To uprowadzenie. A przynajmniej napad. To się w pale nie mieści.

– Powinnaś zgłosić to do resortu spraw wewnętrznych – dorzuciła Lucy, która siedziała obok Pete’a i grzebała coś przy radiostacji, gdyż nie umiała siedzieć z nie zajętych rękami. – Pete, nie działa wyciszenie. Nic nie słychać na kanale trzy. Czyli trzeci rejon?

– A czego można się spodziewać, gdy się jedzie gdzieś koło Williamsburga? Myślisz, że pracuję w policji stanowej?

– Nie, ale gdybyś pogadał z jakimś szeryfem, dałoby się to załatwić.

– Pewnie umiałabyś się połączyć nawet z wahadłowcem kosmicznym – dorzucił podenerwowany.

– Jeżeli umiesz – włączyłam się – to może załatwiłabyś mi miejsce na pokładzie.

## Rozdział szósty

Do Richmond dotarliśmy o wpół do trzeciej; strażnik podniósł szlaban i wpuścił nas na zamkniętą ulicę, na którą się niedawno wprowadziłam. Jak przystało na tę porę roku w Wirginii, nigdzie nie można było uświadczyc ani płatka śniegu, a z drzew obficie kapała woda, gdyż przez noc deszcz zmienił się w sople lodu, a potem się ociepliło. Mój dom z kamienia był nieco oddalony od ulicy, stał nad urwistym brzegiem i miałam z niego widok na ostre i skaliste zakole rzeki James. Działka porośnięta była drzewami i otoczona parkanem z kutego żelaza, przez który nie byłyby w stanie przecisnąć się okoliczne dzieciaki. Nie zawarłam znajomości z żadnym z sąsiadów, nie miałam też na to najmniejszej ochoty.

Gdy po raz pierwszy w życiu zdecydowałam się na budowę domu, nie przewidziałam mnóstwa piętrzących się trudności; cokolwiek bym wybrała: dachówkę, kostkę brukową czy kolor drzwi wejściowych, każdy z sąsiadów miał jakieś ale. Gdy zaczęło dochodzić do tego, że w swej bezsilności kierownik budowy przerywał mi pracę w kostnicy, zagroziłam komitetowi obywatelskiemu mieszkańców sprawą sądową. Łatwo się więc domyślić, że z rzadka zapraszano mnie na przyjęcia w sąsiedztwie.

– Sąsiedzi na pewno nie posiadają się z radości, że wróciłaś – zauważyła sucho Lucy, gdy wysiadaliśmy z wozu.

– Wątpię, żeby zwracali na mnie aż tyle uwagi. – Zaczęłam grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy.

– Nie miej złudzeń – wtrącił się Marino. – Jesteś jedyną znaną im osobą, która regularnie ogląda miejsca zbrodni i robi sekcje zwłok. Założę się, że bez przerwy obserwują, co się u ciebie dzieje. Można nawet zaryzykować,

że jak tylko zjedziesz do domu, strażnicy telefonicznie zawiadamiają o tym każdego z osobna.

– Dzięki za troskę – odparłam, otwierając drzwi wejściowe. – Ogromnie mi pomogliście, tym bardziej że właśnie zaczęło mi się tu nawet trochę podobać.

Włączył się alarm antywłamaniowy, ostrzegając, żebym jak najszybciej nacisnęła kilka odpowiednich przycisków, więc zaczęłam rozglądać się w popłochu dokoła, bo wciąż nie czułam się tu jak u siebie w domu. Bałam się, że zacznie przeciekać dach, odpadnie tynk albo coś innego się zepsuje, a kiedy mimo to wszystko było w porządku, odczuwałam ogromną dumę, jakby była w tym moja zasługa. Dom był dwupoziomowy i bardzo jasny, okna rozmieściłam tak, żeby wpadał przez nie każdy promień światła. Pokój gościnny miał ściany ze szkła, przez które można było podziwiać szmat rzeki, wieczorami mogłam więc oglądać zachód słońca nad porastającymi brzegi drzewami. Obok sypialni mieściło się biuro, w którym nareszcie mogłam pracować nie skrzepowana ciasnotą. Poszłam sprawdzić, czy są jakieś faksy; przyszły cztery.

– Coś pilnego? – spytała Lucy, która weszła ze mną do środka, zostawiając Pete'a przy bagażach.

– Tak się złożyło, że wszystkie są do ciebie od matki.

Podaliśmy jej.

– Skąd jej przyszło do głowy, żeby tu do mnie faksować?

Zmarszczyła brwi.

– Nie wspominałam, że chwilowo mieszkam w Sandbridge. A ty?

– Nie. Ale babcia powinna była to wiedzieć, no nie?

– Raczej tak, ale moja matka nie zawsze umie dogadać się z twoją. – Rzuciłam okiem na faksy. – Wszystko w porządku?

– Dziwaczka. Zainstalowałam jej w komputerze modem i CD ROM, pokazałam też, jak trzeba ich używać. Od tamtej pory zawsze mnie o to pyta. Każdy z faksów składa się z pytań o informatykę. – Poirytowana przekładała kartki.

Mnie też drażniła jej matka, Dorothy. Była moją siostrą, jedyną siostrą, a nie chciało jej się nawet życzyć swojej córce szczęśliwego nowego roku.

– Przyszły dzisiaj – podjęła Lucy. – Są święta, a ona zapisuje wszystko na jednej z tych swoich głupawych książeczek dla dzieci.

– Prawdę mówiąc – zaproponowałam – te książeczki nie są wcale głupawe.

– Jak uważasz. Nie wiem, kiedy zajmowała się dziećmi, ale nie zbiegło się to akurat z moim dzieciństwem.

– Szkoda, że wciąż tak ze sobą zadzieracie – wypowiedziałam sakramentalne zdanie, powtarzane przez całe życie Lucy. – Wcześniej czy później będziesz się z nią musiała pogodzić. Zwłaszcza kiedy umrze.

– Ty tylko o śmierci.

– Zgoda, ale stale ją napotykam i wiem, że to odwrotna strona życia. Nie można przechodzić obok niej obojętnie, tak samo jak nie można nie zauważać nocy. Będziesz musiała zrobić coś z Dorothy.

– Nic z tego. – Obróciła się w moją stronę na skórzanym krześle przy biurku. – To nie ma sensu. Ona nigdy mnie nie rozumiała.

Miała, zdaje się, rację.

– Możesz śmiało siadać do komputera – zachęciłam ją.

– To potrwa tylko parę minut.

– Marino pojedzie po nas koło czwartej.

– A gdzieś pojechał?

– Na chwilę.

Przy akompaniamencie stukania w klawiaturę poszłam do sypialni, gdzie zaczęłam się rozpakowywać i obmyślać nowe plany. Potrzebny mi był samochód i nie wiedziałam, czy mam coś wynająć; chciałam się przebrać, ale nie miałam pojęcia w co. Co gorsza, zdawałam sobie sprawę, że perspektywa spotkania z Wesleyem sprawi, że zacznę zwracać uwagę na to, co mam na sobie. Z upływem czasu czułam coraz mniejszą ochotę na to spotkanie.

Marino przyjechał o umówionej porze; jakimś cudem znalazł czynną myjnię, zatankował też benzynę. Sunęliśmy aleją Monument, wjeżdżając do dzielnicy zwanej Fan, w której wzdłuż zabytkowych alei stały zgrabne wille, a w starych domostwach gnieździli się studenci college'ów. Przy pomniku Roberta E. Lee Marino skręcił w ulicę Grace, gdzie w białym bliźniaku w stylu kolonialnym, z czerwoną chorągiewką świętego Mikołaja, powiewającą nad drewnianym gankiem i huśtawką, mieszkał Ted Eddings. Między słupkami rozpięta była jasnożółta sądowa taśma, niby ponura parodia kokard na świątecznych prezentach, a wypisane na niej czarne litery przestrzegały ciekawskich, że tutaj wchodzić nie wolno.

– W tej sytuacji nie chciałem, żeby ktokolwiek się tu plątał, a z drugiej strony, nie wiedziałem, czy ktoś jeszcze ma klucze do domu – wyjaśniał Marino, otwierając drzwi. – Wścibski gospodarz, któremu przysłoby do głowy sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu, oddałby nam prawdziwie niedźwiedzią przysługę.

Ani widu, ani słyhu Wesleya, i zaczęłam już liczyć, że mimo wszystko nie przyjedzie, kiedy do moich uszu doleciał gardłowy warkot jego szarego BMW. Zaparkował naprzeciwko; gdy wyłączył silnik, automatycznie zniknęła antena radiowa.

– Jeśli chcesz poszperać w środku, to ja tu na niego poczekam – zaproponował Marino.

– Muszę z nim pogadać. – Lucy zeszła po schodkach, ja zaś włożyłam bawełniane rękawice i oznajmiłam:

– Znajdziecie mnie w środku – jakby Wesley był jakimś nieznajomym.

Weszłam do holu i zewsząd zaczęły nacierać na mnie oznaki obecności Teda Eddingsa. Jego pedanterię dało się odczuć w niezwykle skąpym umeblowaniu, indyjskich chodnikach i wyfroterowanych podłogach, jego wewnętrzne ciepło – w słonecznych, żółtych ścianach, na których zawiesił śmiałe, czarne grafiki. Na wszystkich sprzętach zebrała się delikatna warstewka kurzu, naruszona wszędzie tam, gdzie ostatnio buszowali policjanci. Odnosiło się wrażenie, iż begonie, fikusy, bluszczowate figi i fiołki oplakują odejście pana, zaczęłam się więc rozglądać za konewką. Znalazłam ją w pralni, napełniłam i zaczęłam ożywiać kwiaty, nie chcąc pozwolić im uschnąć. Nie usłyszałam kroków wchodzącego Wesleya Bentona.

– Kay? – odezwał się cicho za moimi plecami. Odwróciłam się i dostrzegłam w moich oczach żal, którego nie był przecież obiektem. – Co ty wyprawiasz? – Patrzył w bezruchu, jak wlewam wodę do doniczki.

– To, co widzisz. – Zamilkł i wbił we mnie wzrok. – Znałam Teda. Niezbyt dobrze, ale moi pracownicy strasznie go lubili. Przeprowadził ze mną sporo wywiadów i... sama nie...

Zaplątałam się.

Wesley był chudy, co jeszcze bardziej wyostrzało rysy jego twarzy, zupełnie już posiwiął, chociaż był niewiele starszy ode mnie. Wyglądał na zmęczonego, ale nie różnił się tym od wszystkich innych moich znajomych, nic nie zdradzało natomiast, że żyje samotnie. Rozstanie z żoną ani ze mną nie zostawiło na nim szczególnie bolesnych śladów.

– Pete mówił mi, co wam się przytrafiło.

– Dziwna sprawa.



Nie przerywałam podlewania.

– I na dodatek ten detektyw. Jak mu tam, Roche? Będę musiał zamienić parę słów z jego szefem. Na razie namierzamy go telefonicznie, a kiedy skończymy, coś ci powiem.

– Nie ma potrzeby.

– Trudno.

– To dobrze.

– Niech będzie. – Uniósł ręce na znak, że się poddaje, i rozejrzał się po pokoju. – Był nadziany i rzadko bywał w domu.

– Ktoś troszczył się o kwiatki – powiedziałam.

– Często? – Popatrzył na rośliny.

– Te nie kwitnące podlewano przynajmniej raz w tygodniu, resztę co drugi dzień, w zależności od temperatury pomieszczenia.

– A więc nie podlewano ich od tygodnia? – Albo i dłużej.

Lucy i Marino byli już na korytarzu.

– Chciałabym rozejrzeć się po kuchni – oznajmiłam, odstawiając konewkę.

– Dobry pomysł.

Kuchnia była małym pomieszczeniem; nic tu chyba nie zmieniano i nie odnawiano od trzydziestu lat. W szafkach natrafiłam na garnki starej daty, puszki tuńczyka i zupy, precle i inne ciastka do przegryzania. W lodówce Eddings gromadził właściwie tylko piwo. Moją szczególną uwagę przykuła tam jednak obwiązana wielką czerwoną kokardą butelka szampana Louis Roederer Cristal.

– Coś ciekawego? – Wesley zaglądał tymczasem pod zlew.

– Sama nie wiem. – Myszkowałam cały czas w lodówce. – Taki specjał może człowieka szarpnąć na jakieś sto pięćdziesiąt dolarów w restauracji, w sklepie może ze trzydzieści mniej.

– Wiadomo, ile zarabiał?

– Nie, ale raczej niedużo.

– Naskładał tam kupę pasty do butów i innych środków czyszczących. –

Wesley wyprostował się.

Odwróciłam butelkę i odczytałam naklejkę na etykiecie.

– Kosztował sto trzydzieści dolarów i nie kupiono go tutaj. Nigdy nie słyszałam, żeby w Richmond istniał sklep pod nazwą Kupiec Winny.

– Pewnie to prezent. I stąd ta kokarda.

– Może kupiony w dystrykcie Columbia?

– Nie mam pojęcia, ostatnio jakoś nie kupowałem tam za dużo win.

Zamknęłam lodówkę. Odkrycie sprawiło mi tajoną przyjemność, gdyż obydwójce bardzo lubiliśmy wino. Swego czasu wybieraliśmy jakąś szczególną markę, siadaliśmy na kanapie albo łóżku i powoli sączyliśmy trunek.

– Nie robił chyba za dużo zakupów – orzekłam. – Wygląda na to, że rzadko jadał w domu.

– Mnie się wydaje, że w ogóle rzadko tu wpadał.

Poczułam jego bliskość, gdy przechodził obok mnie; aż trudno było to wytrzymać. Używał delikatnej wody kolońskiej z subtelną domieszką woni cynamonu i drewna i wystarczyło, że gdzieś wyczułam taki zapach, a już nogi zaczynały się pod mną uginać.

– Nic ci nie jest? – spytał głosem przeznaczonym do naszych najintymniej szych rozmów.

– Coś nie tak. Okropność. – I trochę za mocno zamknęłam szafkę.

– Będziemy musieli uważnie zbadać jego sytuację materialną, żeby odkryć, skąd zdobywał pieniądze na jądanie w restauracjach i kupowanie drogiego szampana.

Wyszliśmy na korytarz.

Odpowiednie papiery leżały w gabinecie, a policja jeszcze ich nie oglądała, gdyż oficjalnie nie było dotąd mowy o żadnym przestępstwie. Niezależnie od moich podejrzeń i budzących wątpliwości okoliczności zgonu Eddingsa, nie sposób było na razie traktować tej sprawy jako zabójstwa.

– Czy ktoś wchodził już do komputera? – zapytała Lucy, stając przed 486-ką na biurku Teda.

– Nie – odparł Marino, który przeglądał dokumenty ułożone w zielonym metalowym pudełku. – Ktoś wspominał, że nie można dostać się do środka.

Dotknęła myszki i na ekranie ukazało się okno, w które należało wpisać hasło.

– No tak – powiedziała – ma hasło, nic zresztą dziwnego. Za to w napędzie pomocniczym brak jakiegokolwiek dyskietki. Pete, znaleźliście tu jakieś dyskietki?

– Tak, stoi tam całe pudełko. – Wskazał ręką na szafkę z książkami, na której stały szeregi książek o historii wojny secesyjnej i luksusowy komplet oprawnych w skórę encyklopedii. Lucy otworzyła pudełko z dyskietkami.

– Nie, to dyskietki instalacyjne do Worda. – Popatrzyła w naszą stronę. – Ludzie z reguły mają kopie wszystkich plików. On też powinien, oczywiście pod warunkiem, że zajmował się czymś u siebie w domu.

Tego akurat nikt nie wiedział. Wiedzieliśmy jedynie, że Eddings pracował w redakcji Associated Press przy Czwartej Ulicy. Nie mieliśmy skąd zasięgnąć informacji o tym, co robił w domu, aż w końcu Lucy ponownie uruchomiła komputer, wklepała doń kilka sobie tylko znanych zaklęć i dostała się do plików instalacyjnych. Włączyła ekran i zaczęła przeglądać katalogi w Wordzie, wszystkie zresztą puste. W komputerze Eddingsa nie było ani jednego pliku.

– Kurde, to się już robi dziwne, chyba że w ogóle nie używał komputera.

– To się nie mieści w głowie – dorzuciłam. – Nawet jeśli pracował na mieście, to musiał w jakimś celu urządzać sobie domową pracownię.

Zaczęła coś tam jeszcze wpisywać, gdy tymczasem Marino z Wesleyem przeglądali dokumentację finansową, którą Eddings zgromadził starannie w jednej z szuflad.

– Myślę, że nie wykasował sobie całego podkatalogu – odezwała się Lucy, która zdążyła się już przedostać do systemu operacyjnego. – Nie jestem w stanie odzyskać go bez napędu pomocniczego, a nigdzie niczego takiego nie widzę.

Patrzyłam, jak pisze *undelete \**, *\** i wciska *enter*. Jakby cudem na ekranie pojawiła się nazwa pliku *killdrug. old*, który zachowała, potem następna. Tym sposobem odzyskała w sumie dwadzieścia sześć plików.

– To mi się właśnie podoba w Dosie 6 – oznajmiła sucho, wydawszy komendę drukowania.

– Wiadomo, kiedy zostały usunięte? – zapytał Wesley.

– Dzień i godzina są wszędzie takie same – odparła. – O kurcze, trzydziesty pierwszy grudnia, między 01.01 a 1.35 w nocy. Zdawałoby się, że o tej porze powinien już być martwy.

– Zależy od tego, kiedy wyruszył do Chesapeake – zaproponowałam. – Łódkę odkryto dopiero o szóstej rano.

– Zegar w komputerze chodzi dobrze, więc godziny podane są prawidłowo – dorzuciła.

– Czy wykasowanie takiej liczby plików mogłoby zająć ponad pół godziny? – spytałam.

– Raczej nie, to sprawa kilku minut.

– W takim razie możliwe, że przed kasowaniem ktoś je odczytywał.

– To się często zdarza. Drukarka potrzebuje więcej papieru. Ukradnę trochę z faksu.

– O właśnie, możemy uzyskać spis faksów? – zapytałam.

– Bez problemu.

Podawała mi szereg nic mi nie mówiących danych technicznych i numerów telefonu, które zamierzałam później sprawdzić. Dowiedzieliśmy się przynajmniej, że mniej więcej w momencie śmierci Eddingsa ktoś przedostał się do jego komputera i wykasował wszystkie znajdujące się tam pliki. Lucy wyjaśniła nam, że winowajca nie grzeszył przemyślnością, gdyż biegły informatyk usunąłby także wszystkie pliki z katalogów, wskutek czego komenda *undelete* nie odniosłaby skutku.

– To się nie trzyma kupy – oświadczyłam. – Dziennikarz pracował na wymyślnym sprzęcie i wygląda na to, że zachowywał wszelkie środki ostrożności. Co jest w sejfie? – zwróciłam się do Pete’a. – Znalazłeś w nim jakieś dyskietki?

– Nie.

– Co nie oznacza, że nikt nie dostał się do sejfu i w ogóle do domu.

– Sprawca musiał znać szyfr do sejfu i kod wyłączający alarm antywłamaniowy.

– Czy są takie same? – spytałam.

– Tak. Wszędzie wykorzystywał datę urodzenia.

– Skąd wiesz?

– Od jego matki.

– Znaleźliście jakieś kluczyki? Przy zwłokach nie było żadnych, a przecież musiał jakoś zapalić swoją furgonetkę.

– Roche utrzymywał, że nie było żadnych kluczyków – powtórzył Marino, i mnie też wydało się to dziwaczne.

– To chyba wszystko są jakieś artykuły – odezwał się Wesley, który przeglądał wychodzące z drukarki strony.

– Opublikowane?

– Chyba tak, bo niektóre wyglądają na bardzo stare. Na przykład o samolocie, który spadł na Biały Dom. Albo o samobójstwie Vince’a Foster.

– Może robił porządki – zasugerowała Lucy.

– No proszę. – Marino oglądał wyciąg bankowy. – Dziesiątego grudnia wpłynęło na jego rachunek trzy tysiące dolarów. – Otworzył kolejną kopertę. – To samo w listopadzie.

Takie przelewy dostawał także w październiku i we wszystkich pozostałych miesiącach; zresztą sądząc z jego sytuacji majątkowej, musiał jakoś uzupełniać swoje dochody. Miesięczna rata kredytu hipotecznego wynosiła tysiąc dolarów, tyle samo zdarzało mu się wydawać miesięcznie na rachunki, a przy tym wszystkim zarabiał zaledwie czterdzieści pięć tysięcy rocznie.

– Nieźle. Przy takich zastrzykach kasy wyciągał co najmniej osiemdziesiąt tysięcy na rok – skwitował Marino.

Wesley podszedł do mnie i bez słowa podał mi jakąś kartkę.

– Nekrolog Dwaina Shapiro w „Washington Post”, z szesnastego października ubiegłego roku.

Artykuł był króciutki, mowa w nim była o tym, że Shapiro zajmował posadę mechanika w przedstawicielstwie Forda w dystrykcie Columbia i został zastrzelony podczas próby uprowadzenia jego samochodu, gdy późno w nocy wracał do domu z jakiegoś baru. Ani słowa o Nowych Syjonistach.

– To nie jest notatka pióra Eddingsa – powiedziałam stanowczo – tylko jakiegoś dziennikarza z „Post”.

– To skąd wziął tę zasraną „Księgę”? – wtrącił Marino. – I dlaczego znalazła się akurat pod łóżkiem?

– Może po prostu ją czytał – wyjaśniłam obojętnie – może też nie chciał, żeby ktoś, choćby gospodarz domu, zobaczył ją w jego rękach.

– Doszliśmy do notatek. – Lucy nie odrywała oczu od ekranu, otwierając kolejne katalogi i powtarzając komendę drukowania. – Zaczyna się robić ciekawie. O kurczę! – W miarę jak przewijała tekst, a laserówka buczała i szumiała, Lucy była coraz bardziej rozemocjonowana. – A to ci dopiero. – Odwróciła się w stronę Wesleya. – Ma tu napisane o Nowej Korei, a wszystko zmieszane z notkami o Nowych Syjonistach i Joelu Handzie.

– To znaczy o Korei Północnej? – Wesley odczytywał kolejną stronę, podczas gdy Marino wysuwał następną szufladę.

– O zatargach naszych rządów, gdy Koreańczycy usiłowali w jednej ze swoich elektrowni jądrowych wyprodukować pluton nadający się do wykorzystania w broni nuklearnej.

– Handa chyba bardzo interesują takie sprawy, jak reakcja jądrowa, energia i tym podobne – dodałam. – Tak przynajmniej można sądzić na podstawie „Księgi”.

– No to może mamy do czynienia ze szkicem artykułu na jego temat.

– Po co Eddings miałby usuwać projekt dużego artykułu, którego jeszcze nie ukończył? Czy fakt, że zrobił to tej samej nocy, kiedy zginął, jest czystym zbiegiem okoliczności? – zastanawiałam się.

– To zachowanie typowe dla ludzi zamierzających popełnić samobójstwo, a przecież nie możemy wykluczyć takiej możliwości – dodał Wesley.

– Niech będzie – zgodziła się Lucy. – Załóżmy, że niszczy całą swoją pracę, żeby po jego śmierci jej owoce nie wpadły w niepowołane ręce. Następnie tak inscenizuje swoją śmierć, żeby przypominała morderstwo. Możliwe, że strasznie zależało mu na tym, by ludzie nie posądzali go o samobójstwo.

– Istnieje taka możliwość – potwierdził Wesley. – Być może był zamieszany w coś, z czego nie był w stanie się wyplątać, stąd też brały się

regularne przelewy bankowe. Mógł też popaść w wyjątkowo głęboką depresję albo opłakiwać śmierć bliskiej osoby, o której istnieniu nic nie wiemy.

– Możliwe też, że ktoś inny wykasował wszystkie katalogi, zabrał dyskiety i wydruki. Mogło się to stać już po jego śmierci – powiedziałam.

– W takim wypadku ten człowiek miał klucz do mieszkania, znał wszystkie szyfry i kombinacje – dorzucił Wesley. – Wiedział, że Eddingsa nie ma w domu i nieprędko się tu zjawi. – Uniósł wzrok w moją stronę.

– Zgoda.

– Skomplikowana historia.

– Fakt – zgodziłam się – ale jedno wiem na pewno. Jeżeli Eddings został rzeczywiście otruty pod wodą, nie zrobił tego sam. Nie wiemy też, po co mu było tyle broni. Ciekawe również, dlaczego pistolet znaleziony w łódce był powleczony farbą Birdsonga i miał specjalne naboje.

– Z drugiej strony, jego mocny instynkt samozachowawczy można byłoby uznać za oznakę chwiejności psychicznej. – Wesley zaczynał mnie coraz bardziej drażnić.

– Lub obawy przed zamordowaniem – dokończyłam.

Potem przeszliśmy do pokoju z bronią. Na stojaku przy ścianie zobaczyliśmy pistolety maszynowe, w otwartym rano przez policję sejfie znajdowały się pistolety, rewolwery i amunicja. Ted Eddings wyposażył małą sypialnię w prasę montażową, wagę cyfrową, matrycę do okrawania i ładowania, a wszystko po to, żeby zawsze mieć naboje pod ręką. W jednej z szuflad gromadził miedziane rurki i spłonki. W starym wojskowym pudełku trzymał proch; można też było odnieść wrażenie, że do gustu przypadły mu specjalnie celowniki laserowe.

– On jednak miał chyba nie po kolei w głowie. – Lucy przykucnęła przy sejfie, otwierając twarde, plastikowe futerały na broń. – To już z daleka



pachnie paranoją. Jakby wyobrażał sobie, że lada moment zaatakuje go jakaś armia.

– Paranoja przynosi zbawienne skutki, jeśli rzeczywiście ktoś zagiął na człowieka parol – oświadczyłam.

– Mnie też się zdaje, że gość był świrnięty – dorzucił Marino.

– W kostnicy poczułam odór cyjanku – przypomniałam im, coraz bardziej zniecierpliwiona. Nie obchodziły mnie żadne ich teorie. – Nie struł się gazem jeszcze przed wyjazdem nad rzekę, bo inaczej w chwili zetknięcia się z wodą padłby martwy.

– To ty poczułaś cyjanek – rzekł stanowczo Wesley. – Tylko ty, a nie dostaliśmy jeszcze wyników analizy toksykologicznej.

– Chcesz przez to powiedzieć, że sam się utopił?

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– Nie mam pojęcia.

– Nie było żadnych śladów utonięcia.

– A czy zawsze są? – spytał nie bez racji. – Słyszałem, że topielcy są przypadkami niezwykle trudnymi i właśnie dlatego do pomocy przysyła się specjalistów aż z południa Florydy.

– Pracę zaczęłam właśnie na Florydzie i wszyscy uważają mnie za eksperta od utonięć – oznajmiłam zdecydowanie.

Kłótnia przeniosła się na zewnątrz, na chodnik koło jego wozu, bo prawdę mówiąc, chciałam, żeby podwiózł mnie do domu, tak byśmy mogli w tym czasie dokończyć spór. Poświata księżycy była dość blada, najbliższa latarnia paliła się kilkadziesiąt metrów dalej, więc ledwie się nawzajem widzieliśmy.

– Kay, uspokój się, przecież nie sugerowałem, że nie znasz się na tym, co robisz – mówił Wesley.

– Sugerowałeś, jak najbardziej sugerowałeś. – Stałam przy drzwiach od strony kierowcy, jakby samochód należał do mnie i jakbym zbierała się w nim do odjazdu. – Czepiasz się. Jesteś upierdliwy.

– Zajmujemy się przypadkiem zgonu – oświadczył tym swoim spokojnym głosem – i nie czas ani miejsce na wywlekanie osobistych uraz.

– Wiesz, co ci powiem, Benton, ludzie to nie maszyny i zawsze biorą wszystko do siebie.

– I właściwie tylko o to chodzi. – Ominął mnie i zaczął otwierać drzwi. – Bierzesz wszystko do siebie z mojego powodu. Chyba nie powinienem tu przyjeżdżać. – Usiadł za kierownicą. – Ale myślałem, że tak trzeba, że to zrozumiesz i odpowiednio się zachowasz.

Obeszłam wóz i wsiadłam do niego, zastanawiając się, dlaczego Benton nie otworzył mi jak zwykle drzwi. Nie wiedzieć czemu ogarnęło mnie zmęczenie i zaczęło mi się chyba zbierać na płacz.

– Tak trzeba i rzeczywiście zachowałeś się jak należy – podjęłam. – Zginął człowiek. Sadzę, że nie tylko go zamordowano, lecz że wplątał się w jakąś większą aferę, która może cuchnąć jeszcze bardziej, niż nam się zdaje. Nie wierzę, żeby sam wykasował sobie wszystkie pliki i wyrzucił ich kopie na dyskietkach, bo to oznaczałoby, że wiedział, iż czeka go śmierć.

– Zgadza się. Znaczyłoby, że chce popełnić samobójstwo.

– A tu chodzi o coś gorszego. – Nasze spojrzenia spotkały się w ciemności. – Zdaje mi się, że ktoś znalazł się w jego domu późno w nocy, której Eddings miał zginąć – ciągnęłam.

– Ktoś znajomy.

– Albo osoba znająca kogoś, kto mógł się tam bez przeszkód dostać. Na przykład kolegę, znajomego czy przyjaciółkę. Nawiasem mówiąc, nie znaleźliśmy kluczy Teda.

– I podejrzewasz, że ma to jakiś związek z ruchem Nowych Syjonistów?

Gniew zaczął Wesleyowi przechodzić.

– Niestety, tak. Na dodatek ktoś przesyła mi ostrzeżenia, żebym nie wkraczała w szczegóły śledztwa.

– W co z kolei wplątana jest policja w Chesapeake.

– Niekoniecznie cała komenda. Może sam Roche – uściśliłam.

– Jeżeli masz rację, to on jest zwykłą płotką, która nie bardzo zna się na rzeczy i nie została wtajemniczona w spisek. Wygląda na to, że fascynacja twoją osobą to jego osobista inicjatywa.

– Zależy mu tylko na tym, żeby mnie nastraszyć, zademonstrować swoją siłę. Dlatego też sądzę, że tej fascynacji nie da się rozpatrywać niezależnie od reszty sprawy.

Wesley zamilkł, zapatrzył się przed siebie przez szybę samochodu; wykorzystałam ten moment nieuwagi i pozwoliłam sobie na rzut oka w jego stronę. Po chwili odwrócił się do mnie.

– Czy doktor Mant napomykał kiedykolwiek, że ktoś mu groził? – zapytał.

– Nie przy mnie. Zresztą wątpię, czyby coś wygadał, zwłaszcza jeśli go nastraszyli.

– Jak? Tego jakoś nie potrafię sobie wyobrazić. – Zapalił silnik i wyjechał na ulicę. – Jeżeli Eddings utrzymywał kontakty z Nowymi Syjonistami, to gdzie w tym układzie miejsce dla Manta?

Nie miałam pojęcia i przez chwilę panowała cisza, którą znowu przerwał:

– Dopuszczasz możliwość, że twój angielski kolega po fachu dał po prostu nogę? Skąd pewność, że jego matka rzeczywiście nie żyje?

Pomyślałam o kierowniku kostnicy w Tidewater, o tym, jak zniknął bez uprzedzenia i usprawiedliwienia. W jego ślady poszedł wkrótce Mant.

– Wiem tyle, ile sam mi powiedział – oznajmiłam – ale nie widzę powodów, żeby mu nie wierzyć.

– Kiedy wraca druga zastępczyni, która poszła na macierzyński?

– Właśnie urodziła.

– No tak, tego akurat nie sposób udawać.

Kierowaliśmy się ku Malvern, deszcz przybrał postać mikroskopijnych szpileczek, uderzających o szyby samochodu. Chciałam wydusić z siebie słowa, których nie mogłam wypowiedzieć na głos; gdy skręciliśmy w ulicę Cary, zaczęła mnie ogarniać czarna rozpacz. Chciałam powiedzieć Wesleyowi, że podjęliśmy właściwą decyzję, ale koniec związku nie jest równoznaczny z wygaśnięciem uczuć. Miałam ochotę zapytać o jego żonę Connie. Chciałam zaprosić go do siebie, jak za dawnych czasów, zapytać, czemu już do mnie nie dzwoni. Stara ulica Locke Lane, którą jechaliśmy w stronę rzeki, była nieoświetlona i Wesley jechał bardzo powoli, na dwójce.

– Wracasz dzisiaj do Fredericksburga? – spytałam.

– Rozwodzimy się z Connie – odezwał się po chwili milczenia. Pozostawiłam to bez komentarza. – To długa historia i, jak znam życie, przeciągnie się w nieskończoność i będzie raczej mało przyjemna. Dzięki Bogu, że dzieciaki są już dość duże. – Opuścił okno, a strażnik dał nam ruchem ręki znać, że możemy przejechać.

– Szkoda, bardzo mi cię żał, Benton. – Na mojej pustej i mokrej ulicy odgłos silnika BMW rozlegał się głośnym echem.

– Masz nawet prawo powiedzieć, że dostałem to, na co sobie zasłużyłem. Romansuje prawie od roku, a ja nie miałem o tym zielonego pojęcia. Szczyt sprytu, no nie?

– Kto to taki?

– Ma swoją firmę w Fredericksburgu i robił coś przy domu.

– A czy ona wie o nas? – Słowa z trudem przechodziły mi przez gardło, bo zawsze darzyłam Connie sympatią i wiedziałam, że gdy pozna prawdę, znienawidzi mnie.

Odpowiedział dopiero, gdy przebyliśmy mój podjazd i zaparkowaliśmy przed domem.

– Nie wiem. – Westchnął i spojrzał na swoje oparte na kierownicy dłonie. – Pewnie nasłuchiwała się plotek, ale raczej ich nie lubi, a już na pewno w nie, nie wierzy. – Zawahał się. – Wie, że dużo przebywaliśmy w swoim towarzystwie, razem wyjeżdżaliśmy i tak dalej. Ale wydaje mi się, że przypisuje to wyłącznie sprawom zawodowym.

– Okropna historia.

Milczał.

– Mieszkasz z nią jeszcze? – spytałam.

– Sama wolała się wyprowadzić. Zajmuje teraz mieszkanie, gdzie chyba mogą częściej spotykać się z Dougiem.

– Tak mu na imię?

Miał nieruchomą twarz, patrzył przez okno. Wyciągnęłam w jego stronę rękę i łagodnie ujęłam go za dłoń.

– Chciałabym ci jakoś pomóc, tylko musisz mi powiedzieć jak.

Popatrzył na mnie i przez chwilę w oczach zalśniły mu łzy żalu za żoną, jak mi się zdawało. Ciągle ją kochał; chociaż go rozumiałam, wolałam nie widzieć oznak takich uczuć.

– Nie da się nic zrobić. – Odkasznął. – Zwłaszcza w tej chwili. I pewnie jeszcze długo potem, może i z rok. Ten facet lubi pieniądze i wie, że ich trochę mam, wiesz, ze spadku. Nie chciałbym stracić wszystkiego.

– Nie masz się czego obawiać, szczególnie po tym, co zrobiła Connie.

– To nie takie proste. Trzeba uważać. Chcę, żeby dzieci nie przestały mnie kochać i szanować. – Omiótł mnie wzrokiem i zabrał rękę. – Przecież

mnie znasz. Niech się tylko wszystko trochę uspokoi.

– Czy wiedziałeś o jej romansie w grudniu, gdy zdecydowaliśmy się skończyć ...

– Tak, wiedziałem – przerwał mi.

– No tak. – Sama słyszałam drzenie w swoim głosie. – Mogłeś mi powiedzieć. Łatwiej bym to wszystko zniosła.

– Nie sądzę, żeby cokolwiek było w stanie ci w tym pomóc.

– Dobranoc, Benton. – Wysiadłam z samochodu i nawet nie odwróciłam się, gdy odjeżdżał.



Lucy słuchała Melissy Etheridge i ucieszyłam się, że jest przy mnie i że w domu rozbrzmiewa muzyka. Usiłowałam zapomnieć o Wesleyu, jakby można było przejść do innego pokoju w duszy i zostawić go na zewnątrz, za zamkniętymi na cztery spusty drzwiami. Lucy siedziała w kuchni; zdjęłam płaszcz, a torebkę położyłam na szafce.

– Jak tam?

Pchnęła barkiem drzwi lodówki i z rękami pełnymi jajek szła do zlewu.

– Prawdę mówiąc, do niczego.

– Na pewno dobrze ci zrobi mała kolacja, a tak się dziwnie złożyło, że akurat ją przygotowuję.

– Jeśli ktoś stara się zatuszować śmierć Eddingsa jako przypadek albo samobójstwo – oparłam się o blat szafki – to pogrozki i intrygi wokół mojej osoby zaczynają nabierać sensu. Ale po co mieliby dawniej grozić moim pracownikom? Dedukcja to twoja specjalność, więc spróbuj mnie oświecić.

Ubijała w miseczce białka, w mikrofalówce rumieniła się drożdżówka. Na widok jej stałej diety odechciewało się żyć, nie sposób było odgadnąć, skąd bierze tyle siły.

– Przecież nie wiadomo, czy komukolwiek kiedyś grożono – orzekła rzeczowo.

– Racja, ale może z czasem czegoś się dowiemy. – Zabrałam się do robienia kawy po wiedeńsku. – Próbuję tylko ułożyć to w jakąś logiczną całość. Poszukuję motywów i natrafiam na próżnię. Dodaj trochę cebuli, pietruszki i mielonego pieprzu. Szczypta soli też w niczym by nie zaszkodziła.

– Tobie też zrobić? – spytała, nie przerywając ubijania.

– Nie mam specjalnej ochoty. Może później zjem trochę zupy.

– Nie martw się, wszystko się jakoś ułoży. – Skierowała wzrok w moją stronę.

Czułam, że mowa o Wesleyu, a ona wiedziała, że nie mam najmniejszej ochoty na dyskusję o tej sprawie.

– W sąsiedztwie mieszka matka Eddingsa – zmieniałam temat. – Chyba trzeba się będzie do niej wybrać.

– Dzisiaj? O tej porze?

Trzepaczka uderzyła o ścianki miski.

– Możliwe, że będzie miała ochotę porozmawiać nawet dzisiaj i o tej porze. Poinformowano ją tylko o tym, że syn nie żyje, bez żadnych szczegółów.

– No dobra – wymruczała Lucy pod nosem. – Szczęśliwego nowego roku.

## Rozdział siódmy

Nie musiałam długo szukać w książkach adresowych czy telefonicznych, bo matka nieżyjącego dziennikarza jako jedyna w Windsor Farms nosiła nazwisko Eddings. Według książki adresowej, mieszkała przy uroczej ulicy Sulgrave, znanej ze sporych posiadłości i szesnastowiecznych dworców z epoki Tudorów, zwanych odpowiednio Virginia House i Agecroft, które na początku naszego wieku przewieziono w skrzyniach z Anglii. Nie zadzwoniłam zbyt późno, a jednak odniosłam wrażenie, że kobieta już spała.

– Pani Eddings? – spytałam, przedstawivszy się.

– Chyba się trochę zdrzemnęłam. – W jej głosie wyczułam przestrasz. – Siedzę w stołowym i oglądam telewizję. O Jezus, nawet nie wiem, co teraz leci. Wcześniej na PBS była „Moja błyskotliwa kariera”. Zna pani?

– Pani Eddings, chciałabym zadać kilka pytań na temat pani syna, Teda. Jestem szefem zespołu lekarskiego zajmującego się jego sprawą. Liczyłam na krótką rozmowę. Mieszkam bardzo blisko.

– Słyszałam. – Jej typowy dla mieszkańców Południa, chrapliwy głos, zabrzmiał płaczliwie. – Że mieszka pani niedaleko.

– Czy mogłybyśmy porozmawiać teraz? – spytałam po chwili milczenia.

– Czemu nie. Mam na imię Elizabeth Glenn – oznajmiła, po czym natychmiast się rozplakała.

Zatelefonowałam do Pete’a Marino, który tak strasznie pogłodził telewizor, że aż trudno było uwierzyć, iż jest w stanie dosłyszeć cokolwiek innego. Rozmawiał właśnie przez drugi telefon i łatwo było się domyślić, że chce wrócić do tamtej rozmowy.



– Nie ma sprawy, może uda ci się czegoś wywiedzieć – rzekł, gdy poinformowałam go o swoich zamiarach. – Ja teraz wpadłem z deszczu pod rynnę. W Mosby Court grożą jakieś rozruchy i muszę tam zaraz jechać.

– Nic lepszego nie można było sobie wymarzyć.

– Chciałbym ci towarzyszyć, ale nie mogę.

Odłożyliśmy słuchawki; ubrałam się odpowiednio do pogody, bo nie miałam zamiaru używać samochodu. Lucy siedziała w moim gabinecie i rozmawiała, zdaje się, z Janet, przynajmniej tak sądziłam, widząc jej pełną napięcia minę i słysząc ściszy głoś. Pomachałam siostrzenicy ręką i pokazałam na zegarku, że wrócę za jakąś godzinę. Gdy zanurzyłam się w zimną i wilgotną ciemność, poczułam, jak moja dusza próbuje ukryć się gdzieś w najgłębszych zakamarkach ciała. Pomaganie osobom kochanym, które życie zostawiło na lodzie, było zawsze jedną z bardziej okrutnych cech mojego życia zawodowego. Przez tyle już lat stykałam się z najróżniejszymi reakcjami: rodziny robiły ze mnie kozła ofiarnego albo błagały, żeby powiedzieć im, że to wszystko nieprawda. Widziałam ludzi, którzy płakali, wyli z rozpacz, wrzeszczeli, dostawali białej gorączki lub też zachowywali doskonałą obojętność, a w każdej sytuacji pozostawałam lekarzem, nie ulegającym emocjom, lecz miłym – tego mnie w końcu nauczono. Własne uczucia musiałam zachowywać dla siebie. Mogłam sobie na nie pozwolić tylko w chwilach, gdy nikt mnie nie widział, gdy – nawet już jako mężatka – wyspecjalizowałam się w ukrywaniu swoich nastrojów, na przykład płakałam pod prysznicem. Pamiętam, jak pewnego razu dostałam wysypki, po czym oznajmiłam Tomowi, że jestem uczulona na rośliny, skorupiaki i zawarty w czerwonym winie siarczyn. Z byłym mężem szło gładko, gdyż tak naprawdę mnie nie słuchał.

W Windsor Farms, na którego teren weszłam od tyłu, od strony rzeki, panowała nienaturalna cisza. Żelazne latarnie, stylizowane na angielskie,

oblepiała mgła, i mimo że w większości okazałych, wiktoriańskich domów paliły się światła, odnosiło się wrażenie, że nie ma w nich nikogo. Liście na chodniku przypominały przemoczony papier, krople deszczu uderzały w płyty i zaczynały zamarzać. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że bezmyślnie wyszłam z domu bez parasola.

Dom przy ulicy Sulgrave widziałam nie pierwszy raz, bo znałam mieszkającego po sąsiedzku sędziego i bywałam na wielu z urządzanych przez niego przyjęć. Dom Eddingsów był trzypiętrowy, z cegły, w stylu federalnym, z podwójnymi kominami i łukowymi oknami w sypialni; nad drewnianymi drzwiami wejściowymi widniał półokrągły świetlik. Na lewo od ganku stał ten sam kamienny lew, który od wielu już lat pełnił tu funkcję strażnika. Weszłam po wyslizganych schodach i musiałam dwukrotnie zadzwonić do drzwi, by po drugiej stronie grubych, drewnianych płyt odezwał się wąty głos.

– To ja, doktor Scarpetta – odpowiedziałam i dopiero wtedy drzwi zostały otwarte.

– Tak też myślałam. – W powoli powiększającej się szparze ukazała się nerwowa twarz. – Proszę wejść i się ogrzać. Okropna noc.

– Zaczyna się robić ślisko – dodałam i weszłam.

Pani Eddings była kobietą atrakcyjną, choć ta uroda zdradzała próżność i konwencjonalne wychowanie: subtelne rysy, białe włosy, odczesane nad wysokiego, gładkiego czoła. Miała na sobie czarny kostium i golf z delikatnej wełny, jakby przez cały boży dzień dzielnie zносиła najróżniejsze wizyty. Ale nie potrafiła ukryć swej bolesnej straty; prowadząc mnie do holu, miała niepewny krok i zrodziło się we mnie podejrzenie, że piła.

– Śliczne mieszkanie – powiedziałam, gdy odbierała ode mnie płaszcz. – Tyle już razy przejeżdżałam koło pani domu i nie miałam zielonego pojęcia, kto tu mieszka.

– A pani gdzie mieszka?  
– Tam, zaraz na zachód. – Pokazałam ręką.  
– W nowym domu. Wprowadziłam się dopiero jesienią.  
– A tak, wiem, gdzie to jest – odparła, zamykając drzwi do maleńkiego pokoju i prowadząc mnie korytarzem. – Znam tam trochę ludzi.

Pomieszczenie, do którego mnie wprowadziła, stanowiło muzeum starych, perskich dywanów, lamp Tiffany’ego i biedermeierowskich mebli z cisu. Usiadłam na pięknej, lecz twardej kanapie, obitej czarną tapicerką, i przyłapałam się na tym, że już zaczynam się zastanawiać, jak układały się stosunki matki z synem. Sprzęty w ich domach sugerowały, że oboje byli uparci i woleli samotność.

– Syn przeprowadził ze mną sporo wywiadów – zagaiłam, gdy już usiadłyśmy.

– Ach tak? – Próbowała zdobyć się na uśmiech, który jednak zaraz zgasł.

– Przepraszam. Wiem, jak pani ciężko – mówiłam łagodnie, podczas gdy ona sadowiła się w swoim fotelu z czerwonej skóry. – Tak się składa, że bardzo Teda lubiłam. Moi pracownicy również darzyli go sympatią.

– Tak jak wszyscy – rzekła – i to od samego początku. Pamiętam pierwszy ważny wywiad w Richmond. – Wpatrywała się w bezruchu w ogień, ręce miała złożone. – Z gubernatorem Meadowsem, na pewno go pani pamięta. Ted tak jak nikt potrafił rozwiązać mu język. Wtedy wszyscy utrzymywali, że gubernator zażywa narkotyki i ma romanse z kobietami złego prowadzenia.

– Doprawdy? – spytałam, jakby nikt nigdy nie mówił podobnych rzeczy o żadnym innym gubernatorze.

Odwróciła wzrok; na twarzy malował jej się głęboki smutek, dłonie, którymi poprawiała fryzurę, drżały.

– Jak do tego doszło? O Boże, jak on się mógł utopić?

– Stało się chyba inaczej, pani Eddings.

– Więc jak to było?

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, wyrwana z bezruchu.

– Na razie nie wiem, trzeba będzie zrobić trochę testów.

– A co jeszcze wchodzi w grę? – Zaczęła wycierać łzy chusteczką higieniczną. – Policjant, który tu był, mówił, że wszystko zdarzyło się pod wodą. Ted nurkował za pomocą tego swojego urządzenia.

– Istnieje wiele możliwości – odpowiedziałam. – Na przykład awaria aparatu tlenowego. Być może udusił się spalinami. W tej chwili nie mogę jeszcze nic powiedzieć na pewno.

– A tyle razy prosiłam, żeby nie używał tego sprzętu, sama już nie pamiętam ile.

– Czyli już kiedyś go wykorzystywał?

– Namiętnie szukał pamiątek z wojny secesyjnej. Gotów był zabrać ten swój wykrywacz metali i zanurzyć się pod wodę w każdym właściwie miejscu. Zdaje mi się, że w zeszłym roku znalazł w James parę kul armatnich. Dziwię się, że pani o tym nie słyszała, na podstawie swoich przygód napisał nawet kilka reportaży.

– Nurkowie z reguły mają partnerów, dublerów – zmieniłam temat. – Wie pani, z kim najczęściej nurkował?

– Pewnie od czasu do czasu kogoś zabierał. Nie bardzo się orientuję, bo nigdy nie rozmawiał ze mną o swoich znajomych.

– Czy kiedykolwiek wspominał, że zamierza nurkować w rzece Elizabeth, aby szukać pozostałości po wojnie secesyjnej?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Słowem o tym nie napomknął. Miał się tu dzisiaj zjawić. – Zamknęła oczy, czoło przeorała jej bruzda, zaczęła gwałtownie dyszeć, jakby nagle zabrakło jej powietrza.

– A czy zbierał gdzieś te wszystkie znajdowane pamiątki z wojny secesyjnej? – ciągnęłam. Nie zareagowała. – Pani Eddings, nie znaleźliśmy żadnych tego typu przedmiotów u niego w domu. Żadnych guzików, sprzączek czy kul. Nie natrafiliśmy też na żaden wykrywacz metalu. – Milczała, ręce ściskające chusteczkę trzęsły się konwulsyjnie. – Ustalenie celu pobytu pani syna w Basenie Nieczynnych Okrętów w Chesapeake jest sprawą najwyższej wagi – przerwałam ciszę. – Nurkował w akwencie zarezerwowanym dla zwolnionych ze służby w marynarce jednostek, gdzie wstęp jest wzbroniony, a nikt nie ma pojęcia, po co to robił. Trudno uwierzyć w wersję, że szukał tam śladów wojny secesyjnej.

Cały czas zapatrzona w ogień, odezwała się nieobecny głosem:

– Ted przechodził różne etapy. Kiedyś zbierał motyle. Miał wtedy dziesięć lat. Potem wszystkie je rozdał i zaczął kolekcjonować kamienie szlachetne. Pamiętam, jak szukał złota w najmniej prawdopodobnych miejscach, na poboczach zbierał pincetą granaty. Następnie przeniósł się na monety, z których większość jednak wydawał, bo automatowi do coli wszystko jedno, czy dwudziestopięciocentówka jest z czystego srebra, czy też niekoniecznie. Karty baseballowe, znaczki, dziewczyny. Nigdy do niczego się na dłużej nie przywiązywał. Mówił, że dziennikarstwo podoba mu się dlatego, że ciągle dzieje się coś innego. – Słuchałam dalszego ciągu jej tragicznej przemowy. – Prawdę mówiąc, sądzę, że gdyby miał możliwość, przehandlowałby nawet własną matkę. – Po jej policzku pociekła łza. – Wiem, że bardzo mu się znudziłam.

– Aż tak bardzo, że nie chciał przyjąć od pani pomocy materialnej? – Usiłowałam ująć sprawę delikatnie.

– O sprawach aż tak osobistych wolałabym nie mówić. – Uniosła brodę.

– Oczywiście, przepraszam, ale muszę napomykać o takich rzeczach. Jestem bowiem lekarką, a w tej chwili pani syn został moim pacjentem.

Mam za zadanie określić wszystkie ewentualne przyczyny takiego a nie innego przebiegu wypadków.

Była roztrzęsiona; zaczerpnęła tchu, bawiła się górnym guzikiem bluzki. Czekałam, podczas gdy ona przełykała łyżę.

– Pieniądze posyłałam mu co miesiąc. Zna pani wymiar podatku od spadków, a Ted był przyzwyczajony do życia ponad stan. To chyba nasza wina, moja i męża. – Łamał jej się głos. – Nie znał twardych realiów życia, ja sama zresztą poznałam je dopiero po odejściu Arthura.

– Czym zajmował się mąż?

– Pracował w przemyśle tytoniowym. Poznaliśmy się w czasie wojny, gdy większość światowej produkcji tytoniu pochodziła z naszych stron, trudno też było znaleźć niezajętego kawalera i pończochy. – Wspomnienia miały na nią kojący wpływ, więc nie przerywałam. – Pewnego wieczoru poszłam na przyjęcie w Klubie Oficerskim w hotelu Jefferson. Arthur był kapitanem jednostki znanej pod nazwą Szarych Mundurów z Richmond, co więcej, umiał tańczyć. – Uśmiechnęła się. – Ach, jak on tańczył, jakby oddychał tą muzyką, jakby płynęła mu w żyłach, od razu rzucił mi się w oczy. Starczyło, że nasz wzrok spotkał się tylko raz, i już odtąd nigdy się nie rozstawaliśmy. – Odwróciła głowę; ogień trzasnął i zakołysał się, jakby chciał nam coś opowiedzieć. – Rzecz jasna, trudności wynikały również z tego. Byliśmy w sobie tak strasznie zapatrzeni, że chłopcy z pewnością czuli czasami, że stoją nam na drodze do pełni szczęścia. – Patrzyła prosto na mnie. – Nawet nie spytałam, czy ma pani ochotę na herbatę, a może odrobinę czegoś mocniejszego.

– Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba. Czy Ted był blisko z bratem?

– Podałam już numer Jeffa policjantowi. Zaraz, jak mu było? Martinowi czy coś w tym guście. Szczerze mówiąc, wyglądał mi na grubianina. Wie pani, małe piwko w taki wieczór to świetna sprawa.

– Nie, dziękuję.

– Odkryłam je dzięki Tedowi – ciągnęła niezrażona, a łzy nadal płynęły jej po policzkach. – Był na nartach gdzieś na zachodzie i przywiózł butelkę do domu. Smakuje jak płynny ogień ze szczyptą cynamonu. Tak to opisał, gdy miałam spróbować napoju. Nie było chwili, żeby nie dawał mi jakiegoś drobiazgu.

– A przynosił szampana?

Wydmuchwała cicho nos.

– Mówiła pani, że miał ją dzisiaj odwiedzić – przypomniałam jej.

– Miał wpaść na obiad.

– W jego lodówce znaleźliśmy butelkę niezłego szampana. Jest obwiązana wstążką i przyszło mi do głowy, że być może miał zamiar wręczyć ją pani, gdy przyjdzie na obiad.

– Ojej! – Głos jej zadrżał. – To na pewno z jakiejś innej okazji. Nie piję szampana, boli mnie po nim głowa.

– Szukamy jego dyskierek i w ogóle wszelkich śladów jego prac z ostatniego okresu. Czy zdarzało mu się prosić panią o przechowanie czegoś?

– Na strychu jest trochę jego sprzętu do ćwiczeń, ale wszystko zdążyło już zardzewieć. – Głos jej się załamał, zaraz jednak odchrząknęła. – Są też świadectwa szkolne.

– Czy wiadomo coś pani o tym, żeby miał gdzieś jakąś skrytkę, sejf?

– Nie.

Pokręciła głową.

– Czy istnieje możliwość, że powierzył coś jakiemuś przyjacielowi?

– Nie znam jego znajomych – powtórzyła przy akompaniamencie uderzającego o szyby, zamarzającego deszczu.

– Nie mówił też pani o żadnych romantycznych sympatiach? Nie miał nikogo takiego?

Zagryzła usta.

– Jeśli czegoś nie rozumiem, to proszę mi wyjaśnić.

– Parę miesięcy temu przyprowadził jedną taką dziewczynę. To było chyba latem, a ona jest jakimś naukowcem. – Zawahała się. – Zdaje się, że poznali się przy okazji powstawania kolejnego artykułu. Trochę się o nią posprzeczałyśmy.

– A to dlaczego?

– Była atrakcyjna, w takim akademickim typie. Możliwe, że jest profesorką. Już sobie nie przypomnę, ale przyjechała tu z zagranicy.

Wyczekiwałam, ale nie miała już nic więcej do dodania.

– O co się posprzeczałyście?

– Na pierwszy rzut oka poznałam, że nie ma dobrego charakteru, i nie chciałam jej więcej widzieć w swoim domu.

– Mieszka gdzieś po sąsiedzku?

– Pewnie tak, ale mnie to nie obchodzi.

– Ale możliwe przecież, że się cały czas widywali.

– Nie wiem nic o tym, z kim zadawał się Ted – odparła stanowczo, a ja byłam przekonana, że kłamie.

– Pani Eddings – zaczęłam – wszystko wskazuje na to, że pani syn mało bywał w domu. – Tylko obrzuciła mnie spojrzeniem. – Czy ma jakąś gosposię? Na przykład osobę, która pielęgnowała jego kwiatki?

– W razie potrzeby posyłałam swoją służącą, Corian, która od czasu do czasu zanosila mu coś do jedzenia. Tedowi nigdy w życiu nie powstałaby w głowie myśl, żeby sobie coś ugotować.

– Kiedy była u niego po raz ostatni?



– Nie wiem – odpowiedziała kobieta i poczułam, że moje pytania zaczynają ją nużyć. – Jakoś chyba jeszcze przed świętami, bo ostatnio miała grypę.

– Czy Corian opisywała pani, jak wygląda u niego w domu?

– Chodzi pani pewnie o broń. Po prostu kolejny przedmiot pasji kolekcjonerskiej, która zaczęła się jakiś rok temu. Na urodziny życzył sobie co najwyżej dostać talon do jednego ze sklepów z bronią w okolicy. Jakby kobieta odważyła się wejść do takiego przybytku.

Nie było sensu dalej jej indagować, bo jedynym pragnieniem pani Eddings było ujrzeć syna żywym. Wszelkie działania czy śledztwa stanowiły brutalną ingerencję, której usilnie starała się uniknąć. Dochodziła dziesiąta, gdy ruszyłam w stronę domu; po drodze dwa razy niebezpiecznie się pośliznęłam na pustych i słabo oświetlonych uliczkach. Noc była przenikliwie zimna i pełna trzeszczących odgłosów, powstających wskutek tego, że mróz osadzał się na drzewach i szklął jezdnię.

Rokowania nie były najpomyślniejsze. Wszyscy znali Eddingsa albo powierzchownie, albo z dawnych czasów. Dowiedziałam się, że swego czasu zbierał monety i motyle, że zawsze był czarujący. Jako ambitny dziennikarz nie potrafił dłużej skupić się na jednym temacie i sama nie wiedziałam, po co przy takiej pogodzie łązę po krainie jego dzieciństwa i staram się go poznać. Zastanawiałam się, co by na to powiedział, i zrobiło mi się smutno. Po powrocie do domu nie miałam ochoty na żadne pogaduszki, poszłam więc prosto do swojego pokoju. Rozgrzewałam ręce ciepłą wodą i myłam twarz, gdy w drzwiach stanęła Lucy. Od razu zorientowałam się, że zaczęła się jedna z typowych huśtawek jej nastrojów.

– Najadłś się? – Popatrzyłam na jej odbicie w lusterku nad zlewem.

– To mi się nigdy nie udaje – odparła rozdrażniona. – Z twojego biura w Norfolk dzwonił gość imieniem, zdaje się, Danny. Mówił, że ktoś nagrał się

na sekretarkę w sprawie naszych samochodów.

Przez chwilę nie miałam pojęcia, o czym mówi, potem sobie przypomniałam.

– A tak, dałam ludziom od holowania numer telefonu do biura. – Wytarłam twarz ręcznikiem. – Pewnie dotarło to też do Danny’ego.

– Nie wiem. Chce, żebyś zatelefonowała. – Wpatrywała się we mnie, jakbym popełniła jakieś przestępstwo.

– O co chodzi?

Odwzajemniłam jej uparte spojrzenie.

– Muszę się stąd ruszyć.

– Postaram się, żeby przyprowadzili jutro samochody – odpowiedziałam dotknięta do żywego. Wyszłam z łazienki, Lucy szła moim śladem.

– Muszę wracać do UVA.

– Nie ma sprawy.

– Nic nie rozumiesz. Mam po uszy roboty.

– Nie wiedziałam, że zaczął się już ten twój indywidualny tok studiów, czy jak to się zwie. – Weszłam do pokoju gościnnego i skierowałam się w stronę barku.

– To nie ma znaczenia. Muszę załatwić mnóstwo spraw. Jak masz zamiar sprowadzić tu samochody? Może Marino podwiezie mnie, żeby mogła odebrać swój wóz.

– Marino ma kupę roboty, a ja bardzo prosty plan. Danny odprowadzi mój samochód do Richmond, twoim suburbanem natomiast zajmie się pewien jego znajomy, na którym można polegać. Potem wrócę do Norfolk autobusem.

– O której?

– W tym sęk. Nie mogę kazać Danny’emu zrobić tego podczas pracy, bo nie będzie marnował państwowego czasu na mój osobisty pojazd. –

Otwierałam butelkę Chardonnay.

– Jasna cholera – skrzywiła się – a więc jutro też nie będę mogła się stąd wydostać!

– Wpadłyśmy obydwie.

– Co masz zamiar zrobić z tak mile rozpoczętym wolnym czasem?

– Pójdę do biura, gdzie najprawdopodobniej odbiorę sporo telefonów. A ty czym się zajmiesz?

Podaliśmy jej kieliszek.

– Znam tu trochę ludzi z Akademii.

Wzruszyła ramionami.

Omam nie wysnęło mi się, że może znaleźć sobie jakiegoś agenta, który zawiezie ją na salę gimnastyczną, gdzie razem z potem spłynie z niej zły nastrój.

– Nie mam ochoty na wino. – Odstawiła kieliszek. – Na razie wolę piwo.

– Czemu się pieklisz?

– Coś ty? – Wyjęła z niewielkiej lodówki butelkę piwa Beck's Light i zdjęła kapsel.

– Może byś usiadła?

– Nie. Aha, mam „Księgę”, więc nie wpadaj w panikę, gdy nie znajdziesz jej w swojej teczce.

– Co to znaczy? – Popatrzyłam na nią zaniepokojona.

– Czytałam sobie, gdy ty byłaś u pani Eddings. – Napila się piwa. – Chciałam przejrzeć ją jeszcze raz, żeby nic nam nie umknęło.

– Sądzę, że dość długo ją przeglądałaś – odparłam beznamietnie. – Zdaje mi się, że w ogóle wszystkim nam już tego wystarczy.

– Sporo tam elementów starotestamentowych. Wcale nie wygląda na dzieło satanisty.

Obserwowałam ją w milczeniu, zastanawiając się, co akurat w tej chwili dzieje się w tym nieprawdopodobnie skomplikowanym mózgu.

– Szczerze mówiąc, nawet mnie zainteresowała. Uważam, że jeśli człowiek jej ulegnie, ma pewną siłę przekonywania. Ja nie ulegam, więc mam spokój – mówiła.

– Chyba nie bardzo.

Odstawiłam kieliszek.

– Spokoju nie daje mi tylko to, że czuję się tutaj opuszczona i zmęczona. Będzie chyba lepiej, jak pójdę spać. Miłych snów.

Życzenie Lucy się nie spełniło. Siedziałam przy kominku i zamartwiałam się o nią, bo znałam ją prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek inny. Może pokłóciła się z Janet, a nazajutrz wszystko im się ułoży, a może rzeczywiście miała za dużo roboty, niemożność zaś powrotu do Charlottesville komplikowała jej życie bardziej, niż podejrzewałam.

Wyłączyłam kominek, sprawdziłam, czy alarm antywłamaniowy działa, poszłam do sypialni i zamknęłam drzwi. Nie mogłam usnąć, więc siedziałam przy zapalanej lampce i nasłuchiwałam odgłosów pogody, jednocześnie analizując zapis faksów z urzędnika w domu Eddingsa. W ciągu ostatnich dwóch tygodni przesyłał coś na osiemnaście numerów; było to intrygujące i oznaczało, że musiał trochę siedzieć w domu i pisać. Co ciekawe, mimo że pracował u siebie, nie natrafiłam na liczne fakсы do redakcji Associated Press, których można by się w tych okolicznościach spodziewać. Od połowy grudnia faksował do nich tylko dwa razy z automatu znalezione u niego w domu. Można się było w tym dość łatwo połapać, bo przed każdą przesyłką umieszczał kod, tak więc w kolumnie identyfikującej adresatów pojawiły się litery AP DESK, którym towarzyszyły skróty mniej zrozumiałe, na przykład NVSE, DRMS, CPT i LM. Trzem numerom towarzyszyły kierunkowe do Tidewater, środkowej i

północnej Wirginii, w wypadku kodu DRMS natomiast kierunkowy sugerował Memphis w stanie Tennessee.

Próbowałam usnąć, ale przed oczami przesuwały się informacje, a w uszach rozbrzmiewały pytania, o których nie potrafiłam zapomnieć. Zastanawiałam się, do kogo Eddings wysyłał poszczególne fakсы i czy to w ogóle ma jakieś znaczenie. Nie mogłam opędzić się od myśli o miejscu jego śmierci. Cały czas widziałam zwłoki, zawieszona w mrocznej wodzie, przywiązane bezużytecznym węzłem, który zaczepił się o zardzewiałą śrubę. Czułam, jaki Ted jest zeszywniały, gdy obejmowałam go i holowałam ku powierzchni. Od razu domyśliłam się, że nie żyje od dłuższego czasu, dlatego też sądziłam, że w chwili, gdy ktoś wszedł do jego mieszkania w Richmond i usunął wszystkie pliki, ich autor był już od wielu godzin martwy.

O trzeciej w nocy usiadłam na łóżku i zapatrzyłam się w ciemność. W domu rozlegały się jedynie zwyczajne odgłosy, a ja po prostu nie byłam w stanie pogрузić się w niepamięć. Z ociąganiem postawiłam nogi na podłodze; serce biło mocno, jakby przerażone, że zrywam się o takiej porze. Zamknęłam drzwi pracowni i napisałam krótki list następującej treści:

*Domyślałam się, że chodzi o numer faksu, w przeciwnym bowiem razie zadzwoniłabym osobiście. Proszę o podanie swoich danych, gdyż numer ten znalazłam na wydruku faksu w mieszkaniu osoby, która niedawno zmarła, i o jak najszybszy kontakt. Autentyczność treści tego listu i moich danych może potwierdzić kapitan Pete Marino z komendy policji w Richmond.*

Podalam swój numer telefonu, imię, nazwisko i funkcję, po czym wysłałam list na każdy z numerów na liście faksów Eddingsa – rzecz jasna,

z wyjątkiem Associated Press. Przez chwilę siedziałam nieruchomo przy biurku i patrzyłam bezmyślnie, jakbym czekała, że faks rozwiąże całą zagadkę. Ale nic się nie działo. Już o szóstej zadzwoniłam do Pete'a.

– Rozumiem, że w końcu nie doszło do żadnych rozruchów – zagadnęłam, gdy usłyszałam, jak telefon zostaje uderzony i upuszczony, po czym rozlega się w nim nieprzytomny bełkot. – Cieszę się, że już nie śpisz – dorzuciłam.

– Która godzina? – Robił wrażenie człowieka w stanie psychicznego odrętwienia.

– Najwyższa pora wzejść i zacząć świecić.

– Zamknęliśmy piątkę ludzi. Reszta się uspokoiła i wróciła do pracy. Czemu nie śpisz?

– Ja nigdy nie zasypiam. Poza tym mała prośba, mógłbyś mnie dziś podrzucić do pracy?

– No to nastaw kawy, zaraz tam będę.

## Rozdział ósmy

Gdy przyjechał, Lucy wciąż spała, a ja robiłam sałatkę owocową i kawę. Otworzyłam drzwi, przy czym widok ulicy napełnił mnie przerażeniem. W ciągu nocy całe Richmond pokryła warstewka szkła, a przez radio słyszałam, że opadające gałęzie i wyrwane z korzeniami drzewa zniszczyły w niektórych częściach miasta linie elektryczne.

– Dotarłeś bez problemów? – spytałam, zamykając za nim drzwi.

– Zależy, co przez to rozumiesz. – Zdjął płaszcz i podał mi go.

– Jazdę.

– Mam koła z łańcuchami. Ale wczoraj jeździłem prawie do północy i jestem wykończony.

– To chodź napić się trochę kawy.

– Chyba nie dasz mi żadnej bezkofeinowej lury?

– Z Gwatemali i zaręczam, że z kofeiną.

– Gdzie mała?

– Śpi.

– Ale jej dobrze. – Raz jeszcze ziewnął. Weszliśmy do kuchni, gdzie przez liczne okna ujrzeliśmy leniwie płynącą rzekę barwy matowego srebra. Skały szkliły się w bladym słonecznym świetle, las wyglądał jak stwór z bajki. Marino nalał sobie kawy, wsypał mnóstwo cukru i dolał obficie śmietanki.

– Napijesz się? – spytał.

– Czarnej.

– Przecież pamiętam.

– Nie można mieć pewności. – Wyjęłam talerzyki z szafki. – Szczególnie w wypadku mężczyzn, którzy po przodkach odziedziczyli

pewne nawyki, drażniące zwłaszcza kobiety.

– Wiesz co, na pamięć mógłbym wyrecytować ci listę rzeczy, o których wiecznie zapominała Doris, poczynając od tego, że po użyciu moich narzędzi nigdy nie kładła ich na miejsce. – Mówił o byłej żonie.

Krzętałam się przy sałatce, podczas gdy on zaczął się rozglądać, jakby przyszła mu ochota na papierosa. Miałam zamiar zabronić Pete’owi palenia.

– Za to Tony na pewno nigdy nie robił ci kawy – przyciął mi.

– Tony ograniczał się właściwie do prób zrobienia mi dziecka.

– Spisywał się kiepsko, chyba że ty nie chciałaś mieć dzieci.

– Nie z nim.

– Zmieniłaś zdanie?

– Z nim nadal nie chcę. Proszę. – Podałam mu talerzyk. – Siądźmy sobie.

– Moment. To wszystko?

– A czego byś jeszcze chciał?

– Do cholery, to ma być jedzenie? A co to jest, te zielone plasterki z czarnymi ziarenkami?

– To kiwi. Na pewno już kiedyś próbowałaś – tłumaczyłam cierpliwie. – Mogę ci dać drożdżówkę.

– Byłbym wdzięczny. Najlepiej z serem. Masz trochę maku?

– Jeśli będą cię dzisiaj testowali, czy masz w organizmie narkotyki, to na pewno wykryją obecność morfiny.

– Nie napychaj mnie tym niskokalorycznym żarciem. Czuję się tak, jakbym jadł pastę do zębów.

– A jest między nimi spora różnica – odparowałam. – Pasta jest lepsza.

Podałam mu masło, zostawiając go na razie w spokoju. Doszliśmy już do etapu, na którym staliśmy się kimś więcej niż współpracownikami czy znajomymi. Jakimiś tajemniczymi drogami uzależniliśmy się od siebie.



– No to opowiedz mi, co porabialiście w nocy – zagadnął, gdy usiedliśmy przy stoliku koło dużego okna. – Wiem, że kręciłyście się całą noc. – Ugryzł spory kęs drożdżówki i sięgnął po sok.

Streściłam mu przebieg wizyty u pani Eddings, powiadomiłam, że rozesłałam faksy na numery, których właściciele nie znałam.

– Dziwne, że faksował na różne strony, omijając przy tym własne biuro.

– Wysłał tam dwa faksy – przypomniałam.

– Będę chciał porozmawiać z pracownikami. – Powodzenia. I nie zapominaj, że masz do czynienia z dziennikarzami.

– Tego się właśnie boję. Dla tych zakutych pał sprawa Eddingsa to po prostu jeden temat więcej. Zależy im tylko na wykorzystywaniu informacji. Im okropniejszą miał śmierć, tym lepiej dla nich.

– Sama nie wiem. Za to jedno jest pewne: wszyscy znajomi z filii agencji będą uważać na każde wypowiedane słowo. Nie ma ich chyba co za to winić. Dochodzenie w sprawie zgonu przeraża ludzi, którzy wcale nie mieli ochoty być w nie zamieszani.

– Kiedy nadejdzie analiza toksykologiczna?

– Spodziewam się, że dzisiaj.

– Świetnie. Jak tylko potwierdzą się twoje podejrzenia co do cyjanku, będziemy mogli zająć się wszystkim jak należy. Tymczasem próbuję przełamać uprzedzenia dowódcy Grupy A i zachodzę w głowę, co począć z bohaterami z Chesapeake. Powtarzam Wesleyowi, że doszło do zabójstwa, a on żąda dowodów.

Drgnęłam na dźwięk tego imienia, i spojrzałam w stronę nie nadających się do żeglugi mas gęstej wody, poruszającej się ociężale pomiędzy wielkimi, ciemnymi skałami. Słońce rozświetlało czarne chmury we wschodniej części nieba; usłyszałam szum prysznic, dochodzący z części domu zajmowanej przez Lucy.

– Wygląda na to, że Śpiąca Królowna się obudziła – zauważył Marino. – Trzeba ją gdzieś podwieźć?

– Dzisiaj ma chyba coś do załatwienia w miejscowym oddziale FBI. Lepiej się zbierajmy – dorzuciłam, bo spotkania pracowników mojego biura zawsze odbywały się o wpół do dziewiątej.

Sprzątnęliśmy wspólnie naczynia i wstawiliśmy je do zlewu. Po chwili stałam, ubrana już w płaszcz, trzymając torbę ze sprzętem medycznym i dyplomatkę, gdy w korytarzu pojawiła się moja siostrzenica we własnej osobie, z wilgotnymi włosami i w obcisłym szlafroku.

– Śniło mi się – zaczęła ponuro – że ktoś nas powystrzelał we śnie. Dziewięćmilimetrówką, w tył głowy. Upozorowali wszystko tak, żeby wyglądało na napad rabunkowy.

– Coś ty? – odezwał się Marino, naciągając obszyte króliczym futrem rękawice. – A gdzie w tym czasie był wasz szanowny kolega? Bo dopóki ja tu jestem, nic takiego nie ma prawa się zdarzyć.

– Nie było cię.

– Co jadłaś wczoraj na kolację? – spytał dziwnym głosem, zdawszy sobie sprawę, że Lucy nie żartuje.

– Czułam się jak w kinie. Trwało to wszystko godzinami. – Popatrzyła na mnie opuchniętymi i znużonymi oczami.

– Pojedziesz ze mną do biura? – spytałam.

– Nie, nie, wolę nie. Towarzystwo trupów to ostatnia rzecz, na jaką miałabym teraz ochotę.

– Umówiłaś się z jakimiś znajomymi agentami? – spytałam zaniepokojona.

– Nie wiem. Mieliśmy zamiar wypróbować aparaty z zamkniętym obiegiem tlenu, ale chyba nie zdobyłabym się na włożenie skafandra i

zanurzenie się w jakimś cuchnącym chlorem basenie. Po prostu zaczekam na samochód, a potem sobie pojadę.

Po drodze nie byliśmy zbyt rozmowni; potężne opony wozu Pete'a wgryzały się swoimi brzęczącymi zębami w zamrożone ulice. Wiedziałałam, że Marino przejmuje się Lucy. Mógł się jej czepiać, ale gdyby zobaczył kogoś innego, próbującego podobnych numerów, zadusiłby go gołymi rękami. Znał ją od małego. To właśnie on nauczył ją prowadzić ciężarówkę z pięcioma biegami i strzelać z pistoletu.

– Muszę o coś zapytać – odezwał się w końcu, gdy rytm łańcuchów spowolniał przy budce opłaty za drogę. – Czy sądzisz, że Lucy ma jakieś kłopoty?

– Wszystkim zdarzają się koszmary.

– Cześć, Bonita! – zawołał do kobiety w budce, podając jej przez okno swoją przepustkę. – Kiedy nareszcie zajmiesz się na serio tą pogodą?

– Niech pan nie zwala tego na mnie, kapitanie. – Oddała mu przepustkę i zaczęła podnosić szlaban. – Sam pan mówił, że pan tu rządzi.

Jej radosny głos długo jeszcze rozbrzmiewał nam w uszach, a ja myślałam, że żyjemy w strasznie smutnych czasach, gdy nawet strażnik przy szlabanie nosi foliowe rękawice, bo boi się zetknąć z cudzym ciałem. Wyobraziłam sobie, że pewnego pięknego dnia wszyscy będziemy chodzić w plastikowych bańkach, nie chcąc zarazić się AIDS czy ebolą.

– Zdaje mi się po prostu, że zachowuje się jakoś dziwnie – ciągnął Marino, gdy już zamknął okno. – Co z Janet? – dodał po chwili wahania.

– Jest chyba u rodziny w Aspen.

Jechał wpatrzony przed siebie.

– Po wszystkich tych historiach w domu Manta nie dziwię się, że Lucy jest nieco roztrzęsiona.

– A przecież to ona zawsze szuka dziury w całym, nie daje się ponieść emocjom. Dlatego też FBI pozwala jej współpracować z Brygadą. Trzeba trzymać nerwy na wodzy, kiedy stoi się oko w oko z jakimś terrorystą czy białym rasistą. Nie idzie się na zwolnienie z powodu pierwszego lepszego złego snu.

Z drogi ekspresowej zjechaliśmy w Siódmą Ulicę, a potem w brukowany, stary Shockoe Slip, wreszcie na Czternastą, gdzie miałam swoją miejską siedzibę. Biuro Głównego Biegłego Sądowego Wirginii, czyli BGBS, mieściło się w przysadzistym budynku o maleńkich ciemnych oknach, które mnie kojarzyły się z oczyma ślącymi podejrzliwe spojrzenia. Na wschód rozciągały się dzielnice biedoty, na zachód – kwartał bankowy, górą biegingy przecinające niebo autostrady i linie kolejowe.

Marino zatrzymał się na parkingu z tyłu, gdzie stała imponująca przy takich warunkach pogodowych liczba samochodów. Wysiadłam przed wykuszowym oknem, wyjęłam klucz i otworzyłam znajdujące się tuż obok drzwi. Idąc rampą przeznaczoną dla noszy, dotarłam do kostnicy, w której usłyszałam gwar głosów ludzi pracujących w głębi korytarza. Drzwi do pokoiów autopsyjnych, znajdujących się przy wielkiej lodówce, były szeroko otwarte. Gdy wchodziłam, mój zastępca, Fielding, wyjmował akurat cewnik z ciała młodej kobiety, leżącej na sąsiednim stole.

– Przyjechała pani na łyżwach? – spytał, zupełnie nie zdziwiony moim widokiem.

– Prawie. Możliwe, że będę musiała wynająć gdzieś sanie. Nie mam samochodu.

Nachylił się bliżej nad pacjentką, cierpliwie przyglądając się tatuażowi przedstawiającemu grzechotnika, który zwinął się w kłębek wokół zaczynającej już obwisać lewej piersi denatki, a groźnie otwartą paszczą miał zamiar połączyć jej sutkę.

– Po co ludzie robią sobie coś takiego? – zapytał Fielding.

– Pewnie najlepiej wyszedł na tym autor tatuażu. Niech pan obejrzy wewnętrzną stronę dolnej wargi, bo tam powinien być kolejny tatuaż.

Odciągnął dolną wargę i ujrzał wypisane krzywymi literami słowa: „Odpierdol się”.

– Skąd pani wiedziała? – Spojrzał na mnie zdumiony.

– Tatuaże są domowej roboty, ta pani wygląda mi na namiętą obieżyświatkę, a zapewne nieobce są jej też więzienne cele.

– Święta racja. – Złapał czysty ręcznik i otarł sobie twarz.

Mój kolega stale robił wrażenie człowieka, który nie wytrzymuje wysiłku, i zawsze obficie się pocił, gdy nam dopiero zaczynało być ciepło. Ale był dobrym fachowcem, miłym i życzliwym człowiekiem, na dodatek zapewne lojalnym.

– Podejrzanie przedawkowania – mówił, jednocześnie szkicując tatuaż. – Rozpoczynający się nowy rok okazał się nieco zbyt szczęśliwy.

– Jack – zmieniłam temat – czy miałeś kiedykolwiek styczność z policją w Chesapeake?

– Rzadko. – Nie przerywał rysowania.

– A ostatnio?

– Raczej nie. A bo co?

Uniósł na mnie wzrok.

– Spotkało mnie coś osobliwego ze strony jednego z tamtejszych funkcjonariuszy.

– W związku ze sprawą Eddingsa? – Zaczął płukać ciało i na stalowy stół spłynęły długie, ciemne włosy.

– Tak.

– Wie pani co, tak się dziwnie złożyło, że Eddings niedawno do mnie dzwonił, chyba nawet na dzień przed śmiercią – oznajmił, polewając z węża

zwłoki.

– Po co?

– Byłem akurat tutaj, zajmowałem się jedną sprawą, więc nie miałem okazji pogadać. Teraz żałuję. – Wszedł na stopień drabiny i zaczął robić zdjęcia polaroidem. – Kiedy pani wróciła?

– Nie wiem.

– A co do Tidewater, to jestem gotów pani w razie czego pomóc. – Lampa błyskowa zgasła, czekał na gotowe zdjęcie. – Chyba pani jeszcze nie mówiłem, ale Glenny jest znowu w ciąży i bardzo przydałaby jej się zmiana otoczenia. Poza tym lubi przebywać nad morzem. Proszę podać mi nazwisko tego policjanta, a już ja się nim zajmę.

– Bardzo chętnie.

Lampa błyskowa raz jeszcze się zaświeciła, a ja myślałam, że nie mogę dopuścić, żeby Fielding z żoną zamieszkał w domku doktora Manta czy choćby gdzieś w pobliżu.

– Lepiej przecież, żeby pani została tutaj – ciągnął. – Trzeba też mieć nadzieję, że Mant kiedyś w końcu wróci z tej Anglii.

– Dziękuję – odparłam serdecznie. – Gdybyś mógł przejechać się tam chociaż kilka razy na tydzień...

– Nie widzę przeszkód. Proszę mi podać nikona.

– Którego?

– N-50. Powinien być w tamtej szafce – pokazał ręką.

– Jakoś się umówimy – mówiłam, podając mu aparat – ale lepiej, żebyście nie zatrzymywali się w domu Manta, musicie pod tym względem zaufać mojemu rozsądkowi.

– Jakież trudności?

Wyciągnął kolejną fotografię i podał mi ją.

– Dla mnie, Pete'a Marino i Lucy nowy rok zaczął się od pocięcia opon.

– O cholera! Sądzi pani, że to przypadek?

Opuścił aparat i spojrzał na mnie przestraszony.

– Raczej nie.

Wjechałam windą na następne piętro, weszłam do swojego biura i poraził mnie widok drzewka pieprzowego od Eddingsa. Nie mogło tak sobie stać na szafce, więc wzięłam je i nie bardzo wiedziałam, gdzie przenieść. Chodziłam tak przez moment skonsternowana, aż w końcu odstawiłam drzewko na poprzednie miejsce, bo nie mogłam ani go wyrzucić, ani oddać jakiemuś pracownikowi, pozbawiając się związanych z rośliną wspomnień.

Zajrzałam do pokoju Rose i wcale się nie zdziwiłam, nie widząc jej przy pracy. Moja sekretarka była już w podeszłym wieku i nawet w najbardziej pogodne dni nie uśmiechała jej się jazda do centrum miasta. Wieszając płaszcz, omiotłam pomieszczenie wzrokiem, zadowolona z panującego tu porządku, do którego przyczynili się nie tylko członkowie ekipy złożonej z więźniów. Koniec końców, tak zwani oficjalnie inżynierowie sanitarni nie przejawiali chęci do pracy w naszym budynku, a niemal żaden nie zdobyłby się na zejście na dół.

Biuro przejąłam po poprzednim szefie, lecz poza boazerią nic nie pozostało z owych tonących w dymie cygar dniach, gdy patologowie sądowi pokroju Cagneya sączyli burbona w towarzystwie policjantów i przedsiębiorców pogrzebowych, by potem dotykać zwłok gołymi rękami. Mój poprzednik nie przejmował się alternatywnymi sposobami oświetlania i DNA. Pamiętam, jak pierwszy raz wprowadzono mnie po jego śmierci do gabinetu, gdy odbywałam rozmowę wstępną przed przyjęciem na to stanowisko. Omiotłam wzrokiem wszystkie oznaki kultu męskości, z którym się nic a nic nie krył, a kiedy okazało się, że jeden z fetyszy to silikonowy implant piersi, należącej do zgwałconej i zamordowanej

kobiety, zaczęło mnie kusić, żeby wracać czym prędzej do Miami. Obecny wygląd biura zapewne nie przypadłby Cagneyowi do gustu, bo nie można tu było palić, a złe maniery i lizusostwo musiały pozostać na zewnątrz niczym nieproszeni goście. Dębowe meble należały do mnie, nie do państwa, a podłogę z płytek zakryłam dywanikiem modlitewnym fabrycznej produkcji, lecz utrzymanym w bardzo żywych kolorach. Stało tu trochę roślin, z fikusem włącznie, unikałam natomiast dzieł sztuki, gdyż chciałam postępować jak psychiatra i nie wieszać na ścianach nic prowokującego; poza tym po prostu potrzebowałam jak najwięcej miejsca na segregatory i książki. Na Cagneyu na pewno nie zrobiłyby wielkiego wrażenia zabawkowe samochodziki, ciężarówki i pociągi, wykorzystywane przez śledczych do rekonstrukcji wypadków.

Parę minut zajęło mi przeglądanie papierów, od świadectw zgonu z czerwoną obwódką po inne dokumenty, obramowane na zielono. Na podpis czekały także jakieś raporty, na ekranie komputera zaś widniał napis informujący, że jest coś dla mnie w e-mailu. Pomyślałam, że to wszystko może poczekać, i wyszłam na korytarz sprawdzić, kto oprócz mnie pojawił się dziś w pracy. W pokoju od frontu ujrzałam jedynie Cletę, ale to ona była najbardziej potrzebną mi dziś osobą.

– A, doktor Scarpetta – rzekła zdumiona. – Nie miałam pojęcia, że pani wróciła.

– Spodobał mi się pomysł natychmiastowego powrotu do Richmond – odparłam, przysuwając krzesło do jej biurka. – Razem z doktorem Fieldingiem będę się zajmowała rejonem Tidewater, urzędując tutaj.

Cleta pochodziła z Florence w Południowej Karolinie, nakładała na twarz grubą warstwę makijażu, nosiła zbyt krótkie spódniczki i święcie wierzyła, że szczęście polega na zachowywaniu urody, której los jej, niestety, odmówił. Była akurat w trakcie przyporządkowywania



makabrycznych zdjęć do kolejnych numerów, siedziała na krześle wyprostowana, z lupą w rękę i w specjalnych okularach na nosie. Koło niej na serwetce leżał krakers o smaku kiełbasy, zapewne z pobliskiego baru, popijała też herbatę.

– Coś mi się zdaje, że zaczyna topnieć na drogach – oznajmiła.

– Fajnie – odpowiedziałam uśmiechem. – Cieszę się, że się zjawiałaś.

Ta uwaga sprawiła jej widoczną radość.

– Cleto, pamiętasz chyba Teda Eddingsa?

– Oczywiście. – Ni stąd, ni zowąd zaczęła wyglądać tak, jakby zbierało jej się na płacz. – Był zawsze taki miły. Wciąż nie mieści mi się to w głowie.

Przygryzła dolną wargę.

– Doktor Fielding twierdzi, że Ted dzwonił tutaj pod koniec ubiegłego tygodnia. Pamiętasz, o co mu chodziło?

– Jasna sprawa, proszę pani, ciągle nie mogę oderwać się od tamtej rozmowy.

– Rozmawiał z tobą?

– Tak.

– Pamiętasz, o czym mówił?

– Najpierw chciał rozmawiać z doktorem Fieldingiem, ale było zajęte, więc spytałam, czy mam coś przekazać, a później tak sobie trochę pogawędziliśmy. Przecież sama go pani знаła. – Oczy jej rozbliły, a głos zaczął drżeć. – Zapytał, czy nadal przepadam za syropem klonowym, bo żeby mieć taki głos jak ja, to trzeba się nim zajadać. Zaprosił mnie też do lokalu. – Zaczerwieniła się. – Nie mówił tego serio. Sama pani wie, że często pytał „To kiedy idziemy na tę randkę?” Nie brałam tego poważnie – powtórzyła.

– Nie ma się czego wstydzić – powiedziałam życzliwie.

– Przecież i tak miał już dziewczynę.

– Skąd wiesz?

– Powtarzał, że za którymś razem przyjdzie razem z nią, wydawało mi się też, że miał wobec niej poważne zamiary. Na imię jej chyba Loren, ale nie wiem o niej nic więcej.

Wyobraziłam sobie, jak Eddings rozmawia z moim personelem o tak poufnych sprawach, i coraz mniej się dziwiłam, że dogadywał się ze mną o wiele łatwiej niż większość dziennikarzy. Zastanawiałam się, czy właśnie tego rodzaju uzdolnienia doprowadziły go do śmierci, i nabierałam przekonania, że istotnie tak było.

– Czy wspominał, o czym chciałby rozmawiać z doktorem Fieldingiem?

– spytałam, wstając.

Przez chwilę myślała w skupieniu, oglądając obrazy, których nigdy nie będzie dane oglądać innym ludziom.

– Chwila, chwila, o, już wiem, mówił coś o promieniowaniu. O tym, co by wykryto, gdyby ktoś zmarł z powodu jego nadmiernej dawki.

– Jakiego rodzaju promieniowanie miał na myśli?

– Prawdę mówiąc, sądziłam, że pisze artykuł o aparatach rentgenowskich. Że niby ostatnio sporo szumu wokół tego i bomb znajdujących w przesyłkach i że ludzie się tego boją.

Nie przypominałam sobie, żebym dostrzegła w domu Eddingsa cokolwiek, co by potwierdzało taką hipotezę. Wróciłam do gabinetu, zajęłam się papierami, odrabiałam telefoniczne zaległości. Po paru godzinach jadłam przy biurku spóźniony lunch, gdy w drzwiach ukazał się Marino.

– Co ty tu robisz? – spytałam zdumiona. – Masz ochotę na pół kanapki z tuńczykiem?

Zamknął obydwójce drzwi i usiadł, nie zdejmując płaszcza, a wyraz jego twarzy napędził mi strachu.

– Rozmawiałaś z Lucy? – spytał.

– Ostatni raz widziałam ją, gdy wyjeżdżaliśmy. – Odłożyłam kanapkę. – A bo co?

– Dzwoniła do mnie – zerknął na zegarek – mniej więcej przed godziną. Chciała dostać numer Danny’ego, żeby zadzwonić do niego w sprawie przyrowadzenia samochodu. Wydawało mi się, że jest pijana.

Przez chwilę nie mogłam wymówić ani słowa, siedziałam ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy. Potem odwróciłam spojrzenie. Nawet nie pytałam, czy jest pewien tego, co mówi, bo kto jak kto, ale on to się akurat na tym znał, a ponadto nieobce mu były wszelkie szczegóły z życia Lucy.

– Jechać do domu? – zapytałam cicho. – Nie, pewnie wpadła w jakiś nowy nastrój i daje czadu. Na szczęście nie ma możliwości, żeby usiadła za kierownicą. Uważam, że w tej chwili nic jej nie grozi. A swoją drogą to myślałam, że ty jako lekarka będziesz się na tym znać.

Odetchnęłam.

– Wielkie dzięki – odparłam posepnie.

Byłam przekonana, że jej skłonność do sporadycznego nadużywania alkoholu już dawno minęła, bo nic niepokojącego nie zdarzało się od dawnych samobójczych czasów, gdy zapijała się na śmierć i omal nie zginęła za kierownicą samochodu. Jej osobliwe zachowanie tego ranka oraz rewelacje Pete’a uświadomiły mi, że coś jest nie w porządku. Nie bardzo wiedziałam, co począć.

– I jeszcze jedno – dorzucił, wstając. – W takim stanie nie ma prawa wracać do Akademii.

– Jasne.



Wyszedł, a ja siedziałam przez chwilę za zamkniętymi drzwiami, przygnębiona, śledząc nurt swoich myśli, ociążałych jak bieg rzeki za domem. Nie wiedziałam, czy gniewam się, czy boję, ale myśl o chwilach, gdy częstowałam Lucy winem lub stawiałam piwo, sprawiła, że czułam się oszukana. Gdy przyszło mi do głowy, ile zdążyła w życiu osiągnąć i ile miała do stracenia, ogarnęła mnie rozpacz, przez głowę zaczęły mi się przesuwać inne jeszcze obrazy. Wyobraziłam sobie potworne sceny, nakreślone piórem człowieka, który pragnął stać się bogiem, wiedziałam, że pomimo całej swojej inteligencji moja siostrzenica nie rozumie mrocznej głębi jego wizji. W odróżnieniu ode mnie, nie pojmowała istoty zła.

Włożyłam płaszcz i rękawice, dobrze wiedząc, dokąd powinnam się teraz skierować. Miałam już zawiadomić sekretarkę o wyjeździe, gdy zadzwonił telefon i podniosłam słuchawkę, licząc się z tym, że to może być Lucy. W słuchawce odezwał się jednak głos komendanta policji w Chesapeake, który przedstawił się jako Steels i oznajmił, że dopiero niedawno przeniesiono go tam z Chicago.

– Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach – powiedział i zabrzmiało to szczerze – ale muszę zamienić z panią parę słów na temat mojego podwładnego nazwiskiem Roche.

– Ja też mam panu o nim sporo do powiedzenia. Może pan wyjaśni mi, co mu dolega.

– Wedle jego słów, dolega mu właśnie pani.

– To jakaś kpina – rzuciłam ostro, nie będąc w stanie pohamować gniewu. – Krótko mówiąc, pana funkcjonariusz zachowuje się nieprzyzwoicie, po fuszersku i utrudnia prowadzenie śledztwa. Nie ma prawa wstępu do mojej kostnicy.

– Domyśla się pani chyba, że resort zamierza się szczegółowo przyjrzeć temu wypadkowi. Prawdopodobnie też poproszę panią w stosownej chwili

na rozmowę.

– O co zostaną oskarżona?

– Molestowanie seksualne.

– Tyle się teraz o tym słyszy – rzekłam szyderczo. – Nie miałam pojęcia, że posiadam nad nim władzę, a z definicji molestowania wynika, że polega ono na nadużyciu władzy. Zarzuty nie są jednak pewne, gdyż tradycyjne role zostały w tym przypadku odwrócone. To pana policjant się do mnie zalecał, a gdy nie odwzajemniałam oznak jego sympatii, przebrał miarę.

– Takie zatem są pani zarzuty – podsumował po chwili milczenia.

– Nie, takie to z tego lanie wody. A jak jeszcze raz położę na mnie łapy, zdobędę nakaz i każę go aresztować. – Nie reagował. – Komendancie, teraz należy się zająć przede wszystkim pewnym niepokojącym zdarzeniem, które miało miejsce w pańskim okręgu. Możemy choć przez chwilę pogadać o Eddingsie?

– Oczywiście.

Odchrząknął.

– Zna pan szczegóły sprawy?

– W stu procentach. Zostałem drobiazgowo poinformowany i znam wszystkie szczegóły.

– Cieszę się. Myślę, że zgodzi się pan, iż powinniśmy dołożyć wszelkich starań w celu wyjaśnienia tego przypadku.

– Każdy zgon trzeba traktować serio, ale tutaj wszystko wydaje mi się jasne jak słońce. – W miarę jak go słuchałam, coraz bardziej wzbierała we mnie wściekłość. – Być może słyszała już pani, że interesował się wojną secesyjną – miał jakieś zbiory i różne tam takie. Wygląda na to, że gdzieś w pobliżu rozegrały się jakieś bitwy, więc przypuszczalnie poszukiwał przedmiotów w rodzaju kul armatnich.

Doszłam do wniosku, że Roche zdążył już zapewne złożyć wizytę pani Eddings, być może też Steels dotarł do artykułów, które Eddings podobno napisał na temat poszukiwań podwodnych skarbów. Historia to nie moja specjalność, ale zaczynałam już dostrzegać niekonsekwencję w powstającym gmachu tej absurdalnej teorii.

– Największa bitwa morska w okolicy rozegrała się pomiędzy „Merrimakiem” i „Monitorem”. To kawał drogi od pana, w Hampton Roads. Nigdy w życiu nie słyszałam o żadnych bitwach na odcinku rzeki Elizabeth, gdzie znajduje się Basen Nieczynnych Okrętów.

– Ależ pani doktor, musi pani przyznać, że tak naprawdę nie mamy co do tego pewności – powiedział w zamyśleniu. – Może chodzi o kilka wystrzałów, może coś wyrzucono, było parę ofiar. W tamtych czasach nie istniały raczej szanse na relacje telewizyjne czy choćby dziennikarskie. Zajmował się tym jedynie Matthew Brady; tak nawiasem mówiąc, to bardzo lubię historię i swego czasu sporo się naczytałem o wojnie secesyjnej. Osobiście sądzę, że ten Ted Eddings zszedł pod wodę w poszukiwaniu pamiątek wojennych. Nawdychał się jakichś trujących gazów i zmarł, a wszystkie narzędzia, które miał przy sobie – na przykład wykrywacz metalu – utknęły gdzieś w mule na dnie.

– Moim zdaniem, wchodzi tu w grę możliwość zabójstwa – oświadczyłam stanowczo.

– Ja z kolei – na podstawie wszystkiego, co słyszałem – zdecydowanie się z panią nie zgadzam.

– Przypuszczam, że wystarczy jedna rozmowa, żeby do mojej hipotezy przekonać panią prokurator. – Zbył to milczeniem. – Zakładam, że nie ma pan zamiaru poprosić o pomoc pracowników Analizy Śledczej FBI – ciągnęłam – jako że uznał pan, iż mamy do czynienia z wypadkiem.

– W chwili obecnej nie znajduję powodu, dla którego miałbym zwracać głowę ludziom z Biura. Już im zresztą o tym mówiłem.

– Powodów znalazłoby się mnóstwo. – Ograniczyłam się do tych kilku słów, żeby w złości nie rzucić słuchawki.

– Szlag by to trafił! – mamrotałam, chwytając swoje rzeczy i wychodząc energicznie z biura.

Zeszłam do kostnicy, skąd wzięłam komplet kluczy, po czym wyszłam na parking i otworzyłam drzwi ciemnoniebieskiego kombi, które wykorzystywaliśmy czasami do przewozu zwłok. Nie zwracał aż tak uwagi jak karawan, ale z pewnością rzadko spotykało się tego typu wozy pod domami. Ten był duży, miał przyciemniane okna i rolety w rodzaju tych, których używają pracownicy domów pogrzebowych, a z tyłu zamiast siedzeń była podłoga pokryta sklejką; zamocowano też haki, do których przyczepiało się nosze, żeby się nie zsuwały w czasie jazdy. Kierownik kostnicy zawiesił na bocznym lusterku kilka odświeżaczy powietrza i wszędzie unosił się mdlący zapach cedru.

Otworzyłam okno i wyjechałam na główną ulicę, ciesząc się w duchu, że drogi są już tylko mokre i pomimo godzin szczytu nie panuje na nich zbyt duży ruch. Wilgotne i zimne powietrze przyjemnie chłodziło twarz; wiedziałam, co powinnam zrobić. Już od dłuższego czasu nie wpadałam po drodze do domu do kościoła, a zawsze zdarzało się to w momentach kryzysowych, gdy znajdowałam się już u kresu wytrzymałości. Przy zbiegu ulicy Three Chopt i alei Grove zjechałam na parking przed Świętą Brygidą, świątynią zbudowaną z cegły i dachówek, w której nie zostawiano już na noc otwartych drzwi, gdyż świat bardzo się ostatnio zmienił. Ale o tej porze odbywały się spotkania członków Klubu Anonimowych Alkoholików i wiedziałam, że mogę wejść do środka i nikt nie zakłóci mi spokoju.

Weszłam bocznymi drzwiami i przeżegnałam się święconą wodą, wkraczając do sanktuarium, w którym figury świętych strzegły krzyża, a na witrażach widniały obrazy przedstawiające Ukrzyżowanie. Wybrałam ostatni rząd ławek, żałując, że po drugim soborze watykańskim zarzucono zwyczaj palenia świec. Uklękałam w ławce i modliłam się za Teda Eddingsa i jego matkę. Za Pete'a Marino i Wesleya. W głębi duszy modliłam się za siostrzenicę. Potem siedziałam z zamkniętymi oczami, czując, jak powoli się uspokajam.

Dochodziła szósta: zbierałam się już do wyjścia, gdy przystanąwszy w kruchcie, zobaczyłam światło palące się w kościelnej bibliotece. Sama nie bardzo wiedziałam, co pchnęło mnie w tamtą stronę, ale chyba przyszło mi do głowy, że działanie złej księgi może zniweczyć wpływ jakiegoś świątobliwego utworu, a ksiądz zaleciłby w takiej sytuacji chwilę obcowania z katechizmem. Po wejściu do pomieszczenia zobaczyłam starszą kobietę, która odkładała książki na półki.

– Doktor Scarpetta? – spytała, jednocześnie zaskoczona i zadowolona ze spotkania.

– Dobry wieczór. – Wstydziłam się przyznać, że nie pamiętam, jak się nazywa.

– Nazywam się Edwards.

Przypomniałam sobie, że ona kieruje w kościele akcją pomocy społecznej i zajmuje się nauczaniem nowo pozyskanych wyznawców katolicyzmu, na który ja też od czasu do czasu się nawracałam, w owe rzadkie dni, gdy zjawiałam się na mszy. Była drobna, pulchna i nigdy w życiu nie widziała na oczy klasztoru, ale mimo to wzbudzała we mnie te same wyrzuty sumienia, jakie wywoływały w młodości dobre zakonnice.

– Rzadko wstępuje pani o tej porze – powiedziała.



– Tak sobie wpadłam, w drodze z pracy. Co gorsza, nie zdążyłam na nieszpory.

– Były w niedzielę.

– No tak.

– Tak się cieszę, że zobaczyłam panią przed wyjściem z kościoła. – Nie spuszczała ze mnie wzroku i wiedziałam, że wyczuwa, po co tu przysłam.

Omiotłam wzrokiem półki z książkami.

– Pomóc coś znaleźć? – zaofiarowała się.

– Katechizm.

Przeszła na drugi koniec pokoju, zdjęła z półki egzemplarz katechizmu i podała mi go. Był to gruby tom i już zaczynałam mieć wątpliwości, czy uczyniłam dobry wybór, bo w tej chwili padałam z nóg, a i Lucy nie była pewnie w stanie odpowiednim do lektury.

– Może jeszcze w czymś pomóc?

W jej głosie brzmiało ludzkie ciepło.

– Może dobrze zrobiłaby mi krótka rozmowa z księdzem.

– Ojciec O'Connor robi obchód szpitali. – Bacznie mnie obserwowała. – Może i ja się na coś przydam?

– Możliwe.

– To usiądźmy tutaj – zaproponowała.

Przysunęłyśmy sobie krzesła do małego drewnianego stolika, który przypominał mi czasy, gdy chodziłam do szkółki niedzielnej w Miami. Powrócił zachwyty odczuwany po przeczytaniu każdej książki, bo uwielbiałam się uczyć, a najmniejsza okazja do ucieczki z domu w krainę myśli była istnym błogosławieństwem. Usiadłyśmy naprzeciw siebie niczym koleżanki, ale trudniej przychodziło znajdowanie właściwych słów, bo rzadko zdobywałam się na aż taką szczerość.

– Nie mogę zanadto zagłębiać się w szczegóły, bo to ma związek z pewną sprawą, nad którą obecnie pracuję – zaczęłam.

– To zrozumiałe.

Skinęła głową.

– Powiem tylko, że miałam styczność z pewną satanistyczną odmianą biblii. Nie było tam nic o kulcie Szatana *sensu stricto*, ale utwór emanował złem. – Nie reagowała, cały czas patrząc mi prosto w oczy. – To samo odczuła Lucy, czyli moja dwudziestotrzyletnia siostrzenica, która również przeczytała ów rękopis.

– I stąd właśnie wziął się pani problem?

– Zdaję sobie sprawę, że to wszystko wygląda dość dziwnie. – Zaczerpnęłam tchu i poczułam się jak idiotka.

– Nie zgadzam się. Potęgi zła nie sposób przecenić i jeśli to tylko możliwe, powinniśmy trzymać się odeń z daleka.

– Nie zawsze jest to możliwe. To właśnie z powodu różnego postaci zła zgłaszają się do mnie pacjenci. Ale rzadko przytrafia mi się lektura tego rodzaju tekstów. Miałam niespokojne sny, a moja siostrzenica w wyniku dłuższego kontaktu z „Księgą” zachowuje się w sposób niezrównoważony. Martwię się głównie o nią. Dlatego też się tu zjawiłam.

– „Nie porzucajcie spraw, które dobrze poznaliście i w których pokładacie ufność” – zacytowała kobieta. – I to wystarczy.

Uśmiechnęła się.

– Nie bardzo rozumiem.

– Doktor Scarpetta, na takie przypadki nie ma żadnego lekarstwa. Nie mogę tak po prostu położyć na panią rąk i odpędzić wszelkich czarcich mocy. Ojciec O’Connor także nie potrafi tego uczynić. Nie mamy do dyspozycji żadnego skutecznego obrzędu czy ceremonii, możemy się za

was pomodlić, co też, rzecz jasna, zrobimy. Ale na razie musicie po prostu odzyskać wiarę. Trzeba wrócić do dawnych korzeni swojej siły.

– Po to tu przyszłam – powtórzyłam. – Dobrze. Proszę nakazać Lucy powrót do wspólnoty wierzących i modlitwę. Powinna chodzić do kościoła.



Tu mi kaktus wyrośnie, myślałam wracając do domu, a moje obawy pogłębiały się w miarę zbliżania się do drzwi wejściowych. Nie było jeszcze siódmej, a Lucy leżała w łóżku.

– Śpisz? – Usiadłam w mroku obok niej i położyłam rękę na jej plecach.  
– Lucy?

Nie reagowała, a ja dziękowałam Bogu, że wciąż nie ma naszych wozów. Bałam się, że w przeciwnym wypadku mogłaby próbować wracać do Charlottesville, powtarzając wszystkie okropne błędy, których dopuściła się przedtem.

– Lucy? – nie dawałam za wygraną.

– Co? – Powoli przewróciła się na drugi bok.

– Przyszłam sprawdzić, jak się czujesz – powiedziałam ściszym głosem. Zobaczyłam, jak wyciera oczy i zdałam sobie sprawę, że wcale nie spała, tylko płakała. – Co ci jest?

– Nic.

– Nie kłam. Najwyższa pora, żebyśmy porozmawiały. Ostatnio zachowujesz się jakoś dziwnie, a ja chciałabym ci pomóc. – Zbyła mnie milczeniem. – Lucy, nie odejdę, dopóki nie zaczniesz rozmawiać ze mną jak człowiek.

Jeszcze przez chwilę milczała i dojrzałam, że spogląda na sufit.

– Janet im powiedziała. Matce i ojcu. Pokłócili się z nią, jakby znali ją lepiej od niej samej. Jakby to nie ona wiedziała najlepiej. – W jej głosie

narastała złość, z trudem też uniosła się, ułożyła z tyłu, za sobą, poduszki i tak, pólżąc, pozostała. Każą jej iść do psychiatry.

– Szkoda. Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że wina leży po ich stronie, a nie po stronie którejkolwiek z was.

– Nie wiem, co zamierza. Jakby mało było tego, że musimy ukrywać się przed Biurem.

– Musicie znieść to mężnie i nie zdradzać swojej sprawy.

– Ach. Są dni, że sama już nic nie wiem. – Była coraz bardziej wzburzona. – Nie wytrzymam. Jest nam tak ciężko. Nie ma na tym świecie sprawiedliwości. – Oparła głowę na moim ramieniu. – Dlaczego nie urodziłam się taka jak ty? Czemu nie mogło mi się jakoś ułożyć?

– Nie mówisz chyba serio – zaoponowałam. – A moje życie nie jest usłane różami, zresztą tak jak wszystko, co naprawdę ważne. Dacie sobie radę, pod warunkiem, że starczy wam sił i zdecydowania. No i jeżeli naprawdę się kochacie. – Zaczerpnęła tchu i powoli wypuszczała powietrze. – Skończ już z zapędami samobójczymi. – Wstałam. – Gdzie „Księga”?

– Na biurku.

– U mnie?

– Tak. Zaniósłam ją tam.

Nasze spojrzenia się spotkały, w jej oczach coś rozbłysło. Pociągnęła nosem i wyjęła chusteczkę.

– Rozumiesz chyba, dlaczego wołałabym, żebyś nie rozmyślała nad takimi utworami? – zapytałam.

– A ty to niby nad czym się cały czas zastanawiasz? Mam to po tobie.

– Nic z tych rzeczy, po mnie mogłabyś co najwyżej mieć wycucie, kiedy należy zadziałać, a kiedy przeczekać. Musisz szanować potęgę nieprzyjaciela równie głęboko, jak masz w pogardzie jego samego. W

przeciwnym razie nic z tego nie wyjdzie. Im prędzej się tego nauczysz, tym lepiej.

– Rozumiem – odrzekła cicho, sięgając po katechizm, który położyłam w nogach łóżka. – Co to takiego, mam to całe dzisiaj przeczytać?

– Wybrałam to dla ciebie w kościelnej bibliotece. Powinno ci się spodobać.

– O Kościele możemy od razu zapomnieć.

– A to dlaczego?

– Bo on zapomniał o mnie. Jego ludzie sądzą, że osoby mojego pokroju mają nie po kolei w głowach, jakby za to, kim jestem, trzeba mnie było wsadzić do piekła albo więzienia. I właśnie o to mi chodzi. Ty chyba nie znasz poczucia izolacji.

– Lucy, przecież mnie odsuwano na bok przez całe właściwie życie. Dyskryminację najlepiej się poznaje, gdy należy się do trzyosobowej garstki kobiet na studiach medycznych. W szkołach prawniczych mężczyźni nie pożyczą ci notatek, jeśli opuściłaś zajęcia, nawet z powodu choroby. Dlatego też nigdy nie choruję. Dlatego się nie upijam i nie chowam pod kołdrę. – Byłam bezlitosna, bo wiedziałam, że wyjdzie jej to na dobre.

– Mój przypadek jest inny.

– Zapewne uważasz swój los za wyjątkowy, żeby móc wymyślać dla siebie wymówki i uzalać się na sobą. Odnoszę wrażenie, że to tobie należy przypisać wszelkie akty zapominania i odrzucania pomocy. Nie spotyka cię to ze strony Kościoła. Ani społeczeństwa. Nawet nie ze strony rodziców Janet, którzy być może niczego nie pojmują. Przypuszczałam, że masz więcej siły.

– Bo tak jest.

– Mam już tego po dziurki w nosie. Proszę, nie przyjeżdżaj tu, żeby się upijać i naciągać kołdrę na głowę, a ja żebym się cały dzień o ciebie zamartwiała. A na dodatek, kiedy usiłuję ci pomóc, odpychasz pomocną dłoń zarówno moją, jak i wszystkich innych ludzi.

– Naprawdę poszłaś do kościoła przeze mnie? – zapytała w końcu bez tchu.

– Nie, raczej przez siebie. – Spuściłam nieco z tonu. – Ale rozmawiałam przede wszystkim o tobie.

– „Głównym celem człowieka jest przysparzanie Bogu chwały i radości”. – Zrzuciła kołdrę i stanęła na równe nogi. Zatrzymałam się w progu. – To katechizm. Przejrzysty przykład manipulacji językowej. W UVA zrobili nam kurs religii. Masz ochotę na kolację?

– Co zjemy? – podjęłam temat.

– Cokolwiek, byle szybko. – Podeszła i objęła mnie. – Przepraszam, ciociu.

W kuchni skierowałam się najpierw do zamrażarki, ale widok jej zawartości nie podsunął mi żadnego pomysłu na posiłek. Potem zajrzałam do lodówki, lecz jakoś razem ze spokojem ducha przeszedł mi apetyt. Zjadłam banana i zrobiłam kawę. Było wpół do dziewiątej, gdy z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk krótkofalówki na jednej z szafek.

– Sześćset do bazy głównej – usłyszałam głos Pete’a.

– Tu baza – powiedziałam do mikrofonu.

– Mogłabyś do mnie zadzwonić pod pewien numer?

– Jaki? – Opadło mnie jakieś złe przeczucie. Istniała możliwość, że ktoś miał nasłuch na częstotliwość wykorzystywaną przez moje biuro i w szczególnych przypadkach policjanci starali się nie porozumiewać przez radio. Numer podany przez Pete’a należał do jakiegoś automatu na mieście.

– Przepraszam, ale nie miałem drobnych – zaczął po podniesieniu słuchawki.

– Co się dzieje? – przeszłam do rzeczy.

– Nie zawiadaniałem jeszcze dyżurnego biegłego, bo pomyślałem, że będziesz wołała usłyszeć o tym pierwsza.

– O czym?

– O czymś obrzydliwym. Niezmiernie mi przykro, ale mamy Danny’ego.

– Danny’ego? – powtórzyłam niepewnie.

– Danny’ego Webstera. Z biura w Norfolk.

– Co to znaczy, że go macie? – Wpadłam w popłoch. – Co przeszkrobał?

– Przyszło mi do głowy, że został zatrzymany podczas jazdy moim samochodem, może po wypadku, który spowodował.

– Niestety, nie żyje.

W obydwu słuchawkach zapadła cisza.

– O Jezu. – Oparłam się o blat i zamknęłam oczy. – O mój Boże. Jak to się stało?

– Chyba będzie najlepiej, jak się tu u nas pojawisz.

– To znaczy gdzie?

– W Sugar Bottom, przy starym tunelu kolejowym. Twój samochód stoi kawałek dalej, przy parku Libby Hill.

Nie zadawałam już zbędnych pytań, tylko oznajmiłam Lucy, że wychodzę i wrócę raczej późno. Wzięłam torbę z narzędziami i pistolet, bo nieźle znałam dzielnicę, w której przebiegał tunel, i nie mieściło mi się w głowie, co mogło skłonić Danny’ego do zawitania w tamte okolice. Miał wraz z kolegą odprowadzić mój wóz i suburbana Lucy pod biuro, gdzie czekałby na nich administrator, który miał zawieźć obu na dworzec autobusowy. Church Hill leżało dość blisko mego biura, ale nie potrafiłam

znaleźć powodów, dla których Danny miałby pojechać moim mercedesem nie tam, gdzie mu poleciłam. Nigdy nie nadużywał mego zaufania.

Przejechałam szybko ulicę West Cary, mijając olbrzymie ceglane domy o dachach z blachy miedzianej i dachówki i wejściach zagrodzonych bramami z kutego żelaza. Jazda przypominającym karawan kombi przez tę elegancką dzielnicę, ze świadomością, że jeden z moich pracowników leży gdzieś martwy, miała w sobie coś z nierealnego snu, znów też zaczął mnie ogarniać lęk o pozostawioną samej sobie Lucy. Zapomniałam, czy na odjeździe uruchomiłam alarm antywłamaniowy. Drżały mi ręce i żałowałam, że nie mogę zapalić.

Park Libby Hill rozciągał się na jednym z siedmiu wzgórz w Richmond, na terenie, gdzie nieruchomości osiągały zawrotne ceny. Wiekowe szeregowce i domy w stylu neoklasycznym zostały z fantazją odnowione przez ludzi, którzy nie przestraszyli się stojącego przed nimi zadania stanięcia twarzą w twarz z degrengoladą i zbrodnią i odzyskania dla ludzkości zabytkowej części miasta. W większości wypadków ryzyko się opłacało, lecz ja sama zdawałam sobie sprawę, że nie zniosłabym życia w osiedlach i ponurych dzielnicach, w których główne źródło dochodów stanowią narkotyki. Nie uśmiechało mi się zajmowanie przestępstwami popełnionymi przez sąsiadów.

Po obydwu stronach ulicy Franklina stały patrole policyjne z pulsującymi czerwono i niebiesko kogutami. Noc zalegały gęste ciemności, w których ledwie widoczne rysowały się ośmiokątna estrada czy brązowy posąg żołnierza na granitowym piedestale, stojący naprzeciw rzeki James. Mercedesa otoczyli raptem policjanci i członkowie jakiejś ekipy telewizyjnej, na szerokie ganki przed domami powychodzili zaintrygowani ludzie. Trudno było stwierdzić, czy mój samochód został uszkodzony: drzwi od strony kierowcy stały otworem, w środku paliło się światło.



Minąwszy Dwudziestą Dziewiątą, zagłębiłam się w nizinny teren, znany pod nazwą Sugar Bottom, czyli Słodki Tyłek, który miano to zawdzięczał prostytutkom, niegdyś świadczącym tu swe usługi dżentelmenom stanu Wirginia, a może przemytnikom. Tu odnowione domy błyskawicznie zamieniały się w rezydencje królów slumsów lub wałące się i kryte papą budy; z dala od ulicy, mniej więcej w połowie stromego zbocza, zaczynały się gęste lasy, gdzie biegł tunel, który zawalił się jeszcze w latach dwudziestych. Pamiętam, że kiedyś przelatywałam tędy policyjnym śmigłowcem i czarny wlot tunelu obrzucił mnie swym posępnym okiem; nasyp kolejowy niczym blizna w krajobrazie kierował się w stronę rzeki. Wyobraziłam sobie tłoczące się wciąż w środku wagony i skłębionych robotników i cały czas nie miałam pojęcia, co mogło sprowadzić w te strony Danny'ego. Od takiej przejażdżki mógł odstraszyć go choćby stan kontuzjowanego kolana. Zjechałam na pobocze i przytuliłam swój pojazd możliwie najbliżej forda Pete'a Marino. W mgnieniu oka wypatrzyli mnie dziennikarze.

– Doktor Scarpetta, czy to pani samochód stoi tam na wzgórzu? – spytała dziennikarka, która dopadła mnie pierwsza. – Słyszałam, że tamten mercedes jest zarejestrowany na pani nazwisko. Jakiego jest koloru? Czarny? – napierała, mimo że nie udzielałam jej żadnej odpowiedzi.

– Czy może pani wyjaśnić, jak się tam znalazł? – Jakiś mężczyzna podetknął mi mikrofon pod sam nos.

– Czy to pani nim tam zajechała? – padło kolejne pytanie.

– Czy został ukradziony? Przez ofiarę? Czy uważa pani, że chodzi o narkotyki?

Wszyscy zagłuszali się nawzajem, gdyż nikt nie czekał na swoją kolej, a ja nie miałam zamiaru na nic odpowiadać. Gdy mundurowi zorientowali się, kto przyjechał, kilku od razu wkroczyło do akcji.

– Proszę się odsunąć.  
– Słyszał pan czy nie?  
– Proszę przepuścić tę panią.  
– Proszę bardzo. Zaprowadzimy panią na miejsce przestępstwa, chyba powinna pani to obejrzeć.

– Skunksy. – Ni stąd, ni zowąd Marino złapał mnie za ramię. – Uważaj na każdym kroku. Żeby dostać się do tunelu, musimy przejść prawie cały las. Jakie włożyłaś buty?

– Dam sobie radę.

Weszliśmy na stromą ścieżkę, która prowadziła od ulicy w dół wzgórza. Drogę miały rozjaśniać specjalnie zapalone światła, które kładły się na ciemnościach pasmem niczym poświata księżycy na niebezpiecznej zatoce. Po bokach jasnego pasma rozlewał się mroczny las, w którym lekki wiatr kołysał drzewami.

– Naprawdę uważaj – powtórzył. – Straszne tu błoto i w ogóle wszystko, co najgorsze.

– To znaczy?

Włączyłam latarkę i skierowałam ją na wąską, stromą ścieżkę, tonącą w potłuczonym szkle, butwiejącym papierze i wyrzuconych butach, odcinających się od chaszczy i nagich drzew wyblakłą bielą.

– Okoliczni mieszkańcy próbują zamienić to miejsce w wysypisko śmieci – poinformował mnie Marino.

– Nie wierzę, żeby przy kontuzji kolana był w stanie dojść tu o własnych siłach. Czy istnieje jakaś dogodniejsza droga?

– Na barana.

– Nic z tego, muszę obejrzeć wszystko sama. – I tak nie puszczą cię samej. Możliwe, że jest tam ktoś jeszcze.

– O, krew. – Skierowałam snop latarki na kilka kropel, błyszczących na uschniętych liściach o parę kroków przed nami.

– Takich śladów znajdziesz tu jeszcze sporo.

– Blisko ulicy też?

– Nie. Wygląda na to, że trop zaczyna się właśnie tutaj. Odkryliśmy podobne ślady na całej drodze prowadzącej do zwłok.

– No dobrze, to do dzieła. – Rozejrzałam się i zaczęłam stąpać ostrożnie, słysząc za sobą cięższe kroki Marino.

Policjanci rozpięli między drzewami jasnożółtą taśmę, wydzielając w ten sposób możliwie najwięcej terenu, bo na razie nie mieliśmy pojęcia, jak duży obszar powinniśmy zbadać. Ciało zobaczyłam, dopiero gdy wynurzyłam się z lasu na polanę, przez którą stary nasyp kolejowy prowadził do rzeki i ginął w ciemnej czeluści tunelu. Danny Webster leżał dziwnie powykręcany, częściowo na plecach, częściowo na boku. Koło głowy widać było sporą kałużę krwi. Obejrzałam go dokładnie przy świetle latarki, na swetrze i dzinsach zobaczyłam mnóstwo ziemi i trawy, w pozlepiane krwią włosy zaplątały się strzępy liści i innych śmieci.

– Stoczył się z góry – powiedziałam, zauważywszy, że poluzowało się kilka wiązań w jego jaskrawoczerwonej szynie, a do taśmy przyczepiły się jakieś śmieci. – W chwili gdy wylądował w tej pozycji, już nie żył lub co najmniej konał.

– Tak, to jasne jak słońce, że zastrzelili go tam – potwierdził Marino. – Przede wszystkim nie wiadomo, czy podczas ewentualnej próby ucieczki krwawił. Jeśli tak, do pewnego miejsca zdołał dobiec, potem resztę drogi się przeturlał.

– Może Danny’emu się zdawało, że dają mu szansę ucieczki. – Głos zaczął mi nagle drżeć. – Widzisz tę szynę na kolanie? Masz pojęcie, jak

wolno musiałby uciekać tą ścieżką? Zdajesz sobie sprawę, ile wysiłku wymaga każdy pokonany metr przy tak uszkodzonym kolanie?

– Mieli go jak na dłoni.

Nie odpowiedziałam, kierując latarkę na trawę i śmiecie, których przybywało w miarę przybliżania się do ulicy. Krople pociemniałej krwi lśniły na zbielałym od pogody kartonie po mleku.

– Gdzie jego portfel? – spytałam.

– W tylnej kieszeni. Jedenaście dolców plus jakieś rachunki. – Marino rzucał na wszystkie strony niespokojnym wzrokiem.

Porobiłam trochę zdjęć, po czym uklękłam przy ciele i odwróciłam je, chcąc lepiej się przyjrzeć tyłowi zmasakrowanej głowy Danny'ego. Dotknęłam jeszcze ciepłej szyi, krew na ziemi nie do końca zakrzepła. Otworzyłam torbę z instrumentami.

– Potrzyмай. – Podałam Pete'owi plastikową płachtę. – Ja tymczasem zmierzę mu temperaturę.

Oślaniał zwłoki przed niepowołanymi oczami, ja zaś pociągnęłam w dół brudne dżinsy i slipy. Dostyc często zdarzało się konającym wypróżnić i oddawać mocz, lecz w niektórych wypadkach stanowiło to oznakę przerażenia.

– Wiadomo ci coś o tym, czy miał styczność z narkotykami? – spytał Marino.

– Nie mam powodów do takich podejrzeń, chociaż tak naprawdę to nic o nim nie wiem.

– Czy odnosiłaś czasami wrażenie, że żyje ponad stan? A tak *à propos*, ile zarabiał?

– Jakież dwadzieścia jeden tysięcy rocznie. Nie wiem, czy żył wystawnie. Mieszkał z rodzicami.

Temperatura ciała wynosiła 34,9; położyłam termometr na torbie, żeby zmierzyć temperaturę otoczenia. Poruszałam nogami i rękami Danny'ego, zeszywnienie pośmiertne dotknęło jedynie pomniejszych mięśni, na przykład palców i oczu. Danny był w zasadzie równie ciepły i sprężysty jak za życia, a gdy się nad nim pochylałam, poczułam zapach wody kolońskiej, który miałam zapamiętać już na zawsze. Rozłożyłam płachtę i przewróciłam go na plecy w poszukiwaniu następnych ran; pociekło trochę krwi.

– O której zostałeś powiadomiony? – zwróciłam się do Pete'a, który krążył koło tunelu, penetrując splątane zarośla i pnącza snopem światła swojej latarki.

– Jeden z sąsiadów usłyszał strzał z broni palnej i zadzwonił pięć po siódmej na policję. Jakiś kwadrans potem znaleźliśmy jego i twój samochód. Można więc powiedzieć, że stało się to dwie godziny temu. Czy taka rachuba zgadza się z twoimi postrzeżeniami?

– Jest straszny ziąb. Chłopak jest ciepło ubrany i stracił ze dwa stopnie temperatury. To by się zgadzało. Podaj mi te torby. Wiadomo, jaki los spotkał kolegę, który miał odprowadzić suburbańczyka Lucy?

Nałożyłam brązowe papierowe torby na ręce nieboszczyka, przymocowując je do nadgarstków gumową taśmą, aby zachować cały ulotny materiał dowodowy, jak na przykład ślady po wystrzałach, włókna czy strzępki ciała pod paznokciami, które mogłyby się tam znaleźć, gdyby szamotał się z napastnikiem. Nic jednak na to nie wskazywało. Przypuszczałam, że Danny potulnie wypełnił wszelkie polecenia.

– W tej chwili nie mamy zielonego pojęcia nawet o tożsamości tego kolegi – odparł Marino. – Wyślę kogoś do twojego biura, żeby sprawdził.

– Niezły pomysł. Nie wiemy nawet, czy tamten kolega nie maczał w tym palców.

– Sto – powiedział Marino do przenośnej radiostacji, ja natomiast znów zabrałam się do robienia zdjęć.

– Dziesięć-pięć do wszystkich patroli w okolicach Biura Głównego Biegłego Sądowego na rogu Czternastej i Franklina.

Danny został zastrzelony od tyłu, z niewielkiej odległości, być może nawet przyłożono mu lufę do głowy. Chciałam właśnie zapytać o łuski, gdy usłyszałam aż za dobrze znajomy odgłos.

– O nie! – krzyknęłam, podczas gdy warkot narastał. – Tylko nie to.

Było już jednak za późno i patrzyliśmy, jak śmigłowiec prasowy zaczyna obniżać lot. Omiótł reflektorem tunel i zimny, twardy kawałek ziemi, na którym klęczałam z rękami powalanymi krwią i resztkami mózgu. Ośloniłam oczy przed oślepiającym blaskiem, zaczął na nas spadać grad liści i grudek ziemi, drzewa gwałtownie się zakołysały. Nie rozumiałam, co wrzeszczy Marino, wściekle wymachujący trzymaną w ręce latarką, sama zaś robiłam wszystko, żeby nie zobaczyli zwłok.

Owinęłam głowę Danny'ego foliową torbą i przykryłam go płachtą, podczas gdy ekipa Kanału Siódmego zacierała wszelkie możliwe ślady, albo nic o tym nie wiedząc, albo nie przejmując się tym, może też z obydwu tych powodów. Odsunięto drzwi od strony pasażera i wychynął kamerzysta, podczas gdy strumień światła przygwoździł mnie i przygotował do wystąpienia w wieczornych wiadomościach. Po chwili jednak łopaty śmigieł rozpoczęły hałaśliwy odwrót napastników.

– Skurwysyny w mordę jebane! – wrzeszczał Marino i potrzasał w ich stronę pięścią. – Powystrzelać was do ostatniego!

## Rozdział dziewiąty

Samochód był już w drodze do biura, gdy umieściłam ciało w zasuwanym worku. Wstałam i zakręciło mi się w głowie. Przez mgnienie oka chwyciłam równowagę, na czoło wystąpił mi zimny pot i nic nie widziałam.

– Mogą go już zabierać – oznajmiłam Pete’owi Marino. – Można by się jakoś pozbyć tych zasranych kamer?

Ich jaskrawe światła krążyły po ulicy niczym satelity w oczekiwaniu na nasze pojawienie się. Spojrzał na mnie jak na wariatkę, bo obydwójce doskonale wiedzieliśmy, że nie ma żadnej siły ani na dziennikarzy, ani na sposoby, do jakich uciekają się w celu zarejestrowania naszych czynności. Dopóki nam nie przeszkadzali, mieli prawo robić, co im się żywnie podoba, zwłaszcza gdy latali w helikopterach, których nie byliśmy w stanie przechwycić czy zatrzymać.

– Przewieziesz go sama?

– Nie. Czekają już specjalna ekipa. Zresztą potrzeba nam będzie trochę pomocy przy wnoszeniu zwłok na górę. Zawołaj ich.

Włączył krótkofalówkę; nasze latarki nie przestawały omiatać śmieci, liści i wypełnionych mętną wodą dziur.

– Każę jeszcze paru ludziom dobrze się rozejrzeć – obwieścił Marino. – Powinniśmy natrafić na łuski, chyba że morderca je skrupulatnie zebrał. – Popatrzył na szczyt wzgórza. – Sęk w tym, że niektóre maszynki mają niezły zasięg, a ten cholerny śmigłowiec wszystko nam poprzestawiał.

Po chwili na dół zaczęli schodzić sanitariusze z noszami, słychać było chrzęst miażdżonego szkła i brzęk metalu. Oczekaliśmy, aż zabiorą ciało, po czym dokładnie obejrzałam ziemię w miejscu, gdzie leżały zwłoki.

Patrzyłam w czarny wlot tunelu, w dawnych czasach przebity w skale, która okazała się zbyt miękka, by unieść jego ciężar; podeszłam niemal do wejścia. W głębi przegradzała go ściana, w promieniach latarki błysnęło pokrywające cegły wapno. Zardzewiałe haki kolejowe sterczały ze spróchniałych, pokrytych błotem podkładów, dookoła wały się zużyte opony i stare butelki.

– Tam nic nie ma. – Marino kroczył moim śladem. – Jasna by to!... – Pośliznął się. – Już tam zaglądaliśmy.

– Wygląda na to, że tędy nie było szans ucieczki – mówiłam, a moim oczom ukazywały się brukowce i uschnięte chwasty. – Nie sposób się tu także ukryć. Porządni obywatele raczej nie powinni zaglądać w tę okolicę.

– Już wystarczy. – Marino mówił łagodnie, lecz stanowczo dotykał mojego ramienia.

– Wybór takiego miejsca to nie przypadek. Nawet nie wszyscy miejscowi wiedzą, gdzie znajduje się tunel. – Światło latarki błędziło po kolejnych zakamarkach. – Ten człowiek dokładnie wiedział, czego chce.

– Kay – odezwał się Marino przy akompaniamencie kapiącej wody – tu nie jest zbyt bezpiecznie.

– Wątpliwe, żeby Danny znał takie miejsce. Była to zbrodnia popełniona z premedytacją i zimną krwią. – Mój głos odbijał się echem od starych, zimnych murów.

– Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy. Idziemy. – Tym razem przytrzymał mnie za ramię i wcale nie stawiałam oporu.

Błoto mlaskało mi pod nogami, a Pete'owi wlewało się do butów wojskowych bez cholew, gdy wychodziliśmy po gnijących torach na zewnątrz. Wspięliśmy się obydwójce po zaśmieconym zboczu, uważnie wymijając krew, która wypłynęła z ciała Danny'ego, gdy ktoś zepchnął je ze wzgórza niczym niepotrzebny śmieć. Spora część śladów zniknęła,



rozegnana porywistymi podmuchami helikoptera, co adwokat obrony mógłby w swoim czasie podnieść. Odwróciłam twarz od fleszów kamer i silnych reflektorów. Przemknęliśmy bokiem, nie zamieniając z nikim ani słowa.

– Chciałabym obejrzeć swój samochód – odezwałam się, gdy w radiostacji rozległ się sygnał od jego jednostki.

– Setka – odpowiedział, przyciskając odbiornik do ust.

– Mów, jeden-siedemnaście – nakazał komuś dyspozytor.

– Sprawdziłem posesję od przodu i tyłu, kapitanie – relacjonował jeden-siedemnaście – ale nigdzie nie natrafiłem na żaden ślad opisanego przez pana pojazdu.

– Dziesięć-cztery. – Marino opuścił radiostację, na jego twarzy malowało się wzburzenie. – Suburbana nie ma nigdzie w okolicach twojego biura. Nic nie kapuję. Nic się tu nie trzyma kupy.

Ruszyliśmy w stronę niedalekiego parku Libby Hill, bo musieliśmy spokojnie porozmawiać.

– Wygląda mi na to, że Danny zabrał kogoś okazją – zaczął Marino, zapalając papierosa. – To może mieć jakiś związek z narkotykami.

– Nigdy w życiu nie bawiłby się w takie rzeczy, jadąc moim wozem – zaoponowałam, zdając sobie sprawę, że wychodzę na pierwszą naiwną. – To niemożliwe.

– Daj spokój, przecież nie masz żadnej pewności.

– Nigdy nie dawał mi powodów do podejrzeń, że jest wplątany w jakąś aferę narkotykową czy coś w tym guście.

– A ja uważam, że pociągało go życie alternatywne, czy jak je tam zwał.

– Skąd ta pewność?

Zaczynała mnie męczyć ta rozmowa.

– Choćby stąd, że jesteś cała umazana krwią.

– To zawsze jest powód do zmartwienia, niezależnie od przyczyn.

– Chodzi mi po prostu o to, że ludzie, których znamy, bardzo często nas zawodzą – ciągnął, gdy u naszych stóp zaczęły się ukazywać światła miasta. – Czasami też ktoś znany nam pobieżnie okazuje się gorszy niż osoby kompletnie nieznanymi. Ufałaś Danny’emu, bo go lubiałaś i jak na twój gust, w pracy spisywał się dobrze. Ale mógł prowadzić podwójne życie, a ty mogłaś nie mieć o tym zielonego pojęcia. – Nie reagowałam. Miał stuprocentową rację. – Miły, ładny chłopak. A tu bęc, zajeżdża w takie przedziwne okolice. Każdemu mogła przyjść ochota trochę sobie pofiglować przed odprowadzeniem samochodu szefowej. Możliwe, że chciał po prostu dać sobie w żyłę.

Bardziej przerażała mnie możliwość, że Danny padł ofiarą złodziei samochodów, którzy ostatnimi czasy wzmoгли swoją działalność w mieście. Powiedziałam to.

– Być może – zgodził się Marino, gdy zaczęliśmy zbliżać się do mojego wozu. – Ale fura wciąż tu stoi. Po co ktoś miałby wieźć kierowcę w taki zaułek, strzelać mu w tył głowy, a potem zostawiać samochód na miejscu? Powinniśmy też wziąć pod uwagę prostytutkę homoseksualną. Przyszło ci coś takiego do głowy?

Dotarliśmy już do mercedesa, a dziennikarze zrobili tyle zdjęć i zadali tyle pytań, jak gdybyśmy mieli do czynienia co najmniej ze zbrodnią stulecia. Nie zwracaliśmy na nich uwagi; podeszliśmy do otwartych od strony kierowcy drzwi i zajrzeliśmy do środka. Przyjrzałam się badawczo poręczom, popielniczkom, desce rozdzielczej i skórzanej tapicerce – wszystko było w jak najlepszym porządku. Ani śladu jakiegokolwiek szamotaniny, choć chodniczek przy fotelu pasażera był zabrudzony. Zwróciłam uwagę na nikłe ślady butów.

– Jest w takim stanie, jak w chwili znalezienia? – zapytałam. – Drzwi też były otwarte?

– To nasza robota. Nie, były zamknięte na klucz – poinformował mnie Marino.

– Nikt nie wsiadał?

– Nie.

– Tego tu wcześniej nie było. – Pokazałam chodnik na podłodze.

– To znaczy czego?

– Widzisz te odciski butów i piach? – Mówiłam ściszym głosem, żeby nie dosłyszeli mnie dziennikarze. – W zasadzie na fotelu pasażera nie powinno nikogo być. Ani w czasie jazdy Danny’ego ani wcześniej, gdy naprawiano wóz w Virginia Beach.

– Może Lucy?

– Nie. Ostatnio nigdzie jej nie wozłam. Zresztą nie zabierałam chyba nikogo od czasu ostatniego sprzątnia.

– Nie szkodzi, wszystko poodkurzamy. – Odwrócił wzrok i dodał niechętnie: – Zdajesz sobie chyba sprawę, że będziemy musieli zatrzymać wóz jako materiał dowodowy.

– Jasne. – Ruszyliśmy w kierunku ulicy przy tunelu, gdzie zostawiliśmy samochody.

– Ciekaw jestem, czy Danny dobrze znał Richmond – odezwał się Marino.

– Przyjeżdżał już do mnie do biura. – Było mi ciężko na duszy. – Zaraz po zatrudnieniu miał tu tygodniową praktykę. Nie pamiętam dokładnie, gdzie się wtedy zatrzymał, chyba w hotelu Comfort przy ulicy Broad. – Szliśmy przez chwilę w milczeniu, które przerwałam: – Z pewnością znał rejon mojego biura.

– No tak, czyli właściwie znał na pamięć ten kwartał, w końcu ledwie piętnaście przecznic od ciebie.

– A może on po prostu zajechał w tę stronę, żeby coś przekąsić przed powrotem autobusem do domu? Nie możemy mieć pewności, że powodem nie było coś równie prozaicznego.

Koło naszych samochodów stało kilka wozów patrolowych i furgonetka policyjnej ekipy technicznej; na szczęście dziennikarzy nie było widać. Otworzyłam kombi i wsiadłam do środka. Marino stał z rękami w kieszeniach i przyglądał mi się podejrzliwie. Znał mnie na wylot.

– Nie będziesz go chyba dziś badała?

– Skąd. – Nie zdobyłabym się na coś takiego.

– I, jak widzę, nie masz ochoty na powrót do domu.

– Jest jeszcze sporo roboty – odpowiedziałam. – Im dłużej stoimy z założonymi rękami, tym więcej możemy stracić.

– Dokąd się wybieremy? – zapytał, dobrze wiedząc, jak człowiek się czuje, gdy ktoś znajomy zostanie zamordowany.

– W okolicy jest sporo lokali. Może do Milliego?

– Nie, za drogo. Zdzierają też u Patricka Henry’ego i w większości knajp w Slip i Shockoe Bottom. Nie zapominaj, że Danny nie miał dużo kasy, chyba że dostawał ją z nie znanych nam jeszcze źródeł.

– Założmy więc, że nic od nikogo nie dostawał. Że wpadł coś zjeść gdzieś w pobliżu mojego biura, najlepiej przy ulicy Broad. Może do Poego, nie dokładnie na Broad, ale rzut beretem od parku Libby Hill. No i mają tam kawiarnię – dorzuciłam.

– Nic lepszego nie można sobie wymarzyć – zgodził się.



Gdy zaszliśmy do Poego, szef wydawał właśnie resztę ostatniemu klientowi. Odczekaliśmy kawał czasu, a uzyskaliśmy jedynie informację, że wieczorem ruch był niewielki i nie pojawił się nikt przypominający z opisu Danny'ego. Wróciliśmy do wozów, pojechaliśmy dalej ulicą Broad, potem Dwudziestą Ósmą do restauracji Hill; tętno natychmiast mi podskoczyło, gdy zdałam sobie sprawę, że jesteśmy zaledwie ulicę od miejsca, w którym znaleziono mojego mercedesa.

Znana ze swojej Krwawej Mary i chili knajpa znajdowała się na rogu i była ulubionym miejscem spotkań policjantów. Zachodziłam tu więc wielokrotnie, zazwyczaj w towarzystwie Pete'a. Był to bar dla miejscowych, z prawdziwego zdarzenia, i jeszcze o tej godzinie stoliki były pozajmowane, w powietrzu gęsto od dymu, a w telewizji leciały jakieś klipy. Daigo wycierała za barem szklanki i na widok Pete'a uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Co tu porabiacie o takiej porze? – zapytała, jakby nas tutaj zobaczyła po raz pierwszy w życiu. – Gdzie się podziewaliście, gdy tyle się działo?

– Powiedz nam, słonko – zaczął Marino – jaki ruch w interesie panował w tym najlepszym barze w mieście? – Przysunął się do niej, żeby inni nie słyszeli, o czym rozmawiają.

Daigo była muskularną Murzynką; przyglądała mi się badawczo, jakby już gdzieś kiedyś mnie widziała.

– Zwaliała się tu dziś kupa ludzi. Myślałam, że nogi odmówią mi posłuszeństwa. Życzy coś sobie kapitan dla siebie i swojej przyjaciółki?

– Czy ja wiem? – namyślał się Marino. – Ale znasz panią doktor, no nie? Zmarszczyła czoło, po chwili w jej oczach pojawił się błysk rozpoznania.

– Wiedziałam, że panią tu kiedyś widziałam. Z nim. Ochajtnieście się już? – Roześmiała się jak z najlepszego żartu, jaki zdarzyło się jej

kiedykolwiek powiedzieć.

– Słuchaj, Daigo – przerwał jej Marino – szukamy takiego jednego chłopaka. Biały, szczupły, długie ciemne włosy, naprawdę ładny i miły. Powinien mieć na sobie skórzaną kurtkę, dżinsy, sweter, tenisówki i jasnoczerwoną szynę na kolanie. Wygląda na dwadzieścia pięć lat, jechał nowiutkim mercedesem z mnóstwem anten.

Oczy zwęziły jej się w szparki, twarz stawała się coraz bardziej zacięta, w miarę jak Marino podawał kolejne informacje, ściereczka do naczyń opadła na kontuar. Przypuszczałam, że policji zdarzało się już wypytywać Daigo o różne śmierzące sprawy, i z wyrazu jej twarzy łatwo było odgadnąć, że nie znosi złych i rozpróznionych ludzi, którzy bez skrępowań niszczą innym życie.

– Tak, tak, dokładnie go sobie przypominam.

– Jej słowa podziały na nas jak wystrzał z pistoletu. Skupiliśmy na niej całą uwagę. – Wszedł gdzieś koło piątej, jeszcze dość wcześnie. Pałętało się tu trochę ludzi, którzy jak zwykle pili piwo. Nie było dużo gości, to za wczesna pora na kolację. Usiadł tam.

Pokazała pusty stolik pod zwisającą ze ściany rośliną, koło której widniał obrazek przedstawiający koguta na białym murze. Patrząc na miejsce, w którym Danny’emu dane było po raz ostatni w życiu zjeść z mojego powodu kolację, wyobraziłam go sobie jak żywego. Jak zawsze uczynny, zadbany, z lśniącymi, długimi włosami – potem zakrwawiony i brudny na zbożu usianego śmieciami wzgórze. Poczułam ból w piersiach i musiałam na chwilę odwrócić wzrok i zająć czymś oczy. Gdy już się dostatecznie uspokoiłam, oznajmiłam Daigo:

– Pracował u mnie w Biurze Głównego Biegłego Sądowego. Nazywał się Danny Webster.

Patrzyła na mnie dłuższą chwilę, uświadamiając sobie sens moich słów.

– To on, o Jezu. Nie mogę. Mówili w dzienniku, ludzie też bez przerwy o tym nawijają, bo to się stało właściwie po sąsiedzku.

– Istotnie – potwierdziłam.

– To był jeszcze dzieciak. – Spojrzała na Pete’a, jakby go o coś błagała.  
– Wszedł tutaj i nie zwracał na nikogo uwagi, zjadł kanapkę marynarską, a po chwili ktoś go zabił. Naprawdę – mówiła, wycierając kontuar – za dużo zła na tym świecie. Za dużo, do cholery! Mam go po dziurki w nosie. Wiecie, o co mi chodzi? Zabijanie to dla nich pestka.

Kilku gości dosłyszało naszą rozmowę, ale nie gapili się na nas ani nie poszeptywali na boku. Marino był umundurowany. Reprezentował tu władzę, a na taki widok ludziom odchodzi ochota do wtrącania się. Oczekaliśmy, aż Daigo wyładuje całą złość, po czym wyszukaliśmy stół w najspokojniejszym zakątku baru. Daigo kazała podejść jakieś kelnerce.

– Na co macie ochotę?

Odeszła mi ochota na cokolwiek i zamówiłam herbatę ziołową, ale kobieta nawet nie chciała o tym słyszeć.

– Zaraz tu przyniosę kapitanowi miskę puddingu chlebowego w sosie z Jacka Danielsa, nie martwcie się, whisky jest odparowana. – Zachowywała się jak lekarz. – Filiżankę mocnej kawy, kapitanie? To, co zawsze? – Nie zdążył odpowiedzieć, gdy podsumowała: – Czyli kanapki ze średnio wypieczonym stekiem, pieczone cebule i podwójna porcja frytek. Do tego oczywiście keczup, musztarda, majonez. Nie możemy mu pozwolić umrzeć z głodu.

– Mogę? – Marino wyjął papierosa, jakby chciał się dzisiaj dobić na wszelkie możliwe sposoby.

Daigo też zapaliła papierosa i wygrzebała z pamięci wszystkie szczegóły, bo pracowała w lokalu, w którym nieznajomi rzucają się w oczy. Danny siedział tu niecałą godzinę. Był zupełnie sam i wyglądało na to, że

na kogoś czeka. Wydawało się, że umówił się na jakąś określoną godzinę, bo raz po raz zerkał na zegarek. Zamówił kanapkę marynarską, frytki i pepsi. Za ostatni posiłek w życiu zapłacił sześć dolarów i dwadzieścia siedem centów. Obsługiwała go kelnerka imieniem Cissy, której dał dolara napiwku.

– Nie widziałaś dzisiaj nikogo, kto wzbudziłby jakieś podejrzenia? Ani razu? – wypytywał Marino.

– Nie, nie. – Pokręciła głową. – Nie znaczy to, rzecz jasna, że jakiś wyskrobek nie pałętał się po ulicy. Aż się tu od nich roi, za pierwszym lepszym rogiem. Ale nie widziałam dzisiaj nikogo takiego. Żaden z gości też nie narzekał na żadne zajścia.

– Musimy jeszcze pogadać z klientami – powiedział Marino. – Może w czasie, gdy Danny stąd wychodził, któryś z nich zauważył jakiś podejrzany samochód.

– Trzymamy rachunki. – Poprawiła włosy, które były już w zupełnym nieładzie. – Ale i tak większość gości znamy na pamięć.

Zbieraliśmy się już do odejścia, gdy coś jeszcze przyszło mi do głowy.

– Daigo, czy on zamówił coś na wynos?

– Zaraz zapytam. – Nie była pewna. Marino zgasił następnego papierosa, jego twarz przybrała purpurową barwę.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam.

– Żar tu jak w piecu. – Otarł twarz serwetką.

– Zamówił frytki – oznajmiła Daigo po powrocie. – Cissy mówi, że zjadł kanapkę i surówkę, ale frytek prawie nie tknął i wziął je ze sobą. Aha, i jeszcze przy kasie kupił sobie paczkę gumy do żucia.

– Jakiej?

– Twierdzi, że Dentyne.



Po wyjściu Marino odpiął guzik służbowej koszuli i zdarł z siebie krawat.

– Żeby to, czasami w ogóle żałuję, że awansowałem. – Kiedyś pracował w cywilnym ubraniu. – Mogą się gapić – wymamrotał. – Zaraz się uduszę.

– Czy aby na pewno nie żartujesz?

– Nie bój się, jeszcze nieprędko wyląduję na twoim stole. Po prostu za dużo zjadłem.

– Zgadzam się. Za dużo też wypaliłeś. I właśnie, do cholery, przez to ludzie lądują na sekcji zwłok. Ani mi się waży wykorkować. Mam już tego po dziurki w nosie. – Doszliśmy do mojego kombi, a Marino wytrzeszczał na mnie oczy i sprawdzał, czy nie widzi czegoś, czego zobaczyć nie powinien.

– Dobrze się czujesz?

– A jak myślisz? Danny pracował u mnie w biurze. – Ręka z kluczami mi zadrzała. – Robił wrażenie miłego i przyzwoitego chłopaka. Zawsze starał się wywiązać z tego, co do niego należało. Przyjechał tu z Virginia Beach, bo go o to poprosiłam, a teraz stracił tył głowy. I jak się mam teraz czuć?

– Coś mi się zdaje, że się obwiniasz.

– Może i mam rację. – Staliśmy w mroku, obserwując się nawzajem.

– Mylisz się – wycedził – to вина tego skurwiela, co pociągnął za spust. Nie miałaś z tym absolutnie nic wspólnego, ale na twoim miejscu czułbym się tak samo.

– O Boże – wyrwało mi się.

– Co? – Przestraszył się i zaczął się rozglądać, jakbym coś wypatrzyła.

– Jego torba. Co się z nią stało? Nie widziałam jej w mercedesie. W ogóle było w nim całkiem pusto, nawet śladu opakowań po gumie.

– Jasne jak słońce. Na ulicy, gdzie zaprowadzili ci brykę, również nic nie zauważyłem. W okolicach zwłok też nie znaleźliśmy niczego.

Zostało jeszcze jedno miejsce, po którym nikt nie myszkował, czyli restauracja i ulica przed nią, gdzie właśnie staliśmy. Wyjeliśmy więc znów latarki i zaczęliśmy przeczesywać teren. Przeszliśmy całą ulicę Broad, ale dopiero na Dwudziestej Ósmej, koło krawężnika, przy akompaniamencie szczekania psa, natrafiliśmy na małą, białą torbę. Położenie torby wskazywało, że Danny zaparkował samochód możliwie najbliżej knajpy, i to w okolicy, gdzie budynki i drzewa rzucały gęsty cień i paliło się niewiele latarni.

– Masz przy sobie ołówek albo długopis? – spytał Marino, który kucnął przy czymś, co wzięliśmy za resztki kolacji Danny’ego.

Znalazłam pióro i grzebień z długą rączką, które mu podałam. Za pomocą tak prostych narzędzi otworzył torbę, nie dotykając jej. W środku odkrył zimne frytki w woreczku foliowym i ogromną paczkę gumy do żucia Dentyne. Ten poruszający widok był śladem strasznych wydarzeń. Danny został zaatakowany po wyjściu z restauracji, kiedy szedł w kierunku mojego wozu. Możliwe, że ktoś wynurzył się z cienia i wycelował weń pistolet, gdy Danny otwierał drzwi samochodu. Nie mieliśmy pewności, lecz przypuszczaliśmy, iż pod przymusem odjechał ulicę dalej, skąd zaprowadzono go na miejsce zgonu na samotnym, zalesionym zboczu.

– Ten zasrany pies mógłby się wreszcie zamknąć – warknął Marino. – Nie ruszaj się stąd. Zaraz wracam.

Przeszedł ulicą do własnego samochodu i otworzył bagażnik. Wrócił z dużą, brązową papierową torbą, jakich policjanci używają zazwyczaj do przechowywania materiału dowodowego. Przytrzymałam ją, on zaś manipulował grzebieniem i piórem, żeby wsunąć do środka resztki kolacji chłopaka.

– Właściwie powinienem zanieść to do działu własności, ale na jedzenie patrzą tam wilkiem. I tak nie mają lodówki. – Papier szeleścił, gdy zamykał pakunek z dowodami.

Na chodniku rozlegał się szurgot naszych nóg.

– O kurde, zimniej tu niż w lodówce! – zaklął Marino. – Jeśli uda nam się znaleźć jakieś odciski palców, to powinny należeć do niego. Przyślę ekipę techniczną.

Zamknął torbę w bagażniku, gdzie na pewno chował już wiele innych dowodów przestępstw. Odstępstwo od przepisów wyrażało się u niego nie tylko niechętnym stosunkiem do regulaminowego stroju. Objęłam spojrzeniem ulicę, wzdłuż której stały samochody.

– Wszystko zaczęło się właśnie tutaj – powiedziałam.

Marino milczał chwilę, po czym zapytał:

– Myślisz, że to twój benz? Że to wszystko przez niego?

– Nie mam pojęcia.

– Prawdę mówiąc, mógł to być napad. W takim samochodzie wyglądał na nadzianego, mimo że w rzeczywistości nie miał pieniędzy. – Moje wyrzuty sumienia odezwały się ze zdwojoną siłą. – Możliwe też, że zatrzymał się, żeby podrzucić znajomego.

– Pewnie łatwiej byłoby nam się z tym pogodzić, gdyby coś knuł. Można by wtedy zrzucić winę na niego.

– Jedź do domu i wyśpij się. Mam cię eskortować? – Marino obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

– Nie, dzięki, jakoś sobie poradzę. Kłamałam. Jazda trwała dłużej, niż myślałam, prowadziła też przez bardziej mroczne okolice, a ja czułam się tak, jakbym zapomniała wszystkiego, czego się w życiu nauczyłam. Z trudem przyszło mi nawet opuszczenie szyby przy budce opłat za autostradę i znalezienie drobnych. Później nie trafiłam żetonem do kosza,

ktoś za mną zatrąbił, że aż podskoczyłam. Byłam tak strasznie nie w sosie, że chyba nic nie byłoby w stanie mnie uspokoić, nawet scotch. Wróciłam do siebie koło pierwszej w nocy, a podnoszący szlaban stróż obrzucił mnie posepnym wzrokiem, tak że sądziłam, iż już o wszystkim wie i przeczuwa, po co wyjeżdżałam. Przed domem po prostu osłupiałam na widok stojącego tam suburbańczyka Lucy.

Jeszcze nie spała i wyglądała, jakby kryzys już minął. Siedziała w gościnnym pokoju. Włączyła kominek, nogi przykryła kocem. W telewizji rozśmieszał wszystkich Robin Williams.

– Co się dzieje? – Usiadłam na krześle obok. – Skąd się tu wziął twój wóz?

Miała okulary na nosie i czytała jakieś instrukcje wydane przez FBI.

– Odezwała się sekretarka. Facet z moim samochodem dotarł do twojego biura w mieście, a asystent przepadł bez śladu. Jak mu tam, Danny? No więc gość zadzwonił z mojego samochodu, po chwili telefon przełączyli tutaj. Umówiliśmy się przy stróżówce.

– Jak to możliwe? – dopytywałam się. – Nawet nie wiem, jak się ten człowiek nazywa. Podobno jakiś znajomy Danny’ego, który miał z kolei odprowadzić mój wóz. Przykazano im zaparkować obydwa pojazdy za moim biurem. – Urwałam nagle i wybałuszyłam oczy. – Lucy, czy słyszałaś o wypadkach ostatnich godzin? Domyślasz się, dlaczego wracam o tej porze? – Wzięła pilota i wyłączyła telewizor.

– Wiem tylko tyle, że wezwano cię do jakiejś sprawy. Sama tak mówiłaś przed wyjściem.

Wszystko zatem jej opowiedziałam. O Dannym, o tym, że nie żyje, o tym, jak znaleźliśmy mój samochód. Z wszelkimi szczegółami.

– Lucy, co możesz powiedzieć o człowieku, który przyprowadził tu twój samochód?

– Niewiele. – Wyprostowała się na siedzeniu. – To jakiś gość mówiący chyba z hiszpańskim akcentem, na imię ma, zdaje się, Rick. Kolczyk, krótko ostrzyżone włosy i dwadzieścia dwa, może trzy lata. Był bardzo miły i uprzejmy.

– Gdzie go można znaleźć? Nie powiesz mi chyba, że tak bez niczego wzięłaś od niego wóz i nic więcej?

– Jasne że nie. Odwiozłam faceta na dworzec autobusowy. Drogę wskazał mi George.

– George?

– Stróż, który miał o tej porze służbę. W budce tutaj. Musiała być wtedy jakaś dziewiąta.

– A wiec Rick wracał do Norfolk.

– Nie mam pojęcia. W drodze na dworzec zapewniał mnie, że Danny wcześniej czy później się zjawi. Sam pewnie też nic nie wiedział o losie tamtego.

– Jezus Maria. Oby tylko dowiedział się o tym dopiero z dziennika. Mam nadzieję, że nie przyczynił się do zgotowania Danny’emu takiego losu.

Myśl o Lucy, która jechała sama swoim wozem z tamtym nieznanym, napełniła mnie przerażeniem, natychmiast przypomniała mi się głowa Danny’ego. Poczułam dotyk roztrzaskanych kości, śliskich od krwi.

– Podejrzewasz o coś Ricka?

Wydawała się zdumiona.

– W tej chwili podejrzewam właściwie wszystkich.

Podeszłam do telefonu na barku. Marino też zdążył już wrócić do domu i nie dał mi nawet dojść do słowa.

– Znaleźliśmy łuskę.

– Super. – Aż mi ulżyło. – Gdzie?

– Gdy stoi się na tamtej ulicy, twarzą w stronę tunelu, to będzie w krzakach jakieś trzy metry na prawo od ścieżki w miejscu, gdzie pojawiają się pierwsze ślady krwi.

– Wyrzut z prawej komory – skomentowałam.

– Zapewne, chyba że schodzili ze wzgórza tyłem. Zabójca był zawodowcem, używał czterdziestki piątki, amunicja Winchestera.

– Taka broń to aż za dużo.

– Racja. Chciał mieć stuprocentową pewność, że Danny się z tego nie wylize.

– Marino – zaczęłam – Lucy widziała się wieczorem z kolegą Danny’ego.

– Z tym facetem, który odprowadzał jej samochód?

– Tak. – I opowiedziałam całą resztę.

– To zaczyna trochę bardziej trzymać się kupy. Po drodze się rozdzielili, ale Danny wytłumaczył kumplowi, jak ma tam jechać, i dał mu na wszelki wypadek numer telefonu.

– Niech ktoś spróbuje dotrzeć do Ricka, zanim rozplynie się w powietrzu. Może by na niego zaczekał na końcowym przystanku autobusu?

– Zatelefonuję na komendę w Norfolk. I tak będę musiał to zrobić, bo trzeba zawiadomić rodzinę Danny’ego, żeby nie dowiedzieli się o tym najpierw z telewizji.

– Rodzina mieszka w Chesapeake – oznajmiłam grobowym głosem, wiedząc, że z krewnymi też przyjdzie mi pogadać.

– Jasny szlag! – zaklął Marino.

– Ani słowa o tym Roche’owi, niech nie waży się zbliżyć do krewnych Danny’ego.

– Już ja to załatwię. Musisz się też jak najprędzej skontaktować z doktorem Mantem.

Spróbowałam zadzwonić na numer jego matki w Londynie, ale nikt nie podnosił słuchawki, więc zostawiłam na sekretarce alarmującą wiadomość. Tyle telefonów do wykonania, a ja nie miałam już siły. Usiadłam na kanapie koło Lucy.

– I jak tam?

– Przeglądałam katechizm i coś mi się zdaje, że nie mogę jeszcze przystąpić do pierwszej komunii.

– Mam nadzieję, że kiedyś nadejdzie ten dzień.

– Strasznie mnie boli głowa.

– Dobrze sobie na to zasłużyłaś.

– Racja. – Potarła skronie.

– Tyle razy już przez to przechodziłaś, a ciągle robisz to samo. – Nie mogłam się powstrzymać.

– Sama nie wiem dlaczego. Może jestem już skazana na to, żeby się wszystkim przejmować. Wielu agentów reaguje identycznie. Biegamy, podnosimy ciężary, wykonujemy wszystko, co do nas należy, by potem w piątkową noc dać sobie trochę czadu.

– Dobrze przynajmniej, że tym razem robiłaś to w bezpiecznym miejscu.

– Czy ty zawsze jesteś taka opanowana? – Nasze oczy spotkały się. – Bo nigdy w życiu nie widziałam, jak tracisz nad sobą kontrolę.

– Dlatego że nie chciałam ci tego pokazywać – odparłam. – Bo tylko takie sceny oglądałaś przy matce i potrzebowałaś trochę pewności i bezpieczeństwa.

– Nie odpowiedziałaś na pytanie. – Nie spuszczała ze mnie wzroku.

– To znaczy co? Czy się kiedykolwiek upiłam?

Przytaknęła.

– Nie ma się czym chwalić, a poza tym bardzo chce mi się spać.

Wstałam.

– Więcej niż raz? – dobiegło mnie, gdy zdążyłam już zrobić kilka kroków. Przystanęłam w progu i odwróciłam się w jej stronę.

– Lucy, w swoim długim i ciężkim życiu zdarzało mi się już robić praktycznie wszystko, co może zrobić człowiek. Nigdy też nie osądzałam żadnego z twoich uczynków. Dręczyłam się tylko wtedy, gdy zdawało mi się, że sama sobie szkodzisz – odpowiedziałam wymijająco.

– Czy teraz też się o mnie niepokoisz? – Nie dasz mi spokoju do końca życia.

Uśmiechnęłam się lekko.

Poszłam do siebie i zamknęłam drzwi. Browning położyłam przy łóżku, zażyłam też benadryl, bo bez tego na pewno nie zdołałabym przespać tych kilku pozostałych z nocy godzin. Gdy ocknęłam się o świcie, wpół siedziałam wsparta o poduszkę, przy łóżku paliła się lampka, a na moich nogach leżał otwarty „Dziennik Związku Prawników Amerykańskich”. Wyszłam na korytarz, gdzie ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłam otwarte drzwi do pokoju Lucy, w którym łóżko było nierozesłane. Nie zastałam jej też w stołowym, pobiegłam więc do saloniku. Przez okna widać było puste, pokryte szronem płyty chodnika i trawnik; najwyraźniej suburba nie było tam już od dłuższego czasu.

– Oj, Lucy – wymamrotałam, jakby była w stanie mnie dosłyszeć – niech cię szlag.



## Rozdział dziesiąty

Na zebranie pracowników spóźniłam się dziesięć minut, co nie zdarzało mi się nigdy, ale nikt tego nie komentował i wszyscy udawali, że nie zwracają na to uwagi. Śmierć Danny'ego Webstera położyła się na wszystkich ciężkim cieniem i mieliśmy wrażenie, że lada dzień każdego spotkać może jakaś tragedia. Mój personel myślał i działał dziś bardzo powoli, wszyscy byli oszołomieni. Po tylu latach wspólnej pracy Rose przyniosła mi kawę ze śmietanką, zapomniawszy, że lubię tylko czarną. Niedawno urządzona sala konferencyjna wyglądała niezwykle przytulnie: ciemnoniebieski dywan, nowy stół i ciemna boazeria. Jednak modele anatomiczne i ludzki szkielet pod foliowym całunem nie pozwalały zapomnieć o nieprzyjemnych faktach, które tu omawiano. Pomieszczenie było, rzecz jasna, pozbawione okien, a jedyny akcent artystyczny stanowiły portrety poprzednich szefów biura, którzy nieubłaganie spoglądali na nas ze ścian.

Tego ranka po moich obu stronach usadowili się główny administrator i jego asystent oraz główny toksykolog z mieszczącego się piętro wyżej wydziału nauk sądowniczych. Siedzący na prawo Fielding jadł plastikową łyżeczką jogurt naturalny, obok niego zajęli miejsca kierownik działu i nowa pracownica.

– Rozumiem, że słyszeliście już o śmierci Danny'ego Webstera – zagaiłam posepnie ze swego zwyczajowego miejsca u szczytu stołu. – Nie muszę chyba dodawać, jaki wpływ ma na każdego z nas tego rodzaju bezsensowna śmierć.

– Doktor Scarpetta – odezwał się asystent – czy są jakieś nowe wiadomości w tej sprawie?

– W tej chwili wiemy, co następuje... – i zrelacjonowałam to, co było mi wiadome. – Wczoraj wieczorem wszystko wskazywało na to, że Danny ma co najmniej jedną ranę postrzałową w tyle głowy – zakończyłam.

– Czy znaleziono łuski? – wtrącił się Fielding.

– Policja odnalazła jedną w zaroślach nieopodal drogi.

– A zatem zastrzelono go w samym Sugar Bortom czy też w samym samochodzie lub jego pobliżu?

– Wygląda na to, że nie stało się to w pobliżu samochodu.

– Czyjego samochodu? – spytała nowa pracownica, która zbyt późno odbyła studia medyczne i teraz zanadto przejmowała się swoją rolą.

– Mojego. To mercedes – poinformowałam ją. Robiła wrażenie zdezorientowanej, więc raz jeszcze streściłam przebieg wypadków. Wtedy postawiła niezwykle istotne pytanie:

– Czy dopuszcza pani możliwość, że ktoś polował na panią?

– O mój Boże – odezwał się poirytowany Fielding, odstawiając kubek z jogurtem. – Jak coś takiego mogło pani choćby przejść przez gardło?

– Życie nie zawsze nas rozpieszcza – odcięła się tamta, w równym stopniu bystra, co nudna. – Chcę przez to powiedzieć tylko tyle, że skoro wóz doktor Scarpetty stał przed restauracją, do której czasem zaglądała, ktoś mógł się tam na nią zaczaić, nie spodziewając się jednak zastać na jej miejscu kogoś innego. Możliwe też, że śledził samochód i sądził, że pani doktor weszła do lokalu, tym bardziej że w chwili, gdy Danny wsiadał do wozu, na dworze zdążył już zapaść zmrok.

– Przejdźmy może do innych aktualnych spraw – zaproponowałam, popijając łyk sporządzonej przez Rose kawy z sacharyną i beztłuszczową śmietanką.

Fielding położył przed sobą spis wypadków i swoim tradycyjnym, zniecierpliwionym tonem człowieka z północy kraju zaczął wyliczać

kolejne autopsje. Przedmiotem jednej z nich była ofiara pożaru, drugiej więzień cierpiący od lat na chorobę serca, wreszcie ostatnią siedemdziesięcioletnia kobieta z rozrusznikiem i defibrylatorem.

– Była znana z częstych ataków depresji, związanych na ogół z jej chorobą – ciągnął Fielding. – Dziś o trzeciej nad ranem mąż usłyszał, jak wstaje z łóżka. Najwyraźniej poszła do drugiego pokoju i po prostu się zastrzeliła.

Ewentualnymi kandydatami do sekcji zwłok były inne jeszcze dobre dusze, zmarłe w nocy na zawały serca i w wyniku wypadków samochodowych. Odrzuciłam kobietę w starszym wieku, która najwyraźniej padła ofiarą raka, i biedaka, który uległ w końcu niszczycielskiemu działaniu choroby wieńcowej. Na koniec mogliśmy odsunąć krzesła od stołu i zjechać na dół. Personel szanował moją intymność i nie zakłócał toku myśli. Żadne pytanie nie padło w windzie, gdzie cały czas wpatrywałam się w zamknięte drzwi. W szatni włożyliśmy fartuchy i w milczeniu umyliśmy ręce. Zakładałam właśnie ochraniacze na buty i rękawice, gdy podszedł do mnie Fielding i szepnął mi do ucha, patrząc pełnym powagi wzrokiem:

– Może ja się nim zajmę.

– Nie, ja – zaoponowałam. – Ale dzięki za szczere chęci.

– Pani doktor, proszę się oszczędzać. Nie było mnie, gdy ten chłopak u nas pracował, w ogóle go nie znam.

– To nic, Jack.

Odeszłam.

Nie pierwszy raz robiłam sekcję komuś znajomemu; większość funkcjonariuszy policji i lekarzy nie mogła zrozumieć mojego uporu. Przekonywali, że badania będą bardziej obiektywne, gdy zabieg przeprowadzi ktoś inny, co nie było zgodne z prawdą – pod warunkiem, że

stali przy mnie świadkowie. Oczywiście, nie znałam Danny’ego ani blisko, ani przez dłuższy czas, ale pracował u mnie i zginął niejako zamiast mnie. Miałam zamiar dołożyć wszelkich starań, by wyjaśnić sprawę jego śmierci.

Leżał na wózku przy stole numer jeden, na którym z reguły pracowałam, i dzisiaj jego widok był boleśniejszy i bardziej porażający. Był zimny, nastąpiło już zupełne zeszywnienie, jak gdyby w ciągu nocy wyparowało zeń całe człowieczeństwo. Twarz miał usmarowaną zakrzepłą krwią, usta otwarte, jakby w chwili śmierci chciał coś powiedzieć. Ze szparek oczu wзираło typowe dla zmarłych spojrzenie. Zobaczyłam czerwoną szynę i przypomniałam sobie, jak jeszcze całkiem niedawno ścierał podłogę. Przypomniało mi się jego pogodne usposobienie, ale także smutny wyraz twarzy, gdy wspominał Teda Eddingsa i innych młodych ludzi, którzy nagle odeszli.

– Jack. – Dałam ręką znak Fieldingowi.

– Tak. – Pośpieszył niemal truchtem.

– Biorę cię za słowo. – Zaczęłam przyklejać etykiety do próbek. – Przydałaby się twoja pomoc, o ile, rzecz jasna, nadal jesteś przekonany, że dasz radę.

– Co mam zrobić?

– Przeprowadzimy badania wspólnie.

– Nie widzę przeszkód. Woli pani, żebym zapisywał?

– Zaczniemy od zrobienia mu zdjęć w obecnym stanie, ale najpierw podłożymy pod ciało prześcieradło.

Przypadek Danny’ego opatrzony został numerem ME-3096, co oznaczało, że był trzydziestą sprawą w tym nowym roku w stołecznym okręgu stanu Wirginia. Po wielogodzinnym przebywaniu zwłok w zimnie szło nam dość ciężko; gdy unieśliśmy Danny’ego na stół, nogi i ręce z łomotem walnęły o blat, jakby chciały wyrazić swój protest przeciwko

temu, co mieliśmy zamiar z nim wyprawiać. Zdjęliśmy brudne i pokrwawione ubranie. Ręce nie chciały wyjść z rękawów, opór stawiały też ciasno opięte dzinsy. Zanurzyłam ręce w jego kieszeniach, skąd wydobyłam dwadzieścia siedem centów, wykałaczkę i brelok z kluczami.

– Dziwne – zaczęłam, gdy złożyliśmy ubranie i ułożyliśmy je na wózku, również pokrytym jednorazowym prześcieradłem. – Nie wiem, gdzie są kluczyki do mojego wozu.

– Takie zdalnie sterowane?

– Zgadza się. – Taśma klejąca pękała, gdy usuwałam z kolana szynę.

– Rzecz jasna, nie było ich na miejscu zbrodni?

– W każdym razie nigdzie nie było ich widać. Nie tkwiły też w stacyjce, więc założyłam, że powinny być u Danny'ego. – Ściągałam mu właśnie grube, sportowe skarpety.

– Jak znam życie, mógł przywłaszczyć je sobie morderca, mogły też po prostu gdzieś się zawieruszyć.

Przypomniał mi się śmigłowiec, który przyczynił się tylko do powiększenia bałaganu; nawiasem mówiąc, słyszałam, że Pete'a pokazywano w dzienniku. Wygrażał pięścią i coś wrzeszczał; obok widać było mnie.

– No proszę, ma tatuaże. – Fielding wziął kartkę notatnika. Na stopach widniały dwie kostki do gry. – Oczy węża – skomentował Fielding. – Boże, to musiało dopiero boleć.

Odkryłam niewielką bliznę po operacji wyrostka, jeszcze jedną na lewym kolanie; ta była zapewne śladem jakiegoś wypadku, któremu Danny musiał ulec w dzieciństwie. Na prawym kolanie można było dostrzec świeże purpurowe blizny po operacji, mięśnie w tamtych okolicach nosiły ślady lekkiej atrofii. Pobrałam próbki paznokci i włosów; na pierwszy rzut oka nie dojrzałam żadnych śladów walki. Nie miałam powodu, by założyć,

że stawiał opór napastnikowi, który zaatakował go po wyjściu z Hill Cafe, w miejscu gdzie upadła torba z resztą jedzenia.

– Teraz go odwróćmy – powiedziałam.

Fielding przytrzymał go za nogi, ja natomiast wzięłam chłopaka pod pachy. Ułożyliśmy go na brzuchu i za pomocą lupy i mocnego źródła światła dokładnie przyjrzałam się jego potylicy. Długie, ciemne włosy posklejane były od krwi i zaplątanych w nie śmieci; obmacałam całą czaszkę.

– Musimy go tu wygolić, żeby uzyskać pewność. W tej chwili wygląda mi na to, że za prawym uchem znajduje się rana od oddanego z minimalnej odległości strzału. Gdzie klisze?

– Powinny być już gotowe.

Fielding zaczął się rozglądać.

– Musimy zrekonstruować czaszkę.

– Cholera – zaklął, jednocześnie przytrzymując wraz ze mną głęboką ranę w kształcie gwiazdy, przypominającą okazałymi rozmiarami jakiś naturalny otwór.

– To na pewno wlot – stwierdziłam, goląc skalpelem tę część czaszki. – Popatrz, tu widać nieznaczny odcisk lufy. Bardzo słabo widoczny. O, tutaj. – Obwiodłam zarys rany zakrwawionym palcem w rękawicy. – Duża siła niszcząca. Jakby ze strzelby.

– Czterdziestka piątka?

– Dziura średnicy ponad centymetra – powiedziałam do siebie, mierząc otwór linijką. – Tak, to faktycznie wygląda na czterdziestkę piątą.

Po kawałku usuwałam górną część czaszki, chcąc dostać się do mózgu, gdy pojawił się technik i z rozmachem położył na pobliskim stole klisze. Jaskrawa, biała kula tkwiła w przedniej zatoce, siedem centymetrów od czubka głowy.

- O Jezu – wybełkotałam, wpatrując się w złowróżbny kształt.
- Co tu jest, do cholery, grane? – dorzucił Fielding, gdy obydwójce podeszliśmy do zdjęć. Zdeformowany pocisk był spory, jego ostre płatki zaginały się do tyłu niczym szpony.
- Hydra-Shok nie działa w ten sposób – orzekł mój zastępca.
- To prawda. Mamy tu do czynienia z jakimś specjalnym rodzajem wysoce skutecznej amunicji.
- Może typu Starfire albo Golden Sabre?
- Na przykład. – Tego typu pocisków nie miałam jak dotąd okazji zobaczyć w kostnicy. – Chociaż bardziej wygląda mi na black talon, bo odnaleziona łuska nie jest produkcji ani PMC, ani Remingtona, tylko Winchestera. A właśnie Winchester wytwarzał black talony, dopóki nie zostały wycofane z rynku.
- Winchester produkuje silvertipy.
- To na pewno nie to – zaprzeczyłam stanowczo. – Widziałeś kiedyś black talona?
- Tylko w gazetach.
- Okryty czarną powłoką, z mosiężną osłoną i pustym nacięciem, które po wystrzale rozgałęzia się w taki właśnie sposób. Popatrz tylko na te punkty. – Wskazałam na zdjęcia. – Ma niewiarygodną siłę rażenia. Przechodzi przez ciało jak piła motorowa. Broń nadzwyczaj skuteczna w rękach stróżów prawa, ale gdy dostanie się w niepowołane ręce, lepiej nie myśleć o skutkach.
- Jezus Maria! – wykrzyknął zdumiony Fielding. – Wygląda jak ośmiornica.

Zdjęłam rękawice z lateksu i włożyłam inne, zrobione z bardzo gęstej tkaniny, gdyż pociski tego rodzaju mogły okazać się groźne w pomieszczeniach takich, jak pogotowie ratunkowe czy kostnica. Stanowiły

zagrożenie większe od igły, a ja nie wiedziałam przecież, czy Danny nie chorował na przykład na zapalenie wątroby czy AIDS. Nie miałam najmniejszej ochoty skaleczyć się poszarpanym metalem, umożliwiając mordercy unicestwienie dwóch ofiar zamiast jednej.

Fielding włożył parę niebieskich rękawic z materiału mocniejszego niż lateks, lecz wciąż zbyt mało wytrzymałego.

– Takich rękawic można używać do zapisywania, ale do niczego więcej – przestrzegłam go.

– Aż tak?

– Aż – potwierdziłam, włączając piłę elektryczną. – Zaraz się skaleczysz.

– Nie przypomina to żadnej typowej kradzieży samochodu. Sprawca podszedł do tego nader solidnie.

– Możesz mi wierzyć – podniosłam głos, żeby nie zagłuszało mnie wycie piły – że solidniej nie można.

To, co zobaczyliśmy pod czaszką, potwierdziło najgorsze przeczucia. Kula strzaskała kość skroniową, ciemieniową i czołową czaszki. Prawdę mówiąc, gdyby pocisk nie wytracił pędu w trakcie niszczenia kości, przebiłby głowę na wylot i utracilibyśmy niezwykle cenny dowód. Black talon poczynił straszliwe spustoszenie w mózgu. Wybuch gazu i odłamków wyciął potworną ścieżkę w cudownej materii, która ukształtowała Danny'ego. Opłukałam kulę, następnie wymyłam ją w słabym roztworze Cloroxu, gdyż płyny organiczne znane są z tego, że wywołują utlenianie się materiału dowodowego, który sporządzono z metalu.

Dochodziła już dwunasta, gdy zapakowałam pocisk w podwójną plastikową kopertę i zniosłam na górę do laboratorium broni, gdzie wszelkie typy uzbrojenia opatrywano napisami, umieszczano na specjalnych stołach lub pakowano w torby z brązowego papieru. Na analizę



czekały noże, karabiny maszynowe, a nawet jeden miecz. Henry Frost, który do Richmond przybył całkiem niedawno, lecz był szeroko znanym specjalistą w tej dziedzinie, siedział wpatrzony w ekran komputera.

– Czy zaglądał tu Marino? – zapytałam.

Frost uniósł głowę, jego piwne oczy nabrały na powrót ostrości, jakby dopiero co wrócił ze świata, w którym mnie nigdy nie było dane bywać.

– Mniej więcej dwie godziny temu. – Zabrzęczał jakimiś kluczami.

– I pewnie dał panu łuskę. – Podeszłam do krzesła, na którym siedział.

– Właśnie ją analizuję. Otrzymałem informację, że ta sprawa ma absolutne pierwszeństwo.

Przypuszczałam, iż Frost jest mniej więcej w moim wieku; zdążył się już dwukrotnie rozwieść. Był pociągający i wysportowany, miał regularne rysy i krótkie, czarne włosy. Według legend, które ludzie zawsze zmyślają na temat swoich bliźnich, uczestniczył w maratonach, doskonale znał się na żeglarskim i potrafił ze stu kroków ustrzelić siedzącą na słońcu muchę. Z własnych obserwacji zauważyłam, że pracę swoją kocha bardziej niż jakąkolwiek kobietę, a broń jest ulubionym tematem jego rozmów.

– Wziął pan pod uwagę tę czterdziestkę piątkę? – zagadnęłam.

– Przecież nie mamy pewności, czy ma jakikolwiek związek z tym akurat przestępstwem. – Zerknął w moją stronę.

– To prawda. – Zauważyłam krzesło na kółkach i przyciągnęłam je bliżej. – Łuskę odnaleziono jakieś trzy metry od miejsca, w którym został najprawdopodobniej zastrzelony. W lesie. Jest nowa. Czysta. Mam coś jeszcze. – Zagłębiłam rękę w kieszeni fartucha laboratoryjnego i wyjęłam kopertę z black talonem.

– No nie, nie mogę! – wykrzyknął.

– Winchester, czterdziestka piątka?

– Kto wie? Pożyjemy, zobaczymy. – Zajrzał do koperty i wyraźnie się ożywił. – Zmierzę wszystkie płaszczyzny i nacięcia i za małą chwilę powiem pani, czy mamy do czynienia z czterdziestką piątką, czy z czymś innym.

Ustawił pocisk pod mikroskopem, używając metody polegającej na przymocowywaniu kuli za pomocą wosku, żeby nie zrobić na metalu żadnych nowych śladów.

– Uwaga – mówił, nie przerywając pracy. – Gwint jest lewoskrętny, mamy sześć pól i nacięć. – Przystawił szczęki mikrometru. – Odciski pól wynoszą 0,74 żłobka – 0,153. Wprowadzę dane do Ogólnej Klasyfikacji Broni. – Mówił o katalogu stworzonym przez FBI. – Teraz kaliber – ciągnął, nie odrywając się od klawiatury.

Komputer przeglądał błyskawicznie bazy danych, a Frost mierzył kulę suwmiarką z noniuszem. Nie zdziwiłam się nawet, gdy oznajmił, że black talon jest kalibru 45. Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że pocisk mógł zostać wystrzelony z dwunastu marek broni. Wszystkie z nich, z wyjątkiem sig sauera i kilku koltów, znajdowały się w wyposażeniu armii.

– Wiadomo coś o łusce?

– Nagrałem ją na wideo, ale jeszcze nie oglądałem filmu.

Wrócił na uprzednio zajmowane krzesło i zaczął pisać w stacji, która miała dzięki modemu połączenie z wizualnym wykazem broni palnej FBI, zwanym DRUGFIRE. Ta aplikacja wchodziła w skład rozbudowanej Sieci Informacyjnej Analizy Przystępności, znanej pod kryptonimem CAIN, stworzonej zresztą przez Lucy w celu zestawiania przestępstw związanych z użyciem broni palnej. Krótko mówiąc, chciałam się dowiedzieć, czy pistolet, z którego zastrzelono Danny'ego, mógł już przedtem posłużyć do zabicia lub okaleczenia kogoś, tym bardziej że wszystko wskazywało na to, iż sprawca jest starym wygą w tej dziedzinie.

Stacja była nieskomplikowana, pecet Turbo 486 został połączony z kamerą wideo i mikroskopem, co umożliwiało wyświetlanie kolorowych obrazów na dwudziestocalowym ekranie w czasie rzeczywistym. Frost wszedł do innego menu i ekran wypełniła nagle szachownica, utworzona z wielu innych łusek kalibru 45, z których każda zostawiała charakterystyczny dla siebie odcisk. Widok od komory zamkowej winchestera 45, użytego przeciw Danny'emu, można było dostrzec w lewym górnym rogu, i widziałam najmniejszy ślad pozostawiony przez blokadę zamka, iglicę, wyrzutnik i wszystkie inne metalowe części pistoletu, który utorował kuli szlak przez głowę chłopaka.

– Twoja ma taki wielki ogon z lewej. – Frost pokazał mi właśnie coś w rodzaju ogona, wyrastającego z okrągłego nacięcia, które pozostawiło uderzenie iglicy. – Jest tu po lewej jeszcze jeden znak. – Dotknął ekranu palcem.

– Wyrzutnik?

– Nie, zdaje mi się raczej, że to efekt odskoczenia iglicy.

– Często coś takiego się zdarza?

– Ujmijmy to tak, że w wypadku tej broni jest czymś wyjątkowym – odparł, nie odrywając wzroku od ekranu. – Możemy puścić symulację.

– Dobrze.

Wprowadził wszystkie potrzebne informacje, na przykład o półkuli powstałej po uderzeniu iglicy w miękki metal spłonki, ukierunkowaniu splotu i biegnącego równolegle żłobkowania mikroskopijnych cech profilu zamka. Nie wykorzystywaliśmy żadnych danych na temat kuli znalezionej w mózgu Danny'ego, gdyż mimo najszczerzych chęci nie byliśmy w stanie udowodnić, że black talon i odnaleziona przy drodze łuska mają ze sobą jakikolwiek związek. Analizy obydwu dowodów rzeczywiście nie miały ze sobą żadnego związku, gdyż odciski pół, żłobków oraz iglicy są tak

zindywidualizowane jak ludzkie odciski palców. Można tylko liczyć na podobieństwo zeznań świadków.

Tym razem nasze nadzieje nieoczekiwanie się spełniły. Gdy Frost wydał komendę do rozpoczęcia analizy, zaledwie po dwóch minutach DRUGFIRE poinformował, iż odnalazł kilka kandydatur odpowiadających opisowi małego, powleczonego niklem cylindra, który policja odkryła trzy metry od zakrwawionych zwłok Danny'ego.

– Co my tu mamy? – Frost mówił sam do siebie, umieszczając pierwszą z możliwości na ekranie. – To zdecydowany lider. – Przeciągnął palcem po szkle. – Bez dwóch zdań, odstawił resztę o wiele długości.

– Sig 45 P220 – powiedziałam, spoglądając na niego zdumiona. – Czy do poszczególnej broni dopasowywanych jest wiele łusek?

– Tak. Ale to zdecydowanie to. Jezus Maria.

– Tak dla pewności. – Nie wierzyłam własnym oczom. – Dany pistolet nie pojawiłby się w DRUGFIRE, gdyby policja uprzednio nie oddała go do analizy laboratoryjnej?

– To prawda – potwierdził Frost, dalej manipulując przy komputerze. – Komputer typuje tego siga 45 jako broń, z której padła łuska znaleziona w pobliżu Danny'ego Webstera. Na razie wiemy tylko tyle. Muszę odebrać łuskę z testu ogniowego, jaki przeszła w laboratorium. – Wstał.

Nieporuszona wpatrywałam się w spis przedstawiony przez DRUGFIRE, opatrzony wszystkimi symbolami i skrótami, opisującymi pistolet. Zostawił ślady swoich obrotów, czyli jakby własne odciski palców, na łusce z każdej serii, jaką wystrzelił. Przypomniały mi się zeszywniałe zwłoki Teda Eddingsa w lodowatej wodzie rzeki Elizabeth. Zmarły Danny, leżący koło tunelu, który prowadził donikąd.

– A więc ten pistolet jakimś cudem wy dostał się z powrotem na zewnątrz – powiedziałam.

– Na to wygląda. – Frost wydał wargi, otwierając jedną z szuflad z archiwami. – Trzeba jednak zacząć od tego, że nawet nie wiemy, dlaczego znalazł się w systemie. O ile sobie przypominam, został nam przekazany przez komendę policji w Henrico. Gdzież jest to CVA5471? Robi się tu coraz ciasniej.

– Poddany analizie zeszłej jesieni – zauważyłam datę na ekranie. – Dwudziestego dziewiątego września.

– Właśnie, tego dnia sporządzono zapewne protokół.

– Wiadomo, dlaczego policja przekazała broń do laboratorium?

– Trzeba by do nich zadzwonić.

– Niech się tym zajmie Marino.

– Niezły pomysł.

Wystukałam numer pagera Pete'a, Frost zaś wyjął jakiś folder. W środku jak zwykle znajdowały się niezliczone łuski, które co roku przewijały się przez laboratoria stanowe.

– No proszę – odezwał się.

– Ma pan jakiegoś siga P220?

Wstałam.

– Jednego. Powinien być na półce z innymi automatycznymi czterdziestkami piątkami.

On ustawiał łuskę pod mikroskopem, a ja weszłam do pokoju, który można by uznać albo za fragment złęgo snu, albo za sklep z zabawkami. Na ścianach wisiało mnóstwo pistoletów, rewolwerów, teców 11 i 9. Na myśl o tym, ile ofiar mają na koncie wszystkie te maszyny i iloma zajmowałam się osobiście, ogarniało człowieka przygnębienie. Sig sauer P220 był czarny i tak bardzo przypominał dziewięćmilimetrówki z wyposażenia policji w Richmond, że na pierwszy rzut oka nie sposób ich było rozróżnić. Rzecz jasna, po uważniejszym przyjrzeniu się można było dostrzec, że

czterdziestka piątka jest nieco większa, przypuszczałam też, że lufa zostawia na pocisku inny znak.

– Gdzie poduszka z tuszem? – spytałam Frosta pochylonego nad mikroskopem, gdzie ustawiał obok siebie obydwie łuski, chcąc je bezpośrednio porównać.

– W górnej szufladzie biurka – odparł przy wtórze dzwonek telefonu. – Z tyłu.

Wyjęłam niewielką puszkę z tuszem do pobierania odcisków palców, rozłożyłam śnieżnobiały kawałek waty na cienkiej i miękkiej plastikowej poduszeczce. Frost odebrał tymczasem telefon.

– Cześć stary, nie zgadniesz, co odkryliśmy na DRUGFIRE. – Domyśliłam się, że rozmawia z Pete'em. – Mógłbyś się zająć jedną sprawą? – Po czym opowiedział mu o odkrytych przez nas rewelacjach. Gdy odłożył słuchawkę, zwrócił się do mnie: – Marino już kontaktuje się z komendą w Henrico.

– To dobrze – rzuciłam w roztargnieniu, przyciskając lufę pistoletu do nasączonej tuszem poduszki, po czym zrobiłam jej odcisk na wacie.

– Zdecydowanie się od siebie różnią – orzekłam po przyjrzeniu się kilku odbiciom lufy, na których wyraźnie widać było prawą ściankę celownika, prowadnicy oporu i kształt suwadła.

– Czy sądzi pani, że możliwe jest aż tak dokładne określenie rodzaju broni? – spytał, wpatrując się znowu w mikroskop.

– W wypadku rany kontaktowej jest to teoretycznie możliwe. Od razu nasuwa się myśl, że naładowana amunicją o podobnej sile rażenia czterdziestka piątka sieje takie spustoszenie, iż ślady w głowie nie układają się w żaden spójny tor.

Odnosiło się to także do zabójstwa Danny'ego, mimo że dla zrekonstruowania rany maksymalnie wykorzystałam swoją wiedzę na temat

operacji plastycznych. Porównawszy odciski na wacie ze schematami i zdjęciami, jakie zrobiłam jeszcze w kostnicy, stwierdziłam, że w tym wypadku siga P220 można spokojnie uznać za narzędzie zbrodni. Co więcej, zdawało mi się, że pasują do siebie odciski celowników, które trochę wystawały poza krawędź lufy.

– Nareszcie mamy potwierdzenie – odezwał się Frost, nastawiając ostrość w mikroskopie Obydwoje odwróciliśmy się jak na komendę, słysząc odgłos czyichś pośpiesznych kroków na korytarzu.

– Chce pani rzucić okiem?

– Oczywiście. – Tymczasem pędem przebiegła korytarzem jeszcze jedna osoba, której u pasa głośno brzęczał pęk kluczy.

– Co jest, do cholery? – Frost wstał i spojrzał z gniewnym grymasem na drzwi.

Na korytarzu robiło się coraz głośniejsze, biegali jacyś ludzie, tym razem w przeciwnym kierunku. Gdy wyjrzelśmy na zewnątrz, obok przemknęło kilku ochroniarzy, którzy pędzili w stronę swojego posterunku. W drzwiach stali i nerwowo rozglądali się laboranci w fartuchach. Słysząc było pytania, o co chodzi, wtem rozległ się donośny sygnał alarmu przeciwpożarowego, a na suficie zapłonęły czerwone światła.

– Co to jest, do cholery, próbny alarm? – wrzasnął Frost.

– Tego nie było w planie.

Zakryłam uszy rękami.

– To znaczy, że się pali.

Wyglądał na zupełnie zbitego z tropu.

– Musimy uciekać – powiedziałam, spojrzawszy na rozpylacze wody, zamontowane w suficie.

Zbiegłam na dół i ledwie zdążyłam precyzyjnie się przez drzwi na korytarz koło mojego biura, gdy z sufitu buchnął zimny gaz halonowy.

Wydawało się, że wszędzie umieszczono olbrzymie cymbały, w które ktoś walił wściekle milionami pałeczek; wpadałam po kolei do pokoi. Nigdzie ani śladu Fieldinga, każde pomieszczenie ewakuowano w takim pośpiechu, że ludzie nie zdążyli domknąć szuflad, wyłączyć rzutników przezroczy i mikroskopów. Nad moją głową przetaczały się chłodne chmury i zaczęło ogarniać mnie nierealne uczucie, że znalazłam się w samym centrum huraganu, i to na dodatek w trakcie nalotu. Wpadłam do biblioteki, do pokoi wypoczynkowych, a gdy upewniłam się, że wszyscy zdążyli je opuścić, pobiegłam korytarzem do drzwi frontowych. Przystanąłam na chwilę, żeby uspokoić oddech i bicie serca.

Instrukcje postępowania w razie prawdziwych i próbnych alarmów były tak samo precyzyjne, jak wszelkie inne procedury w naszym stanie. Wiedziałam, że mój personel znajduje się na drugim poziomie parkingu w Monroe Tower, po przeciwnej stronie ulicy Franklina. Wszyscy pracownicy laboratoriów winni byli już dotrzeć na wyznaczone sobie miejsca. Wyjątek stanowili szefowie działów i kierownicy agencji, z których opuszczałam budynek chyba jako ostatnia – oprócz kierownika administracyjnego, odpowiedzialnego za cały obiekt. Szedł tuż przede mną, przechodząc spiesznie przez ulicę i trzymając pod pachą kapelusz z jakiegoś sztywnego materiału. Gdy odwrócił się na moje wołanie, zmrużył oczy, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

– Co się tu, do diabła, wyrabia? – spytałam, gdy już przeszliśmy przez ulicę i stanęliśmy na chodniku.

– A to, że lepiej niech wybije sobie pani z głowy wszelkie ewentualne podania o dofinansowanie na rok bieżący. – Był to starszy mężczyzna, zawsze elegancki, ale niesympatyczny. Dzisiaj przeszedł sam siebie. Wpatrywałam się w nasz budynek i nigdzie nie widziałam ani jednego



kłębu dymu, gdy tymczasem niedaleko od nas rozlegały się już przerażające dźwięki syren strażackich.

– Jakiś dupek włączył przez pomyłkę ten cholerny system gazowy, który przestaje działać dopiero po wyrzuceniu z siebie wszystkich chemikaliów. – Wymachiwał nade mną rękami, jakbym była czemuś winna. – Kazałem wmontować opóźnienie, żeby nie dopuścić do czegoś takiego jak dzisiaj.

– Co i tak byłoby bezsensowne w wypadku wybuchu substancji chemicznych albo pożaru w laboratorium. – Nie mogłam powstrzymać się od tej uwagi, bo właściwie wszystkie jego decyzje były równie mało trafne. – Po co nam półminutowe opóźnienie w takich wypadkach?

– Ale nie zaszło nic takiego. Ma pani pojęcie, na ile to nas szarpnie?

Przyszły mi do głowy tylko wszystkie ważne papiery na moim biurku, najpewniej porzucane po całym pokoju, może nawet uszkodzone.

– Po co ktoś miałby uruchamiać system? – spytałam.

– W tej chwili wiem mniej więcej tyle co pani.

– A przecież cała masa substancji chemicznych spadła na wszystkie moje biura, kostnicę i dział anatomiczny. – Wchodziliśmy po schodach i coraz trudniej było mi opanować narastającą, bezsilną wściekłość.

– Nie będzie żadnych śladów. – Zbagatelizował mój komentarz. – Wszystko ulotni się jak dym.

– Ale na pewno gazy osadziły się na badanych przez nas ciałach, a część z nich to zwłoki ludzi, którzy padli ofiarą zabójstwa. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że adwokat obrony nie wspomni o tym podczas rozprawy w sądzie.

– Lepiej niech się pani zastanowi, jak mamy za to wszystko zapłacić. Na uzupełnienie zbiorników na gaz halonowy potrzeba będzie kilkaset tysięcy dolarów. To takie sprawy powinny pani spędzać sen z powiek.

Na drugim poziomie parkingu było tłoczno od najróżniejszego autoramentu urzędników, którym przytrafiła się nieoczekiwana przerwa. Próbné i fałszywe alarmy stawały się z reguły okazją do dobrej zabawy i wszyscy świetnie się bawili, rzecz jasna, pod warunkiem, że była pogoda. Tym razem jednak nastroje panowały minorowe. Było zimno i pochmurno, wszyscy mówili jednocześnie, i to podniesionymi głosami. Administrator zniknął gdzieś raptem w poszukiwaniu swych podwładnych, więc zaczęłam się rozglądać. Udało mi się dojrzeć swój personel, gdy poczułam dotyk czyjejś ręki na ramieniu.

– Jezu, co z tobą? – usłyszałam głos Pete’a. – Cierpisz na zespół powstrząsowy?

– Pewnie tak. Byłeś w środku?

– Wewnątrz nie, ale całkiem blisko. O alarmie przeciwpożarowym w waszym biurze usłyszałem w radiu i pomyślałem, że zajrzę, co się dzieje. – Podciągnął policyjny pas, obciążony całym służbowym ekwipunkiem. – Może byś mi wytłumaczyła, co tu się, do cholery, wyprawia? Natknęliśmy się wreszcie na samozapłon?

– Sama nie wiem. Słyszałam tylko, że ktoś przez pomyłkę uruchomił fałszywy alarm przeciwpożarowy, co z kolei spowodowało włączenie systemu gazowego w całym budynku. Po coś tu przyjechał?

– Tam jest Fielding. I Rose. – Marino pokiwał głową. – Zmarzłaś chyba na kość.

– Zgadłeś. Tak się po prostu znalazłeś przez przypadek w okolicy? – Nie ustępowałam, wiedząc, że kiedy Marino się miga, coś się szykuje.

– Słyszałem sygnał alarmowy aż na Broad.

W tym momencie, jakby na komendę, nieznośne brzęczenie po drugiej stronie ulicy ustało. Podeszłam do muru otaczającego parking i popatrzyłam w tamtą stronę, bo najbardziej bałam się tego, co zastanę po

powrocie do biura. Wozy straży pożarnej stały na parkingach, a strażacy w ochronnych kombinezonach wchodzili przez kilkoro drzwi naraz.

– Jak to wszystko zobaczyłem – ciągnął – od razu pomyślałem, że znajdę cię tutaj i zobaczę, jak się masz.

– I zgadłeś – odpaliłam. Paznokcie zdążyły mi już zsinieć. – Dowiedziałeś się czegoś w Henrico, w sprawie tej łuski z nabojem do sigy P220, z którego najprawdopodobniej zastrzelono Danny’ego? – spytałam, cały czas opierając się o zimny betonowy mur i patrząc na miasto.

– Skąd ci przyszło do głowy, że mogę się dowiedzieć w takim tempie?

– Bo wszyscy się ciebie boją. – I mają, do cholery, rację.

Przysunął się. Oparł się o mur i spojrzał w przeciwną niż ja stronę, bo nie lubił stać do ludzi tyłem, z tym, że nie miało to nic wspólnego z dobrym wychowaniem. Poprawił jeszcze raz pas i skrzyżował ręce na piersiach. Unikał mojego wzroku i jak na dłoni widać było, że się złości.

– Jedenastego grudnia – zaczął – policjanci zatrzymali pewien samochód przy zjeździe z sześćdziesiątki czwórki w stronę Mechanicsville. Gdy funkcjonariusz szedł w stronę wozu, zatrzymany wysiadł i rzucił się do ucieczki, więc policjant zaczął go gonić pieszo. Działo się to nocą. – Wyjął papierosa. – Pościg przeniósł się w obręb miasta i zakończył w Whitcomb Court. – Zapalił zapalniczkę. – Nie wiadomo dokładnie, jak do tego doszło, ale w pewnym momencie policjant zgubił broń.

Dopiero po dłuższej chwili przypomniałam sobie, że parę lat temu komenda policji w Henrico wyposażyła swoich pracowników w pistolety marki Sig Sauer P220, kaliber 45.

– I właśnie o ten pistolet nam chodziło? – zapytałam niepewnie.

– Tak. – Zaciągnął się. – Tamtejsza komenda urządza to tak, że każdą sztukę broni zapisują w DRUGFIRE w razie zaistnienia tego właśnie typu okoliczności.

– Nie wiedziałam.

– To już wiesz. Gliniarze gubią broń i padają ofiarą kradzieży jak wszyscy ludzie, dlatego w ten prosty sposób można wytropić każdy pistolet, w razie gdyby został wykorzystany do popełnienia jakiegoś przestępstwa.

– A więc pistolet, który zgubił policjant w Henrico, jest bronią, z której zabito Danny’ego? – Chciałam mieć stuprocentową pewność.

– Na to wygląda.

– Został zgubiony jakiś miesiąc temu – ciągnęłam – a teraz oddano z niego śmiertelne strzały.

– Ciesz się, że to nie ty siedziałaś w wozie w pobliżu Hill Cafe. – Odwrócił się do mnie, strząsając popiół. Nie wiedziałam, jak na to zareagować. – Ta dzielnica bardzo przypomina właśnie Whitcomb Court i inne podejrzane okolice. I wszystko wskazuje na to, że mamy jednak do czynienia z kradzieżą samochodu.

– No nie – nie mogłam przystać na taką hipotezę – wozu przecież nie zabrali.

– Być może zdarzyło się coś, co skłoniło bandziora do zmiany planów. Choćby sąsiad, który zapalił światło. Dźwięk jakiejś syreny. Przypadkowo włączył się alarm antywłamaniowy. Może stchórzył po wykończeniu Danny’ego i nie skończył tego, co zaczął.

– Przecież nie musiał go zabijać. – Patrzyłam na powoli sunące dołem pojazdy. – Mógł najzwyczajniej w świecie ukraść stojącego przed restauracją mercedesa. Po co zawoził gdzieś Danny’ego i siedł z nim przez las, żeby go potem zastrzelić? – Coraz bardziej podnosiłam głos. – Wszystko dla wozu, którego się, koniec końców, nie zabiera?

– Zdarza się – odparł. – Sam zresztą nie wiem.

– A czy ktoś gadał z ludźmi, którzy holowali samochód w Virginia Beach?

– Danny zjawił się po brykę koło wpół do czwartej, czyli tak jak chcieli.

– Co to znaczy chcieli?

– Nie tak ci mówili, kiedy do nich dzwoniłaś?

– W ogóle do nich nie dzwoniłam.

Popatrzyłam na niego.

– Mówili, że dzwoniłaś.

Strząsnął popiół.

– Nic z tych rzeczy – pokręciłam głową. – To Danny, należało to do niego. To on był pośrednikiem.

– Tak czy owak, telefonował ktoś podający się za doktor Scarpette. Może Lucy?

– Bardzo wątpię, czy podawałaby się za mnie. Czy ich rozmówca był kobietą?

– Właśnie – zawahał się. – Ale i tak powinnaś zapytać Lucy, musimy się upewnić.

Strażacy zaczęli wychodzić z budynku i domyślałam się, że niedługo można będzie tam wrócić. Resztę dnia poświęcimy sprawdzaniu każdego drobiazgu, zastanawianiu się i narzekaniu, bo chyba już dzisiaj nie dostarczą nam nikogo nowego.

– Najbardziej martwi mnie ta amunicja – odezwał się Marino.

– Frost powinien znaleźć się w laboratorium za jakąś godzinę – oznajmiłam, ale Marino się tym nie zainteresował.

– Coś ci jest?

– Jak zwykle.

– Co tym razem?

Znowu wyjął paczkę marlboro, a ja pomyślałam o matce, która już nie rozstawała się z inhalatorem, bo kiedyś była równie namiętą palaczką.

– Nie patrz tak na mnie – rzekł z wyrzutem, sięgając po zapalniczkę.

– Wolałabym, żebyś się sam nie wykańczał. A dzisiaj wygląda mi na to, że ze wszystkich sił się o to starasz.

– I tak wszyscy umrzemy.

– Uwaga – usłyszeliśmy z głośnika jednego z wozów strażackich. – Mówi straż pożarna Richmond. Zagrożenie minęło. Mogą państwo wracać do budynku. – Mechaniczny komunikat drażnił regularnymi piskami i monotonną intonacją. – Uwaga. Zagrożenie minęło. Mogą państwo wracać do budynku...

– Szczerze mówiąc – Marino nie zwracał uwagi na ogólne poruszenie – wolę płuć flegmą, a i tak pić piwo, wsuwać nachos z papryką i śmietaną, palić, pić whisky i oglądać telewizję.

– Mógłbyś się jeszcze przy okazji z kimś pokochać. – Nawet się nie uśmiechnęłam, bo jego niezdrowy tryb życia zupełnie mnie nie bawił.

– Doris wyleczyła mnie z ochoty na seks. – Marino też nie było do śmiechu, gdy wspominał o kobiecie, z którą przez większość życia pozostawał w związku małżeńskim.

– Widziałeś się z nią ostatnio? – I w tej chwili zdałam sobie sprawę, że to pewnie przez nią jest w tym pieskim nastroju.

Odsunął się od muru i przygładził rzednące włosy. Raz jeszcze pociągnął za pas, jakby nie mógł już znieść służbowego ekwipunku i fałd tłuszczu, które wepchnęły mu się brutalnie do życia. Widziałam zdjęcia, na których paradował jako nowojorski policjant, siedzący na motorze albo koniu, mocarny i szczupły, o gęstych czarnych włosach, w skórzanych butach z cholewami. Swego czasu Marino z pewnością podobał się Doris.

– Wczoraj wieczorem. Dzwoni od czasu do czasu, najczęściej chce pogadać o Rockym. – Mówił o synu.

Marino przyglądał się idącym w stronę schodów urzędnikom. Przeciągnął się i nabrał w płuca potężny haust powietrza. Pocierał kark, gdy tymczasem parking stopniowo pustoszał, a zmarznięci i źli ludzie podejmowali próbę nadrobienia straconego przez fałszywy alarm czasu.

– Czego chce? – nie mogłam się powstrzymać. – Wygląda na to, że wyszła za mąż i musi o tym wszystkich poinformować.

– Strasznie mi przykro, Marino. – Nie wiedziałam, co myśleć o Doris.

– Ona i ten palant w wielkim samochodzie z wygodnymi skórzanymi fotelami. Super, nie? Najpierw odchodzi, potem chce wracać. Później rzuca mnie Molly. Wreszcie Doris łapie chłopa.

– Aż żal – powtórzyłam.

– Lepiej się pośpiesz i wracaj, zanim nabawisz się zapalenia płuc. Ja muszę pogadać z Wesleyem o ostatnich wypadkach. Na pewno zainteresuje go los pistoletu, a prawdę mówiąc – rzucił okiem w moją stronę – nawet wiem, co na to powie.

– Uzna zapewne, że śmierć Danny’ego to przypadek.

– I coś mi się zdaje, że może mieć rację. Nabieram przekonania, że Danny zamierzał dać sobie w żyłę albo coś w tym stylu, tylko trafił nie na tego gościa co trzeba, który na dodatek zwędził policyjną spluwę.

– Nie chcę mi się w to wierzyć – zaoponowałam.

Przeszliśmy przez ulicę Franklina i spojrzałam w jej głąb, na imponujący stary dworzec z czerwonej cegły w stylu gotyckim, zasłaniający widok na wzgórze. Danny nie bardzo oddalił się wczoraj od miejsca, w którym miał się znaleźć, gdy odprowadzał mój wóz. Nic nie wskazywało na związek z narkotykami. Tym bardziej że nie stwierdziłam w jego ciele żadnych śladów tego rodzaju substancji. Rzecz jasna, nie mieliśmy jeszcze przed

sobą wyników analiz toksykologicznych, ale byłam przekonana, że nic nie pił.

– A tak *í propos* – odezwał się Marino, stojący już przy swoim fordzie – wstąpiłem dzisiaj na komendę na rogu Siódmej i Duwała. Powiedzieli mi, że możesz dzisiaj po południu odebrać mercedesa.

– Już go sobie obejrzeli?

– Jasne. Zajęliśmy się tym już wczoraj, a wyniki dostaliśmy, jeszcze zanim zaczęły dziś pracować laboratoria, bo przekonałem wszystkich, że nie wolno im się obijać. Przy tej sprawie cała reszta ma pójsć w ką.

– I co znaleźliście? – spytałam, nie mogąc się opędzić od myśli o tym, co się zdarzyło w moim wozie.

– Odciski, nie wiadomo jeszcze czyje. Strzępki czegoś. I to właściwie tyle. – Wsiadł do samochodu, nie zamykając jeszcze drzwi. – Zadbam o to, żebyś mogła nim dzisiaj wrócić do domu.

Podziękowałam i pożegnaliśmy się, ale wracając do biura, wiedziałam, że nie będę mogła wsiąść do tego wozu. Nie byłam nawet pewna, czy będę w stanie chociaż otworzyć drzwi czy usiąść na którymś fotelu.

Cleta wycierała na mokro korytarz, a recepcjonistka zajęta była meblami. Próbowałam wytłumaczyć im, że to niepotrzebne. Cierpliwie powtarzałam, że główną właściwością gazów w rodzaju halonu jest to, że nie uszkadzają też papieru i żadnych czułych instrumentów.

– Wyparowuje bez śladu – zapewniałam. – Nie musicie nic sprzątać. Trzeba będzie za to wyprostować obrazy na ścianach i uporządkować rzeczy na biurku Megan.

Koło stolika recepcjonistki walały się podania o dary z kości i różne inne druki.

– A ja i tak uważam, że dziwnie tu czuć – nie ustępowała Megan.



– Pewnie, to śmierdzą te wszystkie czasopisma, głupia – wtrąciła się Cleta. – One zawsze mają taki dziwny zapach. – Zwróciła się do mnie: – Co z komputerami?

– Z nimi wszystko powinno być w porządku. Gorzej z podłogami, które moczycie. Wytrzyjcie, żeby nikt się przypadkiem nie pośliznął.

Idąc po ścieranych przez nie płytkach, czułam, jak narasta we mnie poczucie bezsiły. Zebrałam się na odwagę i weszłam w końcu do swojego biura, gdzie siedziała już sekretarka.

– No i jak tam, dużo zniszczeń? – spytałam Rose.

– Tylko pani papiery są wszędzie porozwalane. Kwiatki już poprawiłam. – Była stanowczą kobietą w wieku odpowiednim do przejścia na emeryturę. – Spełniło się pani życzenie, żeby kosze były zawsze puste.

Akty zgonu, wezwania i sprawozdania z sekcji leżały w nieładzie jak jesienne liście, na podłodze, na półkach i zaplątane wśród gałęzi fikusa.

– Myślę też, że nie wolno nam zakładać, że jeśli czegoś nie widać, to nie stanowi to problemu. Trzeba to wszystko trochę przewietrzyć. Zaraz przeciągnę sznurek do bielizny i rozwiesimy papiery na spinaczach. – Nie przerywała pracy, kosmyki siwych włosów wymknęły się jej z koka.

– Raczej nie potrzeba żadnych specjalnych starań – powtórzyłam nie wiadomo który raz z rzędu. – Halon znika po wyschnięciu.

– Zauważyłam też, że nie wzięła pani kasku.

– Nie było czasu.

– Szkoda, że nie ma okien. – Rose powtarzała to co najmniej raz w tygodniu.

– Wystarczy, jak to pozbieramy. Naprawdę wszystkie co do jednej macie jakąś obsesję.

– Czy kiedyś zetknęła się pani z tym gazem?

– Nie.

– Aha – skomentowała, kładąc na biurku stos ręczników. – W takim razie nadmiar ostrożności nie zawadzi.

Siadłam za biurkiem i wyjęłam z górnej szuflady pudełko spinaczy biurowych. Z bezsilnej wściekłości opadały mi ręce i bałam się, że załamie się na oczach wszystkich. Sekretarka знаła mnie lepiej niż rodzona matka i dostrzegała każdy grymas, ale nie odrywała się od pracy.

– Może pójdzie pani do domu? Ja bym się wszystkim zajęła – zaproponowała po chwili ciszy.

– Zajmiemy się razem – odparłam z uporem.

– Nie ufam temu głupawemu ochroniarzowi.

– Jakiemu ochroniarzowi? – Zastygłam w bezruchu i patrzyłam w jej stronę.

– Temu, który uruchomił system, bo sądził, że na piętrze grozi jakiś radioaktywny wyciek.

Patrzyłam, jak podnosi z ziemi akt zgonu. Przyczepiła go spinaczami do sznurka; cały czas porządkowałam rzeczy na biurku.

– Co to za ochroniarz? – dopytywałam się.

– Mówię to, co słyszałam. Ludzie rozmawiali o tym na parkingu. – Przyłożyła rękę do krzyża i rozejrzała się. – Nie mogę się przyzwyczaić do tempa, w jakim wszystko wysycha. Jak w jakimś filmie *science fiction*. – Zawiesiła następny akt zgonu. – Powinniśmy dojść ze wszystkim do ład.

Zbyłam to milczeniem, bo myślami wróciłam znów do swojego samochodu. Na myśl, że mam go zobaczyć, ogarnęło mnie przerażenie i zakryłam twarz rękami. Rose nie bardzo wiedziała, jak się zachować, bo nigdy nie widziała mnie zapłakanej.

– Zrobić kawy? – zapytała.

Pokręciłam odmownie głową.

– Ma człowiek wrażenie, jakby przeszła jakaś wichura. Jutro nie będzie po niej ani śladu – próbowała mnie pocieszyć.

Gdy usłyszałam, że wychodzi, odczułam ulgę. Zamknęła cichutko oboje drzwi. Oparłam się wygodniej o krzesło i pozwoliłam zawładnąć sobą zmęczeniu. Próbowałam zadzwonić do Pete’a Marino, ale go nie zastałam, więc wybrałam numer przedstawicielstwa mercedesa, licząc, że uda mi się porozmawiać z Wilsonem. Udało się.

– Wilson? Mówi doktor Scarpetta – przedstawiłam się rzeczowo. – Mógłbyś przyjechać po mój wóz? – Zająknęłam się. – Już mówię dlaczego.

– Nie ma potrzeby. Czy uszkodzenia są znaczne? – zapytał; najwidoczniej słyszał o wszystkim w wiadomościach.

– Nie chcę już na niego patrzeć. Tak w ogóle to wóz jest nienaruszony.

– Rozumiem. Co pani zamierza?

– Chciałabym, żeby wymienił mi go pan na coś innego.

– Mam praktycznie taki sam wóz. Tyle że używany.

– Bardzo?

– Nie. Należał do mojej żony. S500, czarny.

– To niech ktoś przyprowadzi mi go pod biuro i wymienimy się.

– Już pędzę.



Przyjechał wpół do szóstej; było zupełnie ciemno, czyli dobra pora, żeby wcisnąć używany samochód komuś tak zdesperowanemu jak ja. Ale znałam Wilsona od bardzo wielu lat i kupiłabym od niego wóz, nawet gdybym go uprzednio nie widziała, ponieważ miałam do niego pełne zaufanie. Był niezwykle dystyngowanym Murzynem z wypielęgnowanymi wąsami i krótko ostrzyżonymi włosami. Ubierał się lepiej niż większość znanych mi

prawników i stale nosił bransoletkę Medic Alert, gdyż był uczulony na pszczoły.

– Bardzo pani współczuję – powiedziała, gdy wyjmowałam wszystko z bagażnika.

– Mnie też siebie żal. – Nie próbowałam być miła ani kryć się ze swoim nastrojem. – Tu jeden komplet kluczyków. Drugi można właściwie uznać za zagubiony. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko, najchętniej bym się zaraz stąd zabrała. Nie chcę patrzeć, jak wsiada pan do mojego samochodu. Chcę już jechać. Później zajmiemy się radiem.

– Dobrze, o szczegółach porozmawiamy innym razem.

W ogóle mnie nie obchodziły. W tej chwili nie interesowała mnie finansowa strona transakcji, której właśnie dokonałam, ani to, czy nowy wóz jest w tak doskonałym stanie, jak poprzedni. Równie dobrze mogłabym siedzieć za kierownicą gruszki z cementem. Nacisnęłam guzik na desce rozdzielczej, zamykając w ten sposób drzwi, i włożyłam pistolet pomiędzy fotele.

Jechałam Czternastą, w Canal skręciłam na autostradę międzystanową, którą jeździłam zazwyczaj do siebie, ale po minięciu kilku zjazdów zawróciłam. Chciałam przebyć trasę, którą przypuszczalnie pokonał wczoraj Danny, a jadąc z Norfolk powinien był wybrać drogę sześćdziesiątą czwartą zachodnią. Najkrócej byłoby, gdyby skręcił z autostrady w stronę stanowego college’u medycznego, bo tędy wyjechałby praktycznie pod samo biuro. Podejrzewałam jednak, że pojechał inną drogą. Gdy dojeżdżał do Richmond, najbardziej interesowało go zapewne miejsce, gdzie mógłby coś przekąsić, a w okolicach mojego biura nie było żadnych tego rodzaju lokali. Na pewno o tym wiedział, bo już tu wcześniej pracował. Doszłam do wniosku, że zjechał w Piątą Ulicę, by dotrzeć nią do ulicy Broad; tak też i sama zrobiłam. Było już bardzo ciemno, gdy mijałam puste tereny

przyszłego Ośrodka Badań Biomedycznych, dokąd pewnego dnia przeniesie się zapewne również moje biuro.

Po drodze minęłam kilka sunących powoli policyjnych patroli, za jednym z nich stanęłam przy Marriottcie na światłach. Patrzyłam, jak siedzący wewnątrz funkcjonariusz zapala światło w wozie i coś sobie zapisuje. Był młodziutki, miał blond włosy; wziął mikrofon radiostacji i zaczął coś mówić. Widziałam ruchy jego warg, gdy patrzył na maleńki domek na rogu ulicy. Rozłączył się i pociągnął łyk z kubka z napojem. Domyśliłam się, że musi być świeżo upieczonym policjantem, gdyż nie orientuje się, że jest obserwowany.

Przejechałam dalej i skręciłam w lewo, wjeżdżając w ulicę Broad, gdzie minęłam sklep Millera i Rhoadsa, zamknięty, gdyż coraz mniej ludzi robiło zakupy w centrum. Stary ratusz był budowlą w stylu gotyckim; naprzeciw niego zaczynało się miasteczko studenckie, które znałam, lecz Danny'emu zapewne z niczym się ono nie kojarzyło. Wątpię, czy słyszał o knajpie Pod Trupią Czaszką, gdzie stołowali się wykładowcy i studenci medycyny. Trudno przypuszczać, żeby wiedział, gdzie można w tej okolicy zaparkować. Przypuszczałam, że zrobił to, co zrobiliby wszyscy, gdyby jechali przez mało znane miasto w drogim samochodzie szefa. Pojechaliby prosto i zatrzymaliby się w pierwszym miejscu, które wyglądało na nadające się do parkowania. Czyli przy Hill Cafe. Zrobiłam kółko, tak samo jak Danny, gdyby chciał stanąć w ten sposób, żeby pojazd skierowany był na południe. Zaparkowałam pod wspaniałą magnolią i wysiadłam, wsuwając pistolet do kieszeni płaszcza. Od razu za siatką rozległo się szczekanie psa. Na piętrze domku jego pana zapaliły się światła.

Przeszedłszy przez ulicę, wkroczyłam do restauracji, w której jak zwykle pełno było rozgadanych ludzi. Daigo robiła drinki z whisky i dostrzegła mnie dopiero wtedy, gdy usiadłam na stołku przy barze.

– Wygląda na to, że potrzebuje pani czegoś na wzmocnienie – zagadnęła.

– To fakt, ale jestem tu służbowo – odparłam i w tejże samej chwili szczekanie ustało.

– Z panią ten sam ból głowy, co z kapitanem. Wiecznie w pracy. – Zawołała kelnera, który zabrał drinki.

– Zna pani psa z naprzeciwka, z Dwudziestej Ósmej? – zapytałam ściszym głosem.

– Pewnie chodzi pani o Bandytę. Tak przynajmniej ja nazywam tego sukinsyna. Nawet nie mieści się pani w głowie, ilu klientów zdążyło już odstraszyć to zawszone bydlę. – Spojrzała w moją stronę, cały czas krojąc w plasterki cytrynę. – To mieszaniec psa pasterskiego i wilka – nie pozwalała sobie przerwać. – A co, zaatakował panią?

– Nie, tylko pomyślałam, że ujada strasznie głośno. Ciekawa jestem, czy czekał też wczoraj po wyjściu Danny’ego Webstera, który w końcu zaparkował pod magnolią stojącą na tamtym podwórku.

– Ten zasraniec wydziera się bez przerwy.

– Czyli nic takiego sobie pani nie przypomina, zresztą trudno by wymagać...

– Jasne, że pamiętam – przerwała mi, jednocześnie odczytując jakieś zamówienie i otwierając piwo. – Już mówiłam, że ujada bez przerwy. Tak samo w czasie, gdy wychodził ten biedny chłopak. Bandyta czekał tak, że mało się nie udławił. Zresztą szczeka chyba nawet na wiatr.

– A przed wyjściem Danny’ego?

Zamyśliła się, po chwili oczy jej rozbłyły.

– Jak tak pani pyta, to przypomina mi się, że wczoraj wieczorem czekał właściwie ciągle. Nawet coś o tym mówiłam, że niby mam ochotę pójść do właściciela tego zasranego bydlęcia.

– Czy w czasie, gdy Danny był w środku, weszło dużo nowych klientów?

– Nie – odpowiedziała bez namysłu. – Po pierwsze, przyszedł dość wcześnie. Oprócz stałych bywalców nie było jeszcze żadnych innych gości. Szczerze mówiąc, ludzie zaczęli schodzić się na kolację dopiero koło siódmej. A wtedy tego chłopaka już nie było.

– Czy po jego wyjściu pies szczekał jeszcze długo?

– Całą noc, z krótkimi przerwami, jak zwykle.

– Z przerwami, ale nie tak wściekle?

– Kto by wytrzymał tak całą noc? Niezbyt wściekle. – Otaksowała mnie chytrym wzrokiem. – Jeżeli chodzi pani o to, czy pies szczekał, bo ktoś zaczął się na tego chłopaka – wycelowała we mnie nożem – to się z panią nie zgadzam. Menele, którzy się tu płaczą, na widok tego psa wzięliby nogi za pas. Po to go trzymają. Tamci gospodarze. – Raz jeszcze skierowała nóż w moją stronę.

Przyszedł mi do głowy skradziony sig, z którego zastrzelono Danny'ego, i miejsce, gdzie zgubiono broń, i domyśliłam się, o co chodzi Daigo. Zwykły opryszek wystraszyłby się potężnego, ujadającego psa, który zwróciłby powszechną uwagę. Podziękowałam i wyszłam. Przystanąłam na chwilę na chodniku, patrząc na niewielkie smugi światła, rzucane przez gazowe latarnie na wąskie i mroczne ulice. W lukach między domami zalegał głęboki cień, w którym mógł się skryć właściwie każdy. Rzuciłam okiem w stronę swojego nowego wozu i ciągnącego się za nim podwórka, na którym leżał gotowy do ataku pies. Akurat w tej chwili nie dawał znaku życia i poszłam chodnikiem sprawdzić, co porabia. Ale zainteresował się mną dopiero, gdy zbliżyłam się do podwórka. Wtedy usłyszałam ciche, złowrogie warczenie, na którego dźwięk po plecach przebiegły mi ciarki.

Gdy otwierałam drzwi samochodu, stał na tylnych łapach, ujadając i potrząsając siatką.

– Pilnujesz swojego terytorium, mały? – zagadnęłam. – Jaka szkoda, że nie potrafisz opowiedzieć mi o wszystkim, co widziałeś wczoraj wieczorem.

Patrzyłam na domek, w którym na piętrze otworzyło się zniecka okno.

– Bożo, stul pysk! – ryknął jakiś grubas z potarganymi włosami. – Głupi kundel! – I okno się zatrzęsęło.

– No dobrze, Bożo – odezwałam się do psa, który, niestety, nie nazywał się Bandytą – na razie zostawiam cię samego. – Jeszcze raz rzuciłam dokoła okiem i wsiadłam do wozu.



Jazda od restauracji Daigo do miejsca, w którym policja znalazła mój samochód, zajmowała trzy minuty, o ile jechało się z przepisową prędkością. Na drodze wiodącej do Sugar Bottom zawróciłam, bo nie wyobrażałam sobie, że mogłabym dojechać tam mercedesem. Dziwiłam się też, czemu przestępca postanowił przejść pieszo przez taką podejrzaną dzielnicę, gdzie zorganizowano szeroko opisywaną w mediach straż obywatelską. W Church Hill wychodziła lokalna gazetka, a mieszkańcy widzieli, co dzieje się dokoła nich i bez namysłu wzywali policję, zwłaszcza gdy słyszeli strzały. Zdawało mi się, że najbezpieczniej byłoby wrócić do wozu i odjechać nim na bezpieczną odległość. A przecież morderca tego nie zrobił. Dlatego zastanawiałam się, czy znał tę okolicę, ale nie orientował się w jej specyfice, gdyż był zamiejskowy. Czy przypadkiem nie wziął mojego wozu, bo swój własny postawił w pobliżu, a mój nie zwracał tyle uwagi? Nie chodziło mu o pieniądze czy sposób ucieczki. To trzymało się kupy, pod warunkiem, że Danny był śledzony, a



zbrodnie nie była wynikiem przypadku. Gdy chłopak jadł kolację, zabójca odstawił gdzieś swój samochód, wrócił pieszo pod knajpę i czekał w ciemnościach w pobliżu mercedesa, przy akompaniamencie ujadania psa.

Przejeżdżałam właśnie koło własnego biura przy ulicy Franklina, gdy schowany w kieszeni pager zapikał. Wyjęłam go i zapaliłam światło. W samochodzie nie miałam jeszcze ani radia, ani telefonu, i błyskawicznie postanowiłam zajechać na parking za biurem. Dostałam się do środka bocznymi drzwiami, wystukałam kod bezpieczeństwa, weszłam do kostnicy i pojechałam windą na górę. Skutki fałszywego alarmu zostały już usunięte, ale zawieszane na sznurze akty zgonu robiły niezwykłe wrażenie. Usiadłam za biurkiem i oddzwoniłam do Pete'a.

– Gdzie się, do cholery, podziewasz? – zaczął bez ceremonii.

– W biurze – odpaliłam, rzucając okiem na zegar.

– To chyba ostatnie miejsce, w jakim można by się ciebie spodziewać. Pewnie sama. Jadłaś już kolację?

– O co ci chodzi?

– Umówmy się gdzieś, to zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Ustaliliśmy, że spotkamy się w Linden Row Inn, w centrum, a zarazem zacisznie. Nie śpieszyłam się, bo Marino mieszkał za rzeką, ale bardzo się widocznie sprężył. Gdy zajechałam na miejsce, siedział już przy stole koło kominka i popijał piwo. Barman był dziwnym staruszkiem w czarnej muszce; wnosił akurat duże wiadro lodu.

– Co znowu? – zapytałam. – Co się stało tym razem?

Marino włożył czarną sportową koszulę i widać było, jak pod tkaniną brzuch pręży się i wylewa zza paska dżinsów. W popielniczce pełno już było niedopałków, przypuszczałam też, że piwo nie było ani pierwsze, ani ostatnie tego wieczoru.

– Masz ochotę usłyszeć opowieść o dzisiejszym fałszywym alarmie czy też ktoś ci już o tym doniósł? – Podniósł kufel do ust.

– Nikt mi o niczym nie donosił, słyszałam tylko pogłoski, że ktoś wystraszył się radioaktywnego wycieku. – Kelner przyniósł ser i owoce. – Poproszę Pellegrino z cytryną – zamówiłam.

– Wszystko wskazuje na to, że pogłoski się potwierdzają.

– Co takiego? – Zmarszczyłam czoło. – A poza tym jakim niby cudem wiesz więcej ode mnie o tym, co się dzieje w moim biurówcu?

– Gdyż plotka ma coś wspólnego z pewnym morderstwem na podlegającym mi obszarze miasta. – Wypił kolejny łyk piwa. – Konkretnie ze sprawą Danny’ego Webstera. – Umilkł, czekając, aż ogarnę znaczenie jego słów, ale moja głowa jakoś nie zamierzała się powiększyć i nic nie chciało się już w niej zmieścić.

– Czy ma to znaczyć, że ciało Danny’ego było napromieniowane? – zapytałam, patrząc na niego jak na wariata.

– Nie. Ale wewnątrz twojego samochodu promieniuje. Możesz mi wierzyć, że ludzie od analizy mało nie narobili w portki ze strachu, a mnie też nie bardzo do śmiechu, bo i ja trochę grzebałem w twojej furze. I właśnie tego się teraz boję, tak jak niektórzy boją się na przykład pajaków czy węży. Przypomnij sobie facetów, którzy mieli w Namibii styczność z Agentem Pomarańczowym, a teraz padają jak muchy na raka.

– Mowa o przednim siedzeniu mercedesa? – Na mojej twarzy musiało malować się ogromne niedowierzanie.

– Zgadłś, i na twoim miejscu raczej nie siadałbym już za kierownicą, bo z czasem może ci to szkodzić.

– Nie ma sprawy, i tak nie zamierzam już nim jeździć. A kto ci powiedział, że wewnątrz wozu jest radioaktywne?

– Pani, która pracuje przy mikroskopie elektronowym, wykryła uran, dla którego zabrakło skali na liczniku Geigera. Mówią, że nigdy w życiu nie widzieli takich stężeń.

– Nawet im wierzę.

– Więc ochroniarze wpadli w popłoch – ciągnął – i jeden z nich podjął decyzję o ewakuacji całego budynku. Sęk w tym, że w pośpiechu zapomniał, że tłukąc szybkę na czerwonej skrzyneczce i pociągając za dźwignię, uruchamia cały system gazowy.

– O ile mi wiadomo – powiedziałam – nikt go wcześniej nie używał. Niektórzy pewnie o nim nawet zapomnieli. Możliwe, że ochroniarz nigdy o czymś takim nie słyszał. – Przypomniałam sobie administratora i z łatwością domyśliłam się, co sądzi o tym incydencie. – O mój Boże, i to wszystko przez mój samochód, a więc i jakby przeze mnie.

– Nic z tych rzeczy. – Marino wbił we mnie stanowcze spojrzenie. – Doszło do tego, ponieważ jakiś dupek zabił Danny’ego. Ile razy będę cię jeszcze musiał przekonywać?

– Wypiłabym kieliszek wina.

– Przestań się obwiniać. Przecież wiem, jak postępujesz i jak się z tym czujesz.

Zaczęłam szukać wzrokiem barmana. Zrobiło się za gorąco od kominka. Czworo ludzi usiadło w pobliżu i zaczęło rozprawiać na głos o „zaczarowanym ogrodzie” na dziedzińcu restauracji, gdzie w dzieciństwie bawił się Edgar Allan Poe.

– Pisał o tym w jednym z wierszy – mówiła kobieta.

– Słyszałam, że dają tutaj dobre ciastka.

– Nie podoba mi się taka postawa – ciągnął Marino, nachylając się w moją stronę i wysuwając palec. – Zanim się obejrzę, już robisz coś na własną rękę. Spać przez ciebie nie mogę.

Barman dojrzał moje znaki i zaczął się zbliżać w naszym kierunku. Zamiast o Chardonnay poprosiłam w końcu o szkocką, zdjęłam zakiet i powiesiłam go na oparciu krzesła. Obficie się pociłam i nie najlepiej czułam we własnej skórze.

– Poczęstuj mnie marlboro – zwróciłam się do Marino. Otworzył usta i patrzył na mnie zdumiony. – Proszę cię. – Wyciągnęłam rękę.

– Nic z tych rzeczy – nie ustępował.

– Umówmy się tak: wypalimy po jednym, a potem obydwójce rzucimy palenie.

– Chyba żartujesz. – Nie bardzo wiedział, jak zareagować.

– Nic podobnego.

– Co będę z tego miał?

– Może przeżyjesz, o ile już nie jest za późno.

– Dzięki. Ale nie idę na żadne układy. – Wysunął po jednym papierosie dla nas obojga.

– Kiedy to było ostatni raz?

– Trzy lata temu chyba. – Papieros był bez smaku, ale strasznie spodobało mi się uczucie trzymania go w ustach, jakby właśnie po to zostały stworzone.

Zaciągnęłam się, dymek przeciął moje płuca jak nóż i od razu poczułam zawrót głowy. Przypomniała mi się chwila, gdy zapaliłam pierwszego camela w wieku lat szesnastu. Nikotyna zasnuła mój mózg, tak samo jak wtedy, świat zwolnił obroty, a myśli zaczęły układać się w jakąś całość.

– O Jezu, jak mi tego brakowało – westchnęłam, strząsając popiół.

– Może wreszcie się ode mnie odczepisz.

– Żebyś zapomniał o zdrowiu?

– Daj spokój, to nie marihuana ani nic z tych rzeczy.

– Tej nie próbowałam, ale gdyby nie była zakazana, to pewnie bym sobie dzisiaj zapaliła.

– Niech to szlag, teraz to ja zaczynam się bać.

Zaciągnęłam się ostatni raz i zgasiłam papierosa; Marino przyglądał mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Zawsze czuł się zagubiony w momentach, gdy zachowywałam się w zaskakujący dla niego sposób.

– A teraz słuchaj – zaczęłam. – Uważam, że wczoraj wieczorem ktoś śledził Danny’ego, że jego śmierć nie jest wynikiem przypadku, nie kryją się za nią żadne motywy rabunkowe, nie wiem, kradzież paliwa czy handel narkotykami. Myślę, że morderca na niego czekał, może nawet z godzinę, po czym zaatakował go pod drzewem magnolii na Dwudziestej Ósmej Ulicy. Znasz tego psa, co siedzi tam na podwórku? Daigo utrzymuje, że szczekał przez cały czas, gdy Danny siedział w knajpie.

– A nie mówiłem? Jednak poszłaś tam sama.

– Przez chwilę obserwował mnie w milczeniu.

– Zgadłeś.

– O to mi właśnie chodzi. – Zacisnął zęby. – Daigo pamięta, że pies bez przerwy ujadął.

– Zbył to milczeniem. – Przeszłam się tam i zauważyłam, że szczeka dopiero w chwili, gdy człowiek zbliży się do podwórka. Wtedy jakby mu odbijało. Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Co za głupek wystawałby tam przez godzinę, gdyby pies cały czas na niego szczekał? Nie, bez przesady.

– Nie pierwszy lepszy opryszek – odparłam, gdy kelner przyniósł mi drinka i odszedł. – O to mi właśnie chodzi. Że Danny mógł stać się celem ataku zawodowca.

– No dobra. – Marino opróżnił kufel. – Dlaczego? Co ten dzieciak komu zawinił? Chyba że wplątał się w narkotyki albo miał kontakty z jakimiś

innymi zorganizowanymi przestępcami.

– Miał kontakt z Tidewater – dorzuciłam – bo tam mieszkał. Pracował w tamtejszym biurze biegłego. Przynajmniej pośrednio zajmował się zgonem Teda Eddingsa, a wiadomo, że zabójca tamtego ucieka się do raczej wyszukanych sposobów. Morderstwo chłopaka również zostało dokonane w sposób przemyślany i z premedytacją.

– A więc jesteś przekonana, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane. – Pocierał w zamyśleniu brodę.

– Sądzę, że sprawca chciał nas utwierdzić w przekonaniu, że nie są. Że wszystko będzie wyglądało na kradzież samochodu albo jakieś inne pospolite przestępstwo, które wymknęło się spod kontroli.

– Taka jest też powszechna opinia.

– Nie do końca powszechna. – Wytrzymałam jego wzrok. – Naprawdę nie do końca.

– Mówisz więc, że to Danny był celem ataku zawodowego mordercy?

– Być może celem byłam ja. Albo ten ktoś usunął Danny'ego, żeby mnie zastraszyć. Możliwe, że nigdy się tego nie dowiemy.

– Dostałaś wyniki analizy toksykologicznej Eddingsa? – Ruchem ręki zamówił następną kolejkę.

– Wiesz przecież, co się dzisiaj działo. Mam nadzieję, że dotrą do mnie jutro. Opowiedz, jak stoją sprawy w Chesapeake.

– Ani drgnęły. – Wzruszył ramionami.

– Jak to? – spytałam zniecierpliwiona. – Mają tam przecież ze trzystu funkcjonariuszy. Czy nikt nie zajmuje się śmiercią Teda Eddingsa?

– Liczby są mało ważne, gdy jeden wydział jest do niczego. Chodzi, rzecz jasna, o zabójstwa. Tej przeszkody nie sposób wyminąć, zwłaszcza że sprawą wciąż zajmuje się Roche.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Do twojej sprawy też go wyznaczili. – Nawet go nie słuchałam. – Na twoim miejscu uważałbym na każdy swój krok. – Nasze spojrzenia się spotkały. – Tutaj nie ma żartów. – Urwał. – Wiesz, o czym gadają gliniarze, sporo się przy nich człowiek nasłucha. Wieść niesie, że lecisz na Roche’a i teraz tamtejszy komendant usiłuje skłonić gubernatora, żeby cię zwolnił.

– Mogą gadać, co im ślina na język przyniesie – odparowałam wściekła.

– Wiesz co, sęk w tym, że ludzie patrzą na takiego jak on, widzą, że jest młody, i bez trudu wyobrażają sobie, że mogłaś na niego polecieć. – Wahał się i doskonale wyczuwałam jego niechęć do Roche’a i ochotę, żeby tamtego sponiewierać. – Ledwie przechodzi mi to przez gardło, ale faktycznie wyszłabyś na tym o wiele lepiej, gdyby on nie był takim przystojniakiem.

– Molestowanie nie polega na tym, że ktoś jest pociągający dla drugiego. A on nie ma żadnych dowodów i w ogóle się tym nie przejmuję.

– Chodzi o to, że on chce ci zaszkodzić i dokłada do tego wszelkich starań. Ucieka się do każdego sposobu, żeby się do ciebie dostać.

– To niech zajmie miejsce w kolejce razem z wszystkimi innymi, którzy mają na to ochotę.

– Człowiek, który dzwonił do firmy holowniczej w Virginia Beach i podawał się za ciebie, był mężczyzną. To tak dla twojej wiadomości.

– To nie pasuje do Danny’ego. – Na tyle mogłam się zdobyć.

– Też tak myślę. Ale pasuje do Roche’a.

– Co robisz jutro?

– To długa historia – westchnął.

– Może się zdarzyć, że trzeba będzie jechać do Charlottesville.

– Po co? – Zmarszczył brwi. – Nie powiesz mi chyba, że Lucy cały czas się wygłupia?

– To nie o to chodzi. Ale możliwe, że ją tam zastaniemy.

# Rozdział jedenasty

Nazajutrz urządziłam obchód działów; najpierw zaszłam do laboratorium mikroskopii elektronowej, gdzie zastałam specjalistkę od medycyny sądowej, Betsy Eckles, która pokrywała rozpylaczem kwadratowy wycinek opony. Siedziała plecami do mnie i patrzyłam, jak umieszcza próbkę na specjalnej płytce, która miała następnie powędrować do szklanej komory próżniowej, gdzie pokryją ją mikroskopijnej wielkości cząsteczki złota. Zauważyłam nacięcie na środku fragmentu i skądś było mi ono znajome, chociaż nie mogłam przypomnieć sobie skąd.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Odwróciła wzrok od robiącego ogromne wrażenie pulpitu, pełnego mierników ciśnienia, tarcz i mikroskopów cyfrowych, które na ekranie wideo tworzyły obrazy złożone nie z linii, lecz z pikselów. Ta siwiejąca kobieta w laboratoryjnym fartuchu wyglądała w ten czwartkowy poranek na bardziej niż zwykle wymizerowaną.

– A, dzień dobry, pani doktor – odpowiedziała, umieszczając nacięty kawałek gumy w komorze.

– Pocięte opony? – zapytałam.

– Ludzie z wydziału broni poprosili, żebym pokryła tę próbkę powłoką. Mówili, że trzeba to zrobić natychmiast. Nie wiem dlaczego.

Wcale się z tego nie cieszyła, gdyż zaskakiwały ją niezwykle gwałtowne reakcje na tak mało znaczące przestępstwo. Nie miałam pojęcia, czemu okazało się to tak ważne, w czasie gdy laboratorium było zavalone po sufit robotą, ale nie przyszłam tu przecież, by zastanawiać się nad takimi sprawami.

– Chciałabym porozmawiać z panią o tym uranie.



– Pierwszy raz widzę coś takiego. – Otworzyła plastikową kopertę. – Okres połowicznego rozpadu dwadzieścia dwa lata.

– Musimy określić izotop.

– Zgoda, tylko nie bardzo wiem, gdzie się z tym udać. Z pewnością nie mogę zrobić tego tutaj.

Za pomocą taśmy klejącej zaczęła przymocowywać coś, co przypominało drobiny piachu, do jakiegoś pręcika, który miała włożyć do fiolki. Takie drobiny dostawała co dzień i nigdy nie nadążała z ich obróbką.

– Gdzie jest w tej chwili ta radioaktywna próbka? – zapytałam.

– Tam gdzie ją zostawiłam. Nie otwierałam jeszcze tamtej komory i nie mam takiego zamiaru.

– Mogę rzucić okiem?

– Oczywiście.

Podeszła do innego mikroskopu cyfrowego, włączyła monitor, na którym roztoczył się czarny wszechświat, usiany jasnymi gwiazdami różnego kształtu i wielkości. Niektóre były barwy jaskrawobiałej, inne świeciły bardzo blado, jeszcze innych nie sposób było dojrzeć gołym okiem.

– Powiększenie trzy tysiące – oznajmiła, obracając jakieś tarcze. – Mam je jeszcze bardziej powiększyć?

– Powinno wystarczyć. Wpatrywałyśmy się w widok, który równie dobrze mógłby pojawić się w obserwatorium astronomicznym. Metalowe kule wyglądały niczym trójwymiarowe planety, otoczone mniejszymi księżycami i gwiazdami.

– Coś takiego znaleźliśmy w pani samochodzie – obwieściła. – Te jasne cząsteczki to uran. Nieco bardziej matowe to tlenek żelaza, który można znaleźć na przykład w ziemi. Jest jeszcze trochę aluminium, używanego dziś praktycznie wszędzie. I krzem, czyli piasek.

– Czyli coś, co przyczepia się każdemu do butów – skomentowałam. – Z wyjątkiem uranu.

– I jeszcze jedno – kontynuowała. – Uran przyjmuje dwa kształty. Kulisty, będący wynikiem stopienia w trakcie nie znanego nam procesu. Ale tutaj – zrobiła ruch ręką – widzimy kształty nieregularne, z ostrymi krawędziami, co oznacza, że do ich powstania przyczyniła się jakaś maszyna.

– Uran jest chyba wykorzystywany w elektrowniach atomowych?

– To prawda.

– Czy jeszcze jakieś przedsiębiorstwa mogą go używać?

– W okolicy nie ma żadnych kopalń ani przetwórni – odparła po zastanowieniu. – Jest jeden reaktor w UVA, ale on służy chyba tylko do celów naukowych.

Nie mogłam oderwać wzroku od małej burzy materii radioaktywnej, przyniesionej do mojego wozu przez zabójcę Danny’ego. Przypomniałam sobie black talon, jego drapieżne szpony i dziwny telefon w Sandbridge, po którym ktoś przechodził przez mur okalający moje podwórko. To Ted Eddings musiał łączyć wszystkie te wydarzenia, on i jego związki z Nowymi Syjonistami.

– Fakt, że na liczniku Geigera skończyła się skala i przestał działać, nie oznacza chyba, że ten materiał promieniotwórczy jest szkodliwy. Wiadomo przecież, że uran nie robi nikomu krzywdy.

– Sęk w tym, że nic takiego jeszcze nam się do tej pory nie przytrafiło.

– To bardzo proste – tłumaczyłam cierpliwie. – Materiał ten stanowi dowód w sprawie o zabójstwo. Badam tę sprawę jako biegła sądowa, służbowo zajmuje się nią kapitan Marino, wystarczy, że wystawi nam pani kwit na tę próbkę. Zawieziemy go do UVA, a tam fizycy atomowi określą, co to za izotop.

Rzecz jasna, wyszło na to, że nie obejdzie się bez telefonicznych negocjacji z dyrektorem Biura Nauk Sądowych i komisarzem służby zdrowia, który był moim bezpośrednim zwierzchnikiem. Niepokoił ich ewentualny konflikt interesów, gdyż uran został wykryty w moim wozie, a i Danny był moim pracownikiem. Uspokoiła ich uwaga, że nie jestem przecież podejrzaną w tym śledztwie; wreszcie z ulgą pozbyli się nieszczęsnej promieniotwórczej próbki.

Wróciłyśmy do laboratorium, gdzie włożyłam bawełniane rękawiczki, a Eckles otworzyła złowrogą komorę. Ostrożnie odkleiałam taśmę z pręta, który umieściłam w torebce foliowej, następnie starannie zapieczętowanej i opatrzonej etykietą. Zanim wróciłam na swoje piętro, wstąpiłam jeszcze do działu broni palnej, gdzie zastałam Frosta przy mikroskopie, przyglądającego się jakiemuś staremu wojskowemu bagnetowi. Zapytałam o przebitą gumę opony, którą kazał powlec złotem.

– Znalazło się prawdopodobnie narzędzie, za pomocą którego przecięto pani opony – poinformował mnie, nastawiając ostrość.

– To ten bagnet? – Nie musiałam nawet pytać.

– Zgadza się. Dostarczono nam go dziś rano.

– To znaczy kto dostarczył? – Moja podejrzliwość nie malała.

Rzucił okiem na sąsiedni stół, gdzie leżała złożona papierowa torba. Zobaczyłam numer sprawy, datę i nazwisko, Roche.

– Z Chesapeake – dodał Frost.

– Wie pan coś o tym, jak go znaleźli? – spytałam, czując, jak wszystko zaczyna się we mnie gotować.

– W bagażniku jakiegoś samochodu. Tyle się tylko dowiedziałem. Wygląda na to, że wszyscy strasznie się z tym śpieszą.

Poszłam wyżej, do działu toksykologii. Byłam jednak w pieskim nastroju, wcale nie poprawionym przez osobę, która potwierdziła moje

przecucia jeszcze z kostnicy w Norfolk. Doktor Rathbone był mocno zbudowanym mężczyzną w starszym wieku, choć włosy wciąż zachowywały czarny kolor. Zastałam go przy biurku, gdy podpisywał raporty.

– Właśnie do pani dzwoniłem. – Uniósł wzrok. – Jak tam po Nowym Roku?

– Ciekawie. A u pana?

– Byłem u syna w Utah. Jak Boga kocham, przeniósłbym się tam, gdybym tylko mógł znaleźć pracę, ale coś mi się zdaje, że mormoni nie potrzebują takich jak ja.

– Takich jak pan potrzebują wszędzie. Mam nadzieję, że zrobił pan już analizę w sprawie Eddingsa – dorzuciłam.

– Stężenie cyjanku w próbce jego krwi wynosi 0,5 mg na litr, czyli jest praktycznie śmiertelne. – Nie przerywał podpisywania raportów.

– Co z częściami sprężarki?

– Trudno cokolwiek rozstrzygnąć.

Nawet się nie zdziwiłam ani nie przejęłam, bo najważniejsze, że wiedziałam już na pewno, iż Eddings zmarł wskutek zatrucia cyjanowodorem, czyli że mieliśmy niewątpliwie do czynienia z zabójstwem. Znałam prokuratorkę z Chesapeake, wpadłam więc do biura, żeby zadzwonić do niej i powiedzieć, aby przemówiła do słuchu tamtejszej policji.

– To nie pani powinna do mnie dzwonić – powiedziała.

– Wiem.

– Już ja się tym zajmę. – Robiła wrażenie rozdrażnionej. – Kupa idiotów.

Czy FBI interesowało się już tą sprawą?

– Komenda w Chesapeake uznała, że nie potrzebuje ich pomocy.

– No tak, pewnie zabójstwa przez zatrucie związkami cyjanku w czasie nurkowania to dla nich nie pierwszozna.

– Wątpię.

– Zadzwońę później.

Odłożyłam słuchawkę, wzięłam płaszcz i torebkę i wyszłam na dwór, gdzie właśnie zaczynała się robić śliczna pogoda. Wóz Pete'a stał zaparkowany przy Franklina, Marino siedział w środku, silnik był na chodzie, a szyba w oknie opuszczona. Gdy mnie zobaczył, otworzył drzwi i nacisnął dźwignię otwierającą bagażnik.

– Gdzie to masz? – Pokazałam mu brązową kopertę, w jego oczach odmalowało się zdumienie. – Tak to sobie niesiesz? – wykrzyknął. – Myślałem, że włożysz to co najmniej do jakiejś puszdki po farbie.

– Nie rozśmieszaj mnie – odciąłam się. – Mógłbyś bez szkody dla zdrowia trzymać uran gołymi rękami. – Zamknęłam kopertę w bagażniku.

– To dlaczego nastąpiła awaria licznika Geigera? – nie ustępował. – Chyba dlatego, że to gówno jest promieniotwórcze, no nie?

– Uran jest bez wątpienia trochę radioaktywny, ale sam w sobie nie jest zbyt groźny, przede wszystkim dlatego, że strasznie wolno się rozpada. Poza tym próbka w bagażniku jest mikroskopijnych rozmiarów.

– Wiesz co, dla mnie „trochę radioaktywny” brzmi jak „trochę w ciąży” albo „odrobinę nieżywy”. Ale skoro się tak w ogóle nie przejmujesz, to dlaczego sprzedałaś mercedesa?

– Na pewno nie dlatego.

– Nawet jeśli tobie jest wszystko jedno, ja nie mam najmniejszej ochoty zostać napromieniowany – wypalił rozeźlony.

– Nic ci się nie stanie.

– Nie mieści mi się w głowie, że miałabyś ochotę wystawić mnie i mój wóz na działanie uranu – stawał się dalej.

– Słuchaj, Marino – próbowałam perswazji – wielu pacjentów ląduje w mojej kostnicy z tak nieprzyjemnymi chorobami, jak gruźlica, zapalenie wątroby i opon mózgowych, AIDS. Byłeś przecież przy sekcjach i wiesz, że przy mnie możesz się czuć bezpieczny. – Mknął autostradą międzystanową, raz po raz mijając samochody. – Myślałam, że zdążyłeś się już przekonać, że nigdy w życiu nie naraziłabym cię świadomie na niebezpieczeństwo.

– Właśnie, świadomie – przerwał mi. – Może wpłatałaś się w coś, o czym nie masz zielonego pojęcia. Kiedy to ostatnio badałaś pacjenta zmarłego na chorobę popromienną?

– Po pierwsze – zaczęłam – nie mamy do czynienia z żadną ofiarą promieniowania, są tu tylko śladowe ilości pierwiastka. Po drugie, znam się co nieco na radioaktywności. Na promieniach Rentgena i izotopach w rodzaju kobaltu, jodu i technu, które są wykorzystywane w lekach na raka. Lekarze zapoznają się z wieloma rzeczami, w tym z chorobą popromienną. Może byś wreszcie zwolnił i wybrał sobie któryś z pasów ruchu?

Przyglądałam mu się z rosnącym przerażeniem, gdy zdejmował nogę z pedału gazu. Na czole błyszczały i po skroniach spływały mu kropelki potu, twarz miał purpurową. Zacisnął zęby, ścisnął kurczowo kierownicę i ciężko dyszał.

– Zatrzymaj się – zażądałam, ale nie zareagował. – Zatrzymaj się, Marino – powtórzyłam tonem, który znał aż za dobrze.

Na tym odcinku sześćdziesiątki czwórki pobocze było szerokie i wyłożone płytami chodnikowymi, więc obesłam samochód i znalazłam się przy drzwiach od jego strony. Gestem kciuka dałam mu znak, że ma wysiadać, i bez słowa posłuchał. Mundur był z tyłu przemoknięty do nitki, prześwitywał przez niego podkoszulek.

– Coś mi się zdaje, że łapie mnie grypa – zauważył. Ustawiłam fotel i lusterka. – Sam nie wiem, co mi jest. – Wytarł twarz chusteczką.

– Spanikowałeś – postawiłam diagnozę. – Oddychaj głęboko i staraj się uspokoić. Pochyl się do przodu i dotknij palców u nóg. Rozluźnij się.

– Jak ktoś zobaczy, że siedzisz za kierownicą policyjnego wozu, to już po mnie – powiedział, zapinając pasy.

– Akurat w tej chwili policja powinna być mi wdzięczna, że nie pozwoliłam ci usiąść za kierownicą. Nie wolno ci się zbliżać do żadnej maszyny. Tak między Bogiem a prawdą, to powinienesz teraz wyłądować u psychiatry. – Rzuciłam na niego okiem, wyczuwając, że mu wstyd.

– Nie wiem, co mi jest – mamrotał, patrząc przez okno od swojej strony.

– To jeszcze przez Doris?

– Nie wiem, czy opowiadałem ci o jednej z ostatnich wielkich kłótni, zanim odeszła na dobre. – Znów otarł twarz. – Poszło o te zaszrane talerze, które kupiła na wyprzedaży. Już długo nosiła się z zamiarem kupienia czegoś w tym stylu. Wracam raz wieczorem do domu i oto widzę rozłożone na stole, ognisto-pomarańczowe talerze. – Spojrzał w moją stronę. – Słyszałaś o zastawach Fiesta?

– Obiło mi się o uszy.

– Coś mi się właśnie zdaje, że jakby przyłożyć licznik Geigera do tego rodzaju naczyń, to od razu by wysiadł.

– Do tego potrzeba niewiele – powtórzyłam po raz kolejny.

– Słyszałem o tych talerzach, że wycofywali je ze sprzedaży – ciągnął – ale Doris nie chciała nawet słuchać. Uznała, że przesadzam.

– I pewnie miała rację.

– Już ci mówiłem, że niektórzy ludzie panicznie boją się pajaków i węży. Sama wiesz, że nie cierpię chodzić z tobą do rentgena, a kiedy włączam mikrofalówkę, zaraz wychodzę z kuchni. No to zebrałem wszystkie te

naczynia i wyrzuciłem, nie wspominając jej o tym ani słowem. – Uspokoił się i jeszcze raz wytarł twarz. Kilkakrotnie odchrząknął, aż wreszcie wydusił: – Miesiąc później odeszła.

– Powiem ci, że mnie też nie chciałoby się jeść z tych talerzy. Wiem, jak to jest, i rozumiem strach, wiem, że nie zawsze bywa racjonalny.

– No, może akurat w moim wypadku ma jakieś racjonalne podstawy. – Uchylił trochę okna. – Boję się śmierci. Jak chcesz wiedzieć, to co rano budzę się i o tym myślę. Codziennie myślę, że dowiem się, że będę miał zawał albo raka. Nie lubię chodzić spać, bo boję się, że już nie wstanę. – Urwał, by dodać z wielkim wysiłkiem: – Prawdę mówiąc, Molly właśnie z tego powodu ze mną zerwała.

– To niezbyt miło z jej strony. – Jego słowa sprawiły mi ból.

– No wiesz – chrząknął niepewnie – jest znacznie młodsza. I czuję ostatnio jakiś lęk przed każdym wysiłkiem, boję się nadwerężyć.

– Czyli że obawiasz się też seksu.

– Jasne, może zawieś mi na szyi taką tabliczkę. – Musisz zrozumieć, że jestem lekarką i staram ci się ze wszystkich sił pomóc.

– Molly powtarzała, że przy mnie czuje się odrzucona.

– Pewnie jej nie chciałeś. Jak długo to trwa?

– Nie wiem, chyba gdzieś od jesieni.

– Czy coś się wtedy zdarzyło?

– Czy ja wiem – zawahał się. – Przestałem zażywać lekarstwo.

– Chodzi ci o bloker adrenergiczny czy o finasteryd?

– Obydwa.

– Czemu zdecydowałeś się na taki niemądry krok?

– Bo jak je zażywam, to nic się nie układa – wyrzucił z siebie. – Odstawiłem, gdy zacząłem chodzić z Molly. A wróciłem do leków, gdy



poszedłem na badania i dowiedziałem się, że znowu skoczyło mi ciśnienie i pogorszył się stan prostaty. Bardzo się wystraszyłem.

– Nie ma takiej kobiety, dla której warto by umrzeć. Wszystko sprowadza się do depresji, do której jesteś bardzo skłonny.

– Fakt, to okropnie przygnębiające, kiedy się nie może. Ty mnie nie zrozumiesz.

– Pewnie, że rozumiem. Człowiek chodzi jak struty, gdy ciało odmawia mu posłuszeństwa, kiedy się starzejemy i jesteśmy narażeni na różne trudne sytuacje i zmiany. A w twoim życiu przez ostatnich parę lat sporo się zmieniało.

– Nieprawda, najbardziej przygnębiające jest to – coraz bardziej podnosił głos – że ci nie staje. A innym znowu razem staje, a nie chce opaść. Nie możesz się wysikać, kiedy masz ochotę, albo możesz, kiedy ochoty nie masz. Poza tym huśtawki nastrojów, kiedy jest przy tobie dziewczyna, która mogłaby być twoją córką. – Rzucił gniewne słowa, na czoło wystąpiły mu żyły. – Tak, jestem w depresji, i to strasznie, kurwa, głębokiej!

– Nie krzycz na mnie – powiedziałam. Odwrócił głowę i ciężko dyszał. – Idź do kardiologa i urologa.

– Nic z tego. – Pokręcił głową. – Musiałbym chodzić do urologa kobiety. Nie mogę tam iść i opowiadać o wszystkim babie.

– A to dlaczego? Mnie dopiero co opowiedziałeś.

Zamilkł i nie odwracał wzroku od okna. Rzucił okiem w boczne lusterko i oznajmił:

– Tak nawiasem mówiąc, to jakiś grzdyl w złotym lexusie wlecze się za nami od samego Richmond.

Spojrzałam w lusterko. Jechał za nami jeden z nowszych modeli, a facet za kierownicą rozmawiał przez telefon.

– Sądzisz, że nas śledzi? – zapytałam.

– A skąd mam wiedzieć? Ale nie chciałbym płacić za niego rachunku telefonicznego.

Zbliżaliśmy się do Charlottesville i łagodny pejzaż zmienił się w szare zimowe pagórki, pokryte kępami wiecznie zielonych drzew. Powietrze było zimniejsze, wszędzie leżało więcej śniegu, chociaż nawierzchnia była sucha. Poprosiłam Pete'a, żeby wyłączył radio, bo miałam już powyżej uszu policyjnego żargonu. Wjechałam w dwudziestą dziewiątą północną w kierunku Uniwersytetu Stanu Wirginia. Przez chwilę otaczały nas strome gołoborza, na których od czasu do czasu pojawiały się drzewa. Niedługo potem dotarliśmy jednak do miasteczka studenckiego, gdzie pełno było pizzerii, sklepów samoobsługowych i stacji benzynowych. Studenci wciąż jeszcze mieli przerwę świąteczną, ale moja siostrzenica nie była jedyną osobą na świecie, która nie zwracała na to uwagi. Przy stadionie Scotta skręciłam w aleję, gdzie studenci przesiadywali na ławkach i jeździli na rowerach. Nosili plecaki lub tornistry, które wyglądały na wypełnione książkami. Kręciło się mnóstwo samochodów.

– Byłaś tu kiedyś na meczu? – Marino wyraźnie się ożywił.

– Nie przypominam sobie. – Karygodne zaniechanie. Studiujesz tu twoja siostrzenica, a ty nigdy nie widziałaś w akcji Hoosa? A co robiłyście z Lucy, kiedy się tu spotykałyście?

Szczerze mówiąc, niewiele. Spotkania poświęcałyśmy przeważnie na długie spacerunki po miasteczku lub na rozmowy w jej pokoju. Rzecz jasna, jadałyśmy wielokrotnie kolacje w restauracjach takich jak Bluszcz czy Pod Łbem Odyńca, spotykałam się z jej wykładowcami, chodziłam z nią nawet na zajęcia. Nie zetknęłam się jednak z niezbyt licznymi znajomymi Lucy. I oni, i miejsca, w których się spotykali, byli pilnie strzeżoną tajemnicą.

– Nigdy nie zapomnę, jak on grał. – Okazało się, że Marino nie może przestawać gadać.

– Bardzo żałuję.

– Wyobrażasz sobie faceta, który ma dwa dwadzieścia wzrostu? *Ř propos*, teraz mieszka w Richmond.

– No dobrze – przyglądałam się mijanym budynkom – musimy znaleźć Szkołę Inżynierii, której kompleks zaczyna się właśnie w tym miejscu. Ale nam potrzebna jest Inżynieria Mechaniczna, Lotnicza i Jądrowa.

Zwolniłam na widok budowli z czerwonej cegły z białymi gzymsami i obramowaniami, po chwili zobaczyłam poszukiwaną tabliczkę. Miejsce do parkowania znaleźliśmy z łatwością, o wiele gorzej poszło z doktorem Alfredem Matthewsem. Umówił się ze mną o wpół do dwunastej w swoim gabinecie, ale widocznie na śmierć o tym zapomniał.

– Gdzie on się, do cholery, podziewa? – irytował się Marino, któremu zawartość bagażnika wciąż nie dawała spokoju.

– W reaktorze – oznajmiłam, wsiadając do wozu.

– Super.

Tak naprawdę budynek mieścił Laboratorium Fizyki Wysokich Energii i znajdował się na szczycie góry, gdzie stało także obserwatorium astronomiczne. Reaktor uniwersytetu miał postać dużego ceglanego silosu. Wokół ciągnęły się zagrodzone płotem lasy; w moim koledze znowu odezwały się obawy.

– No chodź. Na pewno cię zainteresuje. – Otworzyłam swoje drzwi.

– Nic a nic mnie to nie interesuje.

– W porządku. Siedź tutaj, a ja pójdę sama.

– Jak pani sobie życzy.

Wyjęłam próbkę z bagażnika, zadzwoniłam przy głównym wejściu i ktoś otworzył od środka. Wewnątrz zobaczyłam korytarz i oznajmiłam

siedzącemu za szybą człowiekowi, że szukam doktora Matthews. Zerknął na jakąś listę i poinformował mnie, że w chwili obecnej szef wydziału fizyki przebywa przy zbiorniku wody reaktora. Po czym mężczyzna podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu, jednocześnie podając mi przepustkę i wykrywacz promieniowania. Przypięłam to sobie do zakietu, a on wyszedł ze swojej służbówki, by przeprowadzić mnie przez ciężkie, stalowe drzwi, nad którymi paliło się czerwone światło, oznaczające, iż reaktor pracuje.

W następnym pomieszczeniu o wyłożonych kafelkami ścianach nie było okien, a do każdego przedmiotu przyklejono jasnożółtą etykietę. Z jednego końca oświetlonego basenu promieniowanie Czerienkowa przydawało wodzie przedziwnej, niebieskiej barwy, gdy nietrwale atomy spontanicznie rozpadały się w znajdującym się sześć metrów niżej zbiorniku paliwa. Doktor Matthews naradzał się ze studentem, który – jak wywnioskowałam ze strzępów prowadzonej rozmowy – zamiast reaktora ciśnieniowego używał kobaltu do sterylizacji mikropipetek, wykorzystywanych przy zapłodnieniu *in vitro*.

– Myślałem, że umówiliśmy się na jutro – przywitał mnie stropiony naukowiec.

– Nie, na dzisiaj. I dziękuję, że w ogóle mnie pan przyjął. Przyniosłam próbkę. – Pokazałam mu kopertę.

– No dobra, George – zwrócił się do studenta – dasz już sobie radę?

– Tak jest. Dziękuję.

– Proszę za mną – powiedział do mnie Matthews. – Zabierzemy próbkę i od razu weźmiemy się do roboty. Wie pani, ile tu tego jest?

– Nie bardzo.

– Jeżeli wystarczy, to przeprowadzimy analizę na poczekaniu.

Za kolejnymi ciężkimi drzwiami skręciliśmy w lewo i stanęliśmy przed wysoką skrzynią, która sprawdziła napromieniowanie naszych nóg i rąk. Oceniała je na jasnozielone światło, po czym po schodach udaliśmy się do laboratorium radiografii neutronowej, które mieściło się w piwnicach, pośród warsztatów, wózków widłowych i wielkich czarnych beczek, zawierających oczekujące na transport, mało radioaktywne odpady. Niemal na każdym kroku widać było sprzęt ratowniczy, w czymś w rodzaju klatki znalazła swe miejsce sterownia. W najdalszym zakątku znajdował się pokój do obliczeń. Zbudowany został z grubego betonu i wypełniony wielkimi kanistrami z ciekłym azotem, detektorami germanu, wzmacniaczami i ołowianymi cegłami.

Analiza mojej próbki okazała się zaskakująco prosta. Matthews, który miał na sobie jedynie fartuch laboratoryjny i rękawice, umieścił kawałek taśmy klejącej w jakiejś rurce, którą włożył następnie do prawie metrowej wysokości aluminiowego pojemnika z kryształem germanu. Potem obłożył pojemnik ołowianymi sztabkami, żeby próbka nie wchłonęła promieniowania z zewnątrz. Proces rozpoczynała mało skomplikowana komenda komputerowa, po której licznik na pojemniku zaczynał mierzyć radioaktywność, byśmy mogli się dzięki temu dowiedzieć, z jakim izotopem mamy do czynienia. Wyglądało to wszystko dość dziwnie, gdyż przywykłam już do tajemniczych urządzeń w rodzaju mikroskopu elektronowego i chromatografu gazowego. Tymczasem ten wykrywacz wyglądał jak bezkształtny, obłożony ołowiem domek, chłodzony ciekłym azotem, sprzęt na pierwszy rzut oka raczej mało wymyślny.

– Poproszę pana o podpis na tym kwicie odbioru materiału dowodowego  
– powiedziałam – i już sobie stąd idę.

– To może zająć godzinę, może dwie. Naprawdę trudno mi powiedzieć – tłumaczył.

Podpisał kwit, którego kopię mu zostawiłam.

– Zajrzę teraz do Lucy, a potem tu wrócę.

– Chodźmy, odprowadzę panią, żeby przez przypadek pani czegoś nie uruchomiła. Co tam u niej? – spytał, gdy mijaliśmy kolejne milczące wykrywacze. – Pracowała w MIT?

– Miała tam zeszłej jesieni praktykę. Z robotyki. Teraz wróciła na co najmniej miesiąc.

– Nie wiedziałem. Strasznie się cieszę. Czym się teraz zajmuje?

– Zdaje się, że wspominała o rzeczywistości wirtualnej.

– Czy już kiedyś się w tym nie specjalizowała? – Matthews był zdezorientowany.

– Teraz to jest chyba na jakimś bardziej zaawansowanym poziomie.

– No jasne – uśmiechnął się. – Takich jak ona przydałoby się chociaż po jednym na grupę.

O ile wiem, Lucy była jedyną studentką, która nie wybrała jako specjalizacji fizyki, ale chodziła z ciekawości na zajęcia z projektowania jądrowego. Gdy znalazłam się na zewnątrz, zobaczyłam Pete'a, opartego o samochód i palącego papierosa.

– Co teraz? – spytał, wciąż ponury.

– Pomyślałam, że zrobię niespodziankę siostrzenicy i zaproszę ją na obiad. Rzecz jasna, zapraszamy również ciebie.

– Nie, muszę wysiąść po drodze przy stacji benzynowej i wykonać parę telefonów.

## Rozdział dwunasty

Zawiózł mnie do oślepiająco białej w słońcu Rotundy, mojej ulubionej budowli, którą projektował Thomas Jefferson. Szłam starymi alejkami wzdłuż rzędów kolumn, pod wiekowymi drzewami, przy których dwa szeregi pawilonów rządowych tworzyły luksusowy rejon znany pod nazwą Plant. Mieszkanie tutaj stanowiło nagrodę za osiągnięcia naukowe, mimo że niektórzy uważali to za wątpliwy zaszczyt. Prysznice i toalety znajdowały się w jednym budynku z tyłu, a spartańsko umeblowane pokoje nie zapewniały zbyt wielu wygód. Z ust Lucy nigdy jednak nie słyszałam słowa skargi, gdyż ta dziewczyna naprawdę uwielbiała życie w UVA.

Mieszkała w trzecim pawilonie zachodnim, o korynckich kapitelach kolumn z kar aryjskiego marmuru, rzeźbionych we Włoszech. Drewniane żaluzje wciąż jeszcze zasłaniały pokój numer jedenaście, na progu leżała poranna gazeta i dziwiłam się, że Lucy o tej porze nie wstała z łóżka. Zastukałam parokrotnie i usłyszałam w środku jakieś poruszenie.

– Kto tam? – dobiegł mnie głos siostrzenicy.

– To ja.

– Ciocia Kay? – upewniła się zaskoczona po chwili ciszy.

– Otwierasz czy nie?

Zapasy cierpliwości szybko mi się kończyły, bo od razu zorientowałam się, że nie jest zbyt zadowolona z tych odwiedzin.

– Już idę, chwileczkę.

– Cześć. – Wpuściła mnie do środka. – Mam nadzieję, że cię nie obudziłam. – Podałam jej gazetę.

– A, to dla T.C. – Mówiła o przyjaciółce, która była faktyczną właścicielką mieszkania. – Zapomniała zrezygnować z subskrypcji przed

wyjazdem do Niemiec, a ja jakoś nie mogę nigdy zabrać się do lektury.

Weszłam do mieszkania, które niewiele różniło się od zeszłorocznego lokum Lucy. Mało tu było miejsca, mieściło się tylko łóżko, umywalka, zapchane książkami szafki, biurko, jakieś stoliki. Sosnowe deski na podłodze nie były niczym przykryte, na bielonych ścianach wisiał jedynie plakat z Anthonym Hopkinsem w „Cienistej dolinie”. Techniczne zainteresowania Lucy były wyraźnie widoczne – rozłożyła się ze swoją pracą na wszystkich stolikach, biurku, a nawet kilku krzesłach. Inne sprzęty, do których należał faks i coś, co przypominało robota, stały na podłodze. Dodatkowe linie telefoniczne wiodły do modemów, które mrugały zielonymi światełkami. Nie odniosłam jednak wrażenia, iż Lucy mieszka tu sama, bo na umywalce zobaczyłam dwie szczoteczki do zębów i roztwór do czyszczenia szkieł kontaktowych, których siostrzenica nie używała. Pościel leżała na obydwu częściach podwójnego łóżka, na którym zauważyłam też nie znaną mi teczkę.

– Proszę. – Zdjęła z jednego krzesła drukarkę i usadowiła mnie blisko kominka. – Przepraszam za cały ten bałagan. – Miała na sobie pomarańczową bluzę z napisem UVA i džinsy, włosy miała mokre. – Nastawię wody – obiecała z roztargnieniem.

– Jeśli chcesz poczęstować mnie herbatą, to chętnie.

Przyglądałam się jej uważnie, gdy nalewała wody do czajnika i włączała go do gniazdka. Na pobliskiej toalecie leżała legitymacja FBI, pistolet i kluczyki do samochodu. Wpadły mi w oko jakieś dokumenty i sporządzone na świstkach papieru notatki; w szafie wisiały cudze ubrania.

– Powiedz, co porabia T.C.

– Robi specjalizację z niemieckiego. – Otworzyła pudełko herbaty. – Ma zamiar zostać sześć tygodni w Monachium i zgodziła się, żebym sobie tymczasem u niej pomieszkała.



– To bardzo miłe. Mam pomóc ci pakować jej rzeczy, żebyś mogła porozkładać swoje?

– Nie ma najmniejszej potrzeby. Spojrzałam w stronę okna, skąd doleciał mnie czyjś głos.

– Cały czas pijesz herbatę bez mleka? – spytała Lucy.

Na kominku trzasnęła i obsunęła się jakaś szczapa. Wcale się nie dziwiłam, gdy otworzyły się drzwi i w progu stanęła kobieta. Ale Janet się nie spodziewałam, a ona nie oczekiwała, że zastanie tu mnie.

– Doktor Scarpetta! – zawołała zdumiona, błyskawicznie wędrując wzrokiem w stronę Lucy. – Świetnie, że pani do nas wpadła.

W rękach trzymała przybory kąpielowe, czapkę z daszkiem włożyła na mokre włosy, opadające jej niemal do ramion. Ubrana była w dres i tenisówki, tryskała zdrowiem i energią, bo – tak jak Lucy – wyglądała na młodszą, niż była, gdyż z powrotem zamieszkała w miasteczku akademickim.

– Siadaj – zachęciła ją Lucy, podając mi kubek herbaty.

– Biegałyśmy sobie – uśmiechnęła się Janet, która właściwie nigdy nie potrafiła wyzbyć się w moim towarzystwie pewnej nerwowości. – Przepraszam za strój. A co tam u pani? – zagadnęła, przysuwając sobie krzesło.

– Przyjechałam na konsultację w związku z pewną sprawą – poinformowałam ją zdawkowo. – Ty też chodzisz na ten kurs z rzeczywistości wirtualnej? – Bacznie obserwowałam ich twarze.

– Tak, jesteśmy tu obydwie – odparła Janet. – Może słyszała pani, że jesienią zeszłego roku dostałam przeniesienie do filii w Waszyngtonie?

– Lucy coś wspominała.

– Zajmuję się przestępstwami związanymi z własnością intelektualną. Zwłaszcza z naruszeniem postanowień SPI.

– To znaczy? – spytałam.

– Statut o Przechwytywaniu Informacji – włączyła się siedząca koło mnie Lucy. – U nas utworzono jedyną w kraju grupę specjalistów od tego typu wykroczeń.

– Czyli jesteście tu obydwie z polecenia Biura i w związku z działalnością tejże grupy – zgadywałam. – Tyle że nie rozumiem, co rzeczywistość wirtualna może mieć wspólnego z hackerami włamującymi się do co ważniejszych baz danych.

Janet milczała i, wpatrzona w ogień, czesała włosy. Łatwo było się domyślić, że jest nie w sosie, ale nie wiedziałam, czy to ma jakiś związek z jej świątecznym pobytem w Aspen. Lucy przysunęła się do kominka i odwróciła w moją stronę.

– Nie chodzimy tu na żadne zajęcia, ciociu – zaczęła z pełną skupienia powagą. – Mamy stwarzać takie właśnie pozory. Opowiem ci o wszystkim, chociaż nie powinnam, ale mam już dość mistyfikacji.

– Nie musisz nic mówić, przecież to zrozumiem.

– Nie. – Wbiła we mnie wzrok. – Chcę, żebyś wiedziała, co się dzieje. Mówiąc krótko i węzłowato, jesienią zeszłego roku centralna stanowa firma energetyczna, CP&L, zaczęła mieć kłopoty, gdyż ktoś, kto wydawał się zwykłym hackerem, zaczął się przedostawać do jej systemów komputerowych. Próby włamań zdarzały się niezwykle często, czasami nawet do pięciu razy na dzień. Przez dłuższy czas nie można było dojść, kto to taki, dopóki po przedostaniu się do systemu i wydrukowaniu informacji o rachunkach dla klientów nie pozostały po nim pewne ślady w spisie użytkowników bazy. Wezwano nas na pomoc i okazało się, że sprawca działa gdzieś na terenie UVA.

– Czyli jeszcze go nie złapałyście.

– Nie – włączyła się Janet. – Rozmawialiśmy ze słuchaczem studium podyplomowego, nazwisko tego faceta figurowało na rachunkach za wykorzystanie sieci, ale doszliśmy do wniosku, że on nie może być poszukiwanym hackerem. Mamy podstawy, by być tego pewne.

– Chodzi o to – dodała Lucy – że kilku miejscowym studentom skradziono legitymacje, którymi sprawca się posługiwał, przenikając do sieci elektrowni, jak również do sieci uniwersyteckich tutaj i w Pittsburghu.

– Posługiwał?

– Tak, bo ostatnio jakoś się uspokoił, co bardzo utrudnia nam zadanie. Staraliśmy się dotrzeć do niego głównie poprzez sieć uniwersytetu – wyjaśniła Janet.

– To fakt – dorzuciła Lucy. – W komputerach elektrowni nie siedzieliśmy już od prawie tygodnia. Tak jakoś wyszło przez te święta.

– Po co to komu? – zapytałam. – Macie jakieś wytłumaczenie?

– Chce zawładnąć siecią mocy we wszelkich tego słowa znaczeniach – powiedziała Janet. – Może ma zamiar się pobawić, manipulując dostawami elektryczności dla całej Wirginii i obu Karolin. Kto go tam wie?

– Tak czy owak, jesteśmy pewne, że sprawca znajduje się na terenie tego miasteczka i działa przez Internet i jeszcze jedną sieć o nazwie Telnet. I tak dobierzemy mu się do skóry – zakończyła z przekonaniem Lucy.

– A czemu wszystko to odbywa się w takiej wielkiej tajemnicy? Nie można mi było po prostu powiedzieć, że zajmujecie się sprawą, o której nie wolno wam rozmawiać?

– Jesteś pracownicą tej uczelni, ciociu – odpowiedziała Lucy po chwili wahania.

Miała rację, a mnie ani na moment nie przyszło to na myśl. Co prawda, prowadziłam tylko nieregularne wykłady z patologii i medycyny sądowej, ale uwaga Lucy była bardzo trafna i nie miałam siostrzenicy za złe, że nie

wspomniała mi o tym z innego jeszcze powodu. Chciała podkreślić swą niezależność, zwłaszcza tutaj, gdzie odbywała studia dyplomowe, a wszyscy wiedzieli, że jest moją krewną.

– To dlatego wyjechałaś tak niespodziewanie z Richmond?

Popatrzyłam na siostrzenicę.

– Ktoś zadzwonił na pager.

– Ja – wtrąciła Janet. – Leciałam z Aspen, samolot był opóźniony i tak dalej. Lucy zabrała mnie z lotniska i przyjechałyśmy tutaj.

– Czy w czasie świąt nastąpiły kolejne próby włamań?

– Tak. System jest pod nieustannym nadzorem. Rzecz jasna, nie zajmujemy się tym same. Przydzielono nam po prostu rolę takich tajnych detektywów.

– Odprowadź mnie może do Rotundy. – Wstałam. – Marino pewnie już tam na mnie czeka. – Objęłam Lucy, której włosy pachniały cytryną. – Uważaj na siebie i zaglądam do mnie trochę częściej. Jesteśmy, koniec końców, krewnymi. Jeden Bóg wie, że powinnam już dawno poświęcić się życiu rodzinnemu. – Uśmiechnęłam się do niej.



Popołudnie było słoneczne i ciepłe, ludzie chodzili w samych swetrach, a mnie zrobiło się żal, że będę musiała zaraz odjeżdżać. Lucy raczej się śpieszyło i czułam, że woli, żeby nikt nas nie widział razem.

– Jak za starych, dobrych czasów – powiedziałam, żeby ukryć urazę.

– To znaczy?

– Znaczy, że wolałabyś nie pokazywać się w moim towarzystwie.

– Nieprawda, kiedyś był to dla mnie powód do dumy.

– Ale już nie jest – rzuciłam ironicznie.

– Może chciałabym, abyś czuła się dumna, że towarzyszysz mnie. Czyli wolałabym, żeby role się odwróciły.

– Jestem i zawsze byłam z ciebie dumna, nawet w chwilach, gdy tak strasznie się staczałaś, że miałam ochotę zamknąć cię w piwnicy.

– O ile wiem, określa się to jako znęcanie się nad dziećmi.

– W tym wypadku ława przysięgłych stwierdziłaby znęcanie się nad ciotką. Możesz mi wierzyć. A tak w ogóle, to cieszę się, że jakoś układa ci się z Janet, że już wróciła i znowu ze sobą jesteście.

– Dzięki za to, co jej powiedziałaś. Jest w takim okresie, że na pewno ma to dla niej ogromne znaczenie. – Zatrzymała się i popatrzyła w moją stronę, mrużąc oczy w słońcu.

– Mówiłam najzwyczajniej w świecie prawdę. Mam tylko nadzieję, że jej rodzice też ją kiedyś zrozumieją i powiedzą jej o tym.

Zobaczyłyśmy już Pete'a, który siedział w samochodzie i oczywiście palił jak smok.

– Cześć, Pete. – Lucy podeszła do niego. – Pora przemyć trochę brykę.

– E, chyba jeszcze nie – zamruczał, błyskawicznie wyrzucając papierosa i wysiadając.

Rozejrzał się i nie mogliśmy się opanować, gdy poprawił spodnie i spojrzał na swój wóz. Gromko się roześmiałyśmy, a on próbował powstrzymać uśmiech. W głębi serca lubił, jak się z nim drażniłyśmy. Jeszcze trochę się z niego ponabijałyśmy, po czym Lucy się pożegnała; jednocześnie minął nas złoty lexus z przyciemnionymi szybami. Był to ten sam wóz, który widzieliśmy po drodze, lecz tym razem kierowca był niewidoczny w refleksach słońca.

– Zaczyna mi już działać na nerwy.

Marino odprowadził samochód wzrokiem.

– Może zapisz numery – podsunęłam.

– Zrobione. – Uruchomił silnik i zaczął wycofywać. – Nawalił komputer wydziału pojazdów mechanicznych.

Droga zajęła nam sporo czasu. Wróciliśmy pod reaktor i Marino znowu nie chciał wejść do środka. Został więc na parkingu; tym razem młody człowiek w służbówce za szybą poinformował mnie, że mogę wejść dalej sama.

– Jest w piwnicy – powiedział, nie odrywając wzroku od komputera.

Zastałam Matthewsą w samym końcu pokoju obliczeniowego; siedział przed komputerem, który pokazywał czarnobiałe widmo.

– A, witam – odezwał się, gdy zorientował się, że przyszedłam.

– Zdaje się, że dopisało panu szczęście – powiedziałam. – Chociaż może nie rozumiem tego, co widzę, albo przyszedłam za wcześnie.

– Nie, nie, w sam raz. Te pionowe linie oznaczają energie wykrytych przez detektor ważnych promieni gamma. Jedna linia równa się jednostce energii. Większość z nich jednak sygnalizuje obecność promieniowania z zewnątrz. – Wskazał ręką na ekran. – Nawet sztabki ołowiu nie zatrzymują wszystkiego. Chodzi mi o to, że próbka, którą pani przyniosła, nie wysyła podczas rozpadu wysokoenergetycznego promieniowania gamma. Z tego widma energetycznego – nie odrywał oczu od ekranu – wynika, że mamy do czynienia z uranem 235.

– No dobrze, ale co to właściwie oznacza?

– To dobry materiał. – Spojrzał na mnie.

– Używany w reaktorach jądrowych, – Zgadza się. Właśnie z niego wytwarza się pręciki paliwa. Ale przypuszczam, że orientuje się pani, że ten izotop stanowi jedynie 0,3 procent całego uranu. Reszta to paliwo zubożone.

– Czyli uran 238.

– Który mamy właśnie przed sobą – zakończył.

– Skoro nie emituje wysokoenergetycznego promieniowania gamma, to skąd pan wie, że to akurat ten izotop?

– Bo kryształ germanu wykrywa obecność uranu 235. A jako że jest go tak mało, oznacza to, że reszta składa się z uranu zubożonego.

– To nie może być chyba paliwo już zużyte przez reaktor – zastanawiałam się na głos.

– Nie może, nie ma żadnych domieszek materiału rozszczepialnego. Żadnego strontu, cezu, jodu, baru. A z pewnością byśmy je dostrzegli.

– Istotnie, nie stwierdziliśmy żadnych tego rodzaju izotopów – potwierdziłam. – Zaledwie uran i inne pospolite pierwiastki, które na co dzień znajduje się pod butami.

Oglądałam szczyty i doliny wykresu, który przypominał przerażający kardiogram, Matthews zaś coś notował.

– Mam to pani wydrukować?

– Tak, poproszę. Do jakich celów używa się zubożonego uranu?

– Ogólnie rzecz biorąc, nie przedstawia on żadnej wartości. – Stuknął w kilka klawiszy.

– Jeżeli nie pochodzi z elektrowni atomowej, to skąd?

– Zapewne z instytucji, w której rozdziela się izotopy.

– Jak Oak Bridge w Tennessee? – podsunęłam.

– Tam już tego nie robią. Ale zajmowali się tym przez dziesiątki lat i z pewnością zebrali strasznie dużo uranu w postaci metalicznej. Tego typu fabryki mieszczą się obecnie w Portsmouth w Ohio i Paducah w Kentucky.

– Doktorze Matthews – zaczęłam – wszystko wskazuje na to, że jakiś człowiek miał na podeszwach butów zubożony uran, który zaniósł do pewnego samochodu. Czy znajduje pan jakieś sensowne rozwiązanie tej zagadki?

– Nie – odparł beznamyślnie. – Raczej nie. – Przypomniały mi się postrzępione i kuliste fragmenty, widoczne pod mikroskopem elektronowym, i znów zapytałam:

– Co komuś mogło przyjść ze stopionego uranu 238? Po co ciąć go maszynowo? – Nie miał pojęcia. – Czy zubożony uran jest w ogóle do czegoś wykorzystywany?

– Praktycznie rzecz biorąc, w produkcji przemysłowej na dużą skalę nie używa się uranu w postaci metalicznej. Nawet w elektrowniach atomowych, gdyż pręciki paliwa wykonane są tam z tlenku uranu, który ma właściwości ceramiczne.

– To może inaczej: czy zubożony uran teoretycznie można by do czegoś wykorzystać? – nie ustępowałam.

– Swego czasu resort obrony nosił się z zamiarem wykorzystania go do produkcji opancerzenia czołgów. Pojawiały się także propozycje, by robić zeń kule i inne pociski. Aha, nadaje się także na osłony substancji promieniotwórczych.

– Jakich? – spytałam, czując, jak budzą się we mnie gruczoły wydzielające adrenalinę. – Zbiorników zużytego paliwa?

– To byłby niegłupi pomysł, gdybyśmy uprzednio rozwiązali problem pozbywania się odpadów radioaktywnych – rzekł sucho. – Na przykład gdybyśmy mogli umieszczać takie odpady kilkaset metrów pod górą Yucca w Nowadzie, to z uranu 238 mogłyby być wykonane powłoki skrzyń, w których przewożono by odpady.

– Innymi słowy – podjęłam – gdy trzeba wywieźć z elektrowni zużyte części reaktora, uran 238 pochłania ich promieniowanie lepiej niż na przykład ołów.

Potwierdził moją teorię. Wydał mi kwit na odbiór próbki, która stanowiła materiał dowodowy i pewnego pięknego dnia mogła znaleźć się



na sali sądowej, nie mogłam więc jej tutaj zostawiać, choć aż za dobrze wiedziałam, co na jej widok powie Marino. Po wyjściu zobaczyłam, jak chodzi dokoła wozu w okularach przeciwsłonecznych.

– Co robimy? – spytał.

– Otwórz bagażnik.

Nacisnął właściwą dźwignię ze słowami:

– Zapamiętaj sobie, że nie włożę tego do żadnego schowka ani u siebie, ani na komendzie głównej. Nikt by na to nie poszedł, nawet gdybym im kazał.

– Trzeba to gdzieś przechować – oświadczyłam. – Tu na przykład jest paczka z dwunastoma piwami.

– Kupiłem teraz, żeby potem specjalnie się nie zatrzymywać.

– Kiedyś źle się to skończy, popamiętasz moje słowa. – Zamknęłam bagażnik.

– Może byś schowała ten uran u siebie w biurze – zaproponował.

– Nie ma sprawy.

Wsiadłam.

– I czego się dowiedziałaś? – spytał, zapalając silnik. Opowiedziałam mu pokrótce, starannie opuszczając szczegóły techniczne. – Czyli ktoś przyniósł do twojego mercedesa odpady nuklearne? – zapytał osłupiały.

– Na to wygląda. Zatrzymaj się, bo muszę jeszcze wstąpić do Lucy.

– Po co? Co ona ma z tym wspólnego?

– Jeszcze nie wiem. – Zjeżdżaliśmy po zboczach. – Mam pewien szaleńczy pomysł.

– Znowu.

Janet zaniepokoiła się na widok mój i Pete'a Marino.

– Coś się stało? – zapytała, wpuszczając nas do środka.

– Chyba przyda nam się wasza pomoc. I to obydwójgu.

– Wal śmiało. Tylko pamiętaj, że słono liczymy sobie za konsultację – odezwała się Lucy, która siedziała na łóżku z notebookiem. Marino usiadł przy kominku, ja zajęłam miejsce obok niego.

– Chodzi o człowieka, który przedostał się do systemu komputerowego sieci elektrowni CP&L – zaczęłam. – Czy wdarł się jeszcze gdzieś oprócz katalogów z rachunkami dla klientów?

– Na razie wszystkiego nie wiemy – odparła Lucy. – Z pewnością do rachunków i, ogólnie rzecz biorąc, do danych o klientach.

– To znaczy? – wtrącił Marino.

– Adresy, numery telefonów, usługi specjalne, przeciętne zużycie energii; niektórzy klienci są posiadaczami akcji...

– To ciekawe – przerwałam. – Ja też dostałam trochę akcji. Za część rachunku nabywam co miesiąc udziały w CP&L, w ten sposób firma ma dostęp do pewnych informacji o mojej sytuacji materialnej, zna na przykład numer mojego konta i ubezpieczenia. – Urwałam zamyślona. – Po co hackerowi tego rodzaju dane?

– Teoretycznie mogłyby się przydać – rzekła Lucy. – Nie wolno zapominać, że takie olbrzymie bazy danych nie pomieszczą się w jednym miejscu. Mają inne systemy z innymi łączami i to może tłumaczyć zainteresowanie hackera superkomputerem uniwersytetu w Pittsburghu.

– Może tobie to coś tłumaczy – wtrącił się Marino, którego zawsze drażnił żargon komputerowy w ustach Lucy – ale dla mnie to czarna magia.

– Wyobraź sobie łącza w postaci stref na mapie – wyjaśniała cierpliwie. – Jeśli zaczniesz przenosić się z jednego do drugiego, będziesz teoretycznie w stanie objechać całą Ziemię. I przedostać się do każdej właściwie sieci.

– To znaczy? – ponowił pytanie. – Podaj jakiś przykład, coś z życia.

– Po włamaniu się do komputera w Pittsburghu przeszłabym do AT&T. – Odłożyła notebook i wzruszyła ramionami.

– Ten komputer stanowi łącze, przez które można przedostać się do systemu telefonii? – upewniłam się.

– Jako jeden z wielu. Nasunęła nam się między innymi hipoteza, że ten hacker bada sposoby kradzieży elektryczności i impulsów telefonicznych.

– Ma się rozumieć, w tej chwili jest to jedynie teoria – dodała Janet. – Jak dotąd, nie mamy żadnych wskazówek co do motywów naszego hackera. Jednak z punktu widzenia FBI te włamania są sprzeczne z prawem, i to jest właściwie najistotniejsze.

– Wiadomo, do których spisów klientów się przedostał? – zapytałam.

– Wiadomo, że człowiek ten ma dostęp do list wszystkich klientów – odparła Lucy – czyli do milionów ludzi. Lecz bliżej przyjrzał się zaledwie kilku. I te dane zdobyliśmy.

– Czy ja też mogłabym rzucić na nie okiem?

Janet i Lucy wymieniły spojrzenia.

– Po co? – zapytał zdumiony Marino. – Co się tu kroi?

– Chodzi o elektrownie atomowe, z których jedna znajduje się w Wirginii, a jedna w Delaware. Ktoś włamuje się do ich komputerów centralnych. Ted Eddings wypytywał mnie o sprawy związane z energią jądrową. W domowym pececie zebrał mnóstwo informacji na temat Korei Północnej i podejrzeń, że kraj ten produkuje w jakimś reaktorze pluton, który mógłby zostać wykorzystany w bombie.

– A jak tylko zaczęłyśmy poważne śledztwo, dokoła domu w Sandbridge zaczął się ktoś kręcić – podjęła Lucy. – Potem ktoś pociął nam opony, a Roche rzucał pogrożki. Teraz Danny Webster – przyjeżdża do Richmod i pada trupem, a zabójca przynosi do twojego samochodu uran. – Spojrzała na mnie. – Co chcesz zobaczyć?

Nie potrzebowałam ogólnej listy klientów, bo ona obejmowałaby praktycznie wszystkich mieszkańców Wirginii, ze mną samą włącznie.

Ciekawiły mnie rachunki, którymi hacker zajął się bardziej pieczołowicie. Z klientów w tym krótszym zestawieniu nie znałam tylko jednego.

– Znacie tego Joshuę Hayesa? Skrzynkę pocztową ma w Suffolk? – dopytywałam się.

– Jak do tej pory – oznajmiła Janet – wiadomo tylko, że trudni się rolnictwem.

– No dobrze. Następnie mamy Bretta Westa, na kierowniczym stanowisku w zarządzie sieci energetycznej. Nie pamiętam jego pozycji w hierarchii. – Zerknęłam na wydruk.

– Wicedyrektor działu operacyjnego.

– Mieszka w jednej z tych willi w twoim sąsiedztwie – włączył się Marino. – W Windsor Farms.

– Mieszkał. Przyjrzyjcie się adresowi – zwróciła nam uwagę Janet. – Zmienił się ostatniego października zeszłego roku. Wygląda na to, że facet przeniósł się do Williamsburga.

Na liście znalazło się dwóch innych dyrektorów sieci energetycznej, których rachunki przebadał internetowy pirat. Włosy na głowie zjeżyły mi się jednak dopiero na widok piątej ofiary elektronicznego przestępcy.

– Kapitan Green. – Spojrzałam osłupiała na Marino.

– Nie wiem, o kogo chodzi. – Był zmieszany.

– Był przy tym, jak wydobywałam zwłoki Eddingsa z Basenu Nieczynnych Okrętów. Pracuje w służbie śledczej Marynarki Wojennej.

– Kapuję. – Marino sposepniał, a sprawa zaczęła na oczach Janet i Lucy zataczać coraz szersze i groźniejsze kręgi.

– Możliwe, że nasz człowiek zainteresował się dygnitarzami korporacji, której system komputerowy właśnie naruszał, ale nie rozumiem, co wspólnego ma z tym marynarka – odezwała się Janet.

– Ja też nie bardzo wiem, jeśli jednak Lucy miała rację, mówiąc o łączach międzysystemowych, to nasz hacker ma chrapkę na rachunki telefoniczne co poniektórych.

– Dlaczego? – zapytał Marino.

– Żeby się dowiedzieć, z kim rozmawiali przez telefon. Takimi informacjami mógłby interesować się na przykład dziennikarz.

Wstałam i zaczęłam chodzić tam i z powrotem, czując, jak po grzbiecie przebiegają mi nerwowe ciarki. Myślałam o zatrutym w swej łodzi Eddingsie, o black talonach, uranie, przypomniałam też sobie, że Joel Hand mieszka gdzieś w okolicach Tidewater.

– Właściciel biblii, którą znaleźliśmy w domu Teda Eddingsa, ten Dwain Shapiro – zaczął Marino – zginął podobno podczas próby kradzieży jego samochodu. Czy wiemy o tej sprawie coś więcej?

– Jak na razie, nie.

– Do śmierci Danny’ego doszło w bardzo podobny sposób – zauważyłam.

– Mogło też dojść do twojej. Sugeruje to również marka samochodu. Jeśli zbrodnia była zamierzona, możliwe, że przestępca nie wiedział, że doktor Scarpetta jest kobietą – zabrała głos Janet. Może zabójca był zdecydowany na wszystko i miał informację jedynie na temat wozu. – Słuchając, przystanąłam przy kominku. – A może za późno zorientował się, że Danny i pani to dwie różne osoby, i z chłopakiem trzeba było coś począć.

– Ale dlaczego ja? – zapytałam. – Z jakiej przyczyny?

– Najwyraźniej sądzą, że coś wiesz – wtrąciła Lucy.

– Co za oni?

– Na przykład Nowi Syjoniści. Dlatego też zginął Ted Eddings. Uważali, że coś wie lub zamierza coś ujawnić.

Byłam coraz bardziej zdenerwowana.

– Uważajcie – zwróciłam się do dziewcząt. – Nie róbcie nic bez uprzednich konsultacji z Bentonem lub kimś takim. Jasna cholera! Nie wolno dać im do zrozumienia, że coś wiecie.

Ale byłam pewna, że Lucy puści moje przestrogi mimo uszu. Wystarczy, że zamkną się za mną drzwi, a już siądzie przy klawiaturze.

– Janet? – Utkwiłam wzrok w mojej jedynej desce ratunku. – Ten wasz hacker ma zapewne jakiś związek z morderstwami wielu osób.

– Rozumiem.



Opuściliśmy tereny UVA i przez całą drogę do Richmond towarzyszył nam dobrze już znajomy złoty lexus. Marino nie spuszczał oczu z lusterek. Pocił się i wkurzał, bo komputer z danymi wydziału pojazdów mechanicznych wciąż nie działał i informacje na temat numerów rejestracyjnych tamtego nie nadchodziły. Kierowca lexusa był młodym białym w ciemnych okularach i czapce.

– Jemu jest wszystko jedno, Marino. Gdyby mu zależało, byłby dyskretniejszy. Oni nas znowu próbują nastraszyć.

– No to zobaczymy, kto kogo nastraszy – obiecał, zwalniając.

Spojrzał w lusterko wsteczne, jeszcze bardziej zwolnił, aż wóz zupełnie się do nas przybliżył. Ni stąd, ni zowąd Marino nacisnął mocno na hamulec. Nie wiedziałam, czy bardziej przeraził się nasz prześladowca, czy ja sama; zapiszczały hamulce lexusa, wszędzie dokoła rozległo się dudnienie klaksonów, a samochód musnął tył forda.

– Ohoho! – zawołał Marino. – Coś mi się zdaje, że ktoś najechał z tyłu wóz policyjny.

Wysiadł i nieznacznie odpiął kaburę. Ja też wyjęłam pistolet i wsunęłam go do kieszeni płaszczka, uznawszy, że nie znając intencji Pete'a, powinnam

także opuścić pojazd. Marino znalazł się już przy drzwiach lexusa od strony kierowcy, obserwując przejeżdżające samochody i mówiąc coś przez radiostację.

– Trzymaj łapy tak, żebym je cały czas widział – rozkazał kierowcy donośnym, nie znoszącym sprzeciwu głosem. – Teraz daj mi swoje prawo jazdy. Powoli.

Stałam przy drzwiach od strony pasażera i zorientowałam się, kim jest przestępca, jeszcze zanim Marino zdążył otworzyć prawo jazdy i rzucić okiem na fotografię.

– No, proszę, detektywie Roche – Marino podniósł głos, tak by nie zagłuszał go huk samochodów – że też na pana trafiliśmy. A raczej pan na nas. – Głos mu stwardniał. – Wysiadać. Szybko. Masz przy sobie broń?

– Między fotelami. Widać ją nawet stąd – oświadczył Roche chłodno.

Po czym wysiadł powoli z samochodu. Był wysoki i wyglądał szczupło w spodniach od munduru, dżinsowej kurtce, oficerkach. Miał duży czarny zegarek. Marino obrócił Roche'a i powtórzył rozkaz, żeby trzymał ręce na widoku. Nie ruszałam się, a okulary przeciwsłoneczne detektywa utkwily we mnie; na ustach malował mu się pełen zadowolenia uśmiezek.

– No to proszę nam teraz powiedzieć, dla kogo dzisiaj szpiegujemy? – zaczął Marino. – Czyżbyś rozmawiał przez telefon bezprzewodowy z kapitanem Greenem? Opowiadałeś mu, gdzie jesteśmy, co robimy i jakiego mamy pietra na twój widok? Czy też nie kryłeś się tylko dlatego, że robak zeżarł ci resztę mózgu? – Roche się nie odzywał, minę miał zaciętą. – Co, z Dannym też się tak zabawiałeś? Zadzwońeś do firmy holowniczej, podałeś się za panią doktor i zapytałeś o swój samochód. Po czym przekazałeś informacje, komu trzeba, tyle tylko, że tym razem to nie pani doktor siedziała za kółkiem. I teraz dzieciakowi odstrzelili pół głowy, bo

jakiś zabijaka pomylił go z kobietą albo wziął za głównego biegłego sądowego.

– Nie macie żadnych dowodów – odpalił Roche z tym samym drwiącym uśmiechem.

– To się okaże, jak przejrzymy twoje rachunki za rozmowy z komórki. – Marino przysunął się tak, by Roche wyraźnie odczuł jego niemal ocierający się o niego brzuch. – A jak coś wykryjemy, to będziesz miał zmartwienia o wiele większe niż zwykły mandat. Mam zamiar co najmniej przyfastrygować ten twój śliczny tyłek do współudziału w morderstwie pierwszego stopnia. Za to wpadnie ci jakieś pięćdziesiąt lat. A tymczasem – Marino niemal wetknął tamtemu do oka swój gruby paluch – dobrze ci radzę, żebyś omijał mnie z daleka. Panią doktor zresztą też. Coś mi się zdaje, że nigdy nie widziałeś jej naprawdę zdenerwowanej.

Marino uniósł nadajnik i raz jeszcze poprosił o przysłanie jakiegoś funkcjonariusza, gdy w tej właśnie chwili na horyzoncie pojawił się wóz patrolowy. Zatrzymał się za nami na poboczu i wysiadła młoda policjantka z komendy w Richmond. Zdecydowanym krokiem skierowała się ku nam, ręce trzymając przezornie blisko pistoletu.

– Dzień dobry, kapitanie. – Ściszyła krótkofalówkę. – O co chodzi?

– Prawdę mówiąc, sierżant Schroeder, wszystko wskazuje na to, że ten człowiek śledził nas przez większą część dnia. Tak się dlań nieszczęśliwie złożyło, że w chwili, gdy hamowałem, żeby nie przejechać przebiegającego z przodu białego psa, najechał na mnie z tyłu.

– Czy to ten sam pies? – zapytała i na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– Chyba ten sam, z którym mieliśmy już kłopoty.

I dalej ciągnęli ten najstarszy chyba policyjny kawał na świecie, bo zawsze kiedy chodziło o wypadki spowodowane przez jeden pojazd, można



było się założyć, że zawinił biały pies. Przebiegał przed samochodami, po czym zniknął, by nie wiadomo skąd zjawić się przed autem następnego niedzielnego kierowcy.

– W wozie ma co najmniej jeden pistolet – kontynuował śmiertelnie poważnym tonem Marino. – Przed zatrzymaniem przydałaby się chyba porządna rewizja.

– Oczywiście. Proszę rozłożyć ręce i rozstawić nogi.

– Jestem z policji – warknął Roche.

– O, wobec tego powinien pan wiedzieć, co mam zamiar zrobić – oświadczyła obojętnie sierżant Schroeder. Obmacała go całego i znalazła ukrytą przy kostce lewej nogi kaburę.

– Super! – wykrzyknął Marino.

– Proszę pana. – Sierżant podniosła głos, gdyż w pobliżu zatrzymywał się już kolejny patrol. – Zmuszona jestem poprosić o wyjęcie broni z kabury przy nodze i położenie jej wewnątrz pojazdu.

Z nowego samochodu wysiadł jakiś zastępca komendanta, wystrojony w polerowaną skórę, epolety i szamerunki, niezbyt zadowolony, że musi przystanąć na miejscu wykroczenia. Jednak trzeba było go wzywać za każdym razem, gdy w najmniej nawet ważnej akcji uczestniczył oficer w stopniu kapitana. Przyglądał się bez słowa, jak Roche wyjmując z nylonowej kabury kolta 380 i kładzie go w lexusie. Detektyw był aż purpurowy ze złości, gdy kazano mu wsiąść na tylne siedzenie wozu patrolowego. Sierżant i zastępca komendanta przesłuchiwali jego i Pete'a, ja zaś czekałam w uszkodzonym fordzie.

– I co teraz? – zapytałam, gdy Marino wrócił.

– Oskarży się go o jazdę za blisko poprzedzającego pojazdu, po czym zwolni na mocy stanowego artykułu o funkcjonariuszach mundurowych. – Zapinał pasy i wyglądał na zadowolonego.

– I tyle?

– No, jeszcze sąd. Najważniejsze, że zepsułem mu resztę dnia. Co ciekawsze, mamy sprawę, za którą można posłać go nawet do Mecklenburga, gdzie taki przystojniak znajdzie sobie bardzo wielu kolegów i amatorów.

– Wiedziałeś, że to on, jeszcze zanim w nas uderzył?

– Ani trochę.

Włączyliśmy się z powrotem do ruchu.

– A co mówił podczas przesłuchania?

– A coś myślała? Że niby raptownie stanąłem.

– Czyli prawdę.

– Prawo tego nie zabrania.

– A jak tłumaczył się z tego, że nas śledził?

– Cały dzień załatwiał różne sprawy i zwiedzał okolicę. Nie ma pojęcia, o co nam chodzi.

– No tak, jak się coś załatwia, potrzebne są co najmniej dwa pistolety.

– Powiedz mi, jak gliniarz może sobie pozwolić na taki samochód? Nie zarabia pewnie nawet połowy tego co ja, a na tego lexusa musiałyby wyłożyć z pięćdziesiąt kawałków.

– Jego kolt też do tanich nie należy. Musi dostawać skądś pieniądze.

– Jak to kapusie.

– Myślisz, że wszystko sprowadza się do kapowania?

– Raczej tak. Pewnie odwałął krecią robotę, może na przykład za Greena.

Przerwał nam pisk radia, w którym ogłoszono właśnie alarm; ni stąd, ni zowąd wszystkie nasze wątpliwości zostały rozwiązane, a prawda okazała się gorsza od najczarniejszych przewidywań.

– Do wiadomości wszystkich jednostek: otrzymaliśmy od policji stanowej informację następującej treści – nadawał ktoś. – Elektrownia atomowa w Old Point została przed chwilą zajęta przez terrorystów. Doszło do wymiany ognia, są ofiary w ludziach. – Zamurowało mnie, ale nie był to jeszcze koniec. – Komendant wydał rozkaz rozpoczęcia realizacji planu awaryjnego A. Wszystkie dzisiejsze zmiany nie schodzą z posterunku aż do odwołania. Będziemy informować na bieżąco o przebiegu wypadków. Wszyscy dowódcy jednostek proszeni są o natychmiastowe zameldowanie się w Akademii Policyjnej.

– Jasna cholera! – zawołał Marino, przyciskając pedał gazu do dechy. – Jedziemy do ciebie do biura.

## Rozdział trzynasty

Napad na elektrownię w Old Point rozegrał się błyskawicznie; słuchaliśmy kolejnych doniesień, w miarę jak Marino mknął przez miasto. Milczeliśmy, gdy doprowadzony niemal do hysterii dziennikarz unosił głos kilka oktaw powyżej, normalnego tonu.

*– Elektrownia atomowa w Old Point została zajęta przez terrorystów – powtórzył. – Zdarzyło się to jakieś trzy kwadransy temu, gdy autobus wiozący około dwudziestu mężczyzn, którzy podawali się za pracowników elektrowni, zajeżdżał przed siedzibę administracji. Zginęło prawdopodobnie trzech cywilów. – Głos mu drżał, w tle słychać było ryk helikopterów. – Wszędzie kręcą się wozy policyjne i strażackie, które nie mogą jednak zbliżyć się do budynku. Jezus Maria, coś straszego ...*

Marino zaparkował na ulicy przed moim biurem. Przez chwilę treść powtarzanej w kółko informacji paraliżowała nasze ruchy. Mieliśmy wrażenie, że wszystko dzieje się w jakimś śnie, bo u nas, sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, w Richmond, było pogodne popołudnie, ruch jak co dzień, ludzie jakby nigdy nic szli chodnikiem. Patrzyłam niewidzącym wzrokiem, a w myślach przebiegałam wszystko, co muszę teraz zrobić.

*– Chodźmy już. – Marino wyłączył silnik. – Muszę skontaktować się telefonicznie z którymś z zastępców. Trzeba ogłosić mobilizację na wypadek, gdyby na przykład odcięto nam prąd albo stało się coś jeszcze gorszego.*

Ja ze swej strony także musiałam ogłosić mobilizację, którą rozpoczęłam od zwołania wszystkich do sali konferencyjnej, gdzie obwieściłam im, że w

całym stanie panuje alarm.

– Każdy okręg musi pozostawać w gotowości do działania, by w razie czego wykonać swoją część planu – zaczęłam. – Katastrofa nuklearna dotknęłaby wszystkie okręgi. Ma się rozumieć, narażone na największe niebezpieczeństwo, a zarazem najmniej chronione jest Tidewater. Doktorze Fielding – zwróciłam się do zastępcy – mianuję pana szefem operacji w Tidewater na czas mojej tam nieobecności.

– Dołożę wszelkich starań. – Robił dobrą minę do złej gry, której nie podjąłby nikt przy zdrowych zmysłach.

– Nie mam pojęcia, gdzie będę podczas kryzysu – zwróciłam się do reszty zaniepokojonych „pracowników – a pracy nie wolno nam przerywać, proszę zatem przewozić ciała bezpośrednio tutaj. Chodzi mi zwłaszcza o trupy z Old Point, włącznie z ofiarami strzelaniny.

– A inne zgony w okręgu Tidewater? – spytał Fielding.

– Zwykłymi przypadkami zajmujemy się jak zawsze. O ile wiem, chwilowo znaleźliśmy na zastępstwo specjalistę od autopsji, do czasu aż nie znajdziemy kogoś na stałe.

– Czy istnieje zagrożenie, że przewożone tu zwłoki będą skażone? – odezwał się główny administrator, który zawsze widział wszystko w czarnych kolorach.

– Na razie wiadomo mi tylko o ludziach, którzy zginęli od kul.

– Czyli że oni są czyści?

– Tak.

– A co potem?

– Niewielkie skażenie to nic poważnego. Myje się wtedy ciała, wylewa wodę i niszczy ubrania. Poważne skażenie to inna para kaloszy, szczególnie w wypadku, gdy ciała są poważnie poparzone, gdy wtopiły się w nie resztki materiałów, jak to miało miejsce w Czarnobylu. Takie zwłoki będziemy

trzymać w chłodniach, a zajmujący się nimi personel otrzyma pokryte ołowiem kombinezony.

– Mamy takie zwłoki palić?

– Raczej tak. Dlatego też powinny dotrzeć właśnie tu, do Richmond. Można wykorzystać krematorium w dziale anatomii.

– Pani doktor? – Marino zajrzał do sali i dał mi znak, żebym do niego na chwilę wyszła.

– Benton prosi, żebyśmy szybko jechali teraz do Quantico.

– Za szybko to się nie uda.

Obejrzałam się na salę konferencyjną. Przez drzwi widać było, jak Fielding coś tłumaczy, a jakiś inny lekarz nie jest bynajmniej przekonany.

– Masz tu śpiwór? – I tak wiedział, że zawsze trzymam go w biurze.

– Myślisz, że będzie potrzebny?

– Też bym wolał, żeby nie był.

– Jeszcze piętnaście minut i kończę to spotkanie.

Starałam się stłumić obawy i powściągnąć rodzącą się niepewność; oznajmiłam, że właśnie zostałam wezwana do Quantico i może mnie nie być przez dłuższy czas, ale zawsze będę miała przy sobie pager. Potem wyszliśmy z biura i wsiedliśmy tym razem do mojego wozu, gdyż Marino odstawił już do warsztatu samochód, który uszkodził mu Roche. Jechaliśmy na północ dziewięćdziesiątką piątką, nie wyłączając radia, dzięki czemu po pewnym czasie znaliśmy przebieg wypadków równie dobrze, jak dziennikarze. W ciągu ostatnich dwu godzin nie słyszało się w Old Point o żadnych ofiarach, a terroryści wypuścili kilkudziesięciu pracowników. Według doniesień, szczęśliwcy wychodzili dwójkami i trójkami, po czym pogotowie, policja i FBI badali ich i przesłuchiwali.

Do Quantico dotarliśmy tuż przed piątą. Zamaskowana piechota morska przygotowywała się na szybkie zapadnięcie zmroku, skupiona w

ciężarówkach i za ustawionymi na wzgórzach workami z piaskiem. Gdy minęliśmy grupę blisko drogi, na widok młodych twarzy zabolalo mnie serce. Po minięciu zakrętu oczom naszym ukazały się wysokie, górujące nad drzewami brązowe budynki. Kompleks nie przypominał specjalnie terenu wojskowego i gdyby nie pełne anten dachy, można byłoby go wziąć za należący do jakiejś uczelni. Na drodze wyrastał szlaban z rzędem kolców, wyszczerzonych na wszelkich nieproszonych gości.

Z budki wyszedł doskonale nas znający, uzbrojony strażnik, który przepuścił mnie i Pete'a z uśmiechem i bez słowa. Zostawiliśmy wóz na wielkim parkingu naprzeciwko głównego budynku, noszącego imię Jeffersona; mieściło się tu autonomiczne centrum Akademii. Znajdowały się w nim poczta, strzelnica, jadalnia i pokoje na piętrze, w tym strzeżone apartamenty dla chronionych przez policję świadków i szpiegów.

Świeżo upieczeni agenci, w mundurach ciemnoniebieskich i koloru khaki, czyścili w specjalnych pomieszczeniach broń. Zdawało mi się, że zapach tych roztworów znam od dzieciństwa, a dźwięk sprężonego powietrza, pompowanego przez lufę i inne części, mogę wyobrazić sobie w każdym miejscu i czasie. Moje losy splotły się z tym miejscem. Z każdym zakątkiem wiązały się jakieś wspomnienia, bo tu przeżywałam miłość i zajmowałam się najbardziej przerażającymi sprawami. W salach wykładowych nauczałam i prowadziłam konsultacje, wreszcie, nieświadoma niebezpieczeństw, oddałam tu swoją siostrzenicę.

– Jeden Bóg wie, co nas czeka – rzekł Marino, gdy znaleźliśmy się w windzie.

– Będziemy zachowywać stuprocentową ostrożność – odparłam, gdy młodzi agenci FBI w czapkach znikali za stalowymi drzwiami.

Nacisnął guzik oznaczający piętro niżej niż poziom parteru; tam niegdyś, za czasów Hoovera, znajdował się schron przeciwlotniczy. Dział

psychologiczny, jak wszyscy cały czas go określali, znajdował się dwadzieścia metrów pod ziemią i pozbawiony był okien i wszelkich innych dróg ucieczki od strachów, które ujawniano w tym miejscu. Nigdy nie potrafiłam pojąć, jak Wesley może znosić to miejsce tyle już lat, bo ja po każdej trwającej dłużej niż dzień konsultacji odchodziłam od zmysłów. Musiałam iść na spacer albo przejechać się samochodem. Musiałam stąd uciekać.

– Stuprocentową ostrożność? – powtórzył Marino, gdy winda zatrzymała się. – W tym wypadku nic a nic nam to nie pomoże. Spóźniliśmy się o dzień. Zaczęliśmy iść po nitce do kłębka, który zdążył się już rozwinąć.

– Jeszcze nie zdążył – zaproponowałam. Minęliśmy biurko recepcjonisty, skręciliśmy za róg i weszliśmy na korytarz prowadzący do kierownika działu.

– Miejmy tylko nadzieję, że na samym końcu nie ma nic niemiłego. Szlag by to. Gdybyśmy wcześniej to wszystko wykombinowali!... – Szedł długimi, gniewnymi krokami.

– Nie było szans, Marino.

– A mnie się zdaje, że powinniśmy wymyślić coś wcześniej. Na przykład w Sandbridge, gdy odebrałaś ten dziwaczny telefon.

– Daj spokój – burknęłam. – Niby co? Na podstawie jednego telefonu mamy dojść do tego, że ktoś zamierza opanować elektrownię atomową?

Wesley miał nową sekretarkę, której imienia za nic nie mogłam sobie przypomnieć.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Jest u siebie?

– Kogo mam zaanonsować? – spytała z uśmiechem.

Podaliśmy swoje dane i czekaliśmy cierpliwie przez czas trwania niedługiej rozmowy sekretarki z Wesleyem.

– Proszę bardzo – powiedziała, wróciwszy.



Wesley siedział za biurkiem, a na nasz widok wstał. Był jak zwykle zaaferowany i ponury, miał na sobie szary garnitur w jodełkę i szaroczarny krawat.

– Przejdźmy do sali konferencyjnej – zaproponował.

– Po co? – wtrącił się Marino, przysuwając sobie krzesło. – Umówiłeś się z kimś jeszcze?

– Szczerze mówiąc, tak. – Ani drgnęłam i unikałam wzroku Wesleya. – No dobrze – ustąpił. – Możemy zostać tutaj. Chwileczkę. – Podeszedł do drzwi. – Emily, możesz nam dać jeszcze jedno krzesło?

Usadowiliśmy się, sekretarka doniosła krzesło, a Wesley usiłował się skupić i podjąć jakąś decyzję. Znałam jego reakcje w chwilach, gdy sytuacja go przerastała, gdy był rozdrażniony.

– Wiecie chyba, co się wyprawia – przeszedł od razu do sedna.

– Wiemy tyle, co wszyscy – odparłam. – Już ze sto razy słuchaliśmy w radio tych samych wiadomości.

– Może tak wszystko od początku? – podsunął Marino.

– CP&L ma swoją filię w Suffolk – zaczął Wesley. – Dziś po południu ruszył stamtąd autobus, rzekomo w celu przeprowadzenia jakichś napraw w tymczasowej sterowni w elektrowni w Old Point. Wiózł białych mężczyzn w średnim wieku, rzekomych pracowników. Udało im się przedostać do głównej siedziby, w której znajduje się sterownia.

– Byli uzbrojeni – dorzuciłam.

– Zgadza się. Gdy mieli przejść przez bramkę z aparatami Rentgena i innymi wykrywaczami metalu, wyjęli pistolety półautomatyczne. Jak wam wiadomo, zginęli ludzie – co najmniej trzech pracowników, w tym fizyk jądrowy, który akurat przyjechał na miejsce i znalazł się na korytarzu w najgorszej chwili.

– Jakie są ich żądania? – zapytałam, zastanawiając się, ile i od jakiego czasu wie Wesley. – Czy sprecyzowali swoje warunki?

– To jest właśnie największe zmartwienie. – Nasze oczy spotkały się. – Nie powiedzieli na ten temat ani słowa.

– Ale puszczają personel – wtrącił Marino.

– Wiem i to też mnie niepokoi – oświadczył Wesley. – Terrorysty z reguły tak nie postępują. – Zadzwoił telefon. – Mamy do czynienia z czymś innym. – Podniósł słuchawkę. – Tak. Dobrze. Niech wejdzie.

Do biura wszedł i przywitał się z nami generał major Lynwood Sessions w mundurze marynarki, gdzie aktualnie służył. Był co najwyżej czterdziestopięcioletnim Murzynem o nieodpartym uroku. Nie zdjął marynarki ani nie rozpiął żadnego guzika, siadając z oficjalną miną na krześle i stawiając obok siebie wypchaną aktówkę.

– Dziękuję za przybycie, generale – zagaił Wesley.

– Szkoda, że w takich okolicznościach – powiedział Sessions, wyjmując jakąś teczkę i notatnik.

– Fakt – potwierdził Wesley. – To kapitan Pete Marino z Richmond, a to doktor Scarpetta, główny biegły sądowy stanu Wirginia. – Taksował mnie wzrokiem. – Są naszymi współpracownikami. Co ciekawsze, doktor Scarpetta jako biegły zajmowała się przestępstwami, które mają prawdopodobnie związek z dzisiejszymi wydarzeniami. – Generał Sessions skinął bez słowa głową, a Wesley zwrócił się z kolei do nas: – Kilka słów o sprawach związanych z bieżącym zagrożeniem. Mamy podstawy, by sądzić, że jednostki z Basenu Nieczynnych Okrętów sprzedawane są w niepowołane ręce, na przykład do Iranu, Iraku, Libii, Korei Północnej czy Algierii.

– O jakie jednostki chodzi? – spytał Marino.

– Przede wszystkim łodzie podwodne. Poza tym istnieją podejrzenia, że pracownicy skupują okręty z takich krajów, jak Rosja, po czym pośredniczą w ich sprzedaży.

– Czemu mówisz nam o tym dopiero teraz?

– Nie było żadnych dowodów – odparł Wesley po chwili wahania.

– W chwili zgonu Ted Eddings nurkował tam w pobliżu pewnej łodzi podwodnej – dorzuciłam, ale nikt nie skomentował mojej wypowiedzi.

– Był dziennikarzem – odezwał się generał. – Mówiło się, iż szuka pamiątek po wojnie secesyjnej.

– A Danny? – Zaczęłam uważać na słowa, gdyż narastała we mnie wściekłość. – Oglądał zabytkowy tunel kolejowy w Richmond?

– O Danny'm Websterze trudno cokolwiek powiedzieć. Słyszałem jednak, że policja w Chesapeake odkryła w bagażniku jego samochodu bagnet, odpowiadający śladom narzędzia użytego do przecięcia opon pani wozu.

Popatrzyłam na niego.

– Nie wiem, skąd bierze pan takie informacje, ale jeśli to prawda, to nasuwa mi się podejrzenie, że powiadomił pana o tym detektyw Roche.

– Tak, to chyba on zgłosił odnalezienie bagnetu.

– Sądzę, że wszystkim nam, znajdującym się w tym pomieszczeniu, można zaufać. – Nie spuszczałam zeń oczu. – W wypadku katastrofy nuklearnej obowiązek nakazuje mi zająć się ofiarami. I tak zginęło ich już w Old Point zbyt wiele. Generale, najwyższa pora zacząć mówić prawdę. – Mężczyźni chwilę milczeli, po czym ciszę przerwał wojskowy:

– DSMMW od pewnego czasu przyglądało się Basenowi – zaczął generał.

– Co to, do cholery, jest, to DSMMW? – wybuchnął Marino.

– Dowództwo Systemów Morskich Marynarki Wojennej. Dbają tam o to, by tego typu miejsca spełniały ustalone kryteria.

– Eddings miał w faksie zapamiętaną nazwę DSMMW – dodałam. – Czy działał w porozumieniu z tą instytucją?

– Zwracał się do nich z pewnymi pytaniami – odparł Sessions. – Wiedzieliśmy o jego działalności. Nie mogliśmy mu jednak udzielić odpowiedzi na nie, tak samo jak nie mogliśmy poinformować pani, kim jesteśmy, gdy wysłała pani do nas faks z taką właśnie prośbą. – Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. – Spodziewam się, że mnie pani rozumie.

– A co to jest SHUSW z Memphis? – ciągnęłam.

– Jeszcze jeden numer, na który wysialiście państwo oboje fakсы. Służba Handlowa Utylizacji Sprzętu Wojskowego. Zajmuje się sprzedażą zbędnego sprzętu, po uprzednim zezwoleniu DSMMW.

– W takim razie rozumiem, po co Eddings kontaktował się z tymi organizacjami. Orientował się, że standardy marynarki ignoruje się w sposób niezwykle rażący. Szukał zarazem materiału na artykuł.

– Co to są za kryteria? – odezwał się Marino. – Weźmy jakiś przykład. Załóżmy, że gmina Jacksonville chce kupić „Saratogę” albo inny lotniskowiec; wtedy DSMMW pilnuje, żeby wszelkie prace, które mają być przeprowadzone na okręcie, odpowiadały kryteriom Marynarki Wojennej.

– Czyli?

– Czyli że miasto musi dysponować pięcioma milionami na remont i dwoma milionami rocznie na konserwację okrętu. Woda w zatoce, gdzie będzie stał, powinna mieć głębokość co najmniej dziesięciu metrów. Ponadto w miejscu, w którym jednostka stanie na kotwicy, raz na miesiąc będzie się pojawiał pracownik DSMMW, z reguły cywil, który skontroluje prace prowadzone na okręcie.

– Czy sprawy miały się tak również w Basenie Nieczynnych Okrętów? – zapytałam.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo wiemy, czy inspektor cywilny dopełniał swoich obowiązków. – Generał spojrzał mi prosto w oczy.

– I w tym sęk – włączył się Wesley. – Od cywili u nas aż się roi, a każdy z nich gotów jest sprzedać praktycznie wszystko, bez względu na bezpieczeństwo państwa. Wiesz zapewne, że tamtym obiektem zarządza firma cywilna. Ona przeprowadza kontrolę okrętów, które sprzedaje się gminom lub nurkom.

– A co powiecie panowie o tej łodzi podwodnej, czyli „Exploiterze”, którego oglądałam, wydobywając zwłoki Eddingsa?

– Łódź podwodna klasy Żulu V. Dziesięć wyrzutni torped i dwie wyrzutnie pocisków balistycznych. Zbudowana w latach 1955-1957. Od trzydziestu lat wszystkie amerykańskie łodzie podwodne mają napęd atomowy – poinformował nas generał Sessions.

– A zatem rzeczona łódź jest stara i nie działa na napęd atomowy – podsumował Marino.

– Było to wtedy niemożliwe. Ale w wyrzutni zamontować można właściwie każdego rodzaju głowice.

– Czy oznacza to, że łódź, wokół której nurkowałam, mogła zostać tak przerobiona, aby była w stanie miotać głowice atomowe? – spytałam, oszołomiona coraz bardziej przerażającymi perspektywami.

– Pani doktor – zaczął generał, nachylając się w moją stronę – nie wolno zakładać, iż dokonano tego w naszym kraju. Wystarczyło wyposażyć ją tak, by osiągała większe prędkości, po czym wysłać na morze, gdzie przejęłoby ją państewko, do którego nie powinna w żadnym wypadku trafić. Tam można byłoby przeprowadzić najróżniejsze prace. Przeszkodę jednak

stanowi fakt, że kraje w rodzaju Iraku czy Algierii nie potrafią wytwarzać plutonu nadającego się do broni atomowej.

– To skąd mogą go brać? – zapytał Marino. – Nie sposób kupić plutonu na przykład w elektrowni. A jeśli terroryści są innego zdania, to stajemy twarzą w twarz z debilami do entej potęgi.

– W Old Point istotnie trudno zdobyć pluton, jeśli jest to w ogóle do pomyslenia – zgodziłam się.

– Anarchiści pokroju Joela Handa nie myślą o takich drobiazgach – zauważył Wesley.

– Niestety, istnieje taka możliwość – wtrącił Sessions. – W ciągu dwóch miesięcy po umieszczeniu nowych prętów paliwowych w reaktorze można zdobyć pluton.

– Jak często wymienia się te pręty? – spytał Marino.

– W Old Point co piętnaście miesięcy wymieniają jedną trzecią. Równa się to osiemdziesięciu zespołom o sile trzech bomb atomowych, pod warunkiem, że reaktor zostaje wyłączony, a pluton wydostaje się w przeciągu dwumiesięcznego okresu.

– Więc Hand znał termin wymiany – zauważyłam.

– To jasne.

Przypomniały mi się nagrania rozmów kierownictwa kompanii energetycznej, do których dostęp umieli zdobyć ludzie tacy jak Eddings.

– Czyli ktoś był przekupywany.

– Chyba nawet wiemy kto. Pewien bardzo wysoki stopniem wojskowy. Osoba, która miała ogromny wpływ na podjęcie decyzji o założeniu filii CP&L w bezpośrednim sąsiedztwie farmy Handa – oświadczył Sessions.

– Na farmie należącej do Joshuy Hayesa?

– Zgadza się.

– Ciężka cholera – zaklął Marino. – Hand musiał to obmyślać od wielu lat, no i miał źródła, skąd dostawał kupę szmalu.

– Ma pan niewątpliwie rację – przyznał generał.

– Nie wolno zapominać, że fanatyk w stylu Handa – odezwał się Wesley – bierze udział w niezwykle doniosłej, wiecznej wojnie religijnej. Posiada w związku z tym niewyczerpane zapasy cierpliwości.

– Generale – spytałam – czy DSMMW wiedziałoby o tym, że łódź, o której mowa, ma popłynąć do jakiegoś odległego portu?

– Oczywiście.

– Skąd? – wtrącił Marino.

– Między innymi stąd, że wszystkie okręty znajdujące się w Basenie mają wyrzutnie okryte stalowymi płytami, widocznymi na zewnątrz kadłuba. Każda taka płyta jest przyspawana do wału wewnątrz okrętu i przymocowana śrubą. Jasne, że każda broń i urządzenia łącznościowe zostają usunięte.

– Co oznacza, że jakiegokolwiek naruszenie tego stanu rzeczy spowodowałoby reakcję nadzoru. Można byłoby się zorientować, gdyby ktokolwiek zbliżył się do okrętu.

– Tak, rzeczywiście. – Generał spojrzał na mnie porozumiewawczo.

– Wystarczyłoby zanurzyć się pod wodę w pobliżu takiej łodzi, by zobaczyć, że wyrzutnie nie są zamknięte, a nawet że nie ma śruby.

– Zgadza się w stu procentach.

– I właśnie to zamierzał stwierdzić Ted Eddings.

– Niestety, tak – włączył się do rozmowy Wesley. – Płetwonurkowie odnaleźli jego aparat, którym zrobił zaledwie trzy zdjęcia. Na wszystkich dość słabo widoczna jest śruba „Exploitera”. Wszystko wskazuje więc na to, że przed śmiercią nie przebywał długo pod wodą.

– Co się stało z tą łodzią? – zapytałam.

– Ująłbym to tak, że prowadzimy jej dyskretne poszukiwania – odparł po chwili ciszy generał.

– Czyli że nie ma jej na miejscu.

– Sądzę, że opuściła je mniej więcej w tym samym czasie, w którym nastąpił atak na elektrownię.

– To wyjaśnia chyba, czemu Eddings miał ostatnimi czasy fioła na punkcie własnego bezpieczeństwa. – Przesunęłam po mężczyznach wzrokiem.

– Ktoś musiał wpuścić faceta w kanał – zauważył Marino. – Trudno sobie wyobrazić, że ktoś w ostatniej chwili postanowił otruć go cyjanowodorem.

– Doszło do morderstwa z premedytacją, a jego sprawcą był człowiek, któremu Eddings najwyraźniej ufał – dorzucił Wesley. – Nie zwierzałby się byle komu z planów na tamtą noc.

Przyszedł mi do głowy jeszcze jeden skrót w faksie Eddingsa. KPT mogło oznaczać kapitana; opowiedziałam im o kapitanie Greenie.

– Eddings musiał korzystać z informacji kogoś wtajemniczonego – skomentował sprawę Wesley. – Ktoś zdradzał mu sekrety organizacji, a potem wystawił go do wiatru lub przynajmniej brał w tym udział. – Zerknął w moją stronę. – Z jego rachunków telefonicznych wynika, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy dość często kontaktował się z Greenem, a wszystkie telefony i faksy zaczęły się zeszłej jesieni, gdy Eddings pisał dość niewinny artykuł na temat stoczni.

– A potem zaczął szukać dziury w całym – dokończyłam.

– Prawdę mówiąc, jego wścibstwo rozbudziło także naszą ciekawość – oznajmił Sessions. – Też zaczęliśmy szukać dziury w całym. Basenowi Nieczynnych Okrętów przyglądamy się od dłuższego już czasu. – Urwał,



nieznacznie się uśmiechając. – Co więcej, chwilami miała pani towarzystwo, nawet nic o tym nie wiedząc.

– Proszę podziękować w moim imieniu Jerodowi i Ki Soo. – Domyśliłam się, że o nich mowa.

– Dobrze, chociaż może zrobisz to osobiście – wtrącił Wesley.

– Panie generale – zmieniałam temat na zdecydowanie bardziej przyziemny – czy wiadomo panu coś o tym, że szczury są plagą nieczynnych okrętów?

– Szczury zawsze lęgną się na każdym statku.

– Cyjanku używa się między innymi do tępienia gryzoni na okrętach. Możliwe, że w Basenie Nieczynnych Okrętów trzymano w tym celu spory zapas tej substancji.

– Jak już wspomniałem, kapitan Green jest wielce interesującą postacią. Rozumieliśmy się w lot.

– W związku z Nowymi Syjonistami? – spytałam.

– Mniej więcej – włączył się Wesley. – Osobiście uważam, iż Green jest wtyczką Nowych Syjonistów w instytucjach wojskowych wszelkiego typu, jak na przykład w Basenie Nieczynnych Okrętów, Roche natomiast jest zaledwie jego pomocnikiem. To on wykonuje czarną robotę, straszy, szpieguje i węszy.

– Ale to nie on zabił Danny'ego – powiedziałam stanowczo.

– Danny padł ofiarą jakiegoś psychopaty, który na tyle nie zwraca na siebie uwagi, że mógł czekać dłuższy czas przed Hill Cafe. Przypuszczam, że mielibyśmy tu do czynienia z białym mężczyzną w średnim wieku, z bogatym doświadczeniem w dziedzinie, ogólnie rzecz biorąc, myślistwa i broni.

– Kubek w kubek kolesie, którzy zajęli Old Point – zauważył Marino.

– To fakt – przystał Wesley. – Zabójstwo Danny’ego było zadaniem dla myśliwego, porównywalnym choćby z zabiciem dzika. Sprawca kupił sobie siga 45 na tych samych targach broni, na których nabył black talony.

– O ile pamiętam, sig był swego czasu własnością policji – przypomniał mu generał.

– Owszem. Takie rzeczy sprzedaje się na targach – dorzucił Wesley.

– Poplecznikom Handa – dodał Marino. – Ludziom pokroju zabójcy Dwaina Shapiro w Marylandzie.

– Dokładnie.

– Pytanie za sto punktów, co oni sądzą o waszej znajomości ich machinacji? – odezwał się Sessions.

– Zastanawiałam się nad tym i właściwie nie mam zielonego pojęcia.

– Musisz przyjąć ich tok myślenia – przekonywał Wesley. – Jaką specjalną wiedzę mogą ci przypisywać?

– Możliwe, że sądzą, iż mam „Księgę” – zaczęłam od tego, bo nic innego nie chciało mi przyjść na myśl. – A wygląda na to, że traktują ją jak świętość, niczym Indianie czczący swoje cmentarze.

– Czy jest w niej coś, co chcieliby zachować w tajemnicy? – zapytał generał.

– Zdaje mi się, że najbardziej niebezpieczna rewelacja to plan, który udało im się właśnie przeprowadzić.

– Jasne. Wiadomo, że nigdy w życiu by się do niego nie zabrali, gdyby im tego nie nakazał. – Wesley spojrział na mnie znacząco. – Co wie doktor Mant?

– Nie miałam okazji z nim porozmawiać. Nie odbiera telefonów, nagrywałam się na sekretarkę, ale jak dotąd, bez odzewu.

– Nie sądzisz, że to dość dziwne?

– Zdecydowanie. Wątpię jednak, żeby wydarzyła się jakaś tragedia, bo byśmy o tym słyszeli. Przypuszczam, że najzwyczajniej w świecie się boi.

– To biegły sądowy okręgu Tidewater – wyjaśnił Wesley generałowi.

– Może w takim razie należałoby go gdzieś znaleźć – zasugerował Sessions.

– To nie jest chyba najlepsza pora.

– Wręcz przeciwnie, pora jest idealna.

– Istotnie, to nie najgorszy pomysł – zgodził się Wesley. – Jedyna szansa powodzenia to zgłębienie ich sposobu rozumowania. Być może Mant jest w posiadaniu jakichś cennych informacji i właśnie dlatego się ukrywa.

– Jestem za. – Generał Sessions usadowił się wygodniej na krześle. – Tak czy inaczej, mamy na głowie te same zmartwienia tu i tam, a co się odwlecze, to nie uciecze. Może polecieć jeszcze jedna osoba, chyba że British Airways będą miały coś przeciwko temu, że zawiadamiamy je o tym z tak niewielkim wyprzedzeniem. – To miał być chyba żart. – W razie jakichś przeszkód skontaktujemy się z Pentagonem.

– Kay – tłumaczył Wesley, nie bacząc na gniewne spojrzenia, rzucające przez Pete'a – istnieje możliwość, że sytuacja z Old Point powtarza się również gdzieś na obszarze Europy, bo wydarzenia z Wirginii nie są dziełem przypadku. Innym miastom też grozi podobny los.

– Chcesz przez to powiedzieć, że ci zasrani Nowi Syjoniści działają także w Anglii? – spytał Marino, który z trudem się opanowywał.

– Nic nam o tym nie wiadomo, lecz znajdują się liczni chętni do przejęcia ich roli. – Prawdę mówiąc – Marino popatrzył na mnie oskarżycielskim wzrokiem – wydaje mi się, że kroi nam się tutaj katastrofa nuklearna i powinnaś raczej zostać na miejscu.

– Też bym woląa.

– Jeżeli zdecyduje się pani na współpracę, nie będzie takiej potrzeby, bo na razie nie ma nic do roboty – oznajmił znacząco generał.

– Zgadzam się. Jestem stuprocentową zwolenniczką zapobiegania i tłumienia w zarodku.

– Poradzisz sobie? – zapytał Wesley.

– Ludzie w biurze są przygotowani na każdą ewentualność. Lekarze wiedzą, co do nich należy. Chciałabym zrobić wszystko, co w mojej mocy.

– To niebezpieczne – nie ustępował Marino, który zwracał się tym razem do Wesleya. – Nie możesz pozwolić, by przechodziła przez cały ten burdel na lotniskach, gdy nie wiadomo, co ją tam czeka i czego chcą ci ludzie.

– Racja, Pete – zgodził się zamyślony Wesley. – Toteż chyba na to nie pójdziemy.

## Rozdział czternasty

Wieczorem pojechałam do siebie, potrzebowałam bowiem ubrań i paszportu, który był w sejfie. Pakowałam się, nerwowo wyczekując, aż odezwie się pager. Fielding dzwonił co godzina, żeby poznać rozwój wypadków i wyrzucić z siebie wszystkie obawy. Trupy w Old Point ciągle leżały tam, gdzie padły, i wciąż nie wiedzieliśmy, ilu jeszcze robotników znajduje się na terenie elektrowni.

Spałam niespokojnie pod strażą zaparkowanego na mojej ulicy policyjnego wozu. Obudził mnie o piątej budzik. Półtorej godziny później wzrok mój spoczął na learjecie, oczekującym mnie w Terminalu Milionerów lotniska w Henrico Country, służącego jako lądowisko śmigłowców i samolotów miejscowych potentatów. Z Wesleyem przywitałam się uprzejmie, lecz z rezerwą, i z trudem mieściło mi się w głowie, że mamy razem polecieć za granicę. Jego wizyta w ambasadzie była zaplanowana, jeszcze zanim zrodził się pomysł mojego udziału w tym locie, a poza tym generał Sessions nie znał historii naszej znajomości. Tak przynajmniej tłumaczyłam sobie sytuację, na którą nie miałam większego wpływu.

– Sama nie wiem, czy mam ci ufać – odezwałam się, gdy samolot startował niczym latający samochód wyścigowy. – Od kiedy to Biuro ma na stanie learjety? Chyba że maczał w tym palce sam Pentagon.

– Korzystamy, z czego nam się podoba – odpalił. – A elektrownia użycza nam wszelkich środków w celu zażegnania obecnego kryzysu; ten learjet jest jej własnością.

Odrzutowiec poruszał się z gracją, wewnątrz odznaczało się elegancją, ale silniki pracowały z hukiem i nie mogliśmy porozumiewać się po cichu.

- I można brać stamtąd, ile dusza zapagnie? – upewniałam się.
- Sytuacja ciąży elektrowni równie dotkliwie jak nam. Pracownicy firmy są bez zarzutu, może z wyjątkiem paru odszczepieńców, sami zresztą ponoszą największe straty. – Popatrzył w kierunku kokpitu, gdzie siedziało dwóch dobrze zbudowanych i ubranych pilotów. – Nawiasem mówiąc, piloci są od nas, a przed startem sprawdziliśmy najmniejszą śrubkę. Co do naszego wspólnego lotu – rzucił na mnie okiem – powtórzę się i powiem, że tego wymaga operacja. Będą mnie potrzebować dopiero z chwilą, gdy terroryści zechcą nawiązać kontakt i będziemy mieli okazję ich zidentyfikować. Na to się jednak na razie nie zanoszą.
- Skąd ta pewność? – Nalałam nam kawy.
- Wziął ode mnie filiżankę, przy okazji muskając moje palce.
- Stąd, że mają pełne ręce roboty. Muszą zdobyć te podzespoły, a nie są zbyt liczni.
- Czy wyłączyli reaktory?
- Według kierownictwa elektrowni, terroryści unieruchomili je zaraz po zdobyciu zakładu. Stąd wynika, że wiedzą, czego chcą, i nie lubią marnować czasu.
- No i jest ich dwudziestu.
- Podobno tyłu zgłosiło się na to niby-spotkanie w sterowni. Nie wiemy jednak, ilu dokładnie ich tam jest teraz.
- Na kiedy zaplanowano wymianę prętów paliwowych?
- Władze elektrowni utrzymują, iż od początku grudnia do końca lutego.
- Czyli że ją przyśpieszono. – W świetle ostatnich wydarzeń nic a nic mnie to nie zdziwiło.
- Zmiana planu nastąpiła tuż przed śmiercią Eddingsa.
- Wygląda na to, że chwytają się ostatniej deski ratunku.

– Z czym wiąże się większa lekkomyślność i brak przygotowania. Co może wyjść nam albo na dobre, albo na złe.

– Jak myślisz, czy puszczą zakładników?

– Nie wiem, czy wszystkich – odparł, patrząc na okno z ponurym wyrazem twarzy.

– O Boże. Jeżeli spróbują zdobyć to paliwo, to zrobi się z tego tragedia na skalę krajową. Chociaż nie wiem, jak sobie z tym poradzą. Każdy podzespół waży parę ton i promieniuje tak intensywnie, że ten, kto podejdzie za blisko, może zginąć nagłą śmiercią. Jak rozwiążą problem transportu z Old Point?

– Wokół elektrowni znajdują się zbiorniki wodne, wykorzystywane do chłodzenia reaktora. Wiadomo nam, iż na rzece James pływa barka, która należy prawdopodobnie do Nowych Syjonistów.

– Można by ją zająć? – Przypomniałam sobie, jak Marino opowiadał o barkach dowożących coś do farmy Joela Handa.

– Nie, na razie nie wolno nam przechwytywać żadnych barek, łodzi podwodnych, nic tego rodzaju. Może gdy wypuszczą zakładników.

Wesley wypił łyk kawy. Na horyzoncie pojawiły się złotawe promyki światła.

– Czyli w najlepszym wypadku wezmą sobie, co im potrzeba, i opuszczą teren bez dalszych ofiar w ludziach. – Prawdę mówiąc, zanadto na to nie liczyłam.

– Nic z tych rzeczy. W najbardziej sprzyjających okolicznościach ich powstrzymamy. Nie byłoby dobrze, gdyby na rzeki stanu Wirginia lub na morze przedostała się barka załadowana substancjami promieniotwórczymi. Wtedy przecież mielibyśmy zupełnie związane ręce. Zresztą sądzę, że zakładników wezmą ze sobą, by ich na koniec pozabijać.

Wyobraziłam sobie tych nieszczęśników, żyjących teraz w ciągłym strachu. Aż za dobrze znałam psychiczne i fizyczne objawy strachu, ich obrazy napełniały mnie przerażeniem i wściekłością. Czułam wzbierającą nienawiść w stosunku do tych ludzi, którzy przybrali miano Nowych Syjonistów; Wesley dostrzegł moje zbiele, zaciśnięte na oparciach fotela dłonie, i pomyślał, że boję się latania.

– Już niedługo – pocieszał mnie. – Niedługo zaczniemy schodzić do lądowania.

Wylądowaliśmy na lotnisku Kennedy’ego, gdzie czekał już autobus, za którego kierownicą stali dwaj kolejni zdrowi mężczyźni. O nic nie pytałam, bo wszystkiego się domyślałam. Jeden z nich zaprowadził nas przez terminal do biura British Airways, które przystały na współpracę z Biurem lub Pentagonem i zarezerwowały dwa miejsca na pokładzie odlatującego do Londynu concorde’a. Dyskretnie okazaliśmy legitymacje i oświadczyliśmy, że nie jesteśmy uzbrojeni. Eskortujący nas agent towarzyszył nam do poczekalni, gdzie natychmiast zajął się przeglądaniem stosów zagranicznych czasopism. Usiedliśmy z Wesleyem przy sporych oknach, przez które roztaczał się widok na asfalt pasa startowego, gdzie samolot ponaddźwiękowy stał niczym biała czapla, dokarmiana paliwem przez długiego węża, przymocowanego do jej boku. Concorde przypominał bardziej raketę niż jakikolwiek znany mi samolot, a jego pasażerowie sprawiali wrażenie ludzi, którym niewiele może już zaimponować. Częstowali się pasztecikami i owocami, niektórzy zaczęli już próbować drinków.

Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, wzrokiem nieustannie omiataliśmy zebrany tłum, a przed oczyma trzymaliśmy gazety, niczym przysłowiowi szpiedzy lub uciekinierzy w niebezpieczeństwie. Od razu zorientowałam się, że uwagę Wesleya zwracają głównie mieszkańcy Bliskiego Wschodu,



ja sama zaś najbardziej przejmowałam się ludźmi, którzy wyglądali podobnie jak my, pamiętając swoje spotkanie z Joelem Handem w sądzie, gdy okazał się miłym i uroczym człowiekiem. Gdyby usiadł teraz obok nas i gdybym go nie znała, uznałabym, że pasuje do tego miejsca o wiele bardziej niż my.

– Jak się czujesz? – Wesley opuścił gazetę.

– Sama nie wiem. – Byłam niespokojna. – Powiedz mi, czy twój kolega po fachu cały czas krąży wokół nas? – W jego oczach dostrzegłam rozbawienie. – Nie ma w tym nic śmiesznego.

– Czyli myślałaś, że otaczają nas agenci wywiadu, i to tajni.

– Aha, to znaczy, że mężczyzna w garniturze, który nas tu przyprowadził, to pracownik British Airways do zadań specjalnych.

– Ujmę to tak: jeżeli nawet nie jesteśmy tutaj sami, to z pewnością ci o tym nie powiem.

Jeszcze chwilę na siebie patrzyliśmy; nigdy przedtem nie odbywaliśmy razem żadnej podróży, a moment pierwszej próby nie został najlepiej wybrany. Wesley miał ciemnogrnatowy, niemal wpadający w czerń garnitur, białą koszulę i tradycyjny krawat. Ja również doбираłam ubiór w ponurym nastroju, obydwój włożyliśmy ciemne okulary. Wyglądaliśmy na kolegów z firmy prawniczej i gdy otaksowałam wzrokiem inne kobiety w poczekalni, doszłam do wniosku, że co jak co, ale na żonę zdecydowanie nie wyglądam.

– To chyba nasz – powiedział Benton, gdy ogłaszano lot numer 2. Podniósł wzrok i w jego rękach zaszeleścił składany „London Times”.

W dwóch kabinach concorde’a mieściła się setka ludzi, siedzących w rzędach po dwa fotele z obydwu stron przejścia. We wnętrzu dominowała zgaszona szarość dywanu i skóry, okna, niczym w rakiecie, były tak małe, że nic nie było przez nie widać. Obsługa narodowości brytyjskiej

zachowywała się, rzecz jasna, uprzejmie, a jeśli wiedziała, że pracujemy dla FBI, Marynarki Wojennej, CIA czy Bóg wie jakiej innej instytucji, nie dawała tego po sobie poznać. Interesowało ją tylko to, na co mamy ochotę – ja zamówiłam whisky.

– Nie za wcześnie? zapytał Wesley.

– W Londynie jest pięć godzin później niż tutaj – przypomniałam mu.

– Wielkie dzięki, nastawię zegarek – odparł sucho, jakby nigdy w życiu nigdzie nie wyjeżdżał. – Poproszę piwo – zwrócił się do stewardesy.

– No, skoro przenieśliśmy się do innej strefy czasowej, od razu łatwiej przejdzie nam przez gardło – nie mogłam się powstrzymać od szyderczego komentarza.

– Czemu się złościysz?

Spojrzał w moją stronę.

– Od razu widać przenikliwość psychologa.

Rozejrzał się dyskretnie, ale siedzieliśmy zaraz za wręgą i po drugiej stronie przejścia fotele były puste; było mi też wszystko jedno, czy siedzi ktoś za nami.

– Możemy porozmawiać poważnie? – zapytał.

– Trudno o powagę, Benton, skoro ty masz ochotę na rozsądne rozmowy zawsze po fakcie.

– Nie bardzo rozumiem, może coś mi umknęło.

– Wszyscy oprócz mnie wiedzieli o twojej separacji – oświecałam go. – Lucy wspomniała mi o tym, bo słyszała od innych agentów. Chciałabym, żebyś chociaż raz potraktował mnie jak równą sobie.

– Uspokój się trochę.

– Nie wiem, czy potrafię.

– Nie mówiłem ci, bo nie chciałem, żebyś wpływała na moje decyzje.

Rozmawialiśmy ściszymi głosami, nachyleni do siebie tak, że nasze ramiona się stykały. Pomimo przygnębiających okoliczności rozmowy czułam każde jego poruszenie, zapach wełnianej marynarki i ulubionej wody kolońskiej.

– Przy podejmowaniu decyzji dotyczących swojego małżeństwa nie mogę brać pod uwagę ciebie – oświadczył, gdy przyniesiono drinki. – Musisz się z tym pogodzić.

Mój organizm nie był przyzwyczajony do whisky o tej porze, więc wywarła na mnie błyskawiczny i oszałamiający wpływ. Zaczęłam czuć się coraz bardziej rozluźniona, nawet zamknęłam oczy, gdy odrzutowiec zaczął startować, wibrować i pomknął z hukiem przez powietrze. Od tej chwili świat pod nami zamienił się w zamglony, ledwie widoczny widnokrąg. Silniki huczały nieustannie, co zmuszało nas do bardzo bliskiego kontaktu.

– Wiem, co do ciebie czuję – mówił Wesley – i to już od dawna.

– Nie masz prawa – upierałam się – i nigdy nie miałeś.

– A ty miałaś prawo zrobić to, co zrobiłaś?

– Przynajmniej nie jestem zamężna i w ogóle nikogo nie mam – oponowałam. – Ale istotnie, nie powinnam tego robić.

Popijając piwo i whisky, nie zwracaliśmy najmniejszej uwagi na kanapki i kawior, które były zapewne zaledwie wstępem do dłuższej uczyty. Zamilkliśmy na chwilę, przeglądając gazety i czasopisma specjalistyczne, tak jak wszyscy inni pasażerowie na pokładzie. Zauważyłam, że w concordzie ludzie nie są zbyt gadatliwi, uznałam więc, że bogactwo, sława i szlachetne urodzenie to jedna wielka nuda.

– Sądzę, że rozstrzygnęliśmy wtedy sprawę – podjął rozmowę Benton.

– Jaką sprawę? – Odłożyłam widelec, gdyż jestem leworęczna i zaczepiałam o Wesleya.

– Przecież wiesz. Tego, co powinniśmy i czego nie powinniśmy robić. – Musnął moją pierś i jego ręka pozostała w tamtym miejscu, jakby wszystkie słowa, które wcześniej padły, traciły ważność przy przyśpieszeniu dwóch machów.

– Tak.

– „Tak”. – Przez ton jego głosu przebierała ciekawość. – Co masz na myśli?

– To, co przed chwilą powiedziałaś. – Za każdym oddechem czułam, jak się o niego ocieram. – O rozstrzygnięciach.

– Niech więc tak zostanie – podsunął.

– Niech zostanie – przystałam, sama nie bardzo wiedząc na co. – Jeszcze jedno – ciągnęłam – jeśli kiedyś się rozwiedziesz i postanowimy, że zaczynamy od nowa, to zaczniemy.

– Oczywiście. Zgadzam się w stu procentach.

– A na razie pozostajemy na stopie koleżeńskiej.

– Jak najlepszej.



Wpół do siódmej jechaliśmy Park Lane roverem, za którego kierownicą siedział funkcjonariusz londyńskiej policji. Siedząc w mroku, obserwowałam migające na zewnątrz światła miasta, nie orientowałam się, gdzie jesteśmy, i byłam zaintrygowana. Hyde Park przypominał morze ciemności, tamtejsze latarnie wyglądały jak smugi światła na zawitych ścieżkach.

Nasze kwatery znajdowały się tuż przy pięknym, starym hotelu Dorchester, wokół którego zebrali się Pakistańczycy, demonstrujący burzliwie z okazji wizyty swojego premiera. Dokoła kręciło się mnóstwo policjantów i psów, ale kierowca nie zwracał na nich specjalnej uwagi.

– Mają tu stróża – poinformował nas, gdy stanęliśmy przed dość nowym, wysokim budynkiem. – Niech państwo po prostu wejdą i okażą jakieś legitymacje, a on was zamelduje i pokaże pokoje. Dacie sobie radę z bagażami?

– Dzięki, poradzimy sobie.

Wesley otworzył drzwi.

Weszliśmy do środka. Znaleźliśmy się przed małym, błyszczącym biurkiem, za którym urzędował czujny i uśmiechnięty mężczyzna w starszym wieku.

– O, witam, czekałem na państwa. – Wstał z krzesła i wziął nasze torby. – Proszę za mną do windy.

Pojechaliśmy na piąte piętro, gdzie zaprowadził nas do dużego apartamentu z szerokimi oknami, ozdobionego jaskrawymi tkaninami i wytworami sztuki afrykańskiej. Mój pokój był z wszelkimi wygodami, w tym z angielską wanną, w której człowiek może się utopić, i ubikacją, której spłuczkę pociągało się łańcuchem. Meble utrzymane były w stylu wiktoriańskim, drewniane podłogi okrywały wytarte tureckie dywaniki. Podkręciłam znajdujące się pod oknem kaloryfery. Zgasłam światło i patrzyłam przez okno na sunące ulicą samochody i ledwie widoczne drzewa, kołyszące się w ciemnym parku. Pokój Wesleya znajdował się na drugim końcu korytarza; nawet nie słyszałam, jak Benton wszedł.

– Kay? – Stał na progu i słyszałam brzęczący o szkło lód. – Gospodarze mają na stanie świetnego scotcha. Mówili, że możemy się częstować. – Podeszedł bliżej i postawił kieliszki na parapecie.

– Chcesz mnie upić? – zapytałam.

– Dawniej nie było to potrzebne.

Wychyliliśmy drinki, przytuliliśmy się do siebie i obserwowaliśmy już wspólnie ulicę. Przez dłuższy czas wymienialiśmy ciche, urywane zdania,

potem zaczął całować mnie po włosach, uszach i brodzie. Zaczęłam odwzajemniać pieszczoty, a wraz z nimi coraz intensywniejsze stawało się nasze uczucie.

– Tak bardzo tęskniłem – szepnął, gdy ubrania zaczęły stawać się za ciasne i niepotrzebne.

Kochaliśmy się, bo to było silniejsze od nas. Tylko tyle mieliśmy na swoje usprawiedliwienie, które nie wytrzymałoby krytyki w żadnym ze znanych mi sądów. Okres oddalenia znieśliśmy bardzo źle, więc przez całą noc syciliśmy wzajemny głód. O świcie zasnęłam, a po przebudzeniu nie zastałam już Weseleya w pokoju, jakby wszystko było zaledwie snem. Leżałam przykryta puchową kołdrą, przed oczyma mojej wyobraźni powoli przesuwały się namiętne sceny. Pod powiekami migotały jakieś światła, czułam się tak, jakby ktoś mnie kołysał, jakbym wróciła do dzieciństwa, a ojciec nie padł ofiarą niezrozumiałej dla mnie wtedy choroby. Nigdy się z tym nie pogodziłam i w ogóle wydaje mi się, że wszystkie moje związki z mężczyznami były smutnymi replikami więzi z nim. Był to taniec, któremu poddawałam się bezwolnie, by na koniec obudzić się w pustym pokoju najintymniejszych myśli. Uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem podobna do Lucy. Obydwie kochałyśmy potajemnie i nie chciałyśmy rozmawiać o cierpieniu.

Ubrałam się, wyszłam na korytarz i zastałam Wesleya pijącego w stołowym kawę i spoglądającego przez okno na przesuujące się po niebie chmury. Był w garniturze i krawacie i wcale nie sprawiał wrażenia zmęczonego.

– Nastawiłem kawę – oznajmił. – Przynieść ci?

– Dzięki, obsłużę się sama. Dawno już nie śpisz?

– Od jakiegoś czasu.

Robił bardzo mocną kawę i przyłapałam się na tym, że nie znam jeszcze mnóstwa jego drobnych przyzwyczajęń. Nie gotowaliśmy razem, nie jeździliśmy na wakacje ani nie uprawialiśmy żadnych sportów, mimo że wiedziałam, jak wiele rzeczy świetnie nam wychodzi we dwoje. Postawiłam filiżankę na parapecie, chcąc popatrzeć na park.

– Jak się czujesz? – Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Super. A ty?

– Nie wygląda, żebyś mówiła prawdę.

– Zawsze znajdziesz właściwą diagnozę.

– Wyglądasz, jakbyś się nie wyspała. O to mi chodziło.

– Prawie nie zmrużyłam oka, i to przez ciebie.

– Oraz przez różnicę czasu. – Uśmiechnął się. – Ty ją znacznie powiększasz, agencie specjalny Wesley.

Za oknami mknęło już mnóstwo hałaśliwych samochodów, zgiełk regularnie przerywała kakofonia syren. W zimnym świetle poranka widać było ludzi, którzy pośpiesznie szli lub biegli chodnikami. Wesley uniósł się z krzesła.

– Zaraz musimy się zbierać. – Pogłaskał mnie po karku i pocałował. – Powinniśmy coś przekąsić, bo czeka nas dość długi dzień.

– Pamiętaj, Wesley, że taki sposób życia wcale mi się nie podoba – przestrzegłam go, zamykając drzwi.



Idąc Park Lane, minęliśmy hotel Dorchester; wciąż jeszcze wystawała tam grupa Pakistańczyków. Następnie dotarliśmy do South Audley, gdzie znaleźliśmy otwartą o tej porze restaurację o nazwie Richoux. W środku wzrok nasz spoczął na oryginalnych francuskich wypiekach i pudełkach czekoladek, których uroda pozwalała umieszczać je za szybą niby dzieła

sztuki. Ludzie byli już ubrani do pracy i czytali przy niewielkich stolikach gazety. Wypiłam szklankę świeżego soku pomarańczowego i poczułam, że zgłodniałam. Filipinka, która nas obsługiwała, strasznie się zdziwiła, iż Wesley zamówił tylko grzanekę, ja zaś poprosiłam o jajecznicę na bekonie z grzybami i pomidorami.

– Ma być podwójna porcja? – dopytywała się.

– Nie, dziękuję – odparłam z uśmiechem. Dochodziła dziesiąta, gdy wyszliśmy na South Audley w stronę placu Grosvenor, na którym stał niezbyt fortunnie umiejscowiony granitowy budynek ambasady Stanów Zjednoczonych z unoszącym się do lotu orłem na dachu. Placówka była pilnie strzeżona, wszędzie roiło się od wartowników. Okazaliśmy paszporty i legitymacje, zrobiono nam zdjęcia. Koniec końców zaprowadzono nas na drugie piętro, gdzie już czekał attache prawny, czyli legat, FBI na Wielką Brytanię. Z mieszczącego się w rogu ambasady biura Chucka Olsona rozpościerał się doskonały widok na długie kolejki ludzi oczekujących na wizy i zielone karty. Był krępy męczyzną w ciemnym garniturze, wypięłgnowane włosy miał niemal równie obficie przysypane srebrem, jak Wesley.

– Miło mi – zaczął, ściskając nam dłonie. – Niech państwo usiądą. Kawy?

Wybraliśmy kanapę stojącą naprzeciw biurka, na którym leżały tylko notes i kilka teczek z aktami. Na korkowej tablicy za plecami Olsona zobaczyliśmy rysunki, wykonane zapewne przez jego dzieci; jeszcze wyżej wisiała olbrzymia pieczęć FBI. Oprócz szafek z książkami i dyplomów uznania biuro przedstawiało typowe pomieszczenie do pracy zabieganego człowieka, który niezbyt przejmuje się swoją posadą i sobą samym.

– Chuck – zaczął Wesley – z pewnością słyszałeś, że doktor Scarpetta współpracuje z nami w charakterze biegłego sądowego i – chociaż



przyjechała tu w pewnej swojej sprawie – istnieje możliwość, że jeszcze kiedyś wróci.

– Niech Bóg broni – skomentował Olson, bo w wypadku katastrofy atomowej w Stanach lub w Anglii moim zadaniem byłoby zajmowanie się ofiarami.

– Przedstaw jej więc, proszę, naszą aktualną sytuację.

– Po pierwsze – odchrząknął Olson – trzeba powiedzieć sobie jasno, że jedna trzecia potrzeb energetycznych Anglii zaspokajana jest przez elektrownie atomowe. Obawiamy się takiego jak u was ataku terrorystów i, prawdę mówiąc, nie wiemy nawet, czy ci sami ludzie nie zdążyli już czegoś takiego zaplanować.

– Ale Nowi Syjoniści mają swoją bazę wypadową w Wirginii – zaoponowałam. – Czy wobec tego chce pan powiedzieć, że mają powiązanie międzynarodowe?

– Nie są motorem napędowym akcji. To nie oni chcą zdobyć pluton.

– A kto?

– Libia.

– To wiadomo nie od dziś.

– A teraz ta chęć wcielana jest w czyn – wtrącił Wesley – w Old Point.

– Jak pani niewątpliwie wiadomo – podjął Olson – Kadafi już od dłuższego czasu pragnie zdobyć broń atomową, lecz jak dotąd, wszelkie jego plany zostały pokrzyżowane. Wszystko wskazuje jednak na to, że w końcu udało mu się znaleźć na to sposób. Nawiązał kontakt z Nowymi Syjonistami z Wirginii, a istnieje pewność, że u nas także działają grupy ekstremistów. Mieszka tu wielu Arabów.

– Skąd pewność, że to Libia? – zapytałam.

– Po pierwsze stąd – włączył się Wesley – że obejrzelśmy billing telefoniczny Joela Handa i wiemy, że w ciągu ostatnich dwóch lat

przeprowadził on liczne rozmowy głównie z Trypolisem i Bengazi.

– Ale nie wiadomo, czy Kadafi szykuje coś w Londynie?

– Obawiamy się, że jesteśmy właściwie bezbronni. Londyn to punkt tranzytowy na szlakach między USA, Europą i Bliskim Wschodem. To ogromne centrum finansowe. Fakt, że Libia kradnie ogień Stanom Zjednoczonym, nie oznacza jeszcze, że na USA się wszystko zakończy.

– Ogień? – zdziwiłam się.

– Jak w micie o Prometeuszu. W naszym szyfrze ogień oznacza pluton.

– Rozumiem, i to aż za dobrze. Jaka w tym moja rola? – spytałam.

– Konieczne jest dla nas zrozumienie sposobu myślenia tych ludzi, zarówno w związku z obecnym kryzysem, jak i z wszelkimi ewentualnymi atakami. Musimy pojąć tok myślenia tych terrorystów, a to już zdecydowanie działka Wesleya. Pani zadaniem jest zdobycie informacji. Słyszałem, że ma pani tu, w Anglii, znajomego, który może się nam przydać.

– Chyba tak, ale najpierw muszę do niego dotrzeć.

– Czy potrzebna jej będzie ochrona? – wtrącił Wesley.

Olson otaksował mnie dziwnym spojrzeniem, jakby oceniał moją siłę; czułam się przedmiotem lub bokserem, który ma za chwilę wystąpić na ringu.

– Nie, jest pani raczej bezpieczna, chyba że znacie jakieś nie znane nam zagrożenia.

– Sam nie wiem – powiedział Wesley, który też zaczął mi się przyglądać.

– Może lepiej dać jej kogoś do towarzystwa.

– Nic z tych rzeczy. Nikt nie wie o moim pobycie w Londynie – zaprotestowałam. – A doktor Mant i tak ma już opory, a może i sporego pietra, więc z pewnością nie będzie chętny do współpracy, gdy zorientuje się, że nie działałam w pojedynkę. Wtedy cała ta wyprawa byłaby bez sensu.

– Niech będzie – zgodził się niechętnie Wesley – pod warunkiem, że będziemy znali każdy twój krok. Musimy umówić się tu najpóźniej na czwartą, jeśli chcemy zdążyć na samolot.

– Jeśli zdarzy się coś, co zatrzyma mnie dłużej, zadzwonię – obiecałam.  
– Będzie można złapać cię tutaj?

– Jeżeli nie, sekretarka będzie wiedziała, gdzie nas szukać – oznajmił Olson.

Zeszłam na dół, do holu, w którym woda w fontannie spadała z pluskiem, a Lincoln z brązu siedział na tronie, otoczony wiszącymi na ścianach portretami byłych prezydentów USA. Wartownicy z surowymi wyrazami twarzy przyglądali się paszportom i gościom. Gdy wychodziłam, odprowadzili mnie chłodnym spojrzeniem. Był zimny, wilgotny poranek; zatrzymałam taksówkę i podałam kierowcy adres przy ulicy Belgravia, dość blisko ambasady.

Będąca już w starszym wieku pani Mant mieszkała przy Ebury Mews w niedużym dwupiętrowym domu, który podzielono na mieszkania; czerwone kominy wyrastały gromadnie sponad wyłożonego dachówką, łamanego dachu. W skrzynkach na oknach rosły żonkile, krokusy i bluszcz. Weszłam po schodach na drugie piętro i zapukałam do jej drzwi, do których nie podszedł jednak mój zastępca. Statecznie wyglądająca kobieta, która je otworzyła, była równie zaskoczona jak ja.

– Bardzo przepraszam – zaczęłam. – Zdaje się, że mieszkanie zostało już sprzedane.

– Nie, nie, ono nie jest w ogóle na sprzedaż – oświadczyła stanowczo.

– Szukam Philipa Manta. Wygląda na to, że podano mi zły ...

– A – uśmiechnęła się przyjaźnie – Philip to mój brat. Przed chwileczką wyszedł do pracy. Musiała się pani z nim rozminąć.

– Do pracy?

– Tak, tak, zawsze wychodzi dokładnie o tej porze. Widzi pani, chce uniknąć korków, chociaż tego nie da się chyba w dzisiejszych czasach zrobić. – Zawahała się, zorientowawszy się nagle, że rozmawia z kimś nieznanym. – Czy będę mogła przekazać, kto u niego był?

– Nazywam się Scarpetta. Muszę się z nim zobaczyć w naprawdę pilnej sprawie.

– Oczywiście. – Jej zdumienie dorównywało radości. – Wspominał o pani. Bardzo panią lubi i na pewno strasznie się ucieszy, że go pani odwiedziła. Co panią sprowadza do Londynu?

– Zawsze chętnie tu przyjeżdżam, gdy tylko mam okazję. Proszę mi powiedzieć, gdzie mogłabym go znaleźć.

– Już się robi. W Kostnicy Westminsterskiej przy ulicy Horseferry. – Urwała. – Zapomniałam, że zapewne pani mówił.

– Tak, tak – uśmiechnęłam się. – I z całego serca mu gratuluję.

Nie bardzo wiedziałam, o czym mowa, ale kobieta wyglądała na zadowoloną.

– Proszę go nie uprzedzać. Chciałabym zrobić mu niespodziankę.

– Cudownie. Na pewno bardzo się ucieszy. Wyszłam i znowu złapałam taksówkę, cały czas myśląc o tym, co przed chwilą usłyszałam. Niezależnie od motywacji Manta, byłam na niego wściekła.

– Wybiera się pani do sądu koronerskiego? – odezwał się taksówkarz. – To tamten budynek. – Przez opuszczoną szybę wskazał ładną budowlę z cegły.

– Nie, jadę do kostnicy.

– Nie ma sprawy. To tutaj. Niech się pani cieszy, że wchodzi na własnych nogach. – Zaśmiał się chrapliwie.

Zaparkował przed budynkiem, który jak na Londyn był mały. Zbudowano go z cegły, obramowania i gzymsy zrobiono z granitu, a wokół

dachu biegł dziwaczny taras. Okalał go ozdobny parkan z kutego żelaza, pomalowany na rdzawy kolor. Według informacji na tabliczce przy wejściu, kostnica została założona ponad sto lat temu, kiedy to medycyna sądowa musiała być zaiste ponurym zajęciem. Praktycznie jedynymi świadkami byli wówczas ludzie, a nie jestem pewna, czy kiedyś człowiek kłamał mniej niż teraz.

Poczekalnia była niewielka, lecz ładnie urządzona, przypominając pod tym względem pomieszczenia przeciętnej przyzwoitej firmy. Za otwartymi drzwiami zauważyłam korytarz; nie było nikogo, więc skierowałam się w tamtą stronę, gdy z jednych drzwi wynurzyła się kobieta z kilkoma grubymi książkami pod pachą.

– Przepraszam – odezwała się zaskoczona – ale tu wstęp jest wzbroniony.

– Szukam doktora Manta.

Miała na sobie luźną sukienkę i sweter, w jej głosie wyczuwało się szkocki akcent.

– Kogo mam zapowiedzieć? – Pokazałam legitymację. – W porządku. Doktor Mant z pewnością pani oczekuje.

– Nie sądzę.

– Aha. – Przełożyła książki do drugiej ręki, wyraźnie zdezorientowana.

– Pracowaliśmy razem w Stanach i chciałabym zrobić mu niespodziankę, więc proszę mi po prostu powiedzieć, gdzie go można zastać.

– Chwileczkę, pewnie w sali kontuzji. Proszę wejść tymi drzwiami – skinęła głową w ich stronę – za nimi na prawo zobaczy pani szatnie na lewo od głównej kostnicy. Minie je pani, po czym skręci w lewo, przejdzie przez kilka kolejnych drzwi, a doktor Mant powinien znajdować się w sali zaraz za nimi. Czy to jasne?

– Dziękuję.

W szatni włożyłam buty z cholewami, rękawice i maskę, narzuciłam też luźny fartuch, żeby ubranie nie przesiąknęło mi smrodem. Przeszłam przez wyłożony kafelkami pokój, gdzie stało sześć lśniących stołów z nierdzewnej sali, a pod ścianą ustawiono rząd białych lodówek. Lekarze byli ubrani na niebiesko i mieli dzisiaj pełne ręce roboty. Mało który podniósł wzrok, gdy przechodziłam. Gdy byłam na końcu korytarza, zobaczyłam swojego zastępcę w gumowych butach z cholewami; wszedł na stołek i z niego przyglądał się mocno już nadpsutym zwłokom, które musiały już przez dłuższy czas leżeć w wodzie. Smród był nie do wytrzymania, więc zamknęłam za sobą drzwi.

– Doktorze – odezwałam się.

Odwrócił się i przez chwilę nie uświadamiał sobie, kto przed nim stoi. Po chwili najzwyczajniej w świecie osłupiał.

– Doktor Scarpetta, niech to szlag. – Zszedł ociężale ze stołka, gdyż był raczej zwalisty. – Coś takiego. Aż zapomniałem języka w gębie! – Bełkotał bez ładu i składu, w oczach malował mu się przestach.

– Ja też się dziwię – rzekłam beznamiętnie.

– Trudno, żeby nie. Chodźmy stąd, nie będziemy przecież rozmawiać przy tym niefortunnym pływaku. Znalezione go wczoraj po południu w Tamizie. Wygląda na to, że go zadźgali, ale nie mamy pojęcia, kto to jest. Przejdźmy do poczekalni. – Ze zdenerwowania usta mu się nie zamykały.

Philip Mant był czarującym mężczyzną w starszym wieku; nie dało się go nie lubić: gęsta, biała czupryna wznosiła się nad bujnymi brwiami i jasnymi oczami. Zaprowadził mnie pod prysznic, gdzie zdezynfekowaliśmy sobie nogi, zdjęliśmy rękawice i maski, po czym wyrzuciliśmy do kosza ręczniki. Następnie przeszliśmy do poczekalni, skąd roztaczał się widok na

parking od tyłu. W pomieszczeniu, jak zwykle w Londynie, wszystko przesiąknięte było dymem.

– Napije się pani czegoś? – zapytał, wyciągając paczkę playersów. – Wiem, że rzuciła pani palenie, więc nie będę częstował.

– Jedyne, czego mi potrzeba, to odpowiedzi na kilka pytań. – Gdy pocierał zapałkę o pudełko, ręce nieco mu drżały. – Co pan tu, do diabła, robi? – natarłam na niego. – Podobno przyjechał pan do Londynu z powodu śmierci w rodzinie.

– To fakt. Uboczny.

– Uboczny? Nie bardzo rozumiem.

– Pani doktor, i tak zamierzałem rzucić pracę; wtedy zmarła moja matka i to ułatwiło mi podjęcie decyzji.

– A więc nie miał pan zamiaru wracać – zauważyłam dotknięta.

– Przykro mi, ale tak wygląda prawda.

Ostrożnie strząsnął popiół.

– Mógł mi pan o tym powiedzieć, żebym zaczęła szukać kogoś na pańskie miejsce. Dzwoniłam kilkakrotnie, ale pozostało to bez echa.

– Nie powiadomiłem pani i nie dzwoniłem, bo nie chciałem zdradzać się przed nimi.

– Nimi? – W ciszy, która zapadła, czułam, jak atmosfera staje się coraz gęstsza. – To znaczy przed kim?

Palił z obojętną miną; nogi miał skrzyżowane, brzuch pęczniał pod paskiem.

– Nie wiem, kim są, ale oni z całą pewnością wiedzą, kim jesteśmy my. I właśnie to najbardziej mnie przeraża. Opowiem pani wszystko od początku. Zaczęło się to dokładnie trzynastego października. Nie wiem, czy przypomina sobie pani tę sprawę? – Data nic mi nie mówiła. – No cóż,

chodzi o przypadek, w którym Marynarka Wojenna zajęła się sekcją zwłok, gdyż zgon nastąpił na terenie ich stoczni w Norfolk.

– Mężczyzna, którego przez przypadek zgniótł okręt w suchym doku? – Zaczynało mi coś świtać.

– Właśnie.

– Istotnie, sprawę przejęła marynarka – mówiłam i już zaczynałam domyślać się, co powie dalej. – A co nam do tego?

– Sęk w tym, że ekipa ratownicza popełniła błąd – ciągnął. – Mieli przewieźć zwłoki do Szpitala Marynarki Wojennej w Portsmouth, a przywieźli je do mnie; na dodatek młody Danny nie miał pojęcia o pomyłce. Pobrał próbkę krwi, zaczął wypełniać formularze i w trakcie tych czynności odkrył wśród rzeczy znalezionych przy denacie coś bardzo niezwykłego. – Zdałam sobie sprawę, że Mant nie ma pojęcia o dalszych losach Danny’ego. – Ofiara posiadała płócienny tornister, a ratownicy najzwyczajniej w świecie położyli go na ciele i przykryli wszystko prześcieradłem. Nie zachowali się być może najprzytomniej, ale to właśnie dzięki temu wpadliśmy na trop.

– Na trop czego?

– Przy tym facecie znaleźliśmy egzemplarz jakiejś szatańskiej biblii, która – jak się potem okazało – cieszy się mirem wśród członków pewnej sekty. Nowych Syjonistów. Okropna książka, coś potwornego, opisy tortur, morderstw i tego typu historie. Strasznie poruszająca, budząca złe instynkty.

– Czy nosiła tytuł „Księga Handa”? – zapytałam.

– Tak, tak. – Ożywił się. – „Księga Handa”.

– W czarnej skórzanej oprawie?

– Chyba tak. Widniało na niej nazwisko; co dziwniejsze, nie było to nazwisko denata, lecz jakiegoś Shapiro.



– Dwaina Shapiro.

– Jasne. Czyli pani już wszystko o tym wie. – Wiem o księdze, ale nie mam pojęcia, jak ten człowiek ją zdobył, gdyż z całą pewnością nie nazywał się Dwain Shapiro.

– Nazywał się chyba Catlett.

Mant potarł twarz.

– Możliwe, że to on zamordował Dwaina Shapiro i w ten sposób wszedł w posiadanie biblii.

– Nie wiem też nic o dalszych losach tej książki, odkąd znalazł ją Danny – podjął. – Gdy uświadomiłem sobie, że w kostnicy znalazł się trup należący do marynarki, kazałem chłopakowi odwieźć ciało do Portsmouth. Szkoda tylko, że rzeczy tamtego biedaka nie pojechały razem z nim.

– Ale Danny zachował książkę.

– Na swoje nieszczęście. – Pochylił się i zgniótł niedopałek w popielniczce.

– Po co?

– Pewnego razu wszedłem do jego pokoju i zauważyłem ją w jego rękach; spytałem właśnie, po co mu taka książka. Mówił, że sądząc po nazwisku na okładce, biblia mogła zostać przypadkowo zabrana z miejsca przestępstwa, mimo że nie należała do zmarłego. Że może wobec tego tornister także był własnością kogoś innego. – Urwał na moment. – Zdaje mi się, że Danny był po prostu nowicjuszem i popełnił błąd, działając w dobrej wierze.

– Czy w tamtym okresie jacyś dziennikarze dzwonili albo przychodzili do pana biura? Czy ktoś na przykład zadawał jakieś pytania na temat mężczyzny zmiążdżonego przez statek w suchym doku?

– Tak, tak, pojawił się pan Eddings. Pamiętam to jak dziś, bo wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, co mnie mocno zdziwiło. O ile mi wiadomo,

nie powstał na ten temat żaden artykuł.

– Czy istnieje możliwość, że Danny rozmawiał z Eddingssem?

– Zdaje mi się, że ze sobą rozmawiali. – Mant zapatrzył się gdzieś w dal.

– Ale jestem przekonany, że Danny nie okazał się aż tak nieostrożny, by podawać mu jakieś ważne informacje.

– A może dał Eddingsowi „Księgę”, bo tamten przygotowywał artykuł o Nowych Syjonistach?

– Nic mi o tym, prawdę mówiąc, nie wiadomo. Nigdy jej już później nie widziałem na oczy i doszedłem do wniosku, że Danny zwrócił ją ludziom z marynarki. Brakuje mi go. Jak mu leci? Czy już wyleczył kolano? Przeważałem go Skoczek. – Roześmiał się.

– A co zdarzyło się potem? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie, nawet się nie uśmiechając. – Czego się pan wystraszył?

– Dziwne historie. Anonimowe telefony. Czułem, że ktoś mnie śledzi. Jak pani pamięta, kierownik kostnicy odszedł nagle na urlop, nikomu się nie opowiadając. Jednego dnia wyszedłem na parking, patrzę, a cała przednia szyba mojego wozu jest pomazana krwią. Kazałem nawet zbadać ją w laboratorium, gdzie orzekli, że została wzięta z rzeźni, czyli że pochodzi od krowy.

– Domyślam się, że widział się pan z detektywem Roche'em.

– Niestety, tak. Bynajmniej nie przypadł mi do gustu.

– Czy usiłował wyciągnąć od pana jakieś informacje?

– Wpadał od czasu do czasu. Nie oglądał, rzecz jasna, sekcji, bo tego nie mógł znieść.

– Czego chciał?

– Rozmawialiśmy o śmierci tego człowieka z marynarki. Pytał o różne sprawy.

– Czy interesował się rzeczami należącymi do tamtego? Na przykład tornistrem, który znalazł się w kostnicy razem ze zwłokami?

– Wystawia pani na próbę moją dziurawą pamięć, ale fakt, przypominam sobie, że o to pytał. Kazałem mu zwrócić się do Danny’ego.

– I wygląda na to, że Danny nic mu nie powiedział. A już na pewno nie dał mu „Księgi”, która się potem znalazła. – Nie mówiłam, w jakich okolicznościach, gdyż nie chciałam go martwić.

– Ta cholerna „Księga” musi mieć dla kogoś ogromną wagę – rozmyślał na głos.

– Nawet większą, niż przypuszczałam – dodałam zamyślona. Oczekałam chwilę, po czym spytałam: – Czemu mi pan nic nie powiedział? Uciekł i nie uchylił nawet rąbka tajemnicy?

– Szczerze mówiąc, nie chciałem mieszać w te brudne sprawy także pani. Zresztą cała historia wyglądała na zupełnie nieprawdopodobną. – Z wyrazu jego twarzy odgadłam, iż przeczuwa, że od czasu jego wyjazdu w Wirginii zaszły jakieś okropne wypadki. – Nie jestem już pierwszej młodości, pani doktor, i chciałbym po prostu w spokoju sobie jeszcze trochę popracować i dorobić do emerytury.

Nie miałam zamiaru mu niczego wyrzucać, gdyż rozumiałam motywy jego postępowania. Nie umiałam za nic go winić i cieszyłam się, że uciekł, bo prawdopodobnie ocalił w ten sposób własne życie. Ironia losu polegała na tym, że nie wiedział nic istotnego, i gdyby go zamordowano, stałoby się to właściwie bez powodu, tak samo jak w wypadku Danny’ego.

Potem powiedziałam mu całą prawdę, starając się nie pamiętać o obrazach jasnoczerwonej szyny barwy przelanej krwi, liści i śmieci, zaplątanych w zakrwawione włosy. Przypomniał mi się promienny uśmiech Danny’ego i niewielka biała torba, którą wyniósł z małej restauracji na wzgórzu owego wieczoru, gdy pies w sąsiedztwie szczekał całą noc. Przed

oczyma duszy na zawsze miał mi pozostać obraz jego pełnego lęku i smutku wzroku, gdy pomagał mi w badaniu Teda Eddingsa, którego znał lepiej, niż przypuszczałam. Sami o tym nie wiedząc, ci dwaj młodzi mężczyźni krok po kroku przybliżali swoją własną gwałtowną śmierć.

– O Boże. Biedny chłopak – zdołał wykrztusić Mant.

Zakrył oczy chusteczką. Gdy wstałam i wyszłam, jeszcze płakał.

## Rozdział piętnasty

Wieczorem wróciliśmy z Wesleyem do Nowego Jorku; lot minął bardzo szybko, bo sprzyjające wiatry wiały z prędkością ponad stu węzłów. Przeszliśmy przez komorę celną, odebraliśmy bagaże, a potem ujrzeliśmy przy krawężniku autobus, który zawiózł nas do czekającego cały czas learjeta. Nawet się nie zorientowałam, kiedy się ociepliło i zaczęło zbierać na deszcz. Lecieliśmy wśród gigantycznych, czarnych chmur, które były jakby echem naszych ponurych myśli. Mknęliśmy przez sam środek czegoś w rodzaju bitwy, wstrząsanej piorunami i rozświetlanej błyskawicami. Zostałam poinformowana o rozwoju wypadków i wcale nie zdziwiło mnie, że na miejscu zdarzeń oprócz policji i ekipy ratowniczej znaleźli się pracownicy Biura. Z ulgą dowiedziałam się też, że Lucy ściągnięto do Ośrodka Badań Technicznych, OBT, gdzie przynajmniej nic jej nie groziło. Za to Wesley nie raczył mnie zawiadomić, że wraz z całą brygadą antyterrorystyczną została na długo wydelegowana w teren i nieprędko ujrzę ją w Quantico.

– Nic z tego – zareagowałam niczym matka, która czegoś stanowczo zabrania.

– Zdaje mi się, że niewiele masz w tej sprawie do powiedzenia.

Pomagał mi nieść bagaże korytarzem Jeffersona, który o tej porze i w tym dniu świecił pustkami. Przechodząc, pozdrowiliśmy młode kobiety, urzędujące w rejestracji.

– Opamiętaj się – przekonywałam. – Przecież jest świeżo upieczoną pracownicą i nie można stawiać jej w obliczu kryzysu nuklearnego.

– Przed niczym jej nie stawiamy. – Otworzył szklane drzwi. – Potrzebne nam są jedynie jej umiejętności techniczne. Nie będzie żadnym snajperem

czy spadochroniarzem.

– Gdzie jest w tej chwili? – zapytałam, gdy weszliśmy do windy.

– Powinna jeszcze spać.

– Istotnie, jest północ. Pomyślałam, że już jutro i czas wstawać.

– Rozumiem, sam też jestem wykończony.

– Musimy chyba udawać, że między nami do niczego nie doszło – zauważyłam napiętym głosem, bo jak dotąd, nie zamieniliśmy ani słowa na ten temat.

Weszliśmy na korytarz i Wesley wystukał przy drzwiach jakiś szyfr. Odblokował się zamek i przeszliśmy przez następne szklane drzwi.

– Po co mamy udawać? – spytał, wybierając kolejny kod i otwierając następne drzwi.

– To co byś wolał?

Znaleźliśmy się w strzeżonym apartamencie, gdzie zazwyczaj nocowałam, gdy zmuszała mnie do tego praca lub zagrożenie. Zaniósł moje bagaże do sypialni, ja zaś zaciągnęłam ciężkie story w dużych oknach w salonie. Umeblowanie było wygodne, lecz niezbyt wymyślne; gdy Wesley wciąż nie odpowiadał, przypomniało mi się, że w tych pomieszczeniach, gdzie co najmniej telefony były na podsłuchu, lepiej zachować dyskrecję. Wyszliśmy na korytarz i dopiero tam ponowiłam pytanie.

– Cierpliwości – odparł ze smutkiem, a może po prostu ze znużeniem. – Muszę już uciekać do domu. Jutro z samego rana trzeba odbyć naradę z Marcia Gradecki i senatorem Lordem. – Miał na myśli prokurator generalną Stanów Zjednoczonych i Franka Lorda, przewodniczącą komisji sądownictwa i starego znajomego. – Chciałbym, żebyś wzięła w niej udział, gdyż sądzę, że wiesz o tej sprawie najwięcej. Może uda ci się wytłumaczyć, jakie znaczenie ma biblia, w którą wierzą te świrusy. Że dla niej gotowi są umrzeć. I zabić. – Westchnął i potarł powieki. – Musimy też zastanowić się

nad sposobem postępowania z – odpukać w niemalowane drewno – ofiarami ewentualnego skażenia, gdyby ci wariaci uznali jednak, że należy wysadzić reaktory w powietrze. Pozostaje jedynie dołożyć wszelkich starań. – Popatrzył na mnie i domyśliłam się, że mowa nie tylko o obecnej krytycznej sytuacji.

– Staram się, Benton – oświadczyłam i wróciłam do apartamentu.

Zadzwoiłam do centrali i poprosiłam o połączenie z pokojem Lucy. Gdy nikt nie podnosił słuchawki, zorientowałam się, że moja siostrzenica jest w OBT i nie mogę do niej zatelefonować, nie wiedząc, w której części tego olbrzymiego budynku się znajduje. Włożyłam więc płaszcz i opuściłam apartament, uznawszy, że nie usnę, jeśli wcześniej nie zobaczę się z Lucy.

W OBT był osobny szlaban, ustawiony blisko Akademii; większość członków służb policyjnych FBI była już dość dobrze obeznana z moim widokiem. Strażnik zdawał się być zaskoczony i wyszedł z budki, by spytać, co tu robię o takiej porze.

– Podobno moja siostrzenica pracuje tutaj po nocy – zaczęłam się tłumaczyć.

– To prawda, widziałem, jak wchodziła. – Można się z nią jakoś skontaktować?

– Domyśla się pani, gdzie może teraz być?

Zmarszczył czoło.

– Może w komputerowni.

Próbował ją znaleźć, lecz nadaremnie.

– To ważna sprawa – stwierdził raczej, niż zapytał.

– Tak, to prawda.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością.

– Jednostka czterdzieści dwa do bazy – mówił do krótkofalówki.

- Czterdzieści dwa, słucham.
- Sto dwadzieścia pięć mnie przez bramę OBT?
- Sto cztery.

Czekaliśmy na zmiennika, który zajął miejsce w stróżówce, podczas gdy jego kolega wprowadził mnie do środka. Przez jakiś czas błądziliśmy po długich, pustych korytarzach, naciskając klamki kolejnych zamkniętych drzwi do maszynowni i laboratoriów, w których mogła przebywać moja siostrzenica. Po mniej więcej piętnastu minutach uśmiechnęło się do nas szczęście. Strażnikowi udało się otworzyć drzwi, za którymi zobaczyliśmy masę zajętych pracą ludzi. W samym środku siedziała Lucy w rękawicy i hełmie do wyświetlania rzeczywistości wirtualnej, podłączonych do grubych, czarnych kabli, wijących się po podłodze.

- Da pani sobie radę? – zapytał wartownik.
- Tak, dziękuję panu bardzo.

Personel w fartuchach laboratoryjnych kręcił się przy komputerach, interfejsach i sporych ekranach wideo; wszyscy co do jednego zobaczyli moje wejście. Ale Lucy nie widziała niczego. Tak naprawdę była nie w tym pomieszczeniu, lecz w pokoju na małym monitorze, gdzie chodziła zapewne po wirtualnym odwzorowaniu elektrowni atomowej w Old Point.

- Teraz przybliżenie – oznajmiła, przyciskając jakiś guzik na rękawicy.

Obszar obejmowany przez ekran wideo nagle znacznie się powiększył, a postać przedstawiająca Lucy zatrzymała się przed zamkniętymi żelazną kratą schodami.

– Niech to szlag, spadam – powiedziała rozdrażniona. – Nic z tego nie wyjdzie.

– Na pewno się uda – sprzeciwił się jakiś młody mężczyzna, który wpatrywał się w czarną skrzynkę – chociaż nie będzie to łatwe.



– Sama nie wiem, Jim – przystanąła i coś tam poprawiała – czy na przeszkodzie stoją dane o wysokiej rozdzielczości, czy ja sama.

– Chyba ty.

– Może cyberprzestrzeń wychodzi mi już bokiem – oświadczyła, jednocześnie obracając się wewnątrz czegoś, co przypominało taśmy przenośnika i olbrzymie turbiny.

– Rzucę okiem na algorytm.

– Wiesz co – zaczęła, schodząc po wirtualnych schodach – może powinniśmy wyrazić to w języku C i przejść z opóźnienia 3-4 do 304 mikrosekund.

– Zgoda. Sekwencje transferowe nie działają – włączył się ktoś jeszcze.  
– Musimy poprawić pętle czasu.

– Nie możemy sobie pozwolić na bawienie się w szczegóły – dorzucił ktoś inny. – Lucy, przyszła ciotka.

Myślała chwilę, by następnie podjąć wątek, jakby w ogóle nic do niej nie dotarło.

– Do rana przekształcę to na język C. Musimy być precyzyjni, bo inaczej Toto gdzieś utknie albo spadnie ze schodów i wszystko pójdzie na marne.

Doszłam do jedyne go możliwego wniosku, że Toto to bulwiasta głowa o jednym oku, zamocowana na stalowym korpusie wzrostu co najwyżej metra. Zamiast nóg stwór miał gąsienice, w miejscu rąk – uchwyty, a ogólnie do złudzenia przypominał czołg z własnym napędem. Toto zatrzymał się niedaleko od swojej pani, która zdejmowała hełm.

– Trzeba zmienić bio-sterowniki na rękawicy – zauważyła, usiłując zdjąć tę część ekwipunku.

– Przyzwyczyłam się, że jeden palec oznacza do przodu, a dwa – do tyłu. A tu jest odwrotnie. Nie można sobie w tak ważnej chwili pozwalać na banalne pomyłki.

– Nie ma problemu – obiecał Jim i podszedł, by pomóc jej zdejmować rękawicę.

Lucy sprawiała wrażenie osoby na krawędzi obłądu.

– Jak się tu dostałaś? – Nie było to serdeczne powitanie.

– Pomógł mi jeden ze strażników.

– Dzięki Bogu, znają cię. – Benton mówił, że cię tu przywieźli, bo jesteś potrzebna Brygadzie. Ciesz się mnie to.

– Tylko na chwilę. – Patrzyła na swoich kolegów przy pracy. Nie od razu to zrozumiałam, nie chcąc w ogóle o tym słyszeć. – Większość ludzi już tam jest.

– W Old Point – dokończyłam. – Rozstawiliśmy tam nurków, snajperów i śmigłowce. Ale wszystko na nic, dopóki ktoś nie przedostanie się do środka.

– Tą osobą nie będziesz, rzecz jasna, ty. – Wiedziałam, że gdyby zaprzeczyła, nasłaby mnie ochota wybicia do nogi całego FBI.

– W pewnym sensie ja, bo to ja będę sterowała Toto. Jim – zawołała – skoro już przy tym jesteś, dodaj komendę do latania!

– Czyli Toto będzie miał skrzydła – zażartował ktoś. – Super, bo przyda nam się sprytny anioł stróż.

– Lucy, czy ty w ogóle masz pojęcie, z jakiego pokroju ludźmi będziesz miała do czynienia?

– No nie, ciociu, co ty sobie wyobrażasz? – Spojrzała na mnie i westchnęła. – Masz mnie za gówniarza, bawiącego się w gierki komputerowe?

– Zdaje mi się, że nie sposób się tym nie przejąć. – Wszyscy się tym teraz przejmują – oświadczyła posępnie. – Muszę zabrać się z powrotem do roboty. – Zerknęła na zegarek i wciągnęła głęboki haust powietrza. – Masz ochotę zorientować się, co planujemy?

– Tak.

– Punktem wyjściowym – usiadłyśmy na podłodze, oparte plecami o ścianę – jest następujący pomysł. Z reguły wynalazki w rodzaju Toto steruje się za pomocą radia, ale ono nie zadziałałoby w budynku o takiej zawartości stali i betonu. Dlatego wpadłam na lepszą myśl. Zamiast tego wyposażymy go w światłowód, który będzie zostawiał za sobą niczym ślad.

– Gdzie się to wszystko będzie działo? – zapytałam. – W elektrowni?

– Nad tym się akurat zastanawiamy. Dużo zależy od rozwoju wypadków. Możliwe, że będziemy działali w ukryciu, zbierając na przykład informacje. Może też skończyć się jawną akcją, gdyby terroryści mieli na przykład ochotę na montaż specjalnego telefonu kontaktowego dla zakładników. Toto musi być przygotowany na wszystko.

– Oprócz schodów.

– Ze schodami też sobie radzi. Z jednymi lepiej, z innymi gorzej.

– Światłowód będzie służył wam jako oczy?

– Zostanie podłączony bezpośrednio do rękawic. – Uniosła rękę. – I będę poruszała się, jakbym była Toto. Rzeczywistość wirtualna umożliwi mi znalezienie się w środku, tak bym mogła natychmiast reagować na wszystkie bodźce odebrane przez jego czujniki. Większość z nich utrzymana jest w tym ślicznym odcieniu szarości. – Wskazała ręką kolegę w drugim końcu pomieszczenia. – Inteligentna farba pozwoli mu uniknąć zderzeń z przedmiotami – dorzuciła, jakby darzyła maszynę jakimiś uczuciami.

– Czy Janet wróciła razem z tobą?

– Ma coś do zrobienia w Charlottesville.

– Co?

– Wiemy, kto włamywał się do komputera firmy energetycznej. Asystentka, naukowiec specjalizujący się w fizyce atomowej. Niezłe

zaskoczenie.

– Jak się nazywa?

– Loren jakaś tam. – Potarła twarz. – Po co ja w ogóle siadałam? Od zbyt długiego pobytu w cyberprzestrzeni zaczyna się człowiekowi kręcić w głowie. Ostatnio robi mi się od tego niedobrze. No, jak ją tam. – Pstryknęła parę razy palcami. – McComb. Loren McComb.

– Młoda? – ciągnęłam, przypominając sobie, że Cleta wspominała o dziewczynie Eddingsa, która miała na imię Loren.

– Pod trzydziestkę.

– Skąd?

– Urodziła się w Anglii, ale jest narodowości południowoafrykańskiej. Murzynka.

– Co tłumaczy, dlaczego pani Eddings miała ją w głębokim poważaniu.

– Że co?

Lucy dziwnie na mnie popatrzyła.

– Jakieś powiązania z Nowymi Syjonistami?

– Wygląda na to, że zetknęli się gdzieś w sieci komputerowej. Jest bardzo bojowo nastawiona do rządu. Sądzę, że przeciągnęli ją na swoją stronę, w miarę jak się ze sobą porozumiewali.

– Wiesz co, Lucy, ona była dziewczyną Eddingsa, która być może pomogła w końcu Nowym Syjonistom go wykończyć, na przykład przy pomocy kapitana Greena.

– Dlaczego miałyby pomagać najpierw jemu, a potem im?

– Być może uznała, że nie ma innego wyjścia. Jeśli dostarczała mu informacji, które mogły zaszkodzić sprawie Handa, pewnie przekonali ją, że musi to okupić w ten sposób, albo ją najzwyczajniej w świecie nastraszyli.

Przypomniała mi się butelka szampana w lodówce Teda; ciekawe, czy miał zamiar spędzić sylwestra w towarzystwie swojej dziewczyny.

– Jak mogła im pomóc? – dopytywała się Lucy. – Najprawdopodobniej znała szyfr do jego alarmu antywłamaniowego, może nawet do sejfu. – Na koniec przyszła mi do głowy jeszcze potworniejsza możliwość. – Możliwe, że popłynęła z nim wtedy tą łódką. W takim wypadku to ona mogła go otruć. Jest, koniec końców, naukowcem.

– Żeby to szlag.

– Mam nadzieję, że ją przesłuchiwałaś – ciągnęłam.

– To sprawa Janet. McComb utrzymuje, że osiemnaście miesięcy temu pracowała w Internecie, gdy natrafiła na ogłoszenie, z którego wynikało, że jakiś producent filmowy przygotowuje film, w którym grupa terrorystów opanowuje elektrownię atomową, chcąc dzięki temu wytworzyć kryzys w rodzaju konfliktu z Koreą Północną, zdobyć nadający się do wykorzystania w bombach pluton i tak dalej. Ów rzekomy producent potrzebował konsultacji technicznych, za które był oczywiście gotów zapłacić.

– Podała jego nazwisko?

– Cały czas określał się przydomkiem Alias, jakby chciał zasugerować, że jest sławny. Wytargowała sporą stawkę i współpraca ruszyła pełną parą. Podawała mu informacje zawarte w pracach naukowych, do których miała dostęp z racji wykonywanego zawodu. Wymyśliła dla tego wypierdka praktycznie każdą możliwą receptę na zdobycie zakładu w rodzaju Old Point i przekazanie Arabom ładunków paliwa.

– A kontenery?

– Właśnie. Ukraść masę zubożonego uranu z Oak Ridge. Wysłać metal do Iraku, Algierii czy gdzie tam jeszcze, gdzie przerobią go na studwudziestopięcotonowe skrzynie, które należy przetransportować z powrotem do nas, żeby czekały, aż wybije godzina akcji. Wytłumaczyła mu

też, w którym momencie uran we wnętrzu reaktora zamienia się w pluton. – Urwała i rzuciła okiem w moją stronę. – Twierdzi, że nigdy w życiu nie przyszedłoby jej do głowy, że przykłada rękę do rzeczywistej katastrofy.

– A czy włamując się do komputerów, nadal cierpiała na utratę poczucia rzeczywistości?

– W tym punkcie zaczyna się plątać, nie jest w stanie uzasadnić swojego działania.

– To dość proste – odparłam. – Eddingsa interesowały wszystkie rozmowy telefoniczne z krajami arabskimi, przeprowadzane przez ludzi na pewnych stanowiskach. Ich listę zdobył poprzez terminal w Pittsburghu.

– A nie uważasz, że Nowym Syjonistom nie w smak poszłaby pomoc udzielana narzeczonemu, który był, niestety, dziennikarzem?

– Było jej chyba wszystko jedno – odparłam. – Pewnie świetnie się bawiła, służąc dwóm panom. Z pewnością znienacka poczuła się kimś niezwykle ważnym, a czegoś takiego nie dane jej było, jak dotąd, zaznać w spokojnym świątku uniwersyteckim. Przypuszczam, że cała groza sytuacji zaczęła do niej docierać, dopiero gdy Eddings zaczął się kręcić koło Basenu Nieczynnych Okrętów i biura kapitana Greena; wtedy Nowi Syjoniści zorientowali się, że informatorka, pani McComb, stanowi groźbę dla powodzenia całej misji.

– Gdyby Eddings się domyślił, ich plany nigdy nie doczekałyby się realizacji.

– Właśnie – zgodziłam się. – Gdyby komuś z nas udało się w porę dojść prawdy, nie mielibyśmy teraz problemów. – Patrzyłam, jak jakaś kobieta w fartuchu manipuluje rękami Toto w ten sposób, by uniósł on pudło. – Jak Loren McComb zachowywała się w czasie przesłuchania?

– Beznamiętnie. Nie okazywała dosłownie żadnych uczuć.

– Ludzie Handa mają wszechogarniający wpływ.

– Pewnie, skoro umięję przekonać kobietę, żeby zamordowała własnego narzeczonego. – Lucy także przyglądała się swojemu robotowi i wcale nie cieszyło jej to, co widziała.

– Mam tylko nadzieję, że Nowi Syjoniści nie dotrą do miejsca, gdzie znajduje się Loren McComb.

– Umieszczono ją w odosobnieniu. – Urwała, gdyż Toto ni stąd, ni zowąd zastygł w bezruchu, a pudło z łomotem spadło na ziemię. – Na ile nastawiliście wytrzymałość ramienia? – krzyknęła.

– Na osiem.

– Zredukujcie do pięciu. Kurde. – Znowu potarła twarz. – Tylko tego brakowało.

– No dobra, idę teraz trochę się przespać w Jeffersonie.

Podniosłam się.

– Mieszkasz jak zwykle na strzeżonym piętrze? – Znowu obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem.

– Tak.

– Nie wiem, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, ale twoją sąsiadką jest Loren McComb.

Okazało się, że mieszkamy przez ścianę, tyle że jej nie wolno było opuszczać kwatery. Ale gdy trochę czytałam przed snem, z jej pokoju dobiegały mnie odgłosy telewizora. Słyszałam, jak zmienia programy, potem usłyszałam muzykę ze „Star Trek”, z jakiegoś powtarzanego, starego odcinka. Przez wiele godzin dzieliło nas zaledwie kilka metrów, a ona nie miała o tym pojęcia; wyobrażałam sobie, jak z niezmaconym spokojem miesza w butli kwas chlorowodorowy i cyjanek, po czym kieruje mieszaninę przez otwór wlotowy sprężarki. Długi, czarny wąż miotał się przez chwilę w wodzie. Później poruszyć go mógł już tylko leniwy nurt rzeki.

– Niech ci się to dziś przyśni – mówiłam do niej, mimo że mnie nie słyszała. – Dziś i przez całe zasrane życie.

Zgasiałam ze złością lampkę.



# Rozdział szesnasty

Nazajutrz wczesnym rankiem za oknami rozpościerała się gęsta mgła i w Quantico panował głębszy niż zwykle spokój. Nie słyszałam strzałów na żadnej ze strzelnic, wyglądało też na to, że piechota morska jeszcze śpi. Po przejściu przez dwoje szklanych drzwi i dojściu do windy usłyszałam szcęk otwieranego w drzwiach sąsiadki zamka.

Nacisnęłam guzik na niższe piętro i patrzyłam, jak dwie agentki w zakietach szły po obu stronach Murzynki, wbijającej wzrok w moją twarz, jakbyśmy się skądś znały. Loren McComb miała bezczelny wzrok i kroczyła z dumą, jakby ta właśnie cecha pozwalała jej przetrwać i zapewniała powodzenie w życiu.

– Dzień dobry – zagadnęłam.

– Dzień dobry, pani doktor – przywitała się ze mną pośpiesznie jedna z agentek, gdy wszystkie cztery wsiadłyśmy do windy.

Dotarłyśmy w milczeniu do pierwszego piętra i czułam cierpki, nieprzyjemny zapach kobiety, która nauczyła Joela Handa, jak buduje się bombę. Miała na sobie wytarte, obcisłe dżinsy, trampki i białą bluzkę, ledwie skrywającą potężnie zbudowane ciało, które musiało swego czasu uspić czujność Teda Eddingsa. Stałam za jej plecami i przypatrywałam się fragmentowi jej twarzy. Oblizywała często wargi i wpatrywała się prosto w drzwi, które jak dla mnie, otwarły się o wiele za późno. Cisza zalegała równie gęsta, jak mgła na zewnątrz. Wreszcie winda stanęła na pierwszym piętrze. Nie śpieszyłam się, wychodząc, obserwowałam, jak dwie kobiety, nawet nie tykając McComb, prowadzą ją dalej. Nie było takiej potrzeby, bo w razie czego zawsze mogły ją zatrzymać. Odprowadziły McComb korytarzem, po czym skręciły w jeden z niezliczonych tak zwanych krecich

labiryntów; bardzo się zdziwiłam, gdy na koniec zatrzymana odwróciła się i spojrzała w moją stronę. Dostrzegła wrogie spojrzenie i ruszyła dalej, czyniąc pierwszy krok w swojej (mam nadzieję) długiej wędrówce po zakładach karnych.

Schodami dotarłam do kawiarni, gdzie na ścianach wisiały flagi wszystkich stanów. Wesleya dojrzałam w kącie, pod flagą Rhode Island.

– Widziałam przed chwilą Loren McComb – oznajmiłam, stawiając tacę na stoliku.

– Jej przesłuchania zajmą dziś sporo czasu.

Zerknął na zegarek.

– Uważasz, że te zeznania mogą się nam do czegoś przydać?

– Już za późno – odparł zwięźle.

Przysunął mi solniczkę i pieprzniczkę.

Zjadłam jajecznicę z białek i grzanek, do tego napiłam się czarnej kawy; wokół nas agenci i świeżo upieczeni policjanci z Akademii Państwowej zamawiali omlety i wafle. Niektórzy prosili o kanapki z bekonem albo kielbasą. Przyszło mi do głowy, jak okropnie jest żyć na nudnej diecie dla starców.

– Na nas czas. – Zabrałam tacę, bo zdarzały się dni, że nie chciało mi się patrzeć na jedzenie.

– Jeszcze nie skończyłem.

Bawił się łyżeczką.

– Zamówiłeś granolę i już nie ma ani śladu na talerzu.

– Zawsze mogę poprosić o dokładkę.

– Nie możesz.

– Zastanawiam się.

– Wal śmiało. – Zainteresowało mnie, co może mieć do powiedzenia.

– Jak istotna jest ta „Księga Handa”?

- Bardzo. Nasze kłopoty zaczęły się między innymi z chwilą, gdy Danny, niczego nie podejrzewając, dał jeden egzemplarz Eddingsowi.
- Czemu przywiązujesz do niej aż taką wagę?
- To ty jesteś psychologiem. Powinieneś wiedzieć, że dzięki „Księdze” możemy przewidzieć ich kolejne posunięcia.
- Ładna perspektywa.



Była dziewiąta, gdy minęliśmy strzelnicę i dotarliśmy do łąki, na której stała sala gimnastyczna, gdzie członkowie Brygady trenowali akcje takie, jak na przykład dzisiejsza; nie zostało już po nich ani śladu, gdyż wszyscy, z wyjątkiem naszego pilota Whita, znaleźli się w Old Point. Jak zwykle milczał; w czarnym kombinezonie lotniczym, szczupły i wysportowany, stał obok biało-niebieskiego bella 222, dwusilnikowego helikoptera, który także stanowił własność CP&L.

– Witam.

Wesley skinął głową.

– Dzień dobry – dodałam.

W pomieszczeniu, które przypominało kabinę niewielkiego samolotu, znajdowały się cztery siedzenia. Senator Lord był po uszy w czymś zaczytany, siedząca naprzeciw niego prokurator generalna także przerzucała jakieś dokumenty. Przywieziono ich tu z Waszyngtonu i wyglądało na to, że przez ostatnich parę nocy nie dane było im się wyspać.

– Cześć, Kay – zagadnął senator, nie podnosząc nawet wzroku.

Był w ciemnym garniturze i białej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. Krawat miał intensywnie czerwony, spinki do mankietów – firmowe, senackie. Z kolei Marcia Gradecki włożyła zwyczajną, jasnoniebieską sukienkę i żakiet, do tego perły. Robiła duże wrażenie, jej energiczna twarz

od razu wzbudzała sympatię. Karierę Gradecki zaczynała co prawda w Wirginii, ale nie miałyśmy jakoś okazji się poznać.

Wesley nas sobie przedstawił; wznieśliśmy się w doskonale błękitne niebo. Lecieliśmy nad jasnożółtymi szkolnymi autobusami, które o tej porze świeciły jeszcze pustkami, potem zabudowania ustąpiły miejsca bagnetom, siatkom na kaczkę i dużym połaciom lasu. Blask słoneczny tworzył w koronach drzew jasne smugi; gdy dotarliśmy do James, nasze odbicie na rzece przesunęło się bezszelestnie śladem helikoptera.

– Za chwilę dolecimy do Governor’s Landing – informował Wesley, a do porozumiewania się między sobą nie potrzeba nam było słuchawek. – To filia CP&L, zajmująca się obrotem nieruchomości. Mieszka tu Brett West. Pełni on funkcję wicedyrektora działu operacji i mieszka w tamtym domu za dziewięćset tysięcy dolarów. Tam go właśnie widać. Z cegły, z tyłu basen i boisko do koszykówki.

Na osiedlu widać było sporo domów, przy których ulokowano baseny i gdzie bujnie rozkwitała zieleń. Dojrzeliliśmy także pole golfowe i klub jachtowy, gdzie podobno West trzymał swoją żaglówkę.

– A gdzie nasz pan West? – spytała prokurator, w miarę jak pilot kierował się na północ, do punktu, gdzie zbiegały się nurty rzek Chickahominy i James.

– W tej chwili nic nam o tym nie wiadomo.

Wesley nie odrywał wzroku od okna.

– Rozumiem, iż podejrzewa go pan o współudział – włączył się senator.

– Nie mam co do tego ani cienia wątpliwości. Gdy CP&L postanowiło założyć filię w Suffolk, zbudowano biura w sąsiedztwie farmy człowieka nazwiskiem Joshua Hayes.

– Ktoś dobierał się także do komputerowego spisu jego rozmów telefonicznych – dodałam.

– To znaczy hackerka – zauważyła Gradecki.  
– Zgadza się.  
– Która została zatrzymana.  
– Tak. Wygląda na to, że była związana z Tedem Eddingsem, który właśnie przez nią wmieszał się w całą aferę, zakończoną jego gwałtowną śmiercią – ciągnął stanowczo Wesley. – Jestem przekonany, że West od samego początku był wspólnikiem Joela Handa. O, teraz widać filię. – Pokazał ręką. – Rzecz jasna – dorzucił sarkastycznie – stoi obok posiadłości Handa.

Filia wyglądała właściwie jak duży parking, na którym stały ciężarówki i pompy, a wśród nich wzniesione wedle seryjnego projektu budynki. Na czerwonych dachach wymalowano nazwę przedsiębiorstwa. Gdy przelecieliśmy nad tym kompleksem i minęliśmy sporą kępę drzew, wzrok nasz padł na mierzący pięćdziesiąt akrów półwysep na rzece Nansemond; tu mieszkał Joel Hand, za wysokim, metalowym parkanem, który był ponoć pod napięciem.

Na posesji stało sporo domków wielorodzinnych i baraków, jego własna willa nieco już podniszczona, wspierała się na białych kolumnach. To jednak nie te budowle stanowiły powód do zmartwienia. O wiele gorsze były duże, drewniane budynki, przypominające magazyny, wzniesione rzędem wzdłuż torów kolejowych, które wiodły do prywatnej stacji rozładunkowej, gdzie nad wodą stały gigantyczne dźwigi.

– Nie wygląda mi to na zwykłe stodoły – zauważyła pani prokurator. – Co wywożono z tej farmy?

– Albo co na nią przywożono – dorzucił senator, a wtedy opowiedziałam im o materiale, którego ktoś naniósł na podszwach do mojego mercedesa.  
– Może materiał pochodzi z miejsca, gdzie przechowywano kontenery. Te

budowie są chyba wystarczającej wielkości, poza tym do takich celów potrzeba dźwigów i wagonów kolejowych.

– W takim układzie śmierć Danny’ego uzyskałaby niezaprzeczalny związek ze sprawą Nowych Syjonistów – dodała prokurator, niespokojnie przebierając w palcach perły.

– A przynajmniej z osobą, która wchodziła lub wychodziła z magazynów, gdzie trzymano takie zbiorniki – odparłam. – Na śladowe ilości zubożonego uranu można natrafić praktycznie wszędzie, co oznacza, iż pojemniki rzeczywiście wyściełane są tym pierwiastkiem.

– Zatem człowiek ten mógł mieć uran na podszwach i w ogóle o tym nie wiedzieć – zauważył senator Lord.

– Bez wątpienia.

– Trzeba urządzić wielką rewizję – dorzucił.

– Zgadzam się – podjął Wesley. – I to jak najwcześniej.

– Jak dotąd, nie zrobili nic, co można by im udowodnić – ostudziła ich Gradecki. – Nie znamy prawdopodobnej przyczyny ataku. Nowi Syjoniści nie przyznali się do odpowiedzialności za wydarzenia w elektrowni.

– Tak, znam te procedury, ale przestańmy się wygłupiać. Zdaje mi się, że na tej farmie są tylko psy. I jak to wytłumaczyć, jeśli Nowi Syjoniści nie mają nic wspólnego ze sprawą? Gdzie się wszyscy podziali? Przecież wiemy to aż za dobrze.

Obserwowaliśmy zamknięte w zagrodzie pinczery i doberman, które szczerkały na krążący w powietrzu samolot.

– Jezus Maria – odezwał się Wesley – nigdy przedtem nie myślałem, że oni wszyscy mogą być teraz w Old Point. – Mnie też nie przyszło to do głowy, w której zaczęła się już formować przerażająca koncepcja. – Nie wiedzieć czemu zakładaliśmy, że liczba Nowych Syjonistów jest mniej

więcej ustalona – ciągnął – a przecież istnieje możliwość, że na farmie zostali tylko członkowie sekty, których przygotowywano do ataku.

– W tym Joel Hand. – Zerknęłam na Wesleya. – Wiadomo, że tu mieszkał. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że był pasażerem tego autobusu. Pewnie siedzi z innymi w elektrowni. Jest ich przywódcą.

– Nie, bogiem – zaproponowałam.

Zapadła dłuższa chwila ciszy.

– Sęk w tym, że on ma nie po kolei w głowie – przerwała milczenie Gradecki.

– Niestety, sprawy mają się o wiele gorzej: on jest zły.

– I na każdym kroku działa pod dyktando swego fanatycznego umysłu – ciągnął Wesley – o ile tam w ogóle jest. – Ważył każde słowo. – W takim wypadku zagrożenie nie sprowadza się tylko i wyłącznie do zwykłej ucieczki z barką wyładowaną paliwem atomowym. Akcja może się w każdej chwili zamienić w próbę zbiorowego samobójstwa.

– Nie bardzo wiem, o co wam chodzi – oświadczyła Gradecki, która nie miała zbytniej ochoty nas słuchać. – Moim zdaniem, motyw przestępstwa jest jasny.

Myślałam o „Księdze Handa” i o tym, jak nowicjuszom trudno wyobrazić sobie, do czego zdolny jest człowiek pokroju jej autora. Patrzyłam na prokurator generalną, a samolot przelatywał nad szeregami szarych tankowców i transportowców, znanych pod nazwą Martwej Floty Marynarki Wojennej. Stały zakotwiczone na rzece James i z dala wyglądało to tak, jakby Wirginia znajdowała się w stanie oblężenia – co było w pewnym sensie prawdą.

– Pierwszy raz coś takiego widzę – mruknęła Gradecki zdumiona, spoglądając w dół.

– A szkoda – wypalił senator Lord – bo to wy, demokraci, odpowiadacie za zwolnienie ze służby czynnej połowy okrętów marynarki. Nie ma nawet miejsca na kotwiczowiska. Umieszcza się je, gdzie popadnie, i straszą niczym cienie dawnej potęgi, nie mogąc się już na nic przydać, nawet gdybyśmy potrzebowali szybkiego postawienia w stan gotowości wielkiej floty. Zanim dałoby się je doprowadzić do stanu używalności, wojna w Zatoce Perskiej zdążyłaby przejść do historii, tak samo jak walki, w których właśnie te okręty brały niegdyś udział.

– Już mnie przekonałeś, Frank – przerwała mu stanowczo. – Dzisiaj mamy na głowie ważniejsze sprawy.

Wesley założył słuchawki, chcąc porozmawiać z pilotami. Poprosił o przedstawienie aktualnego położenia, po czym zaszuchał się i zapatrzył na prom w Jamestown. Gdy się rozłączył, na twarzy malował mu się niepokój.

– Za kilka minut lądujemy w Old Point. Terrorysty wciąż nie nawiązują z nami kontaktu i nie wiadomo, ile padło ofiar.

– Słyszę jakieś helikoptery – odezwała się.

Zamilkliśmy i w powstałej ciszy rozległo się charakterystyczne dudnienie śmigieł. Wesley włączył mikrofon.

– Przecież Federalna Agencja Lotnicza miała nam, do cholery, zarezerwować ten rejon. – Urwał na chwilę. – Nic z tego. Bez pozwolenia nie wolno pojawić się w promieniu mili. – Przerwali mu. – Tak, tak. – Coraz bardziej się denerwował. – Jezus Maria! – krzyknął, w miarę jak narastał huk helikopterów.

Obok nas przemknęły dwa hueye i dwa black hawki, na których widok Wesley odpiął pasy, jakby gdzieś się wybierał. Podszedł do okna po drugiej stronie kabiny i wyjrzał przez nie. Mówił odwrócony tyłem do senatora, czuć było, że z trudem tłumi wściekłość.



– Panie senatorze, niepotrzebnie wzywał pan Straż Narodową. Czeka nas bardzo delikatna operacja i nie możemy, powtarzam, nie możemy, pozwolić, żeby ktokolwiek mieszał się do naszych planów lub wdzierał się do naszej przestrzeni powietrznej. Pozwoli pan, że przypomnę, iż teren ten podlega jurysdykcji policyjnej, nie wojskowej. Znajdujemy się na ...

– Nie wzywałem ich i całkowicie się z panem zgadzam – przerwał mu senator Lord.

– Więc czyja to sprawka? – spytała Gradecki, która była najwyższym zwierzchnikiem Wesleya.

– Pewnie gubernatora – rzekł senator, patrząc w moją stronę i z tonu głosu poznałam, że też nie posiada się z wściekłości. – To wygląda na kolejny z jego głupich kroków, bo w głowie mu tylko następne wybory. Proszę mnie natychmiast połączyć z jego biurem.

Senator nałożył słuchawki i po chwili, nie przejmując się, że ktoś może podsłuchiwać, zaczął tyradę:

– Na litość boską, Dick, padło ci na głowę? Nie, nie mam zamiaru wysłuchiwać takich rzeczy – warknął. – Przeszkadzasz nam w robocie, a jeśli poleje się krew, zapewniam cię, że ogłoszę wszem i wobec, czyja to wina ...

Uciszył się i w miarę jak słuchał, ogarniała go prawdziwa biała gorączka. Następnie wygłosił kilka dalszych celnych uwag, gubernator zaś wycofywał śmigłowce Straży Narodowej. Helikoptery nie zdążyły nawet wylądować, lecz po prostu zmieniły szyk i uniosły się wyżej. Ominęły Old Point, które już zaczynaliśmy dostrzegać; nad betonowymi zbiornikami z kształcie stożków unosiły się w przejrzystym, błękitnym powietrzu kłęby pary.

– Najmocniej przepraszam – zwrócił się do nas senator, który był nade wszystko dżentelmenem.

Oglądaliśmy dziesiątki wozów policyjnych i strażackich, karetok pogotowia, kolorowych anten satelitarnych i furgonetek ekip filmowych. Mnóstwo ludzi kręciło się na zewnątrz, jakby korzystali z pięknej pogody, a Wesley poinformował nas, że budynek, wokół którego skupili się ludzie, to ośrodek dla zwiedzających, w którym mieści się także dowództwo zewnętrznej sieci placówek ochrony.

– Jak widać – mówił – znajduje się on nie dalej niż kilometr od głównego budynku elektrowni.

– Czyli od miejsca, gdzie ulokowano sterownię? – dopytywałam się.

– Zgadza się. To tamten trzypiętrowy budynek z brązowej cegły. Tam właśnie siedzą, przynajmniej tak sądzimy, razem z zakładnikami.

– Nie ma innej możliwości, o ile żywią wobec reaktorów jakieś zamiary, jeśli chcą je na przykład wyłączyć, co już się zresztą stało – zauważył senator Lord.

– Co się stanie, jeżeli zrealizują taki plan? – zapytała pani prokurator.

– Już wprowadzili go w życie, Marcio. Pracują jednak generatory zapasowe, więc nikomu nie odetnie się dostaw energii. Sam zakład posiada awaryjne źródło zasilania – ciągnął Lord, który był znany ze swego stuprocentowego poparcia dla energii atomowej.

Po obu stronach elektrowni biegły dwa akweny, jeden przeprowadzony z pobliskiej rzeki James, drugi wiodący do sztucznego jeziora. Kilometrami ciągnęły się transformatory i linie przesyłowe, parkingi z rzędami samochodów, w większości należących do ekip ratunkowych. Trudno było znaleźć jakąś ukrytą drogę do głównego budynku, jako że elektrownie atomowe konstruuje się tak, by zapewnić maksimum bezpieczeństwa. Celem głównym było zagradzanie drogi wszystkim nie upoważnionym, do których, niestety, należeliśmy także my. Dostanie się do środka na przykład

przez dach pociągałoby za sobą wycinanie dziur w metalu i betonie; do drzwi i okien nie sposób było podejść niepostrzeżenie.

Podejrzewałam, że Wesley wiąże pewne nadzieje ze szlakiem wodnym, gdyż nurkowie z Brygady mogli nie zauważeni dostać się do jeziora albo rzeki, by popłynąć którymś ze zbiorników w pobliżu elektrowni. Wydawało mi się, że dzięki temu mogliby się znaleźć w odległości dwudziestu metrów od tych samych drzwi, które uprzednio szturmem zdobyli terroryści, ale nie miałam pojęcia, jakie są szanse przemknięcia niepostrzeżenie po wyjściu z wody. Wesley nie przedstawiał nam żadnych konkretnych planów, bo prokurator generalna i senator byli wprawdzie naszymi sprzymierzeńcami, a nawet przyjaciółmi, lecz mimo wszystko pozostawali politykami. I FBI, i policja nie chcieli, żeby Waszyngton wtrącał się do ich misji. Starczyło, że gubernator zdążył się już wygłupić.

– Zwróćcie uwagę na duże białe litery przy głównym wejściu – mówił Wesley. – Tam właśnie znajduje się główny punkt dowodzenia pierwszej linii zabezpieczeń.

- Myślałam, że to wóz ekipy telewizyjnej – zauważyła prokurator.
- Stamtąd płyną sygnały do pana Handa i jego wesołych kamratów.
- Jakże?
- Na początek poproszę ich o rozmowę.
- Nikt się z nimi jeszcze nie porozumiewał? – zapytał senator.
- Jak dotąd, nie przejawiali żadnego zainteresowania negocjacjami.



Bell 222 powoli i hałaśliwie schodził na ziemię, a dziennikarze gromadzili się na lądowisku, znajdującym się naprzeciw centrum dla gości. Zabraliśmy torby i dyplomatki, po czym wysiedliśmy, prąc naprzód mimo silnego wiatru, wytwarzanego przez łopaty śmigieł. Ja i Wesley szliśmy

szybko w milczeniu. Gdy raz się obejrzałam, zobaczyłam senatora Lorda w otoczeniu wianuszka mikrofonów i najlepiej zbudowaną w kraju prawniczkę, której usta się nie zamykały, gdy wygłaszała pełne troski deklaracje.

Weszliśmy do ośrodka dla zwiedzających, gdzie rozmieszczono liczne obrazy i tabele, które miały przyciągnąć uwagę wycieczek szkolnych i ciekawskich. Teraz jednak całym obszarem podzieliły się policja miejscowa i stanowa. Funkcjonariusze pili zimne napoje, jedli hamburgery i kanapki na tle map i wykresów na sztalugach. Nie mogłam oprzeć się wątpliwościom, czy nasze dodatkowe wysiłki wniosą cokolwiek nowego.

– Gdzie twoi ludzie? – zapytał Wesley.

– Pewnie gdzieś wśród ratowników. Zdaje mi się, że z powietrza zauważyłam naszą ciężarówkę.

Omiatał spojrzeniem całe pomieszczenie, w końcu zatrzymał je na drzwiach do męskiej toalety, które zostały z rozmachem zamknięte.

Wyszedł z nich Marino, jak zwykle podciągając spodnie. Jego akurat się tu nie spodziewałam, choćby ze względu na promieniowanie.

– Pójdę po kawę – oznajmił Wesley. – Wziąć wam?

– Taa, podwójną porcję.

– Ja dziękuję. – Po czym zwróciłam się do Pete'a: – Nigdy w życiu nie spodziewałabym się, że cię tutaj zastanę.

– Widzisz tych wszystkich gości? Stanowimy część grupy specjalnej, bo władze lokalne muszą mieć kogoś, kto zadzwoni do domu i powiadomi, co się tu wyrabia. Między Bogiem a prawdą, to przysłał mnie szef, choć wcale się nie paliłem. *Ř propros*, natknąłem się tu na komendanta Steelsa i dowiedziałem się, że Roche został zawieszony w obowiązkach służbowych: urlop bezpłatny. – Zbyłam to milczeniem, bo Roche nie bardzo mnie teraz obchodził. – To cię może podniesie trochę na duchu. – Popatrzyłam na

niego. Na sztywnym kołnierzyku widać było smużki potu, a pasek trzeszczał przy każdym poruszeniu Pete'a. – Będę cię tymczasem pilnował, ale byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyś nie zaplątała się na celownik jakiegoś dupka – dorzucił, przyglądając swoją wielką łapą kosmyki włosów.

– Też byłabym sobie wdzięczna. Szukam swoich. Widziałeś ich gdzieś może?

– Tak, widziałem Fieldinga w tej wielkiej przyczepie, którą kupili wam pracownicy zakładu pogrzebowego. Gotował na kuchence jajka, jakby przyjechał na weekend. Napatoczyłem się też na chłodnię.

– Już wiem, gdzie stoi.

– Zaprowadzę cię, jeśli można – zaproponował nonszalancko, jakby było mu wszystko jedno.

– Cieszę się, że przyjechałeś – powiedziałam, wiedząc, że zrobił to po części dla mnie, niezależnie od tego, co utrzymywał.

Wrócił Wesley z papierowym talerzem pączków ustawionym ekwilibrystycznie na filiżankach. Marino się częstował, a ja patrzyłam przez okno.

– Benton – odezwałam się – gdzie Lucy? Nie odpowiadał i domyśliłam się prawdy. Potwierdziły się moje najgorsze obawy.

– Każdy musi spełniać swój obowiązek. – Patrzył na mnie serdecznie, lecz z jego ust padał jednoznaczny wyrok.

– Pewnie. – Odstawiłam filiżankę, bo zbyt drżały mi ręce. – Pójdę zobaczyć, co się dzieje.

– Czeka! – zawołał Marino, nadgryzający akurat drugiego pączka.

– Dam sobie radę.

– Jasne, zaraz się tym zajmiemy.

– Naprawdę musisz na siebie uważać – poparł go Wesley. – Wiemy, że stoją w każdym z okien i kiedy im się tylko zachce, mogą zacząć strzelać.

Spojrzałam na majaczący w oddali budynek główny i wyszłam przez prowadzące na zewnątrz szklane drzwi. Marino deptał mi po piętach.

– Gdzie Brygada? – spytałam.

– Tam gdzie jej nie widać.

– Nie syp zagadkami, bo nie jestem w odpowiednim nastroju.

Szłam stanowczym krokiem, całe zamieszanie wyglądało na manewry, gdyż nigdzie nie było widać ani śladu terrorystów czy ich ofiar. Wozy strażackie, chłodnie i karetki pogotowia uczestniczyły w jakiejś udawanej akcji i nawet Fielding, który układał w dużej białej przyczepie zestawy ratunkowe, zdawał się istotą nierzeczywistą. Otwierał niebieską szafkę wojskową z napisem OCME, w której znaleźć można było wszystko, od igieł osiemnastek po żółte worki, w których przechowywano rzeczy znalezione przy zmarłych. Uniósł głowę i zwrócił się do mnie, jakbym pracowała tu z nim od dłuższego czasu:

– Wie pani, gdzie mogą być paliki?

– Powinny być w oddzielnych pudełkach, razem z toporkami, szczypcami i nitami.

– Tyle że nie wiem, gdzie się podziały.

– Może w tych żółtych worach? – Omiatałam wzrokiem szafki i rozstawione po przyczepie pudła.

– Pewnie trzeba będzie poprosić o wszystko w FAK. – Chodziło mu o Federalną Agencję Kryzysową.

– Czyli gdzie? – zapytałam, wiedząc, że kręcą się tu setki ludzi z dziesiątków agencji.

– Wyjdzie pani i zobaczy przyczepę zaraz po lewej, koło ludzi z wydziału pochówków. Poza tym funkcjonariusze FAK mają kombinezony

ołowiowe.

– Obyśmy ich wszyscy nie potrzebowali. – Wiadomo już, ilu wzięli zakładników? – zwrócił się Fielding do Pete’a.

– Nie ma pewności, bo nie wiadomo, ilu dokładnie pracowników znajdowało się w środku. Ale w chwili ataku w środku była raczej nieliczna zmiana, co napastnicy brali zapewne pod uwagę. Wypuścili trzydziestu dwóch ludzi, czyli mogło zostać koło dwunastu, tyle że nie wiadomo, ilu z nich jeszcze żyje.

– Boże kochany – pokręcił głową Fielding – według mnie, to każdego z tych skurwieli trzeba by było zastrzelić na miejscu.

– Zgadza się w stu procentach – oświadczył Marino.

– W tej chwili – zwrócił się Fielding do mnie – damy sobie radę z pięćdziesięcioma. Więcej nie przewieziemy stąd do kostnicy w Richmond, w której i tak jest już prawie pełno. W razie czego możemy skorzystać z pomocy MCV.

– Mam nadzieję, że zmobilizowano także dentystów i radiologów.

– Zgadza się, wszyscy – Jenkins, Verner, Silverberg, Rollins – czekają w pogotowiu. – Doszedł mnie zapach jajecznicy na boczku; sama nie wiedziałam, czy jestem głodna.

– Jakby co, to kontaktujcie się ze mną przez radio – powiedziałam, otwierając drzwi.

– Zwolnij trochę – jęczał Marino, gdy znaleźliśmy się już na zewnątrz.

– Zaglądałeś do ruchomego punktu dowodzenia? – zapytałam go. – Z wielkimi biało-niebieskimi literami RV? Widziałam go, jak podchodziliśmy do lądowania.

– To miejsce raczej nie dla nas.

– Raczej tak.

– Znajduje się już na obwodzie wewnętrznym.

– Tam działa Brygada.

– Najpierw spytamy Bentona. Wiem, że szukasz Lucy, ale myśl jak człowiek.

– Myślę i dlatego jej szukam. – Z każdą chwilą byłam coraz bardziej zła na Wesleya. Marino położył mi rękę na ramieniu i przystanęliśmy, mrużąc oczy w słońcu i patrząc na siebie.

– Posłuchaj mnie tylko. Nie pora na osobiste sentymenty. Wszyscy mają w dupie, czy Lucy to twoja rodzina, ważne, że jest agentką FBI, a Wesley nie ma obowiązku meldować ci o każdym jej poruszeniu. – Nie reagowałam, on też nic nie mówił, w miarę jak docierała do nas cała prawda. – Nie złość się na niego. – Marino nie puszczał mojego ramienia. – Szczerze mówiąc, mnie się to też wcale nie podoba. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby coś jej się stało. Albo jakby coś przytrafiło się tobie. Sram w pory tak jak nigdy w swoim przesranym życiu. Ale trzeba zabrać się do roboty, i to razem.

– Znajduje się na obwodzie wewnętrznym.

– Chodźmy poszukać Wesleya – zaproponował. Ale nie było potrzeby, bo zobaczyliśmy go rozmawiającego przez telefon w ośrodku dla zwiedzających. Mówił beznamiętnym głosem, w całej postawie wyczuwało się maksymalne napięcie.

– Czekać, dopóki tam nie przyjadę, a przede wszystkim niech oni się dowiedzą, że zaraz się tam zjawię – wolno cedził słowa. – Nie, nie, tylko nie to, ostrzegajcie przez megafony, żeby nikt nie podchodził. – Spojrzał na nas gniewnym wzrokiem. – Nie panikować. Obiecujcie, że zaraz ktoś przyniesie im telefon.

Odłożył słuchawkę i skierował się energicznie w stronę drzwi, a my deptaliśmy mu po piętach.

– Co jest? – zapytał Marino.



– Chcą się z nami porozumieć. – I co? Zaczną pisać listy?

– Któryś wrzeszczał przez okno. Są bardzo wzburzeni.

Minęliśmy lądowisko dla helikopterów i, ku swojemu zaskoczeniu, stwierdziłam, że prokurator generalnej i senatora ani tam widu, ni słychu.

– To co, nie mają telefonów?

– Wyłączyliśmy całą linię wewnętrzną. Żądają telefonu, chociaż do tej pory nie zająknęli się na ten temat ani słowem.

– Czyli mają jakieś kłopoty.

– Też tak myślę – wydyszał Marino.

Wesley się nie odezwał, ale widać było, że się denerwuje, co było u niego rzadkością. Wąska droga wiodła wśród morza ludzi i pojazdów, przysłanych tu do pomocy, brązowy budynek nabierał coraz bardziej imponujących proporcji. Ruchomy punkt dowodzenia, zaparkowany na trawniku, lśnił w słońcu. Stożkowe zbiorniki i dukty wodne potrzebne do chłodzenia reaktora były odległe zaledwie o rzut kamieniem.

Nie było wątpliwości, że Nowi Syjoniści cały czas trzymają nas na muszce i mogą w każdej chwili pociągnąć za spust i wybić nas po kolei. Okna, w których się prawdopodobnie ulokowali, były otwarte, ale za żaluzjami nie sposób było niczego dojrzeć.

Obeszliśmy punkt dowodzenia i natrafiliśmy na kilkunastu funkcjonariuszy policji i FBI, którzy otaczali Lucy. Na jej widok serce niemal zamarło mi w piersi. Była w czarnym kombinezonie i butach z cholewami i, tak jak w OBT, obwiązana kablami. Tym razem jednak włożyła obydwie rękawice, Toto chodził po ziemi, a od szyi biegł mu przewód światłowodowy, który na pierwszy rzut oka starczyłby na podróż do Północnej Karoliny.

– Lepiej przykleić słuchawkę – mówiła do mężczyzn, których nie widziała, gdyż na głowę włożyła już hełm wirtualny.

– Kto ma taśmę klejącą?

– Chwila.

Jakiś mężczyzna w czarnym stroju spadochroniarza kucnął przy skrzynce z narzędziami i rzucił komuś innemu szpulkę taśmy. Ten z kolei oderwał kilka kawałków i przykleił słuchawkę do widełek prostego, czarnego telefonu, który robot trzymał zaciśnięty w ręce.

– Lucy – zagadnął Wesley – to ja, Benton Wesley.

– Cześć – odparła głosem, w którym łatwo było wyczuć zdenerwowanie.

– Gdy tylko dasz im telefon, zacznę mówić. To tak, żebyś znała plany.

– Gotowi? – pytała, zupełnie nieświadoma, że jestem przy niej.

– Do roboty – dał znak Wesley. Przycisnęła jakiś guzik na rękawicy i Toto ożywił się, wydając cichy pomruk, a oko pod sklepieniem mózgiem obróciło się, niczym nastawiana na ostrość soczewka fotoaparatu. Odwrócił głowę, gdy Lucy dotknęła kolejnego przycisku, i wszyscy ze wstrzymanym oddechem patrzyli, jak wytwór mojej siostrzenicy się porusza. Sunął na gumowych gąsienicach, z telefonem zaciśniętym w rękach, z tyłu rozwijał się kabel światłowodowy i telefoniczny. Lucy w milczeniu kierowała ruchami Toto niczym dyrygent. Robot statecznie toczył się drogą, po żużlu i trawie, aż znalazł się tak daleko, że jeden z agentów musiał wyjąć lornetkę. Toto dotarł chodnikiem do czterech cementowych stopni przed szklanym wejściem do budynku głównego i tam przystanął. Lucy zaczerpnęła tchu i dalej towarzyszyła swojemu koledze z plastiku i metalu. Przycisnęła jeszcze jeden guzik i ręce wyciągnęły się, powoli opuściły i położyły telefon na drugim stopniu. Toto cofnął się i odwrócił, po czym Lucy zaczęła prowadzić go z powrotem. Nie zaszedł daleko, gdy drzwi ze szkła błyskawicznie się otworzyły i wychynął z nich brodaty mężczyzna w spodniach koloru khaki i swetrze. Złapał telefon i niezwłocznie zniknął w środku.

– Dobra robota, Lucy – rzekł z ulgą Wesley. – Jasna cholera, dzwońcie już – mówił nie do nas, lecz do nich. – Lucy, jak będziesz gotowa, chodź do środka.

– Tak jest. – Gładziła Toto po każdym występie i zagłębieniu korpusu.

Po chwili wraz z Pete'em i Wesleyem weszłam po schodach do ruchomego punktu dowodzenia, gdzie tapicerka utrzymana była w błękitach i szarościach, a pomiędzy fotelami rozstawiono stoliki. Urządzono tu kuchenkę i łazienkę, i wmontowano barwione okna, tak że można było patrzeć ze środka na zewnątrz, ale ktoś poza przyczepą niczego nie widział. W głębi pracował sprzęt radiowy i komputerowy, pod sufitem zawieszono pięć ekranów telewizyjnych, nastawionych na co ważniejsze sieci, z CNN włącznie; dźwięk był przyciszony. Szliśmy już przejściem na środku, gdy zaczął dzwonić mały, czerwony telefon na jednym ze stołów. Dźwięk był nagły i Wesley podbiegł do aparatu.

– Wesley – powiedział, jednocześnie włączając dwa przyciski, dzięki czemu rozmowa była nagrywana, a głos rozmówcy przechodził przez głośnik.

– Potrzebny nam lekarz. – Głos mężczyzny wskazywał, że to biały z Południa. Rozmówca Wesleya ciężko dyszał.

– Nie ma sprawy, ale musicie podać więcej informacji.

– Nie pierdol mi tutaj! – wrzasnął tamten.

– Słuchaj – mówił Wesley – nikt tu niczego nie pierdoli. Chcemy wam pomóc, ale musimy mieć więcej danych.

– Wpadł do jakiegoś basenu i stracił chyba przytomność.

– Kto?

– Co to cię, kurwa, obchodzi? – Wesley milczał. – Niech tylko umrze, a zaraz wszystko wysadzamy w powietrze. Zrozumiano? Rusz dupę, bo zaraz polecimy do nieba!

Domyśliliśmy się, o kogo chodzi, więc Benton nie zadawał już więcej pytań. Coś przydarzyło się Joelowi Handowi i lepiej nie myśleć, na co gotowi są jego zwolennicy w razie śmierci wodza.

– Co jeszcze? – dopytywał się Wesley.

– Nie umie pływać.

– A więc mało brakowało, żeby się ktoś utopił, tak?

– Woda promieniuje. Zanurzone w niej były zespoły paliwa, wiesz, o co mi chodzi?

– Znalazł się we wnętrzu reaktora.

– Daj se, kurwa, spokój z tą głupią gadką i przyślij kogoś do pomocy! – wrzasnął tamten.

– Jak on umrze, to wszyscy pójdą za nim. Jasne? – mówił przy akompaniamencie wystrzału, który rozległ się jednocześnie w słuchawce i w jednym z okien budynku.

Wszyscy zamarli, po czym usłyszeliśmy gdzieś krzyk; serce przestało mi na moment bić.

– Zwlekaj dalej – odezwał się znów głos podnieconego mężczyzny – to się jeszcze kogoś załatwi.

Podeszłam do telefonu i zanim ktokolwiek się zorientował, odezwałam się:

– Jestem lekarzem. Muszę wiedzieć, co dokładnie się stało, w chwili gdy wpadł do zbiornika reaktora.

– O mało co się nie utopił, nic więcej nie wiem – odparł mężczyzna po chwili ciszy. – Usiłowaliśmy wypompować z niego wodę, ale był już nieprzytomny.

– Czy nałykał się wody?

– Nie wiem. Możliwe. Leciąło mu trochę z ust. – Coraz bardziej się rozpalał. – Ale jak pani zaraz czegoś nie zrobi, to zmienimy całą Wirginię

w jedną wielką pustynię.

– Pomogę – obiecałam – ale musi mi pan odpowiedzieć na kilka pytań.

W jakim znajduje się teraz stanie?

– Już mówiłem. Nie kontaktuje. Jakby stracił przytomność.

– Gdzie leży?

– Tu, w pokoju, z nami. – W jego głosie dało się wyczuć ton hysterii. –

Nie reaguje na nic, a próbujemy wszystkiego.

– Trzeba będzie zanieść wam kupę lodu i sprzętu medycznego. Będę musiała obracać parę razy, chyba że ktoś mi pomoże.

– Chyba nie jesteś z FBI. – Podniósł głos.

– Jestem lekarzem, a towarzyszy mi pokaźny personel medyczny. Przyjdę pomóc, ale pod warunkiem, że nie będziecie mi utrudniać.

– Dobra, ale sama – odpowiedział po chwili wahania.

– Rzeczy pomoże mi nieść robot, ten, który przyniósł wam przed chwilą telefon.

Odłożyłam słuchawkę i zorientowałam się, że Wesley i Marino gapią się na mnie, jakbym dopiero co dopuściła się morderstwa.

– Nic z tego – zaprotestował Wesley. – Kay, czy ty już całkiem upadłaś na głowę?

– Nigdzie nie pójdziesz, choćbym nawet miał nałożyć na ciebie areszt – przyłączył się do jego lamentów Marino.

– Muszę – oświadczyłam najzwyczajniej w świecie. – Bo umrze – dodałam.

– I właśnie dlatego nie wolno ci tego zrobić! – krzyknął Wesley.

– Ma objawy poważnej choroby popromiennej, bo nałykał się wody ze zbiornika. Niedługo umrze i chyba wiecie, co się wtedy może wydarzyć. Jego wyznawcy zapewne wywołają eksplozję. – Nie spuszczałam oczu z Pete'a, Wesleya i dowódcy Brygady Antyterrorystycznej. – Czy wy nic nie

rozumiecie? Ja czytałam ich „Księgę”. To dla nich Mesjasz i z chwilą jego śmierci nie zabiorą się i po prostu sobie nie odejdą. Tak jak myślałeś, akcja zamieni się w misję samobójczą. – Zwróciłam wzrok na Wesleya.

– Nie wiadomo – odpalił.

– A podejmiesz takie ryzyko?

– A jak odzyska przytomność – wtrącił się Marino – pozna cię i opowie koleśiom, coś ty za jedna. I co wtedy?

– Nie odzyska już przytomności.

Wesley spojrział przez szybę i, choć w środku nie było zbyt gorąco, wyglądał niczym letni turysta w największe upały. Koszula nasiąkła mu potem, raz po raz wycierał czoło. Nie wiedział, co począć. Ja miałam pewną propozycję. Innych możliwości nie widziałam.

– Słuchajcie – zaczęłam – nie umiem uratować Joela Handa, ale mogę ich przekonać, że on żyje.

Tylko wybałuszyli na mnie gały.

– Co? – przerwał ciszę Marino.

– On może lada moment umrzeć. – Coraz bardziej się zapalałam. – Muszę się tam przedostać i zyskać na czasie, tak żebyście wy też mogli przeniknąć do środka.

– Nie możemy – odparł Wesley. – Niewykluczone, że możecie, bylebym się tylko tam dostała. Robot może odnaleźć jakąś drogę. Wejdzie razem ze mną, a później może ogłuszyć i oślepić ich na tyle, żebyście mogli wkroczyć do akcji. Wiem, że technicznie jesteście na to przygotowani.

Wesley zasepił się, Marino miał głęboko nieszczęśliwą minę. Rozumiałam ich, ale to było nieuniknione. Poszłam do stojącej najbliższej karetki i wzięłam wszystko, co potrzeba, od pielęgniarek, inni natomiast zbierali już lód. Potem ruszyłam wraz ze sterowanym przez Lucy Toto w stronę budynku. Robot niósł ponad dwadzieścia kilo lodu, ja dużą torbę

lekarską. Szliśmy niespiesznie, jakbyśmy składali tu zwyczajną wizytę w jeden z wielu podobnych do siebie dni. Odpędzałam myśl o mężczyznach, którzy mieli mnie na swoich celownikach. Nie dopuszczałam do świadomości obrazu środków wybuchowych i barki wyładowanej paliwem, którego Libia mogła użyć do skonstruowania bomby atomowej. Drzwi otworzył nam chyba ten sam człowiek, który jeszcze niedawno odbierał telefon.

– Wejść – warknął, a przez ramię przewieszony miał karabin.

– Proszę pomóc nieść lód – odplaciłam mu pięknym za nadobne.

Wybałuszył oczy na robota, który w mackach trzymał pięć worków z lodem. Milczał, jakby Toto był jakimś bykiem na korridzie, który mógłby się zniecka wściec i zrobić mu coś złego. Sięgnął po worki, a Lucy przesłała przez światłowód komendę, żeby Toto wypuścił je z uchwytu. Po chwili znaleźliśmy się oboje za zamkniętymi drzwiami; widziałam zniszczone zabezpieczenia, aparaty rentgenowskie i inne urządzenia do prześwietleń, wyrwane i podziurawione kulami. Ślady krwi i wleczonych po podłodze ciał zaprowadziły nas do przerażającego stosu zwłok na końcu korytarza, które poczułam, jeszcze zanim ukazały się moim oczom. Schwycił mnie za gardło strach. Minęliśmy czerwone drzwi i huk jakichś maszyn zagłuszył słowa wypowiedane przez Nowego Syjonistę. Zauważyłam przypięty do jego pasa duży czarny pistolet i przypomniała mi się czterdziestka piątka, z której z zimną krwią zastrzelono Danny'ego. Weszliśmy po pomalowanych na czerwono schodach; nie oglądałam się, żeby nie zakręciło mi się w głowie. Przeprowadził mnie pomostem do masywnych drzwi, opatrzonych licznymi zakazami, i wystukał jakiś szyfr. Na podłogę zaczęła kapać woda z topniejącego lodu.

– Wykonuj każde polecenie – mruknął, gdy wchodziliśmy do sterowni. – Zrozumiano?

Szturchnął mnie lufą w plecy.

– Tak.

W środku zobaczyłam może ze dwunastu mężczyzn, ubranych w obcisłe spodnie i swetry albo kurtki, uzbrojonych w karabiny maszynowe albo automatyczne. Byli podenerwowani i zdawało się, że w ogóle nie zwracają uwagi na siedzących pod ścianą dziesięciu zakładników, którzy mieli powiązane z przodu ręce i założone na głowy poszewki od poduszek. Z otworów na oczy biła trwoga. Wycięcia na usta zaplamione były śliną, ludzie ci bardzo szybko i płytko oddychali. Tutaj także dostrzegłam ślady krwi, wiodące za stołki, za którymi porzucono ostatnią z ofiar. Zastanowiło mnie, ile jeszcze przyjdzie mi znaleźć ciał – jeśli nie będzie pośród nich mojego.

– Tędy – rozkazał mi przewodnik.

Joel Hand leżał na podłodze, przykryty zasłonką, którą ktoś zdarł z okna. Był bardzo blady i ociekał wodą ze zbiornika, która już wkrótce miała stać się przyczyną jego śmierci. Rozpoznałam pełną twarz o mięsistych wargach, tyle że sprawiał wrażenie pulchniejszego i starszego niż swego czasu w sądzie.

– Długo już tak leży? – zwróciłam się do mężczyzny, który mnie przyprowadził.

– Mniej więcej półtorej godziny.

Chodził tam i z powrotem i palił, uciekał spojrzeniem, drżącą ręką trzymał kolbę pistoletu, wymierzoną prosto w moją głowę. Postawiłam swoją torbę, odwróciłam się w jego stronę i wbiłam weń wzrok.

– Proszę we mnie nie celować.

– Zamknij się. – Przestał chodzić i wyglądał tak, jakby szykował się do rozwalenia mi głowy.



– Jestem tu na wasze życzenie i usiłuję wam pomóc. – Zajrzałam mu w szkliste oczy i mój rzeczowy ton widocznie na niego podziałał. – Jak nie chcecie, żebym wam pomagała, to albo mnie zastrzelcie, albo wypuśćcie. Tak czy inaczej, nic tu sami nie poradzicie. Chcę uratować temu człowiekowi życie i nie mam ochoty, żeby ktoś przeszkadzał mi jakimś szmelcowatym naganem.

Zapomniał języka w gębie i oparł się o panel sterowniczy, na którym widniało tyle przycisków, jakbyśmy znaleźli się na statku kosmicznym. Ekran video na ścianach wykazywały, że obydwie reaktory są nieczynne, a świecące czerwono pola na kratownicy oznaczały trudności, o których nie miałam pojęcia.

– Daj spokój, Wooten. – Jeden z kumpli zapalił papierosa.

– Otwórzcie worki z lodem – podjęłam. – Szkoda, że nie ma tu wanny. Na blatach widzę trochę książek, tam, przy faksie, leży kupa papierów. Znoście wszystkie tego typu rzeczy, żeby odgrodzić kawałek podłogi.

Mężczyźni zaczęli znosić wszelkiego rodzaju grube instrukcje, ryzy papieru i dyplomatyki, będące zapewne własnością pojmanego personelu. Stworzyłam z nich wokół Handa prostokątne ogrodzenie, jakbym robiła rabatkę we własnym ogródku. Potem obłożyłam go całym lodem, jaki mieliśmy, zostawiając odkryte tylko ręce i twarz.

– Co to pomoże? – Mężczyzna zwany Wootenem przysunął się bliżej i mówił chyba z zachodnim akcentem.

– Został poddany zmasowanemu działaniu promieniowania – tłumaczyłam – i jego skutki możemy powstrzymać tylko pod warunkiem, że spowolnimy wszystkie procesy w organizmie.

Wyjęłam z torby igłę, którą wbiłam w ramię ich konającego przywódcy i przykleiłam taśmą. Sporządziłam prowizoryczną kroplówkę: wężyk biegł do umieszczonej na stoliku torby, zawierającej równie nieszkodliwą, co i

nieskuteczną solankę. Kapało z niej kropla po kropli, podczas gdy ciało Handa stawało się coraz chłodniejsze od lodu. Ledwie zipał. Serce łomotało mi w piersi, gdy taksowałam wzrokiem tych spoconych mężczyzn, co uznali za boga człowieka, którego rzekomo ratowałam. Jeden zdjął sweter, pod spodem miał niemal szary podkoszulek ze zbiegniętymi od wieloletniego prania rękawami. Niektórzy mieli brody, inni od wielu już dni się nie golili. Zastanawiałam się, gdzie się podziały ich rodziny, myślałam o zakotwiczonej na rzece barce i o wszystkim, co działo się w pozostałych częściach elektrowni.

– Przepraszam – odezwał się drżący głos jedynej chyba wśród zakładników kobiety. – Muszę iść do toalety.

– Zaprowadź ją, Mullen. Nie będą nam tu srali.

– Przepraszam, ale mnie też się chce – dołączył się jeszcze jeden zakładnik, tym razem mężczyzna.

– Mnie też.

– Chwila, po kolei – przerwał im Mullen, młody i zwalisty mężczyzna.

Wiedziałam już co najmniej jedną rzecz więcej niż FBI. Nowi Syjoniści nie mieli najmniejszego zamiaru puszczać kogokolwiek więcej wolno. Terrorysty zakładają więźniom kaptury, bo łatwiej zabić osobę pozbawioną twarzy. Wyjęłam fiolkę solanki i wstrzyknęłam ją Handowi do żyły, jakbym przeprowadzała kolejny magiczny zabieg.

– I jak? – zapytał głośno jeden z mężczyzn.

– Jego stan się w tej chwili ustabilizował – skłamałam.

– Kiedy odzyska przytomność?

Odszukałam ledwie wyczuwalny puls ich szefa. Ni stąd, ni zowąd mężczyzna padł koło mnie na podłogę i zaczął macać szyję Joela Handa. Pogrzebał w lodzie i dostał się do serca; gdy popatrzył w moją stronę, w oczach malowało mu się przerażenie i wściekłość.

– Nic nie czuję! – ryknął czerwony na twarzy. – I tak powinno być. Najważniejsze, żeby utrzymywać go w stanie hipotermicznym, bo wtedy zmniejsza się tempo radioaktywnego uszkodzania naczyń krwionośnych i narządów. Wstrzyknęłam mu końską dawkę kwasu dietylenotrójamino-pentacetycznego i może pan mieć pewność, że żyje.

– Skąd mam wiedzieć, że nie wpuszczasz nas w kanał albo nie pogarszasz jego stanu? – Postąpił krok w moją stronę; wzrok miał obłąkany, palec trzymał na cynglu.

– Znikąd – mówiłam spokojnym tonem, bo pogodziłam się już z tym, że nadszedł dzień mojej śmierci. – Musicie uwierzyć, że wiem, co robię, nie macie wyboru. Jego przemiana materii została drastycznie spowolniona. Nie macie się też co spodziewać, że w najbliższym czasie odzyska przytomność. Ja najzwyczajniej w świecie utrzymuję go przy życiu.

Odwrócił się ode mnie.

– Daj se spokój, Bear.

– Pozwól jej popracować.

Cały czas klęczałam przy Handzie, kapłała kroplówka, a stopiony lód zaczynał przedostawać się przez stworzoną barierę. Mierzyłam mężczyźnie wielokrotnie tętno i wszystko notowałam, sprawiając w ten sposób wrażenie, że bardzo się o niego troszczę. Korzystałam z każdej chwili nieuwagi strażników i spoglądałam w stronę okien, zastanawiając się, co mają zamiar uczynić moi współpracownicy. Dochodziła trzecia, gdy organizm odmówił posłuszeństwa niczym znudzony partner, którego nie interesuje już dana sprawa. Joel Hand zmarł bezgłośnie, a strumyki wody ciągle płynęły po podłodze.

– Potrzeba więcej lodu i lekarstw – oświadczyłam, podnosząc głowę.

– A potem? – Bear się zbliżył.

– A potem wcześniej czy później trzeba go będzie zawieźć do szpitala. – Zapadło milczenie. – Jeżeli nie zdobędziecie wszystkiego, o co przed chwilą poprosiłam, nie będę mogła niczego więcej obiecać.

Bear podszedł do stojącego na biurku telefonu. Zażądał więcej lodu i lekarstw. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli Lucy i jej zespół nie wkroczą zaraz do akcji, terroryści niedługo mnie zastrzelą. Odsunęłam się od zbierającej się wokół Handa kałuży i rzuciłam okiem na jego twarz, dziwiąc się, w jaki sposób zdobył tak ogromną władzę nad ludźmi. A przecież wszyscy w tym pomieszczeniu, na barce i w reaktorze gotowi byliby zabijać w jego imieniu. Zresztą wprowadzili już tę gotowość w czyn.

– Ten robot niesie wszystkie manele. Wyjdę po to – oznajmił Bear. – Już idzie.

– Jak tam wyjdiesz, to na pewno zaraz odstrzelą ci jaja.

– Przecież mamy tu ją. – Bear obrzucił mnie wrogim, maniackim spojrzeniem.

– Robot może wam to wszystko przynieść tutaj – odezwałam się.

– Pamiętasz te schody? – roześmiał się Bear. – Myślisz, że ta kupa złomu da sobie z nimi radę?

– Bez problemu – odparłam, mając nadzieję, że moja pewność znajdzie potwierdzenie.

– Dobra, niech nam tu wszystko przyniesie, żebyśmy nie musieli wychodzić – wtrącił któryś z Nowych Syjonistów.

– Każcie robotowi przynieść rzeczy do sterowni – mówił Bear do telefonu. – Ani nam się śni wychodzić. – Odłożył z hukiem słuchawkę, nawet nie zdając sobie sprawy, jaki los sobie gotuje.

Zaczęłam modlić się za swoją siostrzenicę, wiedząc, że czeka ją najtrudniejsze zadanie w życiu; gdy na karku spoczęła mi zniecka lufa pistoletu, aż się poderwałam.

– Jak pozwolisz mi umrzeć, to sama możesz żegnać się ze swoim kurewskim życiem. Jasne? – Ani drgnęłam. – Musimy stąd niedługo odpłynąć i bardzo byśmy chcieli zabrać go ze sobą.

– Jeśli będziecie dostarczać mi niezbędne zapasy, utrzymam go przy życiu – przyrzekłam.

Zabrał karabin, a ja wstrzyknęłam ich zmarłemu przywódcy w żyłę ostatnią fiolkę solanki. Po plecach spływały mi krople potu, a dół fartucha, który zarzuciłam na ubranie, był przemoczony do suchej nitki. Wyobraziłam sobie, jak w tej samej chwili Lucy nakłada przed ruchomym stanowiskiem dowodzenia swój wirtualny sprzęt, porusza palcami i rękami, chodzi tam i z powrotem, gdyż światłowody umożliwiają jej szczegółowe oglądanie terenu nawet w wirtualnym hełmie. Tylko dzięki niej Toto nigdzie nie utknie ani się nie przewróci.

Mężczyźni stali przy oknach i komentowali każde posunięcie robota, który na swych gąsienicach wspiął się podjazdem dla niepełnosprawnych i zniknął w środku.

– Przydałoby się nam coś takiego – rzucił któryś.

– A jak byś nim sterował, przecież do tego trzeba mieć trochę oleju w głowie?

– Nie mam pojęcia. Nie może być zdalnie sterowany, bo żadne fale radiowe nie przebiją się przez taką konstrukcję jak ta. Masz pojęcie, jakiej grubości są tutaj ściany i mury?

– Idealny do przynoszenia drewna na opał, kiedy pogoda jest do dupy.

– Przepraszam, ale muszę iść do toalety – odezwał się nieśmiało jeden z zakładników. – Szlag by to trafił, nie ma chwili przerwy.

Aż nosiło mnie na myśl, co się stanie, jeśli Toto dotrze do nas, a tych dwóch z nami nie będzie.

– Poczekaj chwilę. Straszny tu wygwizdów. Może byśmy pozamykali okna.

– Wiesz, w Trypolisie nie ma takiego czystego, chłodnego powietrza, więc korzystaj, póki masz okazję.

Kilku wybuchnęło śmiechem, gdy otwarły się drzwi i do wnętrza wkroczył mężczyzna, którego tu wcześniej nie widziałam. Miał ciemny odcień skóry, brodę, gruby mundur i był zły jak wszyscy diabli.

– Zdołaliśmy przetransportować na barkę zaledwie piętnaście sztuk – mówił zdecydowanie i z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. – Musicie dać nam jeszcze trochę czasu.

– Piętnaście to kupa paliwa – orzekł Bear, który jakoś nie bardzo przejmował się tamtym.

– Potrzeba nam co najmniej dwudziestu pięciu! Taka była umowa.

– Nigdy w życiu o tym nie słyszałem.

– On słyszał. – Mężczyzna wskazał ręką na leżące na podłodze zwłoki Handa.

– On na razie z wami nie pogada.

Bear zgniół czubkiem buta niedopałek.

– Czy do was nic nie dociera? – Cudzoziemiec nie posiadał się z oburzenia. – Każda sztuka waży tonę, a dźwig musi wyciągać je z zalanego reaktora do zbiornika, stamtąd do kontenera.

Idzie jak po grudzie. To bardzo niebezpieczne. Przyrzekliście, że dostaniemy przynajmniej dwadzieścia pięć. Teraz zaczyna wam się śpieszyć i wszystko idzie w diabły przez niego. – Mężczyzna wskazał Handa gniewnym ruchem ręki. – Zawarliśmy pewną umowę!

– Zobowiązałem się tylko do opieki nad nim. Musimy wydostać go na barkę i zabrać ze sobą lekarza. Później zawieziemy go do szpitala.

– Gówno prawda! Chyba widać, że on już nie żyje! Zupełnie wam odbiło!

– Żyje.

– Tylko spójrzcie. Zbielał jak prześcieradło i nie oddycha. Umarł.

Wrzeszczeli na siebie; po chwili Bear podszedł do mnie i zapytał stanowczo:

– Żyje?

– Żyje.

Pot ciekł mu po twarzy, gdy wyciągnął z kabury pistolet i skierował go najpierw na mnie, potem na zakładników, którzy skulili się, a jeden nawet zaczął płakać.

– Nie, proszę, nie – błagał jakiś mężczyzna.

– Któremu tak strasznie śpieszyło się do kibla? – ryknął Bear. Zakładnicy milczeli, szybko dysząc i wytrzeszczając ze strachu oczy. – Może tobie?

Drzwi do sterowni otworzyły się i z korytarza dobiegło mnie mruczenie Toto. Zdołał wejść na schody i przebyć pomost, teraz zmierzał nieuchronnie w naszą stronę. Włożyłam do torby długą metalową latarkę, sporządzoną w OBT.

– Żyje w końcu czy nie? – odezwał się któryś i już wiedziałam, że zabawa skończona.

– Zaraz wam udowodnię – obiecałam, słysząc coraz głośniejszy szum robota.

Wycelowałam latarkę w Beara i nacisnęłam guzik; facet wrzasnął, w chwili gdy ujrzał oślepiający wybuch, zakrył oczy, a ja machnęłam latarką niczym kijem baseballowym. Trzasnęły kości nadgarstka, pistolet upadł, a jednocześnie do sterowni wtoczył się robot, który niczego nie przyniósł. Rzuciłam się płasko na podłogę, możliwie najszczelniej zakrywając oczy i

uszy, po czym pokój wybuchnął białym błyskiem bomby uderzeniowej, która urwała Toto czubek głowy. Pomieszczenie napełniło się krzykami i przekleństwami, terroryści padali na podłogę, zawadzając o pulpity i zderzając się ze sobą; nawet się nie zorientowali, gdy do sterowni wpadło kilkudziesięciu agentów Brygady Antyterrorystycznej.

– Nie ruszać się, skurwysyny!

– Bo flaki wypruję!

Ani drgnęłam w lodowatym grobie Joela Handa, od latających natomiast na zewnątrz śmigłowców trzęsły się szyby, tłuczone następnie nogami zwinnie wspinających się po ścianach agentów. Rozlegał się brzęk zapinanych kajdanek, zawadzające pod nogami pistolety szorowały po podłodze. Słyszałam płacz ludzi, uświadamiając sobie, że to wyprowadzani na zewnątrz zakładnicy.

– Już dobrze, nic wam nie grozi.

– Jezus Maria, dzięki ci, Boże.

– Chodźcie, musimy stąd jak najprędzej wyjść.

Kiedy wreszcie poczułam, na szyi dotknięcie jakiejś chłodnej dłoni, zorientowałam się, że ktoś sprawdza moje tętno, bo wyglądam zapewne na nieżywą.

– Ciociu? – dobiegł mnie zduszony głos Lucy. Odwróciłam się na wznak i powoli usiadłam.

Nie czułam rąk i tej strony twarzy, która leżała w lodowatej wodzie; rozglądałam się oszołomiona. Trzęsłam się cała i szczękałam zębami, gdy przykucnęła przy mnie z pistoletem w ręku. Omiatała wzrokiem pokój, z którego agenci w czarnych mundurach wyprowadzali ostatnich więźniów.

– No dobrze, pomogę ci wstać.

Podawała mi rękę, a ja czułam, jak mięśnie drżą mi, jakbym miała dostać zawału serca. Było mi cały czas zimno, ciągle słyszałam dzwonienie w



uszach. Wstawszy, zobaczyłam leżącego przy drzwiach Toto. Miał wypalone oko, osmaloną głowę, której brakowało czubka. Stał w bezruchu, przyczepiony do zwoju światłowodu, i nikt nie zwracał nań najmniejszej uwagi. Lucy popatrzyła na zimne ciało na podłodze, na wodę i kroplówkę, strzykawki i puste woreczki po solance.

– O Jezu.

– Można już bezpiecznie wychodzić? – spytałam ze łzami w oczach.

– Przed chwilą opanowaliśmy magazyny, a barkę zajmowaliśmy razem ze sterownią. Musieliśmy kilku z nich zastrzelić, gdyż nie chcieli złożyć broni. Marino dorwał jednego na parkingu.

– Zastrzelił go?

– Nie miał innego wyjścia. Mamy już chyba wszystkich, w sumie koło trzydziestu, ale wciąż musimy zachowywać ostrożność. Cały zakład jest naszpikowany środkami wybuchowymi. Chodźmy, dasz radę sama?

– Jasne.

Zdjęłam przemoczony fartuch i rzuciłam z obrzydzeniem w kąt. Zsunęłam też rękawice i wyszliśmy bezzwłocznie ze sterowni. Buty Lucy dudniły na pomoście i schodach, z którymi świetnie dał sobie radę Toto. Moja siostrzenica odpięła od pasa krótkofalówkę.

– Jednostka 1-20 do ruchomej jednostki jeden – zaczęła.

– Tu jeden.

– Zabieramy się stąd. Czy wszystko zostało zabezpieczone?

– Masz ją? – Poznałam głos Bentona Wesleya.

– 10-4. Ma się dobrze.

– Dzięki Bogu – usłyszałyśmy niezwykle spontaniczną jak na fale radiowe odpowiedź. – Przekaż jej, że czekamy.

– 10-4, ale myślę, że o tym wie.

Mijałyśmy pośpiesznie zastygłe zwłoki i zakrzepłą krew, wkroczyłyśmy na korytarz, który nie mógł już stanowić dla nikogo barykady ani zapory. Moja siostrzenica otworzyła szklane drzwi i okazało się, że popołudniowe słońce świeci tak jasno, iż muszę zasłonić ręką oczy. Nie wiedziałam, w którą stronę iść, i z trudem trzymałam się na nogach.

– Uważaj na stopnie. – Lucy objęła mnie w pasie. – Po prostu się o mnie oprzyj, ciociu.